

DZIEŁA
A. MICKIEWICZA



== TOM VI. ==



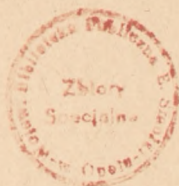
MIKOŁÓW

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.

Akc 12 Ur 170 | 80 | F 51.

LISTY.

• 112 1/2 112 1/2



10459¹5

10459¹
/vi

884(081)

„Zbiory Śląskie”

DO JANA CZECZOTA.

(Z Wilna, bez daty).

Kochany Przyjacielu! Z jakim ukontentowaniem odebrałem list Twój, nie będąc w mojej sytuacji, nie łatwo Sobie wyobrazić potrafisz. Jaka uczułem rozkosz, widząc, iż się znajduje przynajmniej dusza tkliwa, litująca się nad mojem nieszczęściem. Ukarło mnie niebo, że tak długo ukrywał stan mego serca, który w porównaniu do teraźniejszego był szczęściem i spokojnością. — Jak niezmierną czuję dziś chęć opowiadania moich zgryzot! Lecz któż mnie słuchać będzie? Ciebie niemasz; nie mam więc żadnego przyjaciela. Ci, którzy się zostali, są dla mnie obcemi osobami. Słuchaliby mnie z obojętnością, z uśmiechem, a może i wzgardą. Przymuszony więc milczeć, ileż cierpię! Twoje niezbite i prawdziwie roztropne uwagi przyniosły mi cokolwiek ulgi i jeżeli mogę powiedzieć, spokojności. — Przyjąłem je jako dowód Twojej ku mnie przyjaźni i troskliwości, a chociaż niektóre z nich są za surowe i niesprawiedliwe, wiem, że Ty pisałeś to, co ci rozum dyktował przy wolnym i niczem nie zajętem umyśle. A ja?! Jaka różnica między piszącym i czytelnikiem! Chciałbym jednak na nie odpowiedzieć, ale myśli moje są tak zmieszane, że nie wiem, czy przy nieczytelnym charakterze będziesz mógł co z tego listu zrozumieć. Wiernie Ci jednak staram się opisać to wszystko, co po Twoim przytrafiło się odjeździe. Chociaż rozmowa przy rozłączeniu się z Tobą zmieszala mnie, byłem jednak dosyć spokojny. Nazajutrz następujący egzamin z Borowskiego nie dał mi wiele myśleć. Przez cały dzień starałem się zrobić kompozycję, ale prócz przepisania dawniejszej nic poradzić nie mogłem. Następującego dnia uczułem ból w głowie i byłem uwolniony od przyszłych egzaminów. Oddawszy profesorowi moje roboty, chęć mnie brała pójść do Anieli, z którą już od dawnego nie wi-

działem się czasu, a dawniej co dzień zwykłem był bywać u niej. Znalazłem jednak matkę śpiącą, ona wyszła do bliskiej kamienicy z swoją pokojową do przyjaciółek. Przymuszony więc byłem odejść, nie widząc się. Układałem różne zamiary, co miałem jej powiedzieć i nazajutrz, uzbroiwszy się odwagą, poszedłem z niezmierną niespokojnością. Znalazłem ją uradowaną za mojem przyjściem. Przyjacielu! Jak ta radość okropnie mnie przeraziła! Trzeba było ją zniszczyć. Gdybyś wiedział, jak ona dawniej umiała pięknemi kolorami malować przyszłe szczęście nasze!

Drżałem na wspomnienie, że z tych słodkich marzeń trzeba będzie się przebudzić. Z tem wszystkiem postanowiłem nie odmienić mojego przedsięwzięcia i, skoro tylko matka Anieli z młodszą jej siostrzenicą wyjechała na spacer, zostawiwszy córkę dla bólu głowy w domu, zacząłem wszystko przedkładać.

Zaklinałem, ażeby albo zapomniała o mnie, albo była nadal stałą i nie przymuszała uporem swoim, ażebym wszystko na niepewność odważał. — Uraziła się mocno za ten wyraz „niepewność“. Zacząłem płakać, całować jej ręce, upewniać, że mnie to kosztuje więcej, niżeli jej samej, że gotów jestem wszystko poświęcić, ale nie poświęcę nierozwadze losu i szczęścia jej samej. Odpowiedziała, że mnie nie rozumie, zaczęła równie płacząc mówić, że gdybym ją tyle kochał, ile jestem kochany, nie powiedziałbym, że to może być dla niej nie-szczęściem. — Przydałem znowu, że może żałować tego później. — Odpowiedziała, że nie ma czem przeprosić mojej niewierności. Przydała, że zgodzi się na wszystko, ale nie wie, czy ja, kochając ją, zezwoliłbym wystawić na męczarnie więcej jak całorocznego niewidzenia się. — Mówiła jeszcze, że poszłaby za mną, porzuciwszy wszystko, gdyby tego potrzeba było, albo gdybym tylko chciał tego. — Przekonała się nakoniec cokolwiek, że ja poważniej mówiłem; przyrzekła znosić cierpliwie rozłączenie się, że nigdy nie powątpiewała o mojej stałości, ale tylko obawiała się rozłączenia się. Uradziliśmy się więc uwiadomić o tem matkę, jakiegokolwiek byłoby jej w tem zdanie.

Plakaliśmy długo oboje; odszedłem o ósmej wieczornej w okropnym stanie. — Noc całą nie pomyślałem o śnie; nazajutrz miałem znowu takie klucie w głowie, jakiego nie doświadczałem dotychczas. — Widziałem się w dwa dni potem z Anielą w obecności wielu osób. Jutro mam iść znowu. Upatrujemy pory rozmówić się z matką.

Przyjacielu! Teraz uczulem, że Cię nie masz. Siedzę w stancji, albo błąkam się sam jeden po ogrodach. — Ile razy spojrzę na Kardynałę, westchnę. — Jeżeli Ci się stał może rozwlekłym i niezrozumiałym, daruj, bo zwłaszcza dziś lepiej napisać nie mogę. Co się dalej stanie, pisać do Ciebie będę. — Zrób to ukontentowanie, pisz do mnie, jeżeli możesz. Do niedzieli będę w Wilnie, potem jadę do Nowogródka. Nie wiem, jaki koniec weźmie moje nieszczęście... Bywaj zdrowy, spokojny i szczęśliwy! — W przyszłym Twoim liście nie pisz nic z ironją i nie łaj mojej Anieli. — Ach, gdybyś ją znał, nigdybyś nie napisał tego. — Lepiej jednak się stało, że jej nie widziałeś i życzę Ci, ażebyś był zawsze nieciekawym, kiedy mówią o pięknie. — Obaczyć je? nic ci nie przyjdzie, że zaspokoisz ciekawość, a stracić możesz spokojność. Nie myśl, że mając powolniejszy temperament i więcej rozważli, wolny jesteś od miłości. Prędzej czy później doświadczysz, co ona jest; daruj, że ja Ci przestrogi daję, sam ich sobie dać nie mogąc.

Mówię to jednak prawdziwie, bo sam doświadczyłem. Muszę skończyć pisać tą razą, choć chciałbym jak najdłużej tem się bawić.

Czekam Twojego odpisu.

Adam Napoleon.

DO JANA CZECZOTA

(Z Wilna, bez daty).

Przyjacielu! Nie odebrawszy na pierwszy mój list odpisu, dla krótkości czasu nie mogę Ci dokładnie opisać najnieszczęśliwszego zakończenia moich nadziei. O, gdybyś wiedział, w jakim teraz znajduję się stanie! przez późniejszą okazję będę starał się uwiadomić Cię o wszystkim, teraz to tylko Ci oznajmuję, że od dni kilku jestem spokojniejszy i zdrowszy, gdyż, jak się potem dowiesz, tragiczna ta akcja przyłożyła się do pęknięcia wrzodu w głowie, skąd po wyjściu trochę materji znaczną uczulem ulgę. Przyjacielu! z jakąż męką przychodziło mi pisać list do mamy, o moim oznajmujący przyjeździe, wsiadając prawie na pojazd do Żytomierza. Ale się wszystko zmieniło. Za kilka dni będę w Nowogródku — Ty, jeżeli będziesz pisał, tam adresuj listy. Dłużej czas mi nie pozwala poświęcić się rozkoszy pisanja do Ciebie. Teraz zo-

stając sam jeden w obrzydłym Wilnie, nie widząc jej i Ciebie, nie dość, że jestem nieszczęśliwy — o, gdybyś wiedział o reszcie...!

Przyjaciół twój

Adam Napoleon.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Nowogródka. Wakacje 1819?)

Mój kochany Józefie z Kaniowa!

Jechałem tedy i przyjechałem do Nowogródka i bawię się wesoło, piszę listy do Was wszystkich wiułasów. Tomaszowi z Jwir już posłałem, innym gotuję się posłać. Nie uwierzysz, ile mnie bawi Nowogródek. Mnóstwo oryginałów z szczególniejszymi, a zawsze coraz innymi charakterami daje obfitą materję do uwag filozoficznych, które pospolicie kończą się śmiechem. Odpakowałem moje papiery; jeszcze nic nie robię, mam albowiem na kilka dni wyjechać, skąd zaraz powracam i piszę Conseli i odsyłam, tymczasem napisałem kawałek do *Wiadomości brukowych* i czekam niecierpliwie wydrukowania; jeśli możesz, zmiłuj się! zmiłuj się! idź tam do kogokolwiek i podbudzaj, żeby go umieszczono. Zawiera bardzo prawdziwe i mnie interesujące wiadomości. Bardzo Ci za to wdzięczny będę. Tytuł tego pisma jest: *Doniesienie wojażera od stron Jeruzalemskich z miasteczka Zaniemuwos*.

Więcej pisać nie mam czasu. Zmiłuj się, może raz pamiętaj o mojej prośbie.

Napoleon z Nowogródka.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Nowogródka, Wakacje 1819 r.)

Kochany Józefie z Kaniowa!

Eylem niedawno na jarmarku (nie takim jak na Rossie) w Stołowiczach o mil sześć od stolicy (Nowogródka). Kiedy, wsparłszy się na filarz, myślę sobie o naszych Towarzyskich rzeczach, usłyszałem lewem uchem głos wyraźny: *Wiułas!*

Proszę zgadnąć, co to było? Ja nie zgadłem — i mając to za skutek natężonej myśli — obejrzeć się nawet nie śmiałem; — wtem także *Wiwlas!* Obracam się, widzę osobę w czerni, średniego wzrostu, czarnych wąsów, śmiejącej się miny — proszę zgadnąć, kto to był? Ja zgadłem, że JPan Tomasz Zan.

Bądź zdrów! Czekam na odpis. NB. Szyszki w lasach nowogródzkich są daleko dłuższe i ciętsze; stąd wypada, że mogę przeciw wiatru lecieć.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO
I ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA

(Wakacje, 1819 r.)

Do Jeża i Nufra.

Gniewajcie się, czy nie gniewajcie, w pół godziny wyjeżdżam do Wereszczaków, a od nich do Szczors; powtóre: czas króciutki, piszę do obudwu razem.

Jeżdżenie, polowanie, patrzenie na piękności, słuchanie, granie, działanie, rozmawianie nawet o □ z cietrzewiami, kalkulowanie, śmianie się do rozpuku, całą noc pieśni rewolucyjne, w licznej drużynie — spliny czasem; zasmucenie (po odebraniu listu Jeża): oto obraz krótki wakacji — dla wiwlasów nie próżnuje. W Wilnie będę po pierwszym.

A. Mickiewicz.

Zmiłujcie się obydwu, szukajcie miejsca guwernerowskiego dla obywatela Alexandra.

Na rok przyszedł ja w Kow.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Miłaszewa, 2 sierpnia 1819?).

Kochany Janie przyjacielu!

Gdyby nie Twoje gniewliwe i żalobliwe treny, powiem po prawdzie, że dotychczasbyś listu odemnie nie odebrał, bo na-przód interesu do Ciebie nie miałem, bo powtóre oświadczenia przyjaźni zapchać ćwiartkę jest dla mnie a zapewne i dla Ciebie nudną rzeczą, bo (ażeby był zupełny syllogizm) potrzebie napisać poetycko-konceptowato, ażeby i siebie i Cie-

Nie zabawić, nie zawsze się uda, a zatem nic nie pisałem. Prócz tego dotychczas ani dnia w domu nie przesiedziałem. Pierwsze chwile przeszły na odpoczywaniu, później wyjechałem i jeżdżę codzień w inne strony, bawiąc się, a nawet czasem kochając się po Zanowsku. Teraz nawet piszę w cudzym domu, na cudzym stole, w Miłaszewie. Notabene po stacji, gdzie piszę, przechadza się z piętnaście osób, ja sam przyjechałem tu na imieniny i tylko co nie gotów jestem zaśpiewać Januarius.

Chciałem nawet listownie improwizować, ale że listownie, że ty nie jesteś w równym humorze, lepiej prozaikować: „Lepsza rzecz jednak, kto po ziemi chodzi” powiedział Krasicki, a w gramatyce pijarskiej pisze „Kto chodzi po ziemi, niema, gdzieby upadł”. A zatem ja chodzę po ziemi, a wyskoki poetyckie na inny czas chowam. Co większa, iż teraz pracuję nad poezją ważniejszą. Pewnie nad *Demostenesem* powiesz? Bynajmniej; to nad *Kartoflą*? Nie zgadłeś! Nad czemże? Oto nad soneciczkami, piosneczkami i trioleciczkami i różnego nazwiska *ami*, a za to wszystko odbieram zapłatę lepszą, niż ty od twojej Antosi.

Ale za to czas djable prędko mija; w tych dniach zjadę do Szczors powtórnie i tam z parę tygodni na osobności popracuję. Jeszcze zapomniałem napisać, dlaczego do Hieronima list pierwszy ślałem; znowu masz syllogizm:

Primo chciałem dowiedzieć się o postanowieniu względem miejsca, abym podług tego wyjazd i dalsze interesa urządził; *po wtóre* rozeszła się wieść w Nowogródku o zaprowadzeniu niezwłocznem gimnazjum. Chciałem się o tem zapewnić; nakoniec interes nagły Towarzystwa wymaga częstego z nim porozumienia się. Nie mam Ci przecież za złe, że mię o nieczułość posądzałeś, gdyż Cię znam dobrze i Ty byś nie posądzał, gdybyś mię znał równie. Dotychczas byłem tak nieszczęśliwy, że od Ciebie a potem i od innych doznałem prawdziwej przyjaźni, a nawzajem nie miałem okoliczności ich przekonania o sobie, a zwłaszcza, że najmilsze mnie osoby nietylko powątpiewają o przyjacielu, ale mu nawet wyrzucają ostro to, co jest winą losu. Wyznaję ci szczerze, iż te myśli zasmuciły mię nieco. Jeśli tak dalej będzie, stanę się prawdziwie nieszczęśliwym. Ale od Ciebie tego się nie spodziewam. Wszakże co o moich krokach względem Ciebie, co się tyczy Towarzystwa, pisałeś, obraziło a raczej tknęło mię do żywego. Próżno się będę ekskuzował, kiedyś dotych-

czas moich ekskuz nie uznał. Pan Bóg chyba wie, czyja tu sprawa lepsza, ale o tem lepiej milczeć. Czekam od Ciebie listu. Poprawmy się obydwu.

Adam Napoleon.

Gdy to piszę, przeglądając tu ikonografię, a w szczególności obraz przyjaźni z napisami różnymi, między innemi przyjaźń interesową w postaci osoby, trzymającej gniazdo jaskółki.

„Póty przyjaciele, póki się nie wylęgli“.

Czy nie masz ty mnie za takiego przyjaciela? „Ta myśl inkwizycyjnem razi mię zarzewiem“. Oddaj list Malewskiemu tu przyłączony.

D. 2 Augusta.

A. M. Virlas.

DO TOMASZA ZANA I JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, po wakacjach 1819).

Tomaszowi i Janowi: Miodu. Wiedzenia. Pisania.

Bardzo nadspodziewanie wyczytałem, że Jan wnioskuje, jakobym miał go za gniewającego się lub też gniewał się nań. Wcale nie. Przyjemne listy Wasze dla mnie, jak były przyjemne rozmowy. Wszakże nie mogę wymagać, żebyście, zwłaszcza kiedy niema o czem, czas, papier i półzłotki marnowali. Ale to *nie ma o czem* źle Jan tłumaczy. Kiedyż ja szukałem w listach Waszych tylko dowcipu? Albo kiedy, rozmawiając z sobą, sadziliśmy się na koncepty? Nie pamiętam. — Nie zbywało nam nigdy na materjach do rozmów, dlatego, że my rozmawialiśmy; niebardzo to miła kompanja, gdzie trzeba pocić się, ażeby coś do gawędy wynaleźć; nieraz w Kownie już mi się to sprzykrzyło. Zatrudnienia tedy najbardziej Was ekskuzują, nigdy albowiem nie godzi się pisania, które samą zabawę ma na celu. kłaść przed zatrudnieniami ważniejszymi, i ja nie byłem nigdy tej pretensji.

Co się tyczy pana Tomasza, osobny artykuł. Przekonany jestem, że on nigdy nie mógł być tak złym i niegodnym, aby wątpił, że go szczerze kocham.

Tak dawna znajomość, jedność zasad główniejszych w naszym myśleniu, czuciu i chęciach, promionki wreszcie przyjaźni dawno nas łączącej nie mogą już nigdy być rozerwane.

Jeżeli każdy z nas wyrzuca drugiemu to, co mu się nie podoba, pokazuje się stąd, jak wielkie prawo mamy jeden do drugiego, i jak każdy chce drugich według siebie przerobić, dlatego, żeby byli mu jeszcze miłsi. Tam, gdzie wady, czy prawdziwe, czy urojone przyjaciela nie obchodzą bynajmniej, tam już niema przyjaźni, albo zaraz nie będzie.

Stąd-to, chociaż może niebardzo wielkie są sprzeczności między naszymi charakterami i te się uderzają, powinny się jednak cokolwiek zetrzeć.

.....

List jego był dla mnie bardzo miłym zaspokojeniem. Otóż koniec całej sprawy, która idzie w niepamięć — a która Janowi wyrwała tyle filozoficznych uwag, obok jego zwyczajnego w listach *Drrrdum*.

Wstydziła mnie ta spokojność i panowanie nad losem, a raczej urąganie jego panowaniu. I to jest jedyny środek, kiedy nie można zwyciężyć. Filozofowie, wskazani na śmierć, śmiejąc się, idą na rusztowanie. Dzieci, nie mogąc doprosić się łakotek, wołają na końcu: „Otóż nie proszę! nie chcę, choćbyś dawał“. I ja tak zaczynam robić. Stan mój, wcale od przeszłorocznego różny. Chociaż nie jestem często wesoły, wszakże chcieć, żeby wszyscy byli weseli, żeby lubili wesołość i utrzymywać, że ona tylko służy zdrowiu, jest jak mi się zdaje, chcieć, żeby wszyscy lubili, jak my, cukier lub kawę. Prócz tego jestem weselszy, jak dawniej.

Jan kładzie za drugi warunek szczęścia porządek kieszeni; dziwny los ściga mię z tej strony. Jużem był umówił się ze sprawnikiem, już przenosiły się do mnie dzieci; ja miałem wszelkie wygody i jakąś nagrodę (nadzieję). Wtem nagle wypadki przymusiły go do proszenia o odstawkę i wyjechanie z Kowna.

.....

(bez podpisu).

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, październik 1819 r.)

Janie!

Chwyć jeszcze coś do Ciebie, chociaż poczta nad kar-kiem. — Donieś o twoich dalszych widokach: czy na dawnym

miejscu i w dawnym zamiarze? — Przyślij mnie *Świtez* i inne twoje nowe rymy — *Bekiesza* etc. Zrobisz mnie największą łaskę. Chciałem ci posłać jakie fraszki — nie mam czasu przepisać — tłumaczę kawałeczki z *Virgilego* i *Owidjusza*, którego teraz *nocturna et diurna manu* wertuję. Com wypieszył, odkę *Horacego*, posyłam i kilka wierszy *Owidjusza*; możesz czytać za pismo darowane w Towarzystwie albo w Klubie, jak wypadnie. — Zrób mnie uwagi szczere nad tym szpargalikiem, gdyż mam w tem interes i przyślij. — Uwagi będziesz mógł tamże czytać w klubie.

Czekam tego wszystkiego. —

Pisuj, jak możesz najczęściej, jak najdłuższe listy i nie zapominaj przydać soli parnaskiej.

Twój Adam.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna. w październiku 1819 r.)

Janowi z Myszy pozdrowienie A. z Nowogródka —

Dotąd nie mogłem oddzielnie pisać do Ciebie dla wielu zatrudnień, o których z listu *omnibus* pisanego wyczytasz. Czułem jednak potrzebę pisania. — Mocno mię ucieszyło, że nabierasz wielkiego smaku do dysput filozoficznych, a raczej do myślenia filozoficznego, luboś zawsze do tego smak pokazywał.

.

Piszę to wszystko, bo wiem, że czasem inaczej myślisz, jakby potrzeba. — Znasz, zdaje mi się, nasze charaktery. i wątpić nie powinienes, że ambicja nigdy miejsca w sercach naszych nie miała, że, co robimy, robimy dla dobra ogółu. — Nic niema pożądanszego, jak zupełna równość (choć u nas wszelka równość) ale nawet taka, gdzie, co wie jeden, to wie drugi, i tak być powinno; zawsze się przypuszcza, że większość jest dobrych, więc w kraju śmiało można wszystko wyjawiać. Jeśli źli powstaną, większość ich ukróci, a jednak i w kraju najbardziej republikańskim gabinety mają wolność tajenia swych działań. — Cóż Towarzystwo? Co tu pomoże, gdyby wszyscy byli dobrzy, a jeden zły tylko; jeśliby ten jeden zły wszystko wiedział, niema ratunku; większośćby się nie obroniła, a jeszcze w naszym

kraju. — Im rząd despotyczniejszy, tem wszelkie tajemne towarzystwa muszą być tajemniejsze. W Anglii kluby, śmiało mówię, republikańskie mają urządzenia, bo niech sobie kto wyda ich tajemnicę, oni tego się nie boją. — Mój Janie, myśl o tem! —

Co piszesz o przyjaźni, wymagałoby z mej strony obszernego tłumaczenia. Chciałem swój charakter opisać, i Twój nawet, potem pytać się o Twoje nad tym opisem zdanie. Ale to wymaga dłuższego zastanowienia się.

Nadal tedy odkładałem obszerne do Ciebie rozprawy; teraz tylko powiem, że przy największej cności i szczerości, jaką w Tobie spostrzegam, masz skłonność do tworzenia często moralnych sofizmatów, jak inni tworzą filozoficzne — jaśniej powiem — chwytasz się często za fraszki, które w Twoich oczach wielką miewają cenę. Nigdy nie widziałem w Tobie żadnej pychy, a często znieść nie możesz najdrobniejszego jakiegos poniżenia, które sam tylko masz za poniżenie. — Jesteś szczery, i powiem poprawdzie, najszczerzy ze wszystkich, których znałem, ale często do szczerości, zasadzającej się na fraszkach, wielkie przywiązujesz znaczenie, i masz za nieszczerych tych, co Ci nie chcą powierzyć rzeczy, której powierzenie Tobie byłoby na nic niepotrzebne, a drugim mogłoby stać się szkodliwe. — U mnie, mój Janie, szczerość na tem zależy, aby nie zataić przed przyjacielem nic, coby mu zatajone szkodzić mogło, albo wyjawione pomagać. Choćbyśmy się przenieśli w wiek złoty, i tam były potrzeby czasami umknienia czegoś przed oczyma nawet przyjaźni. Cóż powiemy o wieku naszym, kiedy każdy ma tyle innych zobowiązań się, a które często nie od niego zależą i są równie jak przyjaźń drogie! — Przyjaciel powinien dla przyjaciela wszystko poświęcić, co jest jego własnem, ale nie może nic cudzego oddać. Jeśli kto posadzony jest na okręcie za sternika, może przez przyjaźń kogo drugiego posadzić razem przy sterze? Choćby go widział zdatnym, ale czy go inni widzą? Ma prawo powierzyć mu własne życie, ale czyż może okręt powierzyć? Czyli jest pewny, że go przyjaźń nie zaślepia, że może widzi w przyjacielu to, czego nie ma w istocie? — Piękny rys dochowała historia. — P. Scypjon, najmędrszy i najcnotliwszy z Rzymian, gdy brata jego chciano obrać konsulem, że łzami stanął, prosząc, aby go nie obierano, gdyż rzeczpospolita nie znajdzie w nim wielkiego wojownika, jakiego była potrzeba. Obrano przecież Scypjona. Wojna szła

niepomyślnie. Senat zamyślał go usunąć; wtenczas P. Scypjon konsularny zaciągnął się do wojska brata, jako prosty żołnierz, aby go radami wspierał. — To jest przyjaźń. „Ależ“ — powiesz mi — „otóż właśnie dla tego trudna przyjaźń, bo w niej trzeba ludzi równych chęci, równych zdań, równych talentów, żeby co jeden myśli, drugiemu mógł wszystko objawić, co jeden robi, drugi to mógł wykonać, co jeden chce, drugi to chciał, słowem, jak powiada Karpiński o swoim przyjacielu: „Dwóch ludzi było jednym człowiekiem“.

Sąż tacy ludzie? Nie. — Jeśli chcesz mieć takiego przyjaciela, nie znajdziesz go w Adamie, w Józefie — trzeba drugiego Jana Czczota. — Ale czyż to będzie przyjaźń? i na co taka przyjaźń? co powierzać, kiedy obaj jedno czują? jakiej szukać rady, kiedy obaj jedno myślą? Wierzaj mi, gdyby i byli ludzie zupełnie do siebie w charakterze podobni i dwaj na świecie znaleźli się, nie zawarliby z sobą żadnych związków przyjacielskich. Jak może dwie twarze podobniutkie nie wzbudziłyby w sobie nawzajem miłości — nie!

Owszem zdaje się, że natura przyjaźń umyślnie na to stworzyła, ażeby przeciwne charaktery łącząc, ułagadzała je i kształciła. Wszakci i w przyrodzeniu przeciwne siły najczęściej się łączyć zwykły, a przeciwne odpychać.

Cnotliwy Pom. Attikus żył w przyjaźni z Sullą i z Marjuszem, którego Sulla ścigał, z Cezarem i Brutem, jego zabójcą, z Cyceronem i Antonjuszem, który Cycerona zgubił, a wszystkich Atyk był szczerym przyjacielem, bo za Marjusza ledwie życia nie utracił, bo Antonjusza uciekającego wspierał, za co cierpiał od Cycerona przymówki, bo Cyceronowi połowę prawie majątku wygnanemu oddał i po jego śmierci nigdy do wesołości dawnej nie powrócił. Prawda, że taka przyjaźń i mnie się nie nadto podoba i Atyk był podobno lepszym człowiekiem, niż Rzymianinem; ale przecież przyjaźń szczerą, między tak przeciwnymi charakterami!! —

Nie mam Ci za złe, że mnie nie poczytujesz za takiego, jakiegobyś chciał, przyjaciela, jest to w Twoim charakterze; może w części i odemnie zależy, ale więcej od Ciebie, i jestem pewny, że takiego, jakiego chcesz, nigdy mieć nie możesz. — Nie Twoja to wina. — Ja mam w pewnym punkcie pobobne zupełnie czucie. Znałem kilka kobiet, godnych wszelkiego szacunku, znałem jedną, nad którą żadna mi się w życiu więcej nie podoba, a wszakże nie upatrywałem w niej jeszcze wszystkich, jakich chciałem, przymiotów, bo mam jakiś ideał ko-

chanki dziwny, że nie powiem dziwaczny i nic nie znajdę do tego ideału podobnem.

Co do przyjaźni, wyznaję na jej święte imię i na wszystko, co mi było i jest najdroższe, że Cię mam za takiego przyjaciela, jakiego tylko mieć można, ani chcę, ani mogę mieć większego, anim sprzyjał i kochał kogokolwiek równie.

Ty, o ile mi się zdaje, łatwiejbyś wybrał kochankę, trudniej przyjaciela. — Bo też ktoby miał i kochankę i przyjaciela, jakich pragnie, byłby w niebie, a my jesteśmy na ziemi. — Niejeden miał Laurę, niejeden Piladesa, ale któż miał ich razem? Zdaje się, że trzebaby było osobno stworzyć płęć dla przyjaciół. jak jest dla miłości, a wtenczas możnaby znaleźć trzech ludzi. kochanka, kochankę i przyjaciela, ale coraz płci innej. — Takie może są w niebie małżeństwa. — Nie sądzę jednak, że znalazłeś we mnie najlepszego, jakiego mieć możesz; owszem, może i ja w czemkolwiek nie jestem przyjacielem Tobie takim, jak należy, z własnej winy, i lubo nie będę, ani mogę być ideałem, mogę się doń przybliżyć. Dlatego, co we mnie upatrujesz mniej z Twojem czuciem zgodnego, co między nami większej przyjaźni przeszkadza, zaraz mi o tem zawiadamiaj. W tem, zdaje mi się, że jesteśmy sobie najpodobniejsi, iż się za prawdę nie gniewamy. Co tylko dotąd widziałeś we mnie, a nie powiedziałeś, wszystko to wyjawiaj: „Otóż mnie się w tem nie podobasz!“ — „oto w tem przeciw przyjaźni postąpiłeś“; — „to powinienbyś mnie objawić“. Ja się poprawię, albo będę wymawiał — a Tobie wzajemnie, co myślę, gadał. —

Co tylko w tym jest liście, list spaliwszy, zachowasz w sekrecie i przed nikim się nie wymówisz. Krytyka Twoja na ode zupełnie trafia do mego przekonania i pokazuje, że smaki nasze, równie jak i serca, niebardzo różne. — Co do reguł tłumaczenia i nauczek, ani ich wiele dać mogę, ani ich odemnie potrzebujesz. — Jednemu się tylko przeciw mniemaniu. — Chcesz, żeby tłumacz zbliżał się, jak mogąc, w wyrazach nawet do wzoru; jest to fałszem. Często wyrażenie, w wzorze poetyckie, tłumaczone co do słowa staje się po polsku prozaiczne, albo łacinnikom dziwnie nowe, w polszczyźnie będzie pospolite.

Dobrze mówi Delil: „Tłumacz pożyczka piękności, powinien je oddać w teje ilości, choć różną zupełnie monetą“. Nie przytaczam tego na obronę tłumaczenia mego, gdyż znam

całą jego niedoleżność, ale że myśl Delila zdaje się być prawdziwą.

Zasmuciłoby kogo innego doniesienie, że rzucasz lutnię; ja wiem, że ani tego nie uczynisz, ani uczynić możesz.

Śmiejmy się wreszcie, ale też starajmy się, żeby nam na tamtym świecie nie powiedział Pan: „Dałem ci także złoty talent, a przecz go w ziemi zakopałeś?” Prawda, że i to źle, kiedy powiedzą: „Na co kopiesz, gdzie nic niema?” Ale wola Boża! my przynajmniej tego jeden o drugim nie powiemy. —

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(8—9 października 1819 r.)

Kochany Józefie!

Przecież w nasze zawitałeś strony, jeżeli to są nasze. Cokolwiek bądź, piśmiennie przynajmniej rozmawiać będziemy mogli. Tak długo żadnych z Tobą nie mając komunikacyj, wiele mam do pisania, ale też niezawsze pisać mogłem i mogę. Czas wakacyjny zszedł na przyjemnych zwyczajnych zabawach: włóczęga, zatrudnienia i niższych i wyższych władz, *item* trochę próżniactwa. Dla tych wszystkich powodów do Ciebie nie pisałem, teraz znowu. Lecz nim przyjdzie do teraz, powiem cokolwiek o tem, co było w czasie wakacyjnym, notabene tylko pod względem literatury. Otóż mimo niedogodności w domu częstych wizyt i krótkiego bawienia się (dni 5) na wsi, mimo tego i owego, zrobiłem cokolwiek, bawiąc w Szczorsach blisko tygodnia, a mianowicie wykomentowałem dwie ody, co, przydawszy jedną w Wilnie w czasie wakacji zrobioną, czyni trzy. Przeczytałem wiele rzeczy, a co ważniejszego, tłumaczenie Horacjusza Petrycego, wiele naśladowań, Kochowskiego i Kochanowskiego, Twardowskiego etc., przejrzałem pyszną edycję Londyńską z notami Baxtera, Benteja etc., w Wilnie jeszcze Wanderburga.

Z tego wszystkiego niektóre zrodziły się uwagi nad dalszą pracą i te później nadeślę, ale wprzódby mnie donieś, jak daleko zaszedłeś, chociaż nie spodziewam się wielkiego postępu.

Demosten ulaził nie wiele, ale teraz leci na głowę, lubo z trudnością. Niedostatek entuzjazmu tragicznego wstrzymuje często od pisania, chociażby się pisało. Skończyłem i przepisałem akt drugi z wielu odmianami i dodatkami, co mię wiele kosztowało; akt trzeci prawie skończony, akt czwarty wiele jeszcze potrzebuje, zresztą tam i sam poczyniłem różne kawałki do wszukowania. Wiele jednak nad tym punktem dumam. Moje wiersze dotychczasowe, jeśli miały jaką zaletę, winny ją były po większej części językowi, czyli wydaniu, nad którem starannie pracowałem i w którym cokolwiek nabrałem wprawy. Tragedja nie dopuszcza tych ozdób, a przynajmniej trudno trafić, ile przypuszcza. Boję się, żebym nie był zbyt prozaicznym, dla tego w niepewnościach waham się często. Dawno chciałem czytać Tobie akt pierwszy, teraz poślę kiedy, abys nad nim co do stylu i myśli uwagi poczynił, któreby mi służyły w dalszej pracy za wskazówkę. Tyle o *Demostenesie*.

Teraz... bardzo mi ciężko pisać to nieszczęśliwe *teraz*. Wszystkie nadzieje i układy minęły. Wierz mnie Józefie, że mimo obrażenie miłości mojej własnej daleko więcej nad tem cierpiałem, że Tobie nie mogę być żadną (pomocą), że Towarzystwu niewiele uczynić mogę, że moje słodkie marzenia zawiedzione; — postanowiłem nic nie marzyć. Niektóre okoliczności kowieńskie muszą Ci być od kolegów opisane. Oni też mię cieszą i utrzymują, przez nich żyję — te chwile, pisaniu poświęcone, są całą moją zabawą i rozkoszą, listy od Was odbierane całem mojem szczęściem! Siedzę prawie zawsze, nie mam znajomych, bo nic do znajomości nie wiąże, chodzić nawet na spacer, który tak lubię, dalibóg czasu nie mam. Umarłbym w miesiąc z nudy, gdyby nie Wy i nie nawiał pracy.

Jedyną prac szkolnych nagrodą jest pożytek i miłość uczniów, jedno idzie za drugim. Postanowiłem dawać lekcje jak można najlepiej, stąd pisania moc niezmierna. Wszakże do Bożego Narodzenia pokończę sexterna i odetchnę. Przyślij mnie, choć pożycz, jaką historję literatury łacińskiej. — Czy nie masz Bentkowskiego? Talentów niema, w 3-ciej i 4-tej widać cokolwiek, i to jest zmartwieniem, że długo czekać. Zachęcenie do czytania zrobiło już wielki postęp.

Całego przychodu w tym roku 197 rubli — sto wzięłem przed wyjazdem — rozeszły się — przez dziesięć dni pierwszych w Kownie straciłem 12; teraz cokolwiek lepiej. Stół

zgodziłem, oporządzić się nawet mam nadzieję. Na rok przyszły powinno być sto rubli z górą do wydania, a pięćdziesiąt do schowania, nie licząc w to żadnych wydatków, odzienia i utrzymania się. Spodziewam się jeszcze skąd inąd dochodzików. Ale rok czekać! Żadnej pomocy domowi, braciom, chociaż tego bardzo potrzebują. Nakoniec nie będę mógł tego roku długów spłacić, co mię także mocno martwi. Donieś obszernie, jak przyjechałeś? jak się umieściłeś? jak będzie dalej? Obszernie! Czy nam będzie kiedy lepiej?

Tego roku postanowiłem skończyć tylko *Demostenesa*, a dobrze, jeśli dokonam *Kartofle*, oprócz jakich ulotnych pismek, nic więcej. Miałem zaraz podać plan literatury na klasę III. Już jest zrobiony, ale dalsze rozpatrzenie się wszystko mieszało; inne myśli, inne zamiary. Ten rok zejdzie na pisaniu pojedynczych sexternów, na przyszły pomyślę o układzie. Jest to rzecz, jak w dawaniu akademickiem łatwa i systematyczna, tak w szkolnem najtrudniejsza. Często ustępy mające się dawać w niższych klasach są trudniejsze od samej teorii. Często drobnostki, w 3-ciej i 4-tej klasie, opierają się na poznaniu większych rzeczy. Największy chaos, gdzie dawać o stylu? gdzie o figurach? gdzie o wymowie? gdzie o rodzajach innych prozaicznych? Żeby jedno z drugiego płynęło, żeby szły po łatwiejszych trudniejsze. Im kto zważy bliżej, tem więcej móżołu, *omnia vincit labor improbus!* Może i będzie kiedy *victoria!* Zyskam to, iż szczegóły utkwia się na zawsze, iż całość obejmę, iż na dalsze lata pracę nie-skończenie ułatwię.

Bądź zdrów! pisz jak najprędzej!

A. Mick.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna 15 — października n. st. 1819 r.)

Adam Nowogrodzki Józefowi z Humania zdrowia i dobrego powodzenia.

Jeszcze od początku mego życia literackiego tyle pracy nigdy nie miałem. Ale co najsmutniejsza, korzyści stąd nie wielkie. Szkoła nie liczna, a zatem i talentów nie wiele; wsakże w niższej klasie widać piękne nadzieje, w wyższej nędzota. Ledwie jeden albo dwa do ludzi podobnych i ci się

do mnie przywiązali. Zachęcam, daję książki, czytają; nie będą z nich wielcy ludzie, ale będą dobrzy i nieźle uczeni, gdyby się wzięli do pracy i byli w uniwersytecie, gdyż zdolności mierne posiadają. Dotychczas nie znali, co to pisać bez żadnego zachęcenia. Cała szkoła zda się, że umiera, albo zasypia, każdy uczeń gada cicho, lekliwie i powoli, każdy nauczyciel toż samo. Ubóstwo w powiecie i szkole ostatnie; w wyższej klasie, to jest piątej i szóstej, jeden tylko własnym utrzymuje się kosztem; reszta żyje z guwernerji, i przymuszona, wyszedłszy ze szkół, chleba szukać. Mimo zatrudnień, o których piszę, ile możliwości Towarzystwa nie zaniedbam. Moje zamiary w przeszłym liście wyłożyłem. Dla niedostatku pism u Was, mniejsze poezyjki, jeśli się zdarzą, komunikować myślę. Zawstydziała mię Twoja pochlebna o Horacjusza drugiej księdze nadzieja; tyle uczulem stąd wewnętrznej zgryzoty sumienia hultajskiego, ilebym czuł radości, gdyby te nadzieje nie były zawiedzione. Przrzekam Ci jednak, iż księgę tę mieć będziesz i od Bożego Narodzenia ułatwię się w pracy, i wezmę się czynniej coraz; do Bożego Narodzenia dalibóg nie mogę.

Bądź tedy zdrow, mój Józefie, całuję Cię serdecznie, bądź zdrow, jedz pij i śpij lepiej, jak zwyczajnie, a to w całym znaczeniu tego słowa: śpij! Onufr może ci je wykomentować. Nie masz Gertrudy, ani naszego Hrabiego! Nie masz pierożków, minerałów, a co największa, niema codziennych na Antokol ekskursji. Szyszki leżą odłogiem, fortecy owej nikt nie broni rowów nikt nie przegalopuje!

A owóż: „Karabela, Karabela: dla mojej kochanki kupię trzy kaganki“. Żebyś wiedział, jakim tonem wyśpiewuję! — Aż mi w związanej głowie kolka dała się uczuć. Te banialuki do łez mię pobudzają. — Bądź zdrow! — Jeszcze Ty na mojem miejscu znajdziesz kompanistę, choć może nie tak ochoczego do przechadzek, ale ja, to w całym znaczeniu samotny. Każdy spacer w góry przypomina antokolskie sceny. Zawsze zdaje się że szedłszy, zabiegę do Sipkowej na kawę, albo do Was na górę, — „we śnie ulowi szczęście, a na jawie straci“ — wiersz z zaniedbanej Pucelle. *Adam Mick.*

Każ przychodzić do siebie Aleksandrowi, zachęcaj go i dawaj, jeśli będziesz miał, jakie książki i pytaj się, czy przykłada się do języków? Historia u mnie zawałana, czeka okazji, wkrótce mu ją poślę.

Ukrainę, powrót, teraźniejszy pobyt, jak najobszerniej opisać! Żadnego listu, nie mającego pół arkuszowej objętości, nie przyjmuję.

Niemczyzny chciałbym przypilnować, chociaż czasu nie dostaje; ale książek ani dykcjonarzów nie mam i mocno nad tem ubolewam. Żeby Hieronim jaką mi broszurkę przysłał!

A. N. M.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

(Z Kowna 11—18 października 1819).

Jarozsu!

11 dnia. *Intimis.*

Na Twoje niektóre myśli znajdziesz choć kusą odpowiedź w listach, którem dawno napisał, a dziś razem odbierzesz. Wielkie twoje zatrudnienia zapewne Ci nie bardzo łatwą czynią ze mną korespondencję. Jeżeli więc nie będziesz mógł często, przynajmniej długo, szeroko i grubo pisać do mnie. Nie chcesz wiele o Sobie mówić, a ja chciałbym jak najwięcej słyszeć. Pomnij na to, że opisane po szczegółach Wasze zatrudnienia, myśli i zabawy przenoszą mnie do Was i dają choć w części kosztować tę słodycz, jakiej w towarzystwie Waszem tak wiele czerpałem. Szczerze i bez przesady wyznaję, że doniesienie drobne, czy piszesz rano, czy w wieczór, kto był u Ciebie, co gadałeś z Józefem, co z Janem, czy na koniec w szlafroku siedzisz, przyjemniej mnie zajmują, niż wyjazd Imperatora z Warszawy. Dla tego czasem i te miłe dla mnie szczegóły umieszczaj. Myśli Twoje o myślach moich są gruntowne. Nie odpiszę teraz na nie, ale po większej części akceptuję. O nowym Klubie trafiłem w myśl Waszą i widzę, że sami potraficie tym rzeczom dać obrót według potrzeby. Nasz związek musi być rozbitym koniecznie na dwa osobne; ale tu sęki i kolce! Trzeba pierwszej kilku przenieść do Towarzystwa, potem z nich, dodawszy jakiego członka, utworzyć nowy związek. Jabym tak postąpił. *Penes vos judicium et norma.*

.

Dobrze, iż Szeroki wlaźł do tych zawieruszników, ale o tem zmiłujcie się — cytl! Żle, że nie pokazał się gorliwszym. Wszak wiemy, jak rzeczy idą w Tow. Mogą niektórzy coś między sobą kartować, a Szerokiego by *ab intimis* wyłączyli.



a takby nie wszystko wiedział. Niech więc jakkolwiek się poprawi, niech czyni mało, ale mówi i pokazuje wiele.

Rukiewicza ja bardzo chwale. — Należy jednak strzec się i śledzić, czy nie mason. Ty powinienes dotrzeć tego jakkolwiek. Wreszcie ktokolwiek niech szpieguje. Jest patriotą, gorliwy i dosyć zdalny. Odebrałem tu ukaz, abym książki odesłał i odsyłam, ale też z niemi nadzieję rozprawy, bo bez książek nic nie zrobię, a jeszcze z nich wszystkiego nie wyczerpnął. Ukaz ten mocno mnie dotknął. Polecono dozorcę egzekwowanie. Grodeck pożyczal wielu nauczycielom na dalsze miejsca, mnie tego uczynić nie chciał!

Bądź zdrów!

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

(Z Kowna, w końcu października 1819 r.)

Do Hieronima.

Miałem być na Twojej fecie, nie jestem! Miałem napisać jamby, nie napisałem. Jedno poszło za drugim: próżno wzbu-
dzałem entuzjazm, same powolności i flakowatości w głowie,
próżno chciałem się śmiać, same smutki. Owoż niema jam-
bów; nie chciałem nawet gwedzkać, bo wiem, iżbym Was znu-
dził. Macie choć lichą piosnkę; śpiewając, przypomnicie
Adama. Ja w sobotę o 7-mej kupię butelkę wina; z Niela-
wickim pić będę w duchu (może teraz, kiedy czytasz, piję)
Twoje zdrowie, nie tak hucznie, ale równie szczerze, bo zawsze
kocham Jarosza Adama.

DO FILOMATÓW.

(Z Kowna w wtorek, paźdz. 26.)

Adam —

Braciom Filomatom zdrowia i powodzenia.

Chciałem i zamyślałem częściej pisać do Was listy apo-
stolskie, ale nie pisałem — za co? Jedna, ale ważna przy-
czyna — niema czego pisać. Prawda, że jako wszystko, co
się którego z Was tyczy, jest dla mnie ciekawem i pożądanem,

tak zapewne i Wam byłoby przyjemnie wiedzieć niekiedy o mojem życiu, pracach, zabawach. Ale to życie, prace, zabawy są też same i podobno też same będą. Wynajdźcie więc sobie, kiedy możecie którykolwiek z listów moich, zaraz po przybyciu do Kowna we wrześniu do Was pisanych. Ile razy zechcecie wiedzieć o mnie, tylekroć list ów możecie przeczytać i to jeszcze będzie dla Was zyskiem, że nauczysz się raz czytać, nie będziecie wskazani na decyfrowanie moich nieczytelnych bazgranin. Wszakże za każdym odczytaniem przydajcie z dziesięć!!!! etc. z drugie dziesięć ach! ach! etc., które ja w listach często przez zapomnienie opuszczam.

Ale jak bywam tu nudny, zły, jednym słowem nieszczęśliwy, tego Wy nigdy, w Wilnie siedząc, nie pojmiecie. Jan I. i Onufr, którzy ze wszystkich Was wileńskich za stołem masy najnudniejsze prowadzą życie, równać się ze mną nie mogą, bo wyszedłszy z masy, już im nic na karku nie mula, bo z Wami się obaczają, pogawędzą, zaśpiewają, choćby to trwało tylko godzinę. Ja dalibóg oddałbym za tę godzinę całe popołudzie wtorkowe i czwartkowe.

Wyobraźcie sobie: — Ja od przyjazdu do Kowna od nikogo nie posłyszałem Adama! — Nikt się do mnie nie uśmiechnął, nikogo z uczuciem nie ścisnąłem. Przychodzę ze szkoły prawie zawsze zgryziony albo niesfornością albo, co częściej, tępością uczniów. — Praca daremna! — Rzucam się na łóżko i leżę z parę godzin, nic nie myśląc, tylko złując i kwasząc się. Czasami zaś kwasy i złości tak wielkie, iż dosyć przydać dwie uncje jeszcze, żeby się zwarzjować lub powiesić. Pisać to, po prawdzie humor sobie zepsułem. — Co to będzie na rok przyszły? Dbrum! *meminisse animus horret*, to jest, dreszcz przejmuję. Ale wiem co, chyba się nauczę pić i po lekcji poobiedniej (seksterna będę miał gotowe) upiję się i spać położę. Nie mówię tego żartem, chociaż Wy może śmiać się będziecie. — Ale i mnie gorzki śmiech porwał. Widzę, jak Franciszek narobi krzyku: „*bredzi sam nie wie co*“, a Szwalizer: *fe! wino nic dobrego — pijaka do złego prowadzi*; a Szerok zadziwi się, a Jan pisze wiersze z perswazją, a Jeż wyszedł cicho, pożyczył z biblioteki: Plutarcha, Montania, Seneki *de Consolatione, de magnitudine animi* etc. etc. i szle mnie na pociechę. Nie czytałem tych durniów, ale każą (słyszę) biedę zwycięzać; *durnie* powtarzam, uczyli pływać, stojąc na brzegu; czasami wleźli do małej sadzawki i radzi, że wypłynęli, piszą już teorie. *Durnie* po trzeciej; gdyby ich kto

do jeziora, na przykład na dwa lata do Kowna rzucił, pływaliby może dłużej odemnie (wątpię) a w końcu i głupiec i filozof musi topić się. — Najlepiej nie czuć, ale nie można.

Kończę list, jestem zły i śmieję się sam z siebie. Bądźcie zdrowi, piszcie —

Adam.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, koniec listopada 1819 r.)

Adam Nowogr. Koch. Janowi Myskiemu Z. i Po.

Nie mogłeś mi niczem lepiej wygodzić, jak ułamkiem jam-bów i opisem przystanym Fety. Daj go katu! Nie spodziewałem się po Tobie takich komentatorskich talentów. Prolegomena stawiają Cię obok Heyna i powinny służyć za wzór potomnym wiekom i narodom filomackim w pisaniu jam-bów. Według mojej opinii powinno to być wszystko w edycji umieszczono. *Bravissimo!* Dioniz piorunuje, Zan jak zawsze pies, pstryka, syka: cóż tam musiało być śmiechu! kiedy ja na samo wystawianie trzymam się za boki; ale śmiać się wielu potrafi. Owe łzy i wylania się serc przyjacielskie, wierz mi, że od czasów Barbary rzadsze były w Polsce, niż zwycięstwo Drohobuskie i Kirchholmskie!

Co mię jednak niemniej ucieszyło, a co ci wyznam, à la filomat, jest to piosnka, a raczej piosnki Twoje. Widzę w nich postęp szybki i niezmierny od czasów wniścia Twojego w karierę pisarską; łatwość, a przytem ogień, prawdziwie pindarski, przeszły nawet nadzieje, które miałem o Tobie; *cedite* Zany, *cedite* Adamy! Nie zaniedbuj, zmiłuj się! Występujesz coraz lepiej, chciałbym, ażebyś Twoich sił doświadczył po formie na jakim przedmiocie lirycznym.

Niebardzo zdrow jestem, a raczej bardzo niezdrow; po bólach małych głowy siadł djabeł w gardle, jakieś palenie i suchość; mordowanie się na lekcjach pomnaża je coraz. Tutaj kilku umarło z suchot gardzielowych. Jestem tem mocno przerażony. Wszakże spodziewam się, że strach próżny.

Nuda i nuda i po trzecie nuda! Dla mrozów i gardła kwaśnieję w stancji, biorę się za roboty, te w rękę kwaśnieję — poezja licha! proza licha!

Wszakże mechaniczne prace udają się; w języku niemieckim bardzo wiele od przyjazdu postąpiłem i za pomocą dyk-

cjonarza (fatalnego) czytam dosyć prędko i skończyłem grube tłumaczenie Cicerona *de officiis*, wezmę się do książki mnie przysłanej i tę spodziewam (się) za kilka dni pokonać. Ty także bierz się, ile sił, do niemczyzny; najpewniejszy sposób czytać i mordować dykcjonarz.

O dziwacznych Towarzystwach zachowaj wielkie cyt! Bo jeśli, broń Boże! wynijdzie, że Szeroki ich szpieguje, to nam djable rzeczy się zepsują. Zresztą wiadomość o tem mam dokładną. Przed księdzem i Poluszyńskim nawet nie życzę wygadywać się. Zmiłujcie się! starajcie się o zgodę! Poluszyński odstrycha się, widzę. Znam go dobrze, ma grunt serca dobry, ale wiele słabości, bardzo skłonny do zepsucia, nie drażńcie, ale poprawiajcie.

Twój

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, w listopadzie 1819 r. (?))

O Jeżu, Jeżu!

Nie mogę, jakbym chciał, dziś obszernie bazgrać, bo mi czas został do pisania krótki. Jest godzina 10, a jeszcze do dwunastej mam list do domu napisać, jak żadasz odemnie na fałszywym fundamencie, jakobym raz tylko pisał do Nowogródka, a ja, którego potrzebą i żywiołem niejako jest pisanie listów, przesłałem już cztery i dziś piąty na Wasze ręce ekspedjuję. Przesłałbym więcej, alem czekał odpowiedzi, dotychczas napróżno. Niesłusznie wymawiasz „ta jakakolwiek korespondencja, którą z nami utrzymujesz“ — bo zdaje mi się, iż na mojem miejscu niktby częstszej utrzymywać nie mógł. Wy, mając nawet większą zręczność i będąc do mnie jak 10 do 1, bo Was jest więcej dziesięciu, a nawet s a m y c h jak 4 do 1, a przecież nie odebrałem od Was ani dziesięć ani cztery razy więcej listów. Wasza tedy korespondencja jest „jakakolwiek“, jeśli przecież damy tylko wzgląd na mnogość i grubość listów, w czem ja, zdaje się, wszystkich Was przeszedłem. Na próżno czekam robót Waszych, a przynajmniej Czeczota ballad, dum etc., Zana wierszy pod tytułem N. N. (nie wiem quo), na próżno czekam jambów.

Dla Was napisałem Elegję, ale „*misere flens*“. Prawdziwie stosuje się do niej i po polsku wytłumaczy się przez mi-

zernie. Zresztą wiedz, że u mnie wiele czasu uchodzi między napisaniem, skończeniem i czytaniem, więc chyba później prześlę. Demostenes nie idzie, jak potrzeba.

Byłem dwa czy trzy dni temu na koncercie. Grał na pantaleonie Renner w towarzystwie białego Reuta etc. na dobroczynność; zgromadzenie, jak na Kowno, było liczne. Mamy tu nawet od miesiąca teatr, raz byłem! Gdybym był weselszy, napisałbym, bo rzecz pocieszna. Cieszy mię mocno, żeś na ten przynajmniej rok spokojny, „*permitte divis cetera*“.

Może komuś z nas (pewnie mnie!) będzie lepiej... Ja tego rodzaju troskami nie gryzę się, mnie teraz, nie potem dręczy. Twoje teraz daleko, sam wyznać musisz, znośniej-sze! A moje potem coraz wydaje się czarniej. Nie bić się — trzeba cierpieć.

Byłem przez te dni mocno zmartwiony, i to było jedną z przyczyn, dla czegoś nie pisał, bo też nudno zawsze się skarżyć.

Zmartwienie bynajmniej nie pochodziło z rzeczy kowieńskich, czyli ściślej mówiąc, nauczycielskich. — To mię razi, że licząc szczęśliwe i chwile smutne w przeszłości, stosunku nawet między nimi ustanowić nie umiem, dla zbytnej nierówności. Bogdajby przyszłość lepszą była, a bardzo wątpliwe. Jutro od Was spodziewam się mieć listy i nakłnę, na-lając. jeśli nadzieję zawiedziecie.

A.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, w listopadzie 1819 r.)

Adam Józefowi Z. i P.

...Wszystko po dawnemu. To pierwsze doniesienie. Wszystko źle; toby wypadło z pierwszego samo przez się, ale ja tylko powiem: wszystko nie najlepiej. Nuda, maruda, ociążałość, ospałość etc. Stygnie ochota dawania pracowitego lekcyj, bo w klasach wyższych są głowy zupełnie zmużdżkie; zresztą sami profesorowie skarżą się, iż nigdy szkół tak ubogich w talenta nie mieli. Przecież męczymy się i dręczymy się.

Ja także klasyków czytam, w niemczyźnie znacznie postąpiłem, greczyzna leży odlogiem i podobno wywietrzeje. Wstyd mi, że dotąd Wam nic nie posłałem, ale na sumieniu nic nie mam, bo dalibóg nie mogę. Wyobraź sobie dzień dzisiejszy. Po obiedzie w klasach V i VI daję historję rzymską, prawo polityczne, historję polską, rosyjską, ekonomikę polityczną. Wszystko to odczytać. — Oj! te prawa: *horrendum!* i djabelskie historje.

Czy nie urodziłeś *quid metaphi(s)i*ci? O oryginalności, czy o kopji, czy etc. Przyślij mnie, proszę. O wasze roboty zaklinam. Na Boże Narodzenie spodziewam się być w Wilnie, lubo kasa tego nie lubi.

Z domu pisze Franciszek, iż z Rostockim przybędzie może na Boże Narodzenie??? do Wilna, toby konie przysłało. W liście z Nowogródka wyczytuję, że moje pisma doszły i bynajmniej za niedbalstwo nie jestem strofowany. Proszą mi, żebym Aleksandra do pisania przypędził, więc to plotki Aleksandra. — Wyczub go za to.

Uwagi twoje dotyczące się $\square$ uderzyły mi niepomahału. Wi-dzę, żeś na teoretyczne prace zagniewał się trochę zbyt. Bo powiedzieć nie można, żebyśmy tylko na papierze zrobili. Jak ten, ktoby wojsko do boju wyćwiczył, nie mógłby powiedzieć, iż tylko na placu musztry czegoś dokazał. — Była to nasza musztra, pokój nie dozwalał sił w polu okazywać, więc ćwiczyliśmy w zaciszu. Potem nastana wojny, jedne po drugiej; już może nastają. Nic innego zrobić nie mogliśmy, ani powiększyć liczby członków, ani pism więcej, bo, zdaje się, że toby się zrobiło, gdyby podobna była. Mielismyż próżnować? Ja zawsze mówię, żeśmy wiele zrobili i bogdaj zawsze w takim stosunku!

Zgadzam się, że działania muszą się teraz zmienić na praktyczne, że praktyką zmieni się teoria. A gdyby i z gruntu przetworzyć się miały układy, to sama wprawa, sama logika towarzyska, którąśmy doskonalili w pracy nad ustawami, warta i prze-warta! podjętej pracy. — Ciekawym mocno twoich myśli o dalszem postępowaniu; jak tylko się spapierują, niech się pieczętują i tu jadą. O moim planku względem podziału klubów, *quid?* czekam!

Jeśli co innego zrobiliście, donieście, jak poszło.

Żebym się nie obawiał zbyt o siebie a o sobie pisać, spacerować się zamknęły, stąd nuda powiększyła się znacznie, trzeba siedzieć w domu, myśleć, a nie wymyślać się dobrze.

Demostenes był słaby i co się zrobiło, to się dużo pokasowało. Kilka dni temu był moment trochę szczęśliwszy: napisałem pół arkusza w przeciagu może dwóch kwandransów. Ale zawsze wydaje mi się, żem znacznie sflaczał. I kiedy dawniej przeszłe roboty zawsze po jakimś czasie wydawały się blahemi, teraz wydają się być lepszymi od teraźniejszych.

A. M.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w połowie grudnia 1819 r.)

Janie!

Odebrałem Twój list pełen i wyrazów przyjacielskich i gorącej imaginacji. Czytałem, jak wszystkie Wasze z pociechą, i jak często Twoje, z czułem rozrzwiniem. Ucieszyłem się mocno, żeś zdrów zupełnie; szanuj się jednak i z domu nie wychodź. Choroba twoja okropnie mnie przeraziła. Jarosz mnie o niej doniósł, ale czy to ja nie znalazłem dostatecznego opisu, czy mi się tak upstrzyło, co podobniejsza, zdawało się, że coś przedemną utajono, że jesteś niebezpieczny. Właśnie przed tem doniesieniem umarł tu jeden z podobnej choroby, a kilku gwałtownie zapadło. Wszystkie te okoliczności tak mię obalamuciły, żem w nocy spać nie mógł, a zasnąwszy, przyśniło się, jakobyś Ty umarł; porwałem się, kazałem zapalić świecę i mówiłem pacierze (trwoga do Boga?), wybijałem sobie z głowy senne głupstwa, a w owych odurzeniach napisałem dwie króciutkie ballady; balladki dość mizerne; jedna dla mnie tylko zrozumiana, drugą poprawię, poodmieniam i Wam przeczytam na fecie Zanowej.

Na list Twój kiedyś obszerniej napiszę, ale teraz nie mogę zamilczeć. Prosiłem, abyś mnie ostrzegał, jeślibym w cz[em] zdawał się postępować niezgodnie z przyjaźnią naszą; ta prośba, że była szczerą, znasz mię, wierzyć powinienes. Pisziesz mnie o jakichś bojaźniach, przyznam się, dla mnie niebardzo jasnych. Cóż mogą być za bojaźni? ja chcę wiedzieć wszystko, co Ty o mnie myślisz, a choćbyś źle myślał, alboż to mnie nie ma obchodzić? A wreszcie, czyż ja nie mogę znaleźć w takowych przestrobach pożytecznych dla siebie nauk?

Twoje bojaźni pochodzą z jakiegoś fałszywego, a oddawna w Tobie dostrzeganego przekonania o mojej jakiejś wyższości.

Myślisz, że ja się pytam, jak o mnie myślisz, nie dla tego, żebym się czasem sam w uchybieniu poprawił, ale tylko, abym twój sposób myślenia poznawał i jak nauczyciel prostował; stąd lękasz się objawiać swoich myśli takiemu sędziemu raczej, niż przyjacielowi. Żle bardzo myślisz, kiedy tak myślisz. Skąd Tobie ta upstrzyła się wyższość, której ja w sobie nie widzę; nie dla tego, żebym był skromny, ale, że przecie nie jestem do tyła głupi, abym sobie, czego nie mam, przyznawał. Mój przyjacielu, u nas nie powinna być pycha, a zatem i skromność. Co kto o sobie myśli, niech gada. I te wyrazy: „mam od ciebie więcej talentu“, „umiem od ciebie lepiej“ — niecierpiąc na świecie, u nas uchodzić powinny. I bądź powien, żebym je Tobie powiedział, gdybym czuł ich prawdę. Nawetbym powinien był powiedzieć. — Ale źle znam siebie, mówić tak nie mogę do Ciebie. Nie skarzę się na przyrodzenie, iż mię bardzo upośledziło, kontent jestem z jego darów, które możeby w innych okolicznościach nie najświetniej, ale dosyć świetnie ukazać się mogły; — piszę do Ciebie, jak czuję, może fałszywie, ale tak czuję. Nie spostrzegam zaś w sobie ani talentów nadzwyczajnych, ani wyższych nad Twoje. — Piszę, jak czuję. — Chodziłem lat cztery na uniwersytet, a ty rok niecały, mam więcej erudycji, ale czyż to są... większe przymioty? Nie pisz nigdy tak do mnie, to jest nie myśl nigdy tak o mnie — nie nazywaj mnie lekarzem a siebie chorym bo gdybyś znał zupełnie serce moje (co niepodobna, bo ja sam znam niezupełnie), znalazłbyś tam wielkie plamy, i może pokazałbym się więcej od Ciebie chorym. W czem zdaje się błdzić, ostrzegaj, a ja Ciebie będę ostrzegał i obydwaj z tego korzystajmy.

Sekret, jeżeli chcesz tego, zachowam, Ty wzajemnie.

O fecie dla Zana projektowanej dowiesz się od Onufra.

Ad.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, w połowie grudnia 1819 r.)

Zanowi Z. i P.

Będzie tu krótko a węzłowato. Nie mam czasu. I Ty nie wart jesteś dłuższych listów. Bo naprzód Ty... nie, gdybym zaczął wyliczać, nie stałoby tej ćwiartki. Otóż będzie krótko a węzłowato:

1) mam być w Wilnie na środę. 2) mam zrobić maluśką fetkę. 3) na fecie trzeba jambów. 4) jamby i Tomasz są to dwie ilości zupełnie jednorodne. 5) masz tedy pisać jamby.

Ja i nie wiem, jak wystąpię, bo ośluzowaciała muza żadnych nie ma zapalów. — I choćbym coś zrobił, to Twojemu wyrównać nie może — masz tedy pisać jamby.

A zmiłujże się! a bójsież Pana Boga! a pisz! Bo cała uczta będzie milcząca! Prawda, że Ci już to pisanie dokuczyło — ale jesteś pocziwie Zaniątko. Uważ, co to będzie za fanaberja, kiedy niespodzianie naszym kolegom wyprawiemy A d a m o w e.

Materji we łbie Δ znajdzie się dosyć.

Pisz jamby jeszcze raz, inaczej ileż połajań, ileż kułakowań, ile pstryczkowań, ile różnych torturowań!

Jeśli nie napiszesz, odbierzesz mi pół przyjemności w Wilnie. — Powtarzam te zaklęcia, bo słyszałem, iż Twoje płyny ciągle warzą się, stąd musi być wołokita, stąd gawronienie. — Położywszy się pod koldrem, kochać chce się, a wylazłszy z pod koldra, do Zalki chce się — a stąd pisać nie chce się.

O tempora, o mores! wszak to po *Tabakierze* muza Twoja dotychczas bezdzietna — napróżno wyglądam Elegji, Dum, Hum! hum! To bardzo źle.

Był u mnie Kazimierz Długi. Pocziwy człowiek, tęgi filomat, szczere ma serce. O jakże mi było słodko z nim gawędzić! Jakże rozmowy jego są do kowieńskich niepodobne. — Wieczór ten był pierwszym aktem albo raczej prologiem do sceny mojego do was przybycia.

Przeczytawszy list, pójdź zaraz do pani Sipkowej albo Teresy, wypij kawy, pogładź w tył kędziory, palec w gębę, po... (*końca brak*).

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, d. 15 stycznia st. st. 1820 r.)

Z. i P.

Tydzień ledwie minął od mego przyjazdu, a wieleż to jeszcze do Wielkiejnocy, kiedy was znowu spodziewam się widzieć.

Tymczasem pisać i czytać listy. Aleście się w pierwszym tygodniu nie popisali, wszak nie mam nic a nic od Was. Spo-

dziewałem się przez Charewicza, ale ten do domu wrócił i jeszcze nic nie oznajmuje. Wyglądam jutrzejszej poczty. Ciekawości pełno, co się tam u Was dzieje. Dziewicy szpargał dobyłem, jedną pieśń przepiszę i na zasilek waszych posiadzeń wyprawię pod zęby Jaroszowe, chociaż wielka mizerja. Tłumaczenie jest z roku 1817 marca, a poprawiać niema czasu. Słowem, powróciwszy, cokolwiek czuję się zdolniejszym do pracy, chociaż mię *splin* jeden gwałtowny pozawczora napadł, jakiego nigdy nie doświadczałem. Jest to jakaś wewnętrzna choroba ciała albo jakieś jej początki. — Ale dosyć o splinach, którymi zawsze was nudzę... Mówilem Dozorcy, czemu do Rektora czego nie pisze, gdyż Jarosz mię ostrzegał, że pan Szymon temu się dziwił. Dozorca nie wie, co pisać. Przecież list wyprawił: podobno skarży się na gnuśnienie szkół, onegdaj na sesji mówił o tem, zachęcając nauczycieli do pracy i zapału; westchnawszy, rzekł: „A kiedy to człowiek nad siły brał, kiedy to usiłował, szły rzeczy inaczej!“ Zawsze myśli, że on niezmiernie wiele tej szkole blasku dodawał. Aczkolwiek bądź, o poprawieniu gnuśności ani myśleć, póki będą ciż sami nauczyciele. Żeby tam którego do licha na prefekta wysłano, a natomiast jakiego filomate, byłoby przednie, ale cóż robić?

Chciałem do Janka osobno pisać, ale, że materja nie wielka, może się i tutaj przyczepić. Szczerze myślę Dziewicę Darczanekę kiedyż tedyż skończyć. Mam ogrom tego, ale w wielu miejscach strasznie nawaleń robiono; smak nieustalony sadył się raz na rymy, drugi raz na wyrażenia etc. Wiele jeszcze zostało miejsc nietkniętych. Czy nie mógłby Janko sił zaprobować? Znosilibyśmy się wzajemnie i poprawiali. Zapewne się na to zgodzi; ja mu wykażę miejsca nietłumaczone, niech spróbuje, a jak znajdzie cokolwiek czasu, szpargały przepisywane posyłać będzie.

Wszystkim buzi...

Dnia 15 stycznia.

DO JANA CZECZOTA.

(Kowno, 15 stycznia (st. st.) 1820 r.)

Janowi I.

Janko!

Tak jestem wesół! — Przenieść nie mogę, żebym do Ciebie nie napisał. Chwila to zbyt dla mnie w Kownie rzadka.

Jeździłem na spacer, ale jaki spacer! Udaliśmy się kilku sankami o milę do folwarczku Charewicza. Ja siedziałem z piękną Kowalską i powoziłem ją przez pół drogi; prawda, żem nie wiele mówił, ale oczkiem często pod przekłety kapełusz zazierałem. Wysiedliśmy o wiorstę przed folwarkiem, gdyż wszyscy (prócz mnie i prefekta) byli Charewiczom nieznanymi. Ciekawy Waszych listów, biegnę z prefektem do Charewicza, odbieram paki, powracam do pięknej kompanki, którą w karczmie nie bez żalu porzucił, rozrywam, czytam. Tymczasem z sanek dobyto kawiane aparata, w sztucznych warzone imbrykach, alem ja na to nie patrzył. Nalewają, śmieją się, żartują, nie zapomnę dołożyć, żem dla niedostatku szklanek pił z jednej z Kow. filiżanki. — Wasze do połowy przeczytane listy, szczególny kontrast brudnego karczmiska z fetą, a najbardziej s... różne stowarzyszenia wyobrażeń i przypomnienia wprowiły mię w humor prawdziwie roman-sowy. Miano mnie za posępnego, a jam wewnątrz bawił się najmilej. Z żalem porzuciłem karczmę. Powracając, jadący przodem wywrócili się i wywrócili się — ja wjeżdżając do folwarczku prefekta (bo zajeżdżaliśmy), o płot do krwi bok zawadziłem, ale to nie skwaśiło humoru, owszem, aby nie trwożyć kompanji, zacząłem być nawet powierzchownie wesołym.

Powróciłem o 1/27. P. P. Kowalscy prosili na wieczerzę; nie — nie poszedłem, bo mam na jutro pisanie. — Siadłem pisać, nie jem nawet u siebie wieczerzy, jestem w stanie przyjemnym, opisuję Tobie wszystko, aby się ten stan na jakie pół godziny przedłużył. Ale już materja skończyła się, cóż więcej pisać? — Achów i niestetów wznawiać nie chcę.

Tak! nigdy już nie powiem i ach i niestety...

Jest to mała improwizacja. Nie wiedziałem, jak trafię do końca; trafiłem, masz triolet, bądź zdrow; pisz do mnie.

Twój Adam.

We czwartek, 15 — o godz. 9.

W niedzielę rano o 10 i 1/2 dnia.

Litowałbyś się nademną, gdybyś widział mię w piątek i sobotę chorego, smutnego, znużonego, słowem cierpiącego spliny okropne; dziś jestem wesoły, wstałem rano, pisałem *Dziwicę*. Teraz jadę z czwartkową kompanją do huty o mil 3, ale już nie w jednych sankach z Ko! Pełen jestem myśli dobrej i powróciwszy, napiszę wierszyk o hucie.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna 19 (31) stycznia 1820 r.)

Adam Jeżu Z. i P.

Poniedziałek o godz. 5 z rana.

Przecieram jeszcze oczy i z wielkiem ociąganiem się biorę pióro. Widzisz, jak rano kazałem się obudzić, ażebym ci odpisał; we czwartek dopiero listy wasze i książki doszły, ale czwartkowa przejazdka, a po niej list do Jana i pisanie na piątek czas zajęły. Niegodziwy piątek! Nie mam w nim chwili czasu, toż i sobota; wieczór, dla następującej niedzieli cokolwiek weselszy, poświęciłem pisaniu wiadomości naukowej z Hermesa. Niedziela — nadspodziewana jazda w milej kompanji do huty cały dzień zjadła i powróciłem wesoły, ale trochę niespokojny, spać długo nie mogłem! Dziś wstaję rano, bo po lekcjach rannych czasu nie będzie. — Masz tedy sprawozdanie od czwartku. Jasno widzisz, iż ci dobrze nie będę mógł odpisać... Zły jestem na Jarosza za jego żarciki.

Uważam zawsze żarciki za najstraszniejsze razy w Towarzystwie, gdyż chcąc śmiać się, wieleby zapewne wyśmiewać można form lub ustaw, które lubo potrzebne, mogą jednak łatwo przekręcić się i ze śmiesznej strony być uważane. Strzeżmy się najbardziej tego. Nasz przykład najgorsze skutki pociągnie..

O czasie moim, o etc. i etc. odkładam do przyszłych listów. — To pewna, iż jeślibym się jeszcze na rok albo na dwa został — *Requiem aeternam!* i w samej rzeczy, żyć, jak ja teraz żyję — dalibóg! nie wielka wygrana!

A.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w końcu stycznia lub w lutym 1820 r.)

Janko!

Zdaje się, że już dawno pisałem do Ciebie, ale ten tydzień wcale był nie do pisania. Po wyjeździe naszych przybył Franciszek, a stąd ciągnęła gawędka; wszystkie okoliczności

filomatów opowiadane ledwie mi dały czas list Twój ostatni przeczytać; teraz znowu Nowogródek i Ruta na placu. Słyszałem, że miałeś zamiar ruszyć z Franciszkiem. O przekłętą maso! Cóż robić? z większym apetytem uściśniemy się na Wielkanoc; zresztą siedzieć w Kownie byłoby Ci nudno, bo trzeba ciągle między ścianami zamkniętymi dyszeć; nie ma znajomych, nie ma żadnego zatrudnienia, jedna tylko gawędka ze mną, a i ta więcejby mnie słuchającego, niż Ciebie wiadome opisującego rzeczy interesowała. O, daleko lepiej w Wilnie! — Co do Twoich uczonych komentacyj na Kowalską, pokazałeś nie mały talent i godzien jesteś biretu z przegryzionych od mola pergaminów. Nie miałem zamiaru tajemnia Wam nazwiska, ale myślałem, że Wam tak dobrze, jak mnie, wiadome. Zresztą komentacja cokolwiek chybiła; nie jest to na nieszczęście żadna Kownianka, ani też panna kuzynka pana Kow., ale na nieszczęście drugie pani Kow., a na trzecie nieszczęście bardzo ładna, a przynajmniej w moich oczach.

Zrobiłem postrzeżenie, ściągające się do Zańskiej teorii; zapomniałem powiedzieć, chciej mu je zakomunikować: Promionki mają wielką z ciepłikiem spójność. Nigdy na mnie Kowalska nie zrobiła wielkiego wrażenia, aż do czasu, kiedym ją spostrzegł dmuchającą na żar pod imbrykiem kawianym. Skądże to? Rumieniec, a raczej żarzeniec zbyt ni na twarzy. delikatnemu oku zdawałby się niesentymentalny, nie bardzo ujmujący, mnie zaś ukazał w jej osobie anioła, Wenere etc. etc. Słowem, postanowiłem nie być u Kow. całe dwa miesiące. Jak nic, pewnie tu ciepłik wydobył promionki. Tomasz niech na to da tłumaczenie.

Huta już ostygła, romansowe ognie zwietrzały, miałem uciąć Szylerowską balladę, ale z tem na potem. Tobiebym radził spróbować, jeśliś widział hutę!

Uciałem był do Ciebie półarkuszową odę, wróciwszy z huty, ale ta między szpargały zawieruszyła się. Masz wierszyk. w którym tyle sensu, ile teraz w mojej głowie, dlatego kończę. Krytykuj Orleankę i prześlij mnie krytykę. Zmartwiła mnie twoja rekuza, przypomniałem jamb Zański:

„... wszak zawsze lepiej,

Kiedy się jednej dziewki dwóch zuchów uczepli.

Robota poszłaby prędzej. Namysł się. Nie tak djabeł straszny, jak go malują. Ręcę, że Twoje tłumaczenie jeśli nie lepsze, równe będzie mojemu. Nie idzie tu o ścisłość nie-

miecką, do której ja wielką przywiązywałem niegdys wagę. Trzebaby chyba to, co Wolter za wieczór napisał, cały rok przetwarzać, a i tak lampą robota pachnąć musi. Tłumaczyłbyś wolniej (ja sam tak myślę), aby tylko została się żywość Woltera, naturalność i dowcip. Ileż to złych rymów, niezgrabnych wierszy w Węgierskim, a przecież czytamy go ze smakiem. Chwalono tu mocno Twoje elegje; przyślij mnie proszę razem z Bekieszą.

Ada.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, dnia 8 kwietnia 1820 r.)

Kowno, dnia 8 kwietnia.

Ledwie dni kilka, jakem przybył do Kowna, nie wiele tedy do pisania materji; cieszę się wszakże, iż, jeśli nic radosnego, nic także i smutnego nie doniosę. Zaraz po przejechaniu dwóch stacyj uczułem wielką ulgę i przekłętę cynan-chy już mi języka uwolniły, a przyjechawszy do Kowna, znalazłem się zupełnie zdrowy; z wielkim apetytem zjadłem kawał sera Balbianiego i kilka osuszków, bom przyjechał po wieczery. Nazajutrz gardło zupełnie wolne, apetyt dobry, myśl nawet wesoła. Zdaje się, że Fawonjusz został się w Wilnie, gdyż z ochotą wziąłem się do czytania i pisania. Może to jest skutek samotności, pobudzającej imaginację. Że te doniesienia są prawdziwe, świadczy bliźiutki końca *Tukaj* (dziś skończy się) i skończone tłumaczenie baładki Szylera *Handschuh*. Posłałbym ją dzisiaj jeszcze, ale nie uchwyćę przepisać, a do tego mam na głowie kwestję, bo jutro egzamin. Nie zaglądałem jeszcze w rozprawę, ale czuję się po siłach, iż ją prędko z karku zbędę; ażeby uniknąć wielkich krzyków Dobrowolskiego, powiedziałem, że rozprawa już oddana.

Mój Jeżu, gdybyś był teraz w Kownie! Wilja ogromnie załala błonie, okopy stoją w środku na kształt wysep. Kilkadziesiąt batów pruskich, kilka wicin i strugów z napiętymi żaglami pływa ciągle.

Gdybyś słyszał klarynety, skrzypce i śpiewy niemieckie flisów, pijących na pokładzie piwo! Jest w tych przeciągłych śpiewach coś bardzo przyjemnego; przywodzą mi na pamięć śpiew korsarzów w Byronie.

Miałem nazajutrz po przyjeździe straszny, ale nieszkodliwy przypadek. Jeździliśmy na słomki. Balbiani konno hasając zwał kilka razy kapelusz w błoto. Zaprosił mię tedy na rumaka. Szalony Rosynant, męcząc mię długo w różnych szprynglach, spał się nareszcie na tylne łapy i zwał się na wznak na mnie. Szczęściem przewidując wyciągnąłem nogi z strzemion i uskoczyłem w bok, inaczej końby mi piersi rozcisnął, a teraz skończyło się na lekkim szarpnieniu bokiem siodła. Coś mi się tu nie udają spacery.

Uściśnij wszystkich braci i donieś o Dziewiątkowiczu.

A. Mickiewicz.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, w końcu kwietnia 1820 r.)

Józefowi Staremu Z. i P.

Ledwie zmusiłem siebie do pióra i papieru, takem zmęczony pisaniem od rana seksternów i odbyciem lekcyj. O wiele miałbym się pytać, na wiele odpowiadać; nie wiem, czy mi się i to i drugie uda, bo tylko trzy kwadranse czasu. Podobno też Jan I., Jarosz i Onufr, do których mam interesa, zostaną bez listów. Ciebie naprzód mam odbyć. Zapewne nie czytaliście mego listu poprzedzającego, w którym doniosłem o zupełnem od cynanchów uwolnieniu się, gdyż mię o stan zdrowia zapytujesz, a Jan powiada, że nic o mnie nie wie. Cożkolwiek bądź, od wyjazdu Balbianiego zaczęło się życie znowu pracowite, chociaż niema czego na dowód przytoczyć, gdyż muzy bardzo mało czasu pozwolonego sobie mają. Piszę znowu seksterna i męcę się nimi do ostatka; jeszcze mi zostaje niemało do końca tego miesiąca, gdyż przyszyły na powtarzanie obróć.

Wstaję prawie zawsze o czwartej — *credite posteri!* a dalszobóg czasem przed czwartą; a kawę piję zaraz po piątej. Ranek zajęty pisaniem seksternów, ćwiczeniem się w niemieczyźnie z Szadego, niekiedy baladkami. Jarosz złoczyńca nie wierzy w egzystencję *Tukaja*, chciałbym go rzucić mu w oczy i miałem razem z *Rękawiczką* wyprawić, ale Nartowski przepisywania czekać nie chciał. N. B. *Tukaj* rozdzielił się na dwie. Ballada pierwsza już gotowa, bardzo krótka, druga może się jeszcze znowu podzieli. Ciekawy jestem, jak się to

wszystko wyda. Chociaż, mówiąc po prawdzie, ta ballada nie udała mi się wcale, i boję się samej posyłać; mam w sukurs inną pod tytułem *Lilja*, ale tej końca brakuje. Wszakże może pierwszą część *Tukaja* wysłę, jeśli wlezie do listu. Zdrów jestem arcyprzednie, chociaż w gardle doświadczam suchości, ale ta mię bynajmniej nie obchodzi. Zwiedzam czarujące okolice Kowna. Onegdaj byliśmy w folwarku Dobrowolskiego. Była tam i Kowalska. Nie był to spacer jak niegdyś roman-sowy, wszakże do 50⁰ na erometrze dochodziło — i bawiło się nieźle.

Dziękuję Tobie za lakoniczne doniesienie: „Związki pomnażają się”. Jakie? czy co do liczby związków? czy osób? jakimi sposobami? Projekt o związku Tomasza naturalistów arcyzbawienny. Chciałbym tylko, aby i zwierzątka i motyle i ptaki litewskie zbierano dla utworzenia gabinetu historii naturalnej litewskiej. Każdy niechby dołączył przy ofiaro-wanym egzemplarzu jego opisanie, co o nim słyszał, co czytał i co sam spostrzegł — gdyż wielu, zwłaszcza owadów, nie znamy, o innych fałszywie wiemy. Ja zacząłem już kolekcję. Złowiłem żywego węża i chowam u siebie. Nikt tu nie wie, czy ten wąż kąsa czy nie! Złowiłem też rzadkiego motyla nocnego etc.

.

Onufr mnie doniósł, iż uchwaliliście nagrody dla tutej-szej szkoły.

Z tego, jako i z innych wiadomości jasno można zrozu-mieć, jak wszyscy są gorliwi, gdy przy takich niedostatkach, co mogą, awansują. Rozkład cały nagrody zda się być dobry. Chciałbym tylko śpiewy Niemcewicza w piątej, a Karpińskie-go w czwartej. Jeżeliście napisali do Warszawy, wątpię, żeby to mogło prędko przyjść do skutku; należy jednak zawczasu przysłać, bo szkoła odnieść się musi do Uniwersytetu, aby pozwolił rozdać te nagrody w imieniu wyższej zwierzchności. Przy posyłce napisać list do prefekta, nic o mnie nie wspo-minając, ani dając do zrozumienia. W ogólności wystawićby może należało pożytki z zachęcenia młodzieży pokrótce i pochwalić gorliwość dozorczy i zgromadzenia, która gorliwość niby dała powód niniejszemu przesłaniu nagród. Ale to wszystko najkrócej, naprzykład na stronicy ćwiartki. Po wy-mienieniu dla każdej klasy nagrody, zostawić resztę zgro-madzeniu. Nie zawadziłoby też dołożyć, iż księgi posyłają się polskie jedynie. Toby dało wymówkę, dlaczego nic niema

z fizyki np. lub matematyki. Niechby się także zostawiła na przyszłość nadzieja przesyłania podobnego nagród. Na podpisie czyby nie można umieścić: Uczniowie Uniwersytetu Wileńskiego.

Zresztą sami to zrobicie, jak chcecie. Pierwej jednak adres mnie przyslijcie do przeczytania.

Adam Mick

DO JANA CZECZOTA i TOMASZA ZANA.

(Z Kowna w maju 1820 r.)

Janowi Adam Z. i P.

Zawiniłem Tobie mocno, kochany Janie! Przybierałem się długo, zaledwie dziś przybrałem się dostatecznie, a i to nie w najlepszej porze! gdyż teraz bije kwadrans na 11, a do drugiej mam pół arkusza seksterna na lekcję napisać! Miałem wprowadzić pierwaj czas wolny, ale sposobem Adamowym, a podobno i Janowym, a tylko nie Wiwlasowym odkładając wszystko na koniec, aż do dziś dnia nie zrobiono. Są wprowadzić liczne na podorędziu wymówki. Blisko tygodnia cierpiałem na ząb srodze, kilka bezsennych nocy i dni nieznośnych zmusiły mię do okropnej operacji wyrwania tego uprzykrzenia. Aż mię dreszcz przechodzi, ilekroć wspomnę na owe łamanie i skrzypienie i wleczenie dwucalowego korzenia i płynienie krwi itd. Działo się w sobotę, niedziela była dniem świętym. Zdrow wstałem podług zwyczaju (od dwóch tygodni) o czwartej i na koniu Maurycego Prozora, który był w Kownie, ruszyłem spacerem w zachwaloną dolinę o wiorst kilka za miastem. Trudno sobie coś rozkoszniejszego wymyślić, a niepodobna widzieć, przynajmniej w Litwie. Ogromne góry, ciągnące się zakrętami na pół mili blisko, środkiem zielona dolina rozmaicie wylamana, ale zawsze równa, raz wąska, drugi raz szersza, pełna kwiatów, przerznięta małą rzeczką. Słońce było wprost przeciwko mnie, ale góry cień czyniły i posuwając się wąwozem to jedna, to druga strona od promieni zieleniła się przyjemnie, a środek zawsze był w cieniu. Dodaj jeszcze, że te góry są okryte lasem najpiękniejszym w kształcie ogromnych kłębów. Drzewa kilkudziesięcioletnie albo dla okrągłości mówiąc, stuletnie, gęsto splecione, jarzębina, czeremcha biała, jodły ciemne z długimi warkoczami,

brzozy w kolumny i piętra wyniesione — najrozkoszniejszy widok — a ranek — śpiewania ptasząt — szmer wody — coś jeszcze przydam miłszego: oto idące dolinką z koszykami Litwinki na targ do Kowna, najczęściej po osobnie. Sypałem do nich triolety, wpałyrywałem się; nieszczęściem, czy szczęściem, mało było ludzkich twarzy.

Koń niespokojny i powaga profesorska! Spacer trwał trzy godziny. Kochany Janie! gdybyście namyślili się przybyć w czasie Zielonych świątek. Za całe przyjęcie miałbym tylko dla Was uściśnienie i pokazanie tej doliny. Wszakże z tego bylibyście radzi. Wojaż piechotny mało podobny do prawdy; jeśliby można jak się zabrać *notabene* wszystkim, albo większej liczbie na furmanki, prędzejbym Was obaczył i Wam łatwiejby było. Co do mnie, postanowiłem nie jechać na Zielone Świątki, bo rozprawę ledwo przed kilku dniami wziąłem do rąk i tak prędko skończyć jej nie potrafię. Próżno zaś włóczyć się nie wypada i finanse nie pozwalają — (ob. na końcu artykuł o finansach). Z tych opisów wniesiesz łatwo, że teraz jestem cokolwiek weselszy; jakoż łatwiej mi prace idą, ale zawsze prace nudne: pisanie seksternów. — Balladę mam jedną gotową: *Rozstanie*.

Jeszcze jedno doniesienie, chociaż nie całkiem literackie. Poznałem pannę W. dwa dni temu; ma lat około ośmnastu, ale zdaje się mniej, nieszpeta, roztropna, mówi po francusku i niemiecku — gra i śpiewa nieosobliwie — i posagu 20 tysięcy. Już swatają mię serjo; odebrałem listek od znajomego mnie obywatela, ażebym jechał z jego rekomendacją do pana sędziego, ten mnie zapozna z panią N. ciotką, a ta ma perswazję u pani matki panny W. Otóż wyobraź sobie owego Adama, zabierającego się do formalnych konkurów — jeżdżącego po szlachcie — *mille diables!* albo po prostu: do stu djabłów! — A ballady, a granice i zagranice — a filomacja, a kluby, są to prógi, przez które trudno przeskoczyć. Nic nie odpowiedziałem na swatowstwa — widuję się z panną W. i mówię sobie w duchu: „Nie wódz nas na pokuszenie i zbaw nas od tego, choć nie złego, amen!”

Należne Tobie ruble dawno gotowe; jeśli masz zaraz odsyłać, będziesz je miał prędko, jeśli niekoniecznie potrzebne, odróczę część na sprawienie spodeń letnich, butów etc., a z przyszłego miesiąca odłożę. Oprócz tych dwudziestu jednego rubli i czterech Jeżowskiego, mam tylko ośm w przyszłym miesiącu, za to: spodnie — przyszwyy — kapelusz —

droga. Ale za to wolna na rok przyszły pensja, przyznać tedy trzeba, że nieźle finanse pokierował.

A. M.

Panna W. ma na pierwsze wejrzenie 78—90; różne moje uwagi i przypomnienia spychają na 45°.

Tomaszowi Z. P. i pocałowanie promieniste. Musisz przestać na małym dodatku, bo pisać nie mam ochoty i czasu na osobne listy. Słyszałem o wielkich baldachimach i wielkich czynach i głupio zaśpiewanej: *Hej radością* etc. Aleś Ty sam nie opisał mnie całego posiedzenia, czyli raczej pochodzenia promienistego, nie przysłał *pacierza*, słowem milczysz. Czyś spolaniony czyś bardzo rozpromieniony? Nowego także nic w wydziale II ani darowanego, ani oddanego nie słyhać. Wstydz się, panie Tomasz! wyleź-że z tej próżniaczej skóry, niech też choć raz w rok łeb trójkątaty na Parnasie błysnie! — Ja rzucam się, jak mogę, a że się nic dobrze nie udaje, coraz za nowe chwytam się gatunki. Wlazłem w ballady; Tyś miał mnie pomagać, ale pono ugrząźnionego w błocie zostawisz i ucieczesz.

Słyszałem, że otworzyliście kursa. Ach czemuż mnie tam niema?! Siedzę tu nad niemczyzną i męcę srodze Szadego. Bawię się też lepiej jak zimą, bo zima była tylko czas przeszły dokonany i przyszły niedokonany; obadwa smutne, teraz jest także czas teraźniejszy. Daruj, że używam gramatycznych wyrażen, bo gramatykę mam przed oczyma. Zimą między czterma murami myślałem tylko i smuciłem się, teraz na świat patrząc, cokolwiek się biedy zapomina.

Proszę się jak najniżej WJPanu Ignacemu Zanowi, ła skawemu dobrodziejowi, ukłonić i zapytać, czemu nigdy nie raczy uczcić mnie kilku słówkami, pamiętając na dawną między nami zażyłość i przyjaźń. (Mówiąc między nami słyszałem, że znalazł bardzo drogi diament).

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, około 18 maja 1820 r.)

Tomaszowi Adam Z. i P.

Tak zawsze robi, kto się chwytą i czyja głowa wielu rzeczami nabita, jak ja zrobiłem. Zdarzy się jaka potrzeba, siadam pisać i owej potrzeby nie zapiszę, albo przypadkowo

gdzie na kartce wsunę — ale najczęściej nie zapiszę. W dodatku do Janowego listu miałem Ci donieść, że Budziłowicz mówił o pensji Deybelów. W liście miałem uwiadomić, jak poszły egzamina; może i jednego i drugiemu nie uczynił. Owoż dowiedźcie się, iż nadspodziewanie dobrze mi się udało. Uczniowie odpowiadali śmiało, a co najbardziej Budziłowicza zadziwiło i co przyznał, że pierwszy raz widzi, nie przywiązali się do słów gramatyki lub pisma i tłumaczyli się po swojemu zawsze zrozumiale. W klasach wyższych przeszedłem wiele i to Budziłowicz pochwalił, słuchał ciekawie o poezji, o szczególnych gatunkach, o wymowie naradnej etc.; słowem, nic nigdzie nie zganił, oprócz ekonomiki politycznej, którą, jak oświadczył, niepotrzebnie dawałem, jako niepotrzebną i na nic nie przydatną.

U stołu, gdzieśmy we trzech, ja, Dobrowolski i on, jadali, były dysputy częste, rozmaicie prowadzone; wpadliśmy też na pensjony. Oświadczył, iż najlepszy jest Deybellów, a kiedyś, niby nie wiedząc, zapytywał o szczegółach: „Jak to? czyż WPan nie wiesz? wszakże tam Zan i Łoziński, a WPanowie z sobą tam w różnych jakichsiś Towarzystwach, kon-szachtach“.

Umilkłem. Wymawiałem się, niby nie rozumiejąc: „Prawda, że żyliśmy w przyjaźni, ale mi się nie przyszło o pensjonie zapytać“. „Przednie wszystko, tchi! przednie — Zan ten, to jest przedni człowiek, tchi! — jak pięknie tam wszystko“. Oto masz własne słowa Budziłowicza: „Już piszemy — ciągnął dalej — projekt układu pensjonów na wzór Deybellów, bo to będzie pensjon wzorowy i podług niego inne mają się urządzać!“ Wiwat filomacja! krzyknąłem w duchu!

Owóż Tomaszu, nie próżna jest praca nasza, Bóg daje pomnożenie oczywiste; uskarżałeś się, że to jest kropla w porównaniu do całości liczby. Nie wierz, ujrzysz wszystkie pensjony podług tego zorganizowane i jeśli tam się nasi wkreca, ufilomatyzowane. — O Szeroku mówił: „Tchi, umie dobrze matematykę, gdyby gdzie w gimnazjum dawał, ale na pensjonie chce wszystkiego nauczyć głęboko“. Księża także, jak uważałem, nie bardzo lubi. Ale, ale! już się rozjechałem, znowu interes na koniec zostawiam, tym interesem są promionki.

„A któż się mógł spodziewać, kto na dal przenikać,
Że kiedyś całe Wilno będzie nos zatykać“.

Dobrze się stało, ale niebardzo temu wierzę, co wszyscy piszecie, iż z tego można coś wielkiego zrobić. Że było 45, nic

ciekawego, bo znam ciekawość miejskich próżniaków, na drugiem pochodzeniu będzie zapewne 60, ale na trzeciem wątpię, żeby się znalazło 20, jeżeli zbieranina będzie bez pewnego celu. Myślałem o tem celu długo; — com umyślił, piszę. Onufr zamyślał o podziałach, ale nie powiedział o ich potrzebie i o ich urzędnikach; ale nie pisze, co oni robić mają. Plan Onufra przywiódł mi na myśl sławną Rzeczpospolitę Babińską, gdzie urzędy rozdawano dla poprawienia i tak: kto był pijanicą, dostał podczaszowstwo, kto złodziejem, podskarbstwo etc. Czyby nie można coś nakształt tego w delikatniejszym i towarzyskim sposobie utworzyć, poprawiać młóódź, wzwyżczając do szczerości, prostoty, wytępiać miłość własną etc. Ja do tego wykoncypowałem takóóó osnowę.

Naprzóód Towarzystwo to, czy kompanja, czy, jak chcecie, nazywajcie, będzie miało tytuł *Świat i Miłość* i nie bez przyczyny, jak nióóej obaczyć. Są to niby dwie klasy. *Światowi* niech się uczą postępowania filomackiego zewnąóóó, jako to: przyjaciółstwa, prostoty etc. *Miłość* zaś będzie obejmowała doskonalenie uczuć bezinteresowności, miłości estetycznej, lióóóci, przywiązania do ojczyzny etc., ale o tem jeszcze nióóej. Ułóóółem treść przemowy, którą do nich masz powiedzić, i w której są zawarte ustawy. Móóesz tę przemowę na artykuły rozbić, ale mi się nie zdaje, lepiej napisz wierszem jambicznym i niech ten jamb słuóóy razem za kodeks.

.

Móóznaby jeszcze o tem pisać, ale zostawiam na potem. Śpieszę, aby przed schadzką Zielonoświątkową list mój doszedł.

Nie óóczyłbym jednak tak prędko schadzki czynić. — Donieś mi natychmiast, czy przyjmiecie plan, który podałem, czy macie inny gotowy. Z szubrastwem łaczyć się nie óóczę, bo potem zaczną nas za łby wodzić i na swój kopyt przebiją.

Jak tylko mnie doniesiesz o planie, który przyjąłóócie, prześlę dalsze uwagi. Jeśli ten zatwierdzicie, napiszę Wam o *Miłości* i razem wytłumaczę jaśniej; jeśli czego w tym liście nie móóżna będzie zrozumieć, musicie temu wybaczać. Dalibóó czasu nie mam wolnego, od godziny trzeciej rannej piszę: razem się i myśli i bazgra, chaos okropny. Juóó mi się óómi w oczach, godzina 7, kawy nie piłem. Wstaję, ziewam i pociągám się uaaa!

A o zielono-świętnem do Kowna przybyciu? ani pst! myśli już o czem innem. Bójcie się Boga, wszak jeszcze 6 tygodni do świętego Piotra.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, czerwiec 1820 r.)

Kochany Józefie!

Dawno już miałem listy od Was, a dawniej jeszcze do Was pisałem, lubo mnie już tyle razy tęsknica do pióra zapędzała. Wstrzymywałem się, bom przez ten cały czas był smutny i niespokojny. Pełnoby się napisało dziwactw i niezrozumiałości; czekałem więc zimnej krwi. Dziś nie idę na lekcje; choć kilka stroniczek zapiszę. Przekłeta tak długa niepogoda zaszkodziła mnie najwięcej; przymuszony zamknąć się między cztery ściany i wszystkie myśli wepchnąć w samego siebie, rozruszałem wszystkie już cokolwiek zagojone dolegliwości, co zdrowie nadpsuło. Mam się teraz cokolwiek lepiej; gardło jednak i piersi mocno bołą. Kowalski zakazał mi chodzić do szkoły; jakoż ledwie głośniejsz kilkanaście wyrazów przemówić mogę, natychmiast zmorduję się i w piersiach czuję klucie. Nie wiem, czy będę mógł dawać lekcje i egzaminować uczniów. Tak tedy, przebywszy tyle, kiedym już portu dojeżdżał, kilku tych tygodni dokończyć nie mogę. Łatwo czujesz, jak mię cieszy zbliżenie się końca roku szkolnego. Obaczę Was wszystkich, a chociaż truje tę wczesną radość zły stan zdrowia, który jeśli się nie poprawi, cała wakacja straci dla mnie przyjemność, wszelako milej z Wami, aniżeli w tem przekletem Kownie, które mię już tyle kosztuje.

Wyczytałem z listów Franciszka, iż mi się spodziewać nie należy, abym się mógł wyrwać; przewidywałem to, jednakże nie mogłem znieść zimnem sercem tego doniesienia. Jakie stąd myśli smucące i cieszące, jakie zamiary, postanowienia, tego nie przypomnę sobie nawet, nietylko, żebym mógł spisać. To pewna, że jeżeli będę musiał zostać w Kownie na zawsze, trzeba mi jąć się czegoś innego, bo tak, jak teraz, nie mogę dłużej wytrzymać.

Niema od Was nic już dwie poczty, jutro być musi, tak się przynajmniej spodziewam. Ciekawy bardzo, jak też idą

rzeczy z promienistymi, filaretami etc. Ha, jeżeli mi gardło zabroni o tem się nagadać z wami, — czyż to myśl nie smutna?

Przeraziło mię doniesienie o Dziwiątkowiczu; wart był być filomata! Pamiętam jego słowa na posiedzeniu w czasie Bożego Narodzenia. Przysięgał gorliwość podwoić, kiedy my zwłaszcza nie stygniemy. Jego ofiara przed śmiercią na bibliotekę piękny dała przykład — z drugiej strony pogrzeb, składka, przytomność licznych studentów dowodzą najlepiej, że się duch towarzyski silnie wyrabia.

Już mi wstyd, a razem gniew bierze, że dotychczas nie odesłałem za frak pieniędzy. Wydane w czasie choroby kilkanaście rubli przewróciły kalkulację. Prefekt pożycz mi, ale sam teraz nie ma, dlatego czekać muszę. Moje przeznaczenie, którego nigdy nie zwalczę, jest robić długi, na termin nie oddać, choćbym najlepiej wyrachował; odbierać od wszystkich łaski, a nikomu nic nigdy nie zrobić dobrego. Żeby temu wszystkiemu zaradzić, już mi głowy nie staje — i dalibóg, że nie moja wina. — Jest jednak wina: oto się nigdy na żadne nie spuszczać kalkulacje, i to tylko, co jest, wydawać. Koniec końcem Jan musi wybaczyć i czekać.

Jakżeby dobrze było, gdyby z Was który, Ty na przykład, mógł tygodniem przed świętym Piotrem przyjechać do Kowna; zabrałbyś się z następczoną odemnie okazją, odjechałbyś ze mną — zastąpił mnie i wysłuchiwał egzamina. Odpisz, czy to być może i jak prędko?

Dziś rano, leżąc w łóżku, tłumaczyłem Szylera wierszyk i tu dołączam. NB. Szyler jest od dawna jedyną i najmiłą lekturą. O tragedji Räuber nie umiem pisać.

Żadna ani zrobiła, ani robi na mnie tyle wrażenia. — Trzeba tam ciągle być to w niebie to w piekle; nie masz środka. A szczególnie obrazy, myśli, sposób tłumaczenia się. — Już boję się wspominać o Demostenesie.

Światło i ciepło (z Szylera).

Napisz do mnie, czyś zrozumiał myśl piękną autora w tem tłumaczeniu.

Jużbym i tak wiele wygrał; bo też Szylera tłumaczenie jest niezmiernie trudne. Zabieram się do boskiego wierszyka *Resignation*, ale nie wiem, czy co dokażę.

A. M.

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA.

(Z Kowna, czerwiec 1820 r.)

Nufrowi — Z. i P.

Rzadka między nami korespondencja i teraz potrzeba zmusza do niej, krótko i węzłowato, bo nie mam czasu.

Następuje egzamin u nas: mój kołnierz nie wyszyty, co jakkolwiek jest rzeczą małą, nieprzyzwoitą jednak. Powiedz odemnie krawcowi, który frak robił, aby, jeśli można, przysłał, a ja mu zapłacę. NB., aż we wrześniu — zresztą sam się z nim w czasie wakacji obaczę i pomówię. Nie chciałbym z góry długu robić, ale kiedyż tedyż trzeba kołnierza. Zechcesz więc prędko dowiedzieć się i mnie odpisać, bo egzamina tuż.

Janowi powiedz, że pieniądze sam chyba odwiozę, bo prefekt nie może mi wprzód pożyczyć, jak po otwarciu kasy i nie tak pożyczyć, jak raczej część opłaty stołowej za rok przyszły zawiesić. Tak mimo całej ekonomiki nie wykręcę się bez długu. Bądź zdrow! czekam we wtorek przyszły kołnierza lub odpisu.

Myślisz o Warszawie. Muszę Cię jednak widzieć na św. Piotr. Nigdzie wcześniej nie wyjeżdżaj, i drugich nie puszczaj do 2. Uczta dla Jeża podobno spełźnie na niczem.

Czyby nie mógł Jan II przysłać mi spodni białych? Sam je na św. Piotr odwiozę.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

(Z Kowna, w połowie czerwca 1820 r.)

Kochany Jaroszu!

Wszak to jest przedostatni list z Kowna. O, jakże długo wleką się dwa ostatnie tygodnie. Oderwałem się od nudnej pracy poprawiania stu egzemplarzy kwestyj, a mam jeszcze na karku napisanie mówek dla uczniów, w których niema czego mówić. Piersi moje po dręczących wezykatorjach odeszły; gardło pod wezykatorjami brzęknęło tak, że ledwie ślinę przełknąć mogę; jest jednak nadzieja, że będę się miał lepiej. Na egzamen jednak przygotowanej perory nie wyaplauduję,

bo i czasu nie mam i w jednym dniu ma się wszystko odbyć, a zatem w nawale egzaminu obywatele znudzeni (jeśli będą jacy) słuchać nie zechcą.

Zrobił się tu projekt wywiezienia mnie do wód morskich; zdrowiu jednak według zdania Kowalskiego te kąpiele nie pomogą. Wszakże, ponieważ droga bez kosztu i w dobrej kompanji, a przytem obaczyć Mitawę, Memel, a może Królewiec, jeśli ta droga nie zajmie nad dwa tygodnie wakacji, chciałbym ją odbyć. Nie! — Teraz właśnie, kiedym list zaczął pisać i Was i Nowogródek przypomniat, zmienia się postanowienie. Nie mogę jechać na dwa tygodnie po św. Piotrze, gdzieżbym Was potem razem obaczył?

Trudno jednak, a prawie niepodobna znajdować się na posiedzeniu powszechnem. Egzamin musi odbyć się nazajutrz po św. Piotrze. Kiedyśmy przekładali Budziłowiczowi, iż lepiej na św. Piotra, odpowiedział: „Nazajutrz zostaje dzień wolny, którego opuszczać nie godzi się“ — a na przełożenie nasze, iż poświęcamy za to wolny dzień świąteczny, nic nie odpowiedział. „Taka wola uniwersytetu, macie WPanowie na piśmie zalecenie“. Prawda i w tem zaleceniu stoi, że egzamin koniecznie powinien być 30. Może jednak posiedzenie odłożyć się na drugiego, tak mógłbym zdążyć.

Przybył tu niedawno doktor Kosztulski z Wilna, mówił o promienistości, o należących do niej: Korsakowie i Ogińskim, dodał, że piękny zamiar, „ale na co promieniści oświadczają się głośno ojczyznę z kajdan ratować? To wszystkich przeraziło“. Widzicie, jak trzeba ostrożnie.

Jeszcze o promienistych. Chciałby rektor Zanowi zakazać zwoływania, promieniści niech się sami zgromadzą i Zana wezwą, poczem ułożyć adres do rektora i wysłać kilku z podpisami wszystkich. W adresie wyrazić, iż brak zabaw akademickich naraża młodzież na zabawy nieuczciwe, że zatem dobrze byłoby utworzyć powszechną zabawę, połączoną z nauką, jako to czytaniem, deklamowaniem etc.

Wyrazić, że do takiej zabawy przypuszczani być tylko mogą ludzie dobrych obyczajów za zgodą powszechną, prosić rektora o rady i protekcję. Dodać, iż rozrzucone wieści, jakoby na majówce dopuszczano się mów nieprzyzwoitych, pochodzą od nieprzyjaciół i niechętnych; że wreszcie mogą być przytomne osoby z uniwersytetu.

Nie mam czasu pisać motywów, dlaczego to wszystko skutecznić trzeba, zastanawiajcie się sami. Zdaje się, iż

rektor nie będzie miał czego zarzucić, a koniecznie uzyskajcie jego akord, choćby na cięższych warunkach. Tak mi się zdaje. Czasu niema więcej — czekam listów.

DO ZANA.

(Z Tuhanowicz, w sierpniu 1820 r.)

Arcy. Tomaszu Zanie!

Wart jesteś arcypołajania za twoje hasanie niewiedzieć gdzie, bez zjawienia się na naszym horyzoncie.

Jak chłopczyk,
dla pustej cacki
porwawszy szkiełka do rąk,
sprosi promionki do schadzki
i zrobi arcypromyk
i potem *myk myk myk*,
czasem skierowawszy wskos,
błyśnie gapiowi pod nos,
to znów hec
i na piec.
Stąd na drzwi a z d(r)zwi mach!
i na dach!
słowem, ni tu, ani tam,
Taki właśnie W-ćPan sam,

Czekają tu na Ciebie WW. Wereszczakowie, W. Putkamer, wszyscy znajomi, a nawet W. Sędzia Mitarnowski, który miał wyjechać przed obiadem, zostaje umyślnie dla Ciebie i dla krup perłowych.

.

P. S. Wychodzi bryka czterokonna dla zabrania pana Tomasza i wszystkich jego conceptów.

ANM.

DO RZĄDU IMPERATORSKIEGO WILEŃSKIEGO
UNIWERSYTETU.

Wrzesień 1820.

Zaledwie, przybywszy do Kowna, zająłem się obowiązkami nauczycielskimi, gdy na dniu 16 września doszły mnie

rozkazy z Dyrekcji i Rządu Uniwersytetu za nr. 370 i 377. Oskarżony jako przestępca, osądzony za takiego, ukarany zatrzymaniem szczupłej pensji mojej, spieszę wytłumaczyć przed Rządem Uniwersytetu uchybienia, które same z siebie, a bardziej jeszcze ze sposobu, jakim były wyknięte, każdego, kto się do nich nie poczuwa, ostro dotykać muszą.

Stosownie do porządku szkolnego stanąlbym w Kownie na dzień pierwszego września, gdyby mię słabość zdrowia w drodze nie zatrzymała. Musiałem przebawić w Wilnie dni kilka dla zasiągnięcia pomocy lekarzów, o czym uwiadomiłem W-go Dyrektora Szkół Gubernii Wileńskiej J. W-go Rektora Uniwersytetu. Przewidując wszakże, iż słabość moja za jakąby chorobę, to jest za chorobę udaną, wzięta być może, starałem się o świadectwo lekarskie, ale W-ny Homolicki, Doktor Medycyny, którego o to prosiłem, przyrzekł sam udać się do J. W-go Rektora i o stanie zdrowia mojego uwiadomić. Jeżeli W-ny Homolicki tego nie uczynił, zawiódł mnie złamaniem obietnicy, której wyprzec się nie może; jeżeli zaś i jemu wiary nie dano, Rząd Uniwersytetu mojej w tem winy upatrywać nie raczy.

Po kilkudniowem bawieniu w Wilnie zamiast ulgi gorzej zapadłem na zdrowiu. Przekonać się o tem lepiej można ze świadectw, które Rząd Uniwersytetu albo sam przez siebie, albo na każde zapotrzebowanie przezemnie uzyska:

1. Od W-go Doktora Homolickiego, którego rady naprzód zasięgałem.

2. Od W-go Karola Kaczkowskiego, który przez cały ciąg choroby kuracją moją zajmować się raczył.

3. Od W-go Gryzera aptekarza, u którego muszą być zapisywane dla mnie recepty.

4. Od Doktora Medycyny i Chirurgji Kosztulskiego, któremu W-ny Kaczkowski dalszą moją kurację zlecił.

Wszyscy zgodnie poświadczą, iż do dnia 14-go miesiąca września obłożnie chory, żadnym sposobem z Wilna wyjeżdżać nie mogłem. Wiedziała o moim pobycie w Wilnie zwierzchność, jak się pokazuje w pisma Rządu Uniwersytetu. Nie szczęściem wszakże, ten, kto J. W-mu Rektorowi i w szczegółach nawet o mieszkaniu mojem oznajmił, o smutnym stanie, w jakim mię widział, oznajmić nie raczył. Choroba tedy rzeczywista była przyczyną opóźnienia. Jak tylko uczułem się zdrowszym, pośpieszyłem na miejsce, nie dla uniknięcia władzy policyjnej, z którą, jako pozostający pod władzą

Uniwersytetu, nigdy nie spodziewałem się mieć do czynienia, i której jako pełniący obowiązki nigdy się nie boję, ale raczej dla najprędzszego zajęcia się powinnościami stanu, którym oddałem się z powołania, które ile sił moich dotąd pełniłem i które, na nikogo nie oglądając się, zawsze pełnić za najświętsze mam prawo.

Przesyłając niniejsze tłumaczenie się, ośmielałem się upraszać, aby mi wolno było pobierać pensję przynajmniej od czasu, kiedy wszedł w obowiązek, t. j. od dnia 16 września.

Adam Mickiewicz.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, w końcu września 1820 r.)

Jeżowi zdrowia i życia.

Widzę, że bardzo lubisz życie i gniewasz się, żem Cię w martwego chciał zamienić. Daj pokój! Nie wiesz, jak życie drogo kosztuje! Rodzić się trzeba w bólu, umierać także smutno. Lepiej więc żyć po połowie, jak ty czynisz, prawda, że połową szlachetniejszą, ale o szlachectwie byłoby długo mówić. Często je niesłusznie nadają temu, kto nie wart. Ideały, mój Jeżu! Sny i dymy, a po nich czczość! Takie prawo natury: po każdej rozkoszy musi być niesmak. Pochodzi on stąd, że ze stanu słodkiego trudno razem przyjść do zwyczajnego, aby nie uczuć przykrości; czyli podług terminologii Zana, przechodząc z miodu do wody, trzeba na drodze znaleźć pieprzu. Przechodząc od ideałów do czczości, cóż tam będzie? Gorzej, niż piekło. Dla tego, albo niema ideałów, albo na wielkie ideały. — Brawo! oto półmądrze. Było mnie w szal filozoficzny nie wprowadzać! Masz teraz pół ćwiartki dziwactwa, którego sam nie rozumiem, ale które sam czuję.

Mój Jeżu! Gdzie Ty jedziesz? gdzie Ty będziesz? w Szczorsach, w Nowogródzkim! Będiesz tam w jesieni, gdzie ja byłem w lecie. Nie będą to Szczorse czerwcowe i Adamowe. Ale zawsze przyjemne. Zdrowie Twoje jakie? Napisz do mnie. Złe rezonowanie, że mnie listy są mniej niż dawniej pożądane. Chciałem Kowna, bo zdaje mi się, że być wesołym bardzo jest dla mnie przeciwną rzeczą.

Listy nie czynią mnie wesołym, ale wprowadzają w dumanie przyjemne. Jest to starość w życiu, które sobie wyobra-

zam. — Napiszę później list do Wereszczaków; Jarosz prześle go do Szczors, a Ty sam odwieziesz. Jest to naturalny koniec listu mojego. Jutro niedziela; nic nie mam na głowie. — Będę dalej pisał o interesach. Nie pozwolili mnie koledzy wziąć pensji za tercjał, bojąc się, ażebym, rozdawszy pieniądze, nie umarł (gdyż czuję ból w piersiach często bardzo mocny), tak musieliby za mnie płacić! Stąd smutne finanse, 10 rubli musiałem dać za miesiąc stołu, 6 wydałem na drogę, z Niemczewskiego posyłki muszę posłać na gwałt 3 Aleksandrowi, zostaję bez grosza. W połowie tego miesiąca spodziewam się na mocy układów mieć stół u Chłopickich; tak oszczędzę kilkadziesiąt rubli. Długi chyba miesięcznie będę mógł częściami odsyłać.

Nie mogę pominąć listu Sylwestra. Ekskuzuje się z bieżny: „Koszula została w domu jedna, chustka do nosa u pana Franciszka i szkarpetki; szlafrok w Tuhanowiczach, gdzie nam było bardzo dobre życie. Kołnierzyki etc.“ Za to wtrącenie Sternowskie dałbym mu gościńca, żeby był blisko! Nie mam do niego żadnej pretensji. Skrzynki nie mam przez kogo odesłać. Niech jadącym do Kowna żydom każe zająć do mnie. Książki niech Jarosz weźmie na swoją tablicę i prędko ekspedjuje.

Jeśli będziesz mógł, napisz jeszcze do mnie przed wyjazdem.

Braciom i Piaseckiemu ukłony.

Ad.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, październik 1820 r.)

Odzwyczajacie się już powoli odemnie. Ledwie Jarosz ubiegłe pół miesiąca liścikiem zakończył. Niechże gniewający się na mnie milczą, ale Wam, Jeżu, to się nie godzi, chyba sprawdzi się słowo Homerowe: „Kto nienawistny Bogom, ten i ludziom zbrzydnie!“

Z półtóry słówka Jaroszowego dowiaduję się, żeś jeszcze niezupełnie zdrowy; chcę od Ciebie sam usłyszeć lepszą nowinę. I o Szczorsach? Musiało także zająć cokolwiek w tych czasach w Towarzystwie. Moje tu biblioteczne projekta pękły. Bo obywatele mieli prócz tego kilka składek, a prefekt nieczynnie chodził.

Pisałem do Jarosza, prosząc o niektóre książki. Ty miałeś mnie jakąś psychologję przysłać. Nie ociągaj się z nią. Objaśnienie także do Kanta bardzo mnie potrzebne, gdyż wieleby posłużyło do zrozumienia estetyków jego szkoły. Czytam teraz Drevesa *Resultaten*; niezmiernie ciekawe i ważne.

.

Pensję zatrzymał mnie rząd Uniwersytetu za spóźnienie się; posłałem mocne objaśnienie; odpowiedzi niema, trzeba znowu nudzić się pisaniem prośby.

Przeczytałem ostatni tom najmilszego Szylera. Co za Marja Stuart! Ale i wszystkie przedziwne. Zmiłujcie się! cokolwiek niemieckiego, bo już nie mam co czytać w lepszych chwilach. Wszystkim braciom i Piaseckiemu kłaniaj się! Powiedz, że ja tylko w pisma wierzę. Dotychczas nie mam żadnych transaktów z kancelarji jego serca (*vulgo* listów). Czyż mam wierzyć w przyjaźń? Niech sam osądzi!

Na przyszłą pocztę piszę do Nufra. Komunikacja już umówiona, Wy możecie listy także do mnie przysyłać, a ja puszczę dalej. *Werter, Klopsztok, Faust Goethego, Walerie*. Tom Heyna z pierwszą księgą Eneidy, z parą ód, wykładanych z Horacjusza, chcę uczniom dać na przykład.

Dziś czwartek i dzień piękny! Idę zaraz na przechadzkę. Myśli słodka i spokojna! gdy ja z tobą, a ty ze mną.

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA.

(Z Kowna, w październiku 1820 r.)

Nufremu zdrowie.

Nie wszedłeś jeszcze zapewne w ściślejszą znajomość z Warszawą, wszakże musisz już mieć zapas niemały wiadomości, których niecierpliwie oczekujemy. Jak ci się podobał nowy rodzaj życia? w jakim stanie (miodu czy pieprzu) Twój umysł i zdrowie? z kimeś się zapoznał etc. etc. Wszystko to dla mnie bardzo będzie miłą nowiną. Ja po wyjeździe Twoim mocno zachorowałem i blisko dwóch tygodni leżeć albo w stancji siedzieć byłem przymuszony, skąd zatrzymania pensji, fuki, połajania i z mojej strony odłajania. W Wilnie nasi w dawnych położeniach. Słyszałeś, że Tomasz napisał teorię słonecznych promieni. Wielu fizyków oburzyło się przeciw temu; teraz musi ją pod sekretem wykladać.

Jarosz przerobił ją i zbliżył do starej teorii *vivlasów*. Wszystko to idzie powoli. Jeź wyjeżdża, a może i wyjechał do Szczors, przez co zrobiła się dziura w dachu Towarzystwa. — Na jej załatwienie utworzono nowy urząd dyktatora, który sam jeden ma to robić, co dawniej czterech etc. etc.

Ja siedzę w Kownie, z okien widzę liście pożółkłe, deszcz, chmury, to mój stan. Wszakże jestem spokojny; tylko mię piersi straszą, coraz słabsze.

.....

Nie wiem, jak Twoje finanse idą; zapewne musi być koło Ciebie kuso. Mnie pensji kwartałowej nie dano z bojaźni, że-bym przed końcem kwartału nie umarł. Skąd nowe w finansach zamieszanie.

Prześlę Tobie pisemek dawnych, które umyśliliśmy w warszawskich pismach pomieszczać. Tymczasem staraj się z redaktorami zaznajomić.

Jak najprędzej odpisuj!

A. Mi.

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA.

(Z Kowna, 1 listopada 1820 r.)

Dnia 1. września.

Kochany Nufrze.

Wiele a wiele do ciebie chciałbym pisać, gdyż okazja pewna i na wagę listu nie zważająca, ale jeśli kiedy, to dziś zwiążym być muszę.

O Kownie stare rzeczy, wszakże nie cierpię tyle, ile dawniej, jestem w stanie wody najczęściej.

Z Wilna musiałeś coś mieć dotychczas, ja nie odbieram już tak częstych listów; tyś mnie papierem obdarzył, tyś i sam pisał i drugich pilnował. Ledwie Jarosz ozwie się niekiedy, a i tego rozrywa korespondencja z Jeżem, siedzącym teraz na piwie szczorsowskiem. Zgoła nie wiem, jak tam co idzie.

Dyktatura się nie utrzymała i został rząd dawny, pomnożony Szerokim; o mniejszych węzłach ich i liczbie, stanie, nic mnie nie doniesiono. Szczególne osoby na dawnych położeniach. Jarosz w kłopotach, o których najlepiej przekona

Cię list, który załączam, a który mnie znowu przez zdarzoną niepłatną okazję, a najlepiej przez tę samą odeślesz.

.....

Ale! Ale! W Kownie zakłada się albo ma się założyć komitet, który zaprenumeruje wszystkie pisma polskie. Dla tego wstrzymałem się z przesłaniem robót moich, których prócz tego nie mam teraz u siebie. Staraj się je umieścić po styczniu: czytane od moich komitetowych nadadzą mi jakąś wagę w ich oczach, może też ich w pole wyciągnę na prenumeratę zagraniczną. Na czele tego stoi doktor Kowalski. U niego ja zaprojektowałem gabinet czytania; rozumiesz! Tam będę czasem wieczorem czytywał, rozumiesz! Ale to już tego roku nie tyle znaczy, co dawniej.

Moje prace literackie ustały, oprócz kilku drobniutkich szpargalików nic niema, a wszakże myślę do Ciebie jechać na wakacje z *Demostenem*! Wszakże przewróciłem kilkanaście *Estetyk* i nie mało w nich postąpiłem. Zapewneby dobrze, gdybyś co Ty, upamiętnikował lub dziennikował, choćby jaką z sielanek.

.....

Wszyscy z Wilna piszczą a piszczą za Tobą, w każdym kącie widać tam Twoją nieobecność! Kiedyż my się znowu połączymy?

Za nowiny dziękuję, jeśli będziesz miał jakie, udzielaj.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna w końcu listopada 1820 r.)

Staremu Jeżu pozdrowienie.

Czy to szczorsowskie kartofle czy piwo dało ci tak ironiczny humor: *czhy zhyjesz czhy nie zhyjesz?* (deklamacja nazalna). Odpowiadam naprzód, że żyję i byłbyś o tem dawno wiedział, gdyby nie przeszkody różne a różne, pisanie do domu, do Jarosza, do Nufra etc. Tydzień temu było u nas święto, dzień pocztowy, miałem kilka godzin na pisanie do ciebie z rana poświęcić, po obiedzie spodziewałem się wizyty jednej... Uważ, co to miał być za dzień przyjemny. Ocknąłem się strasznie chory na niestrawność; *rubarbarum*, a potem gorsze jeszcze szturmy do żołądka, ledwie mię, jak dok-

tor powiedział, uratowały od gorączki. Przeleżałem dni kilka i list do Ciebie przeleżał.

Dzisiaj po obiedzie lekcje, ja z lekcji przyszedłem, piszę z biedy, i jestem nie w listowym humorze, a boję się nadal odkładać, żeby Twojego łba gorzej nie marszczyć.

Ciekawyś, jak mi się i wewnątrz i zewnątrz powodzi. Pisałbym długo, bo Ty mię może najlepiej rozumiesz, ale takie doniesienia nie warte są czasu strawionego na ich czytania. Wszakże masz pokrótce.

Tego roku jestem nieskończenie zdrowszy, mniej pracy, ostrożność, a może i stan umysłu wiele się do tego przyłożył. Z początku Kowno było okropne, już się powoli wzwyczaiłem; miłość własna, sięgająca wysoko i stąd drażniąca, potłumiona trochę została niepodobieństwem nadziei.

Myśli moje, skierowane w inną, przyjemniejszą stronę, oddaliły wiele dawniej przykrych przedmiotów. Melancholja moja nie była gwałtowną zawieruchą w imaginacji jak dawniej, ale przyjemnym smuteczkiem. Stąd większa spokojność, a za nią zdrowie. Jeszcze jedno: kobiety zawsze robiły na mnie wielkie wrażenie i zajmowały więcej, niż były warte. Kiedy która, czy to z miłości własnej, aby mieć więcej czci-cieli, czy dla igraszki, a może czasem i szczerze, w widokach zapewne nieestetycznych, rzuciła na mnie oczkiem, albo dała znak inny, już mi się zdało, że mnie kocha; stąd jakaś wewnętrzna radość, niespokojność, żądze, etc. etc.

Te *etcetera* zawsze były zdrowiu szkodliwe, bo wprawiały w stan namiętny. Teraz jestem bardzo fizycznym: znak przywiązania oddaję za znak przywiązania, ale bardzo spokojnie, i wdzięki tylko mię głaszczą, bynajmniej do serca nie dochodzą. Z rozmowy romansowej powracam i śpię spokojnie. Bo organizacja, chociaż trochę rozigrana, łatwiej się, aniżeli imaginacja, uspakaja. Jest to tylko zabawa. Otóż filozofie masz, co o sobie napisać umie nie-filozof. Te wiadomości pocieszają Ciebie. Jeżeli kiedyś napisałem, że ukrywam czasem niespokojność, ta niespokojność wzbudza się, kiedy do Was piszę, bo przypominam stan mój terażniejszy, nikczemny i przyszłość czarną. Coraz tracę nadzieję wygranej w zapasach z losem: myślałem, że pracą literacką zwrócę na siebie baczną; ale to, jeśli się uda (wątpię), będzie trudno. Bo mi coraz trudniej. Żadnych zachęceń! (trzeba codziennych i co godzinnych). Dzień cały zajęty, zresztą nuda. Nie mam ja takiego jak Ty powolnego i pewnego charakteru, swoim stąpa-

jącego krokiem, ani Jarosza rozważnego i mocnego, ani lekkiego i wesołego Zana, albo lekkiego i burzliwego Jana. Jestem mieszaniną. Mogę skakać daleko, ale krokiem nierównym i tam, gdzie okoliczności popędzają. Zostawiony sam sobie bardzo jestem mały. Owoż o czym mnie trzeba zapominać, a co mi pisanie do Was przypomina.

Nic jednak zrobić nie mogę, oprócz małych szpargałów (odki, sielanki!), którem posłał do Wilna. *Demostenes* milczy, a powinienby się dokończyć. Napisz, proszę czybyś nie mógł być u Wereszczaków. Możebyś dostał koni w Szczorsach. Jabym przez Ciebie pisał. Zabawiłbyś się dobrze kilka chwilek, tylko nadaj sobie ton śmiały.

Ale weź z sobą lorynetkę, jaką masz najlepszą i bądź ścisłym obserwatorem *qua* filozof moralny i kunstrichter. A potem napisz do mnie o każdym przedmiocie! Niegodziwy zapomniałeś rysowania! Jeślibyś umiał zdjąć rys! Ten rys podoba mi się, bo piękną duszę oznacza. Dosyć o tem, bo poczta blisko.

Bądź w domu moim i brata młodszego wylaj, bo słyszę, bardzo próżniak.

.....
Czy będziesz w Tuhanowiczach?

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w połowie stycznia 1821 r.)

Kochany Janie!

Pocieszną będzie dla Ciebie nowina, że jestem zdrowszy i tylko co nie zdrow zupełnie. Chociaż piersi zawsze słabe. Twoje przestrogi troskliwe dawno mnie były w pamięci, wszakże mimo całej ostrożności muszę w szkole coś mówić, muszę się mordować. Kilka dni po przyjeździe niezmiernie byłem zgryziony: teraz cokolwiek do dawnego stanu powracam, oczekując cierpliwie znowu jakich nowin!! Bo wesołego nic dla siebie spodziewać się nie mogę! i nawet wymyślić żadnej nadziei najdziwaczniejszej nie umiem. Nie wiem, coby ze mną było, gdyby nie lekcje, które mnie większą część dnia zabierają, tak dalece, że reszta odpoczynkowi poświęca się i czasu smutnym myślom nie zostaje, gdyby nie wieczór czasem w jakiej kompanji, gdzie z początku udaję spokojność,

a dalej staję się w samej rzeczy w stanie wody: Czasem uśmiech albo żart jaki nawet mnie czyni niby wesołym. Wszakże te chwile są policzone.

.

A. Mick.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, w połowie stycznia 1821 r.)

Kochany Jeżu!

Trudno mieć kilka dni nieznośniejszych. Po tylu smutkach potrzebuję jakiegoś obałamucenia i durzenia, słuchania jakich rozmów, myślenia o czem innem, gadania. Wszystko to miałem w Wilnie, a chociaż czułem jakieś zmordowanie, wszakże byłem weselszy. Moja wesołość zawsze jest tylko skutkiem takiego rozerwania. Rozum u mnie zawsze nieczynny, przynajmniej nie pamiętam, żeby mi kiedy pomógł cierpieć.

Teraz jestem sam jeden, każde przypomnienie smutne, (a jest ich tyle!) łączy mnie wyciska. Sam, jeśli przypomnisz tę część życia, której już świadkiem byłeś, wszystkie widoki, zamiary i koniec!, zapewne uczujesz coś podobnego.

„Ale wždy pieśni moje mnie nie opuszczajcie!” Rozkołysana imaginacja odrecytowaniem Szylera rozrywa mnie nieco. Napisałem kilkanaście wierszy *Romantyczność*. Teraz nie mogę przepisać.

Zajechałem jakkolwiek, wiatr był jak zwyczajnie mnie w oczy, stanąłem o 12, nazajutrz dawałem lekcje. Kaszlałem mocno, wczorajszej nocy ledwie zasnąć mogłem; dzisiaj mnie trocha lepiej. Poślij Janka, albo sam pójdź do Porcyanki, co on mu poradzi. Kaszel jest suchy, kiedy niekiedy dobywa się szmat gęstej flegmy i wtenczas ulgi doświadczam. Piersi bołą, ale to raczej skutek, niż przyczyna kaszlu.

Ósma bije.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

(Z Kowna, w lutym 1821 r.)

Adam Jeżowi spania i powodzenia.

Więc Adam zabiera się pocieszać Jeża; ta sama myśl już! jest dosyć pocieszna. Cóż robić!? Los, który nam ciągle na

karkach stoi, to jednego, to drugiego niżej przycisnie; pocieszajmy tymczasem sami siebie i jedni drugich. Prawda, żeś w przykrych okolicznościach, ale sam sobie goryczy nie przydawaj smutnemi myślami.

Pozwalam i na to, że Towarzystwo jest malowane, ale my nie jesteśmy malowani, a to, czem jesteśmy, i dla siebie samych i dla drugich, winniśmy może po większej części temu malowanemu Towarzystwu. Miało ono i na innych wpływ wielki. Ten duch prostoty w obejściu się, poufałości, szczerości, który się powoli rozlewa między młodzieżą filarecką, od nas wyszedł. Nie uderza on Was, ale każdego obcego zastanawia niepomału. Ja sam do takiego postępowania z Wami przywykły, dziwiłem się jednak tonowi między młodzieżą panującemu. Niech więc ta myśl nas pociesza, iż Towarzystwo wywarło swój wpływ. Że jego działanie jest teraz ostygłe, pochodzi to z konieczności stanu naszego i osób Towarzystwo składających. Towarzystwo było, poprawdnie mówiąc, naukowe. Uważając je pod tym względem, było takie, jakie tylko być mogło. Pisaliśmy i dosyć często i nieźle. Że teraz równie często nie piszemy, masz tego niejedną przyczynę. Że inni nie piszą, trudno im dać zdolność. W naukowym sposobie nic naszemu Towarzystwu nie pozostałoby, chyba ogłosić posiedzenia publiczne i na nich czytaniem pismami zakasować inne tego rodzaju. Aleśmy i od tego usposobieniem i celem dalecy. Musi więc trochę zapal stygnąć, kiedy niema zachęcenia. Wyznajmy szczerze — w początkach i to zachęcało, ażeby się przed drugimi jakoś pokazać. Teraz takeśmy się poznali, że nam jedno, czy prywatnie pismo któremukolwiek pod krytykę posłać, czy na posiedzeniu czytać, i pewni szczerego zdania, bynajmniej do większości nie apelujem.

.

Pracowaliśmy szczerze, tak dalece, że teraz nam samym, we względzie porządków, już nic przydać nie pozostaje. To wyczerpanie przedmiotu, a przytem nasza zgoda, czyniąca obrady cichemi, zrobiła posiedzenia rządu ostygłemi. Może to i stąd poszło, że ciągle te same były osoby rządzące.

Projekt, tyżący się urządzenia filaretów nie miał oporu, prócz trudności egzekucji. Jeżeli widzisz jej możliwość, okaż: czyż z nas kto będzie przeciwil się Tobie?

Teraz więc trzeba jakkolwiek Towarzystwo utrzymywać, poprawiając w niem naukowość czytaniem lepszych materjałów, tłumaczeń etc., zajęciem się księgami elementarnemi.

Związek przyjaciół urządzić jak studenckie masonstwo, przydać symboliczne obrzędy, śpiewy i herbaty i znaki. Filarecję, jak jest, utrzymywać (*inter parentezyn*, urzędników w Izbie dozorczej i Związku przyjaciół, prócz prezydenta, często zmieniać). Oto, co można teraz, póki nas okoliczności nie dźwigną i jakiego nowego nie ukażą pola.

.

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA.

(Z Kowna, 6 lutego 1821?)

Onufrowi Wiślańskiemu Z. i P.

Aż zląkłem się, zrobiwszy rachunek sumienia! Wszak to pamięci niema, kiedym pisał do Ciebie. Przed wyjazdem do Wilna mocno byłem zajęty. O wyjeździe, cóż ci doniosę? Rozprawy Grodek bronić nie pozwolił, najwięcej dla tego, że były pomyłki ortograficzne! Rektor zlażał mię od czci, od wiary za obrażenie Budziłowicza; hamowałem krew w sobie i słuchałem. Nazajutrz dowiaduję się o śmierci mojej matki. Wypadek ten nie mało ma wpływu na moje przyszłe życie. Matka było to moje i udręczenie największe i cała ośłoda, cała pociecha! Nie mogłem jej nic pomóc, ałem się nadzieją cieszył, że kiedyś może pomyślny los mój i jej będzie ulgą, będzie szczęściem. Sny te uleciały z dymem! Zostałem jeden. Nic mnie już tak bardzo nie wiąże. Braciom cokolwiek pomocy, zresztą sam jeden. Dla tego mocne mam postanowienie rzucić plac nauczycielski, jeśli lepszego nie znajdę i przypiąć się gdziekolwiek. Ty upatruj, czyby co się w Warszawie nie udało.

Gdybyś był teraz w Wilnie, jakże tam inne rzeczy! Niema wesołości, niema życia, niema zapału. Jeśli się kilku naszych zejdą, kładną się i milczą. Jakaś ponurość wszystkich ogarnęła, wszystkich cisną okoliczności.

Zan spolaniony, wiszący bez żadnego widoku. Szerok z bardzo kusymi dochodami, napastowany za dawne romanse, o których nie wiem, czy słyszałeś; Jeż bez sposobu prawie! Nie chciałbym smucić Ciebie takim opisem, cóż robić? A nuż się nie odmieni. Związki filareckie odbywają się; byłem na jednym. Wiele gawędy, mało nauki. W Towarzystwie mróz i sen. członków nie wielu, ubyleś Ty i we mnie była też po-

moc! A nuż się nie odmieni! Związek przyjaciół, konający prawie, zreformowaliśmy i zamieniliśmy na Związek dyrygujący filaretami. Wprowadziliśmy Jeża i Jarosza. Było między nowymi członkami hałasu, *quo jure* oni są wprowadzeni. Udał się, że dawniej byli w Związku, choć na to niema dowodu. Zresztą obaczmy, co dalej będzie.

Czybyś Ty nie mógł w Warszawie coś nakształt filaretów wykoncypować, np. kilka małych związków, względnie do nauk bawiących się pisaniem, czytaniem, robieniem wyciągów z pism periodycznych, a wszyscy zostawaliby pod dyktando izby dozorczej, złożonej z prezydenta i kilka wybranych radców, a od prezydenta zatwierdzonych. Jeśliby się to udało, mogłbyś zwierzyć się lepszym, że jest w Wilnie taki związek i ułożyć z nimi wyższą klasę, mającą tamtymi związkami dyrygować. Ta wyższa klasa jakie miałaby ustawy, o tem później napisał. Możliwość zastosować terazniejsze ustawy Związku przyjaciół. W tej wyższej klasie należy ustanowić herbaty i pieśni, które Wam przysłemy, a nawet jeśliby naszym zdało się, ustanowić korespondencję ze Związkiem przyjaciół wileńskich. Działaj prędko, możesz nawet *Brodzińskiemu* zwierzyć się trochę z góry.

Byłem po przyjeździe mocno chory, teraz cokolwiek zdrowszy i ile można, weselszy.

A. M.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w końcu maja 1821 r.)

Janie!

Kurhanek odsyłam. Odką zostanie, bo nie mam ani czasu ani chęci poprawiać teraz; można tymczasem pod czerwone sukno. Wróćmy się do doliny. Byłem w dolinie wczora (wtorek) o godzinie drugiej w wielki upał z damą, która potem nadeszła, zostawiwszy drążki na gościńcu. Niewiele dostawało do zwarzowania, a częste przechodzenie chłopów wycinających chróst może tylko obroniło od pokus nieestetycznych. List Twój czytano. Ale na końcu trochę mnie i nie trochę zmieszało bardzo mocne i nieco straszne z drugiej strony oświadczenie, że bez naszego widywania się obejść się nie

można będzie, i że ja temu winien, żem tak przyzwyczaił; uczyniono pytanie względem wakacji i scena zakończyła się melancholicznie. Breduljonowi zabroniono formalnie bywania; wyzywał mię znowu, odpowiedziałem, że teraz jużbym się wstydził, kiedy raz na niczem się skończyło. Wszakże dla uniknienia hałasów wyprosiłem mu znowu wstęp, za co jest mnie bardzo wdzięczny.

Cecylję znowu widziałem, a Ty o niej zapomniałeś.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w końcu maja 1821 r.)

Janowi Z. i P.

Zapewne już czytałeś u Jarosza lub słyszałeś o moim przeszłym liście; zaspokoileś więc Twoją przyjacielską troskliwość. W samej rzeczy byłem chory; kiedy się wyprawiał *Smith*, leżałem obandażowany, po ciemnie nie chciało mi się pisać, oddałem więc bez adresu, i musiał potem sam Charewicz lub kto inny dla uwiadomienia oddawcy zatytułować. Przemięła choroba, znalazł się apetyt i dobry humor; wyszedłem na spacer tydzień temu we wtorek; ledwie powrócił, nowa bieda, najgorsza ze wszystkich: nos i policzki zbrzękły mi, oczy zapuchły, wyglądałem jak bałwan, przytem mocna gorączka w łóżku mnie aż do soboty trzymała, a wczoraz znowu zacząłem wychodzić. Jest to już czwarty nawrót chorób od czwartego maja. Przeszłą razą odwiedziny i przysmaki uprzyjemniały moje cierpienia, teraz ani iść nie wolno było, ani twarzy pokazać nie śmiałem, i dzisiaj nawet oblaźła skóra bardzo nieestetycznie wygląda.

Otóż masz krótki rys nędzy kowieńskiej; na Zielone Świątki nie miałem jechać, ale Jarosz do mnie pisał, że będę na coś potrzebny. Nie chcę wszakże Was gołych znowu golić, a sam kosztów podróży podjąć nie mogę. Czekajmy zatem wakacji. Nigdy tak jej obojętnie nie czekałem, myślę nawet rzadko o wakacji i bardzo krótko. Nowogródek cóż ma w sobie dla mnie oprócz pamiątek? Często pytam siebie, gdzie moja właściwie ojczyzna? (bo Kowno za gościnę uważam) — i nie znajduję odpowiedzi. Wcale nie wiem, czy jechać do Nowogródka, i nie jechałbym, gdyby nie bracia, z którymi widzieć się muszę. Wilno teraz stało się dla nas jakimś wspól-

nym domem i tam oczy się często obracają, ale czyż to na długo? Już się powoli rozsypujem. Przyjdzie do tego, że wszystkie miejsca staną się obojętne, wszędzie będzie równie miło, czyli co jedno, nigdzie nie będzie.

Kasa moja, jak zawsze ciasna, pensji za kilka miesięcy wziąć nie mogłem, bo wizytator jeszcze nie był, a za przyjazdem liczy pieniądze, znalazłby więc deficyt. Tymczasem byłem potrzebny, bo już obdarłem się mocno, ledwie z miesięcznej pensji wysztukował garnitur sobie; choroba strasznie mnie wysączyła, musiałem kilkanaście rubli pożyczyć, już więc pensja czerwcową prawie zabita. Przed wyjazdem wezmę za dwa miesiące wakacji i Tobie w ostatnich czasach zaciągnięte długi będę mógł spłacić. Dobrowolski ustąpił mi blisko trzydziestu rubli w porachunku, prawda, że ja ugodzonej wieczerzy nie jem i na obiad często biorę jedną tylko lub dwie potrawy, zawsze jednak znalazł się szlachetnie; inaczej musiałbym i wakacyjnych pieniędzy ruszyć.

Jest tu jakiś pan Skaczkowski, akademik, i jak mówił, „promienisty“, ale coś mi się nie zdaje, żeby był filaretą, przynajmniej w krótkiej rozmowie kilka powiedział niezgodnych z teraźniejszym stanem filaretów wiadomości; uciałem zatem, bojąc się, aby nie grał ze mną w wyciągacza. Ma wyjeżdżać do Wilna, i czekam od dnia do dnia z posyłką.

Przyszły niedawno *Revue Encyclopediques* cztery numera; reszta będzie dochodzić regularnie i prędko, trzeba na poczcie zapłacić, choć za połowę, z góry. Zapomniałem o cenie, bom bardzo dawno prenumerował; podobno 180 czy 190 złotych. Taż samą okazją, którą książki odeślę, powiadomię ściślej, bo już mi ekspedytor wspominał, resztę można będzie potem.

Jaroszewi powiedz o *Revue* i czemu na list przeszły raz nie odpisał.

Nufry po półrocznem milczeniu raz po raz dwa razy pisał.

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA.

(Z Kowna, w końcu czerwca 1821 r.)

Kochanemu Nufrowi Z. i P.

Znowu na Cię padł długiej niemoły paroksyzm. Ani do Wilna piszesz, ani mnie odpowiadasz, zwłaszcza na tak ważne

zapytania; w ustawicznym oczekiwaniu od poczty do poczty tak długo przeczekałem. Jeszcze raz przed św. Piotrem do Ciebie zapukam, odpisuj jak najprędzej.

Wiesz z poprzedzającego listu o mojej w Wilnie bytności i o fecie dla Tomasza; przyznać się trzeba, że okoliczności trochę pogodniejsze, że po kwasach i snach czynniej się nasi ruszają.

Filareci ożywieni i z sobą ściśle powiązani. Filomaci czekają reformy, która już gotowe postawi w tym stanie Towarzystwo, w jakim rząd był dotąd. Wyciągnieni jesteśmy na większy świat. Tomasz między cietrzewiami tokuje, Szerok dopadł jeszcze większych ptaków, nie dawno u nas zjawionych od strony południowej; ale że to ptastwo złożone z wielkich sztuk, więc my mamy się *passive*, wszakże nie bez nadziei silnego wmieszania się.

Ja niezawodnie uwalniam się, ale co ze mną będzie, nie wiem. Może z Jaroszem ruszę za granicę, może zostanę w Wilnie (nie zostanę) może, może??? czas pokaże.

Doczekałem św. Piotra pierwszy raz zimno. Nic mnie więcej nie pociesza, tylko że się te przekłete lekcje ukończą. Gdzie mam jechać? Co robić? o czym myśleć??

Nie zarzucaj mnie wszeteczeństwa; owszem, byłem aż do szaleństwa estetycznym w czasie owych pistoletowań. Ale teraz, teraz niestety, wyobraź, jeśli możesz, bóstwo z igrającym na barkach włosem, wśród białych muślinów, na wspaniałem łożu, w pięknym pokoju. Na to bóstwo codziennie patrzę, już estetyka uleciała. Na hańbę moją słucham lekcji promienistych z ust cudzych. Jeszcze słucham, ale i to zapewne nie długo potrwa. Chwała Bogu, że św. Piotr tuż.

Czy chwała Bogu? Nie wiem i sam. Może w czasie wakacji będę w Warszawie! Napisz, jak długo w niej zabawisz, gdzie i kiedy wyjedziesz?

.

DO RZĄDU IMPERATORSKIEGO WILEŃSKIEGO UNIwersYTETU.

(Wilno, 12. lipca 1821 r.)

P r o ś b a !

Przeznaczony od rządu Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu na nauczyciela do Kowna, starałem się obowiązek

ten spełniać z całą, do jakiej tylko zdolny byłem, ścisłością; lecz gdy przez dwa lata służby mojej wzmagająca się coraz słabość zdrowia nietylko ciągle przeszkadzała zatrudnieniom do stanu nauczycielskiego przywiązanym, ale mi groziła nadal zupełnem sił pozbawieniem, muszę za radą lekarzów uchylić się choć na czas od obowiązku, który do zrujnowania zdrowia mojego znacznie się przyczynił. Udaję się więc z prośbą do rządu Uniwersytetu, aby mnie na rok przynajmniej od zatrudnień nauczycielskich uwolnił. Przy czem śmiem przełożyć, iż jako obowiązki stanu, któremu się oddałem, były całem zajęciem się mojem, tak szczupła pensja do stanu tego przywiązana całym utrzymaniu się sposobem. Nie mogę usuwać się na zawsze od miejsca, do którego się wyłącznie sposobilem, kiedy właśnie terażniejsza słabość nie pozwala mi wnieść w żadną inną służbę, pozbawiony pensji musiałbym wiele uciepieć, gdyż straciłbym nawet sposób poratowania zdrowia, około którego staranie większych wymaga wydatków. Odważam się mieć nadzieję, iż rząd Uniwersytetu uzna słuszość prośby mojej i zapewniając mi nadal miejsce, które dotąd w szkole powiatowej kowieńskiej zajmowałem, raczy mie na rok ten zostawić przy pensji nauczycielskiej, jako przy nagrodzie, na którą później zasłużyć całem mojem będzie usiłowaniem.

Dan w Wilnie w roku 1821. Lipca 12.

A. Mickiewicz.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Nowogródka, w lipcu 1821 r.)

Kochany mój Janie! Czemuż do Ciebie nie pisałem za każdym razem, kiedym doświadczał przyjemnych tyłu uczuć, a raczej smutnych i melancholicznych, bo tego tylko rodzaju przyjemność już dla mnie została; będę jednak przypominał, a to, co przeszło, może zrozumialej potrafię opisać. Znając moje położenie i mój charakter, choć w części podzieliś to, co czułem. Nie wiem, bardzo nie wiem, czy i tego rodzaju przyjemność będziesz jeszcze kiedy ze mną dzielił.

Jak tylko wyjechałem z Wilna, już żałowałem wyjazdu. Przebyłem drogę nudnie, zajechałem do cudzego domu; pobiegłem na nasz niegdyś dziedziniec. Żal mnie nie pozwolił uważać spustoszenia, które było w koło mnie; oficynkę, w któ-

rej mieszkaliśmy, znalazłem otwartą, ale ciemną. Postaw się w mojem miejscu. Nikt mnie spotkał, nie słyszałem owego: *Adam, Adam!* Tak mnie żal ścisnął, że długo nie mogłem odetchnąć. Chodziłem po wszystkich kątach, odemknąłem drzwi spiżarni. Wtem z góry schodzi nasza stara służąca, którą po ciemnie ledwie poznałem i tak trudną do poznania: wybladła i nosząca znaki długiej nędzy. Po wrzasku zobopólnego poznania się, płakaliśmy razem. Biedna ta sługa u nas strawiła wiek, teraz bez sposobu do życia; mieszkała długo w tym domku, żyjąc z pracy; teraz jeszcze błąka się po pustkach. Oddałbym jej grosz ostatni, gdybym wtenczas miał przy sobie. Chciałem bawić się u dobrych Terajewiczów, ale nie mieszkałem osobno, musiałem schodzić na śniadania, obiady, wieczery, siedzieć po godzin kilka, prowadzić obojętne rozmowy. Uciekłem do Ruty, tu ani dnia wytrzymać; w Nowogródku był przynajmniej nasz dawny dziedziniec do spaceru i bliskie mogiłki.

Widziałem się z kobietami, z ową Johasią, niegdyś dosyć lubianą, lubo pospolitą istotą; postrzegłem ze smutkiem, że wszystkie obudzają wstręt we mnie i że już o kobietach dla mnie nie myśleć, a zwłaszcza tak blisko Tuhanowicz. Przypomnę jeszcze trochę z podróży. Hrynaszkiewicz mówił, że Puttkamerowie mieszkają tylko o milę...

O milę tylko! — Chodząc na spacer, pytałem o każdą drózkę do M. i w tę stronę choć popatrzeć! Ale wytrzymałem pokusę jechania. Jakoż ona tam nie była.

Z Ruty jadę do Tuhanowicz; w bramie samej spotkałem karetę i zaraz poznałem, a raczej uczułem, że tam była M. Nie wiem, co się ze mną działo. Mijaliśmy się; mignęło coś w bieli. Nie śmiałem odezwać się. Nie wiem zgoła, jak zjechałem. Dowiaduję się, że się spotykał z M., o czem w duszy wiedziałem. Dom mieszkalny tu inszy; dawny przestawują, nie mogę poznać, gdzie był kominek, gdzie stało fortepiano.

Jest optymizm na świecie. Gdybym ją w tych miejscach widział, o tem strach pomyśleć!

Tuhanowicze mają zawsze wiele raju; Michał światły, ocytany i najzagorzalszy romantyk. Unosi się nad wiekami rycerskimi, wyrywamy sobie z ust słowa, mówimy o rzeczach ważnych, widuję różne osoby. Zan czasem z przeszłego roku zarywa; po wieczery siostra moja Stypułkowska z Zaniem śpiewa. I ada dzień według projektu Michała pojedziem

w puszcę nad Świtez do małego folwarczku na dni kilka; będziem jeździć po lesie i dumać. Takiego człowieka trzeba kochać!! Ale to w porównaniu do przeszłego roku jest jak nasz pusty dziedziniec — tak wiele ubyło! Muszę raz jeszcze widzieć i więcej nigdy nie będę w tych stronach. Iluż dowiedziałem się rzeczy; przeznaczenie moje estetyczne już rozstrzygnięte. Zatrzymam tu rękę, bo dalej pisać nie wypada.

Bądź zdrow, kochany Janie! Nie wiem, czy tu długo dosiedzę. Osoby najdobrańsze, najgodniejsze kochania i szacunku; ale muszę udawać równy humor, pytają, za com nudny, boję się, żebym drugich nie nudził, to mię razi.

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA.

(Z Kowna, 13 września 1821 r.)

Kochanemu Nufremu Z. i P.

Piszę do Ciebie, zgadnij skąd? nie z Nowogródka, nie z Wilna, — z Kowna, niegdyś tak dla mnie uprzykrzonego, z Kowna, z którego uciec pragnąłem, a w którym dziś bez potrzeby siedzę. Wyłumacz to zjawisko.

Nic łatwiejszego. Porzuciłem na zawsze Nowogródzkie strony i M. Spokojny dosyć, ale nudny, za największe mam szczęście ciągać się po drogach i drzemać, albo w stanie osłupienia słuchać tarkotu kałamaszki.

Przybyłem do Kowna, niby dla zabrania rzeczy, niby dla zbierania postrzeżeń statystycznych i geograficznych, dla drabowania starożytności, a w istocie dla tego tylko, aby jechać i może dla obaczenia się jeszcze raz z Ko.

Dziwne było powitanie. Adam ani na oczy; bo już Kowno porzuca. Niema innego środka do pojednania się, tylko przyrzec mieszkać ciągle w Kownie; środek niepodobny do użycia. Postępujemy z sobą bardzo oziębłe. Mieszkam teraz sam jeden, naprzeciw jej okien, widzę w oknach światło; teraz jest godzina 12.

Wiatr tylko szumi po murach klasztoru.

Na jutro niema seksternów, niema nic. Myśleć, chodzić, pisać, być panem swojej woli, jechać, albo póki nie wyjdzie z kieszeni ostatni rubel, siedzieć w Kownie, nie jestże to jedno z najprzyjemniejszych położań w życiu mojem?

Serjo mam trochę na sumieniu. Dobry Jan, odrywając większym i ważniejszym potrzebom grosze, na takie dziwactwa moje ekspensować musi. Cóż robić? Może mi kiedy Bóg pozwoli jakkolwiek wynagrodzić te niepotrzebne w życiu moralnem parentezy. Tymczasem żyjmy, jak można.

Nic ciekawego donieść nie umiem i nie mam. W Wilnie zostawiłem rzeczy w zawiązku, dalekie od wyklucia się, dalsze od porządnego rozwinienia. Za powrotem napiszę Tobie, jeśli napiszę, bo Wilno nie jest miejscem do pisania wielu listów, kiedy się słucha rozprawiającego Jarosza, dumającego Jeża i śpiewającego Arcego. Ty do nas także co o Warszawie choć w zwyczajnej bawelnie donieś, a mianowicie, czy zostajesz nadal w Warszawie, czy gdzie wyruszysz i dokąd?

Jarosz siedzi na piwie szczorsowskiem i oczu nie pokazuje. Nic więcej o sobie nie wiem bliżej; jak mi się zdaje, iż ten rok ni tak ni owak w Wilnie przeklepię! Mała nadzieja wyjechania zagranicę, — a i w Wilnie Pany rady szkolarskiego majestatu nie rady mię widzą.

Być zdrów, odpisuj do Wilna. D. 13 września.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Adam Franciszkowi zdrowych zębów i dobrego powodzenia.

(Okolo 23 stycznia 1822).

B. d., Wilno.

Tyle tygodni i miesięcy poszło bez żadnego odemnie i do mnie listu, a nawet bez owej wielkiej kowieńskiej chęci pisanja. Czy to nawet i czasy korespondencji przemijają? Wszakże raz wzięwszy pióro, nierychło je wypuszczę. O naszym Wilnie albo nie mam co pisać, albo na dalszy czas, może do osobistych rozmów odkładam; co nas tyczy się bliżej, musisz mniej więcej już wiedzieć.

Słyszałeś zapewne o hodegetyce i historii. — Nasz mru-kawy przeszedł moje, jakkolwiek dobre o nim nadzieje, rozprawia płynnie i wybornie, wzorowo. Lekcja ta byłaby jeszcze pożyteczniejszą, gdyby cokolwiek bardziej popularną.

Ja wstałem niedawno z kilkunastodniowej lekkiej gorączki, która mnie nie wiele naprzykrzyła się, ale za to różne akcydencje: ból oka, romatyzm w nogach, a najgorsze zęby, zęby już wyrwane i jeszcze do wyrwania pozostałe. — Odpo-

kutowałem za kilka miesięcy życia dosyć swobodnego. Jeśliby ta głupia definicja, że człowiek ten jest szczęśliwy, któremu na niczem nie zbywa, sprawdzała się, tedy byłbym w niebie. Miałem tak wiele pieniędzy, że pierwszym przykładem w życiu nie znalazłem już potrzeb do zaspokojenia; inne jeszcze okoliczności osładzały mnie, szczególnie tamte kilka miesięcy, tem przyjemniej, że niespodziewanie. Zresztą, żyję prawdziwie po literacku, dyszę tylko rymami i karmię się; nie wiem, jak się znowu do czytania czegoś porządnego przyzwyczaję. Po germanomanji nastąpiła brytanomanja; cisnąłem się z dykcjonarzem w rękę przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igielki, za to teraz Byron idzie daleko łatwiej i już bardzo znacznie postąpiłem. Dżaura zapewne wytłumaczę. Wszakże ten może największy poeta nie wypędzi z kieszeni Szylera; odkrycie w nowej edycji kilku nieczytanych poezyj długo nie dało mi wrócić się do angielszczyzny.

Nie podobna przesłać ci żadnych ballad, jeden tylko egzemplarz, a nie łatwo o przepisywaczków. Zresztą myślę sam udać się do Warszawy, bo tu, zwłaszcza *Nowych Dziadów*, drukować nie podobna. Dziady będą tobie chyba odemnie wydekłamowane, i jestem przekonany, że je rzadki wydekłamować potrafi.

Z okoliczności projektu warszawskiego donieś jak najprędzej, dopóki myślisz bawić na Ślepej ulicy, kiedy i gdzie wyjedziesz?

Mówiłem już rektorowi, że mam wyjechać; zgodził się najchętniej, zgadniesz tego przyczynę. Ma jednak przeciwko mnie zadawniony grief, jak o tem pośrednio dowiedziałem się, ale to na czas dalszy.

Adam.

DO JAŚNIE OŚWIECONEGO KSIĄŻĘCIA
ADAMA CZARTORYSKIEGO,

Kuratora Cesarsko-Wileńskiego Uniwersytetu.

Prośba od niżej podpisanego.

(Wilno, 29 marca 1822.

Jakożkolwiek prośba, którą do Waszej Książęcej Mości odważam się zanieść, tem śmielszą zdawać się musi, iż nie mam prawie nic za sobą, coby mi prawo do względów Jego

zapewnić, a stąd żądanie moje usprawiedliwić mogło, wszakże kiedy krok niniejszy uważam za jedyny i stanowczy, od którego zależą nietylko los przyszły prywatnego życia mego, ale też wszystkie moje widoki i prace w służbie publicznej edukacyjnej; nie wahając się, chwyciłem się tego ostatniego środka, postanowiłem śmiało przełożyć potrzeby i zamiary moje w przekonaniu, iż Wasza Książęca Mość, jeśli uznasz ich przyzwoitość, nie raczysz mnie odmówić wysokiej opieki swojej. Że zaś niniejsze żądanie wypływa nie tylko z okoliczności, w których teraz zostaje, ale oraz jest wypadkiem zatrudnień i widoków w przyszłych latach i przyszłe ma na celu, zechcesz Wasza Książęca Mość wybaczyć, iż nadużyję cierpliwości kilku szczegółami, które się tyczą życia mego w zawodzie naukowym, a które, jakożkolwiek drobne, dadzą najlepiej pobudki prośby niniejszej i zamiar jej wyrozumieć.

Od roku 1815 jako uczeń Seminarjum nauczycielskiego przy tutejszym uniwersytecie słuchałem wyznaczonych mi kursów w oddziale literatury i sztuk pięknych, przykładając się do literatury starożytnej, tudzież pracując nad częścią teoretyczną sztuk pięknych, to jest nad właściwą Estetyką, bliżej zaś nad Retoryką i Poetyką, co do ich historii, prawideł i krytyki, ze szczególnem do literatury ojczystej zastosowaniem. Oprócz wrodzonej skłonności do tego rodzaju zatrudnień, miałem oddawna zamiar, poznaawszy lepiej źródła i dzieła teoretyczne, wybrać książkę do użycia szkolnego najlepiej zastosować się mogącą i wytłumaczyć ją na ojczysty język. Przedsięwzięcie podobne, nie tak łatwo, jakiem zamyslał, dało się przywieść do skutku; przekonywałem się albowiem coraz mocniej, iż żadna ze znajomych mi elementarnych książek w obcych językach co do materji i sposobu traktowania nie odpowie potrzebom szkół naszych i przyjętemu trybowi uczenia. Utworzenie zaś nowego planu i redagowanie materiałów czerpanych z dzieł obcych w nowy systemat, tudzież zastosowanie bliższe teorji do pisarzy ojczystych i rozwinięcie prawideł na wzorach naszej literatury wymagało dłuższej pracy, obszerniejszych wiadomości a nawet praktyki szkolnego uczenia. W ciągu takowych myśli i zatrudnień, po czteroletnim pobycie w Uniwersytecie i zdaniu egzaminów do stopnia magistra, wysłany zostałem na nauczyciela literatury, historii i prawa do szkoły Kowieńskiej. Ciężka praca, jaką nauczyciel zwłaszcza pierwszoletni

podejmować musi, nie mając pod ręką książki elementarnej i żadnych pomocy naukowych, nie umiejący doświadczeniem miarkować zapалу młodzieńczego, miała szkodliwy wpływ na zdrowie moje. Po dwuletniem sprawowaniu obowiązków z gorliwością, której pochlebne świadectwo w raportach wizyt i zdaniu rządu szkolnego spodziewam się znaleźć, nie mogłem nareszcie dla wzmagającej się słabości podołać zatrudnieniom powiatowego nauczyciela. Wyjednałem uwolnienie na rok jeden, aby w tym czasie zdrowie poprawić, przejrzeć dawne prace i niektóre poetyckie robótki wydać na widok publiczny, oczekując, ażali się nie zdarzy miejsce jakie, mniej fizycznej pracy wymagające i dalszemu sposobieniu się mojemu więcej dogodnie. Rok ten uwolnienia już jest blizki końca; znowu więc konieczny jest powrót do szkoły zawsze dla zdrowia mojego niebezpieczny i oderwanie się zupełne od zatrudnień literackich, na które zbyt mało pozostaje czasu przy dwudziestogodzinnem na tydzień uczeniu w szkole tak różnych przedmiotów, jakimi są literatura, historia i prawo. Ośmielałem się więc prosić Waszej Książęcej Mości, czybym nie mógł za Jego pośrednictwem wyjednać od Uniwersytetu uwolnienia mnie jeszcze na czas dalszy od obowiązków nauczycielskich i pomocy na wyjazd za granicę. Życzyłbym sobie albowiem, stosownie do dawnych zamiarów i własnej skłonności, pracować dalej w obranym przedmiocie, wysłuchać w uniwersytetach zagranicznych teorii sztuk pięknych czyli estetyki we wszystkich jej oddziałach, co się tyczy historii sztuk, obeznania się ze wzorami, tudzież zgłębienia części prawidłowej i krytycznej. Nieobojętną byłoby rzeczą poznać metody, jak się wspomniane nauki po uniwersytetach i szkołach wykładają, aby je tem trafniej dla układu szkół naszych i potrzeb krajowych zastosować w napisaniu elementarnej książki, co było zdawna moim zamiarem.

W czasie pobytu w Kownie ułożyłem na prędce, bo w pierwszym zaraz roku, seksterna literatury do trzech klas wyższych, prostując dawne w tej mierze myśli doświadczeniem szkolnem. Prace te, jeśli nastąpi wola Waszej Książęcej Mości, złożyć jestem gotów nie jako dojrzały owoc nauki i ostatecznego wykończenia, ale jako próbkę gorliwości i zajęcia się mojego w tym przedmiocie. Umyśliłem także określić programma książki elementarnej obejmującej Retorykę, Poetykę i początki Estetyki, z wykazaniem źródeł, skąd czerpać należy, porządku, w jakim się materiały szykować mają,

rozkładu na klasy, jaki w uczeniu zdawał się być najkorzystniejszy. Rys wspomnianego programmatu ledwie od kilku dni zaczęty w części przynajmniej do seksternów szkolnych załączyć mam zamiar.

Te są potrzeby i widoki moje, wyłożyłem je ze szczerością i prawdą. Jako uczeń uniwersytetu odwołuję się do zdania profesorów; jako nauczyciel do raportów i wizyt i zdania rządu szkolnego, oczekując łaskawego w tej mierze wyroku Waszej Księżęcej Mości.

A. Mickiewicz.

DO PANI MARJI PUTTKAMEROWEJ.

Z Wilna, środa. (21 czerwca 1822).

Z listu Pani adresowanego do pana Henryka dowiadujemy się, iż po naszym odjeździe Pani byłaś nieco chora. Powtórzyliśmy z tej okoliczność litanję tylekroć śpiewaną w Bolcienikach, iż należałoby więcej szanować zdrowie drogie tyłu osobom; uprosiłem u pana Henryka miejsca w liście na kilka słówek. Muszę wytłumaczyć się z nierzetelności, za którą tak prędko zostałem ukarany, nie poczuwając się do winy. Ballady moje dawno już byłyby w Bolcienikach, ale dziś ledwo uzyskałem bilet z cenzury. Posyłam tymczasem egzemplarz, jaki mi się nawinął, dla pana Wawrzyńca; inne zaś, przeznaczone dla Pani i dla Tuhanowicz, są jeszcze w oprawie, chyba więc za dni kilka pójdą w drogę.

Spodziewam się, iż Panią jeszcze znajdę w Bolciennikach. Przepraszam jeszcze za nudy, których byłem przyczyną, nie dobrze wybraawszy książkę do lektury. Dowiedziałem się teraz, iż tłumacz francuski Goethego, oprócz imion, nic w przekładzie nie zostawił, na niego więc spada wina. Tymczasem wdzięczny jestem za grzeczne: *chacun son gout*, i jeśli broszurkę moją tenże los co Goethego spotka, zamawiam sobie też samą ekskuzę.

Dla pana Wawrzyńca posyłam Rhuliera; przeczytawszy, zechce go jak najprędzej wrócić, gdyż jest pożyczony. Lelewela książeczki, ponieważ dostałem kilka egzemplarzy, jeden z nich ofiaruję panu szambelanowi. Chciałbym także mieć wkrótce na powrót *Revue Encyclopedique* i numer dziennika. Darujesz Pani, że Ja nudzę tyłu księgarskimi fraszkami, nie

mając nic lepszego do doniesienia. Życzę Pani dobrego zdrowia i wesołości.

Adam Mickiewicz.

Do nowin miejskich: *Wiadomości brukowe* ukazem z Petersburga zakazane.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Franciszkowi Adam, Z. P.

(Wilno, druga połowa czerwca 1822 r.)

Po półroczu pisząc do Ciebie, muszę wszakże podług instrukcji Józefa na półwiarteczce ścisnąć się, a Bóg wie, kiedy drugą półwiarteczkę odbierzesz. Wszakże i bez tej instrukcji niewielebym pisał. O naszych domowych interesach, jeżeli się zdarzy, będziemy mieli na dziesięć wieczorów w Szwajcarii Saskiej materję do rozmów, jeżeli zaś zostanę w domu Byczkowskich (*keine Treppe hoch*) zaczekam na Twój przyjazd; o innych potocznych wieściach musiał pisać Józef. Ja kilka słów o sobie. Dziennik mojego życia i zatrudnień arcy-monotonny i krótki. Śpię a najczęściej nie śpię, chodzę wiele, piszę wiersze i komentarze (do Zofjówki), a raczej pisałem, bo teraz mniej coraz; czas schodził prędko, widziałem się kilka razy z Marją, bawiłem z nią dwa tygodnie niedawno. Jej widok i rozmowy najwięcej mię uspakajają. Co dalej będzie, nie wiem! Odrzekłem się był, na czas, mojego systematu niestaranja się o nic u naszej uniwersyteckiej zwierzchności, chodziłem dosyć czynnie w czasie bytności księcia, ale wszystko, jakem przewidywał, skończyło się, jak zwyczajnie dla nas. Wątpię, czy moje terażniejsze projekta wyjechania dojrzeją; cóżkolwiekbydź, czekam spokojnie; takie ciosy, chwała Bogu, już mnie i skóry nie drasną. Powinieneś brać z nas przykład i nie zrażać się przeciwnościami, abyśmy cię ujrzeli rumianym i silnym, n. b. silnym! bo tu wszystko choruje na wycieńczenie. Bądź zdrow, pisz do nas, nim Berlin opuścisz.

Ballady posłałem przez Moritza; ile słyszę, dosyć dobrze przyjęte i czytane. Tom drugi będzie dla ciebie ciekawy, jeśli przez cenzurę przecisnie się; zresztą niemczyzna i romantyczność szalenie idzie w górę, dotychczasowy parnas krzyczy na zepsucie smaku. Odynieć balladuje bez końca i osiodłał dziennik, w którym i Zańskie sztuczki wyglądają. Ja uchodzę za

patrjarchę skażenia; jakie to wszystko robi na mnie wrażenie, odsyłam do wierszyka z Goetego, który dopisałem na egzemplarzu Ballad tobie posłanych.

A. Mickiewicz.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Wilna 15 sierpnia 1822 r.)

Nie wiem, skąd ta łaska, że przecież do mnie ćwiarteczkę wyprawiłeś. Napróżno w Szczorsach tak długo czekałem na jakąkolwiek wiadomość. Dowiodłeś aż nadto, że Cię te drobnostki mało zajmowały, chociaż one nie były zgoła drobnostkami dla Twego przyjaciela.

Dziwno mi, że teraz uskarżasz się, żem Cię w Iskołdzi nie odwiedził; a skądże to ja miałem odgadnąć, że Cię znajdę w Iskołdzi? Powiedziano w Płużynach, jakobyś jeździł do Ślizieniów, czy też do Ułanowszczyzny, nie wiedziałem, jak tam długo zabawisz; ale dosyć tych wymówek nieprzyjemnych.

Przechodzę do doniesień, może równie dla mnie przynajmniej nieprzyjemnych. Widać, że mój list do Nowickiego zaginął; inaczej wiedziałbyś, że z wyjazdem za granicę wszystko już poszło na wywrót, i całą teraz moją jest usilnością, aby poczynione w tej mierze kroki cofnąć i uniknąć groźnego niebezpieczeństwa. Nowe zaszły trudności! Prawdziwie teraz przekonywam się, że nie los rządzi światem a przynajmniej ten los musi mieć dobre oczy i rozum, bo niepodobna lepiej wykalkulować wszystkich przeciwko nam zawał. Tymczasem usuniono z Kowna Kozłowskiego na skutek raportu Chodźki zanadto surowego i może niesprawiedliwego; naturalnie, że ta okoliczność przypomniła mnie Uniwersytetowi, dano więc zalecenie, abym do Kowna powracał. Udało mi się wprowadzić przemienić opinię zgromadzenia nauczycieli w Kownie, ale, że już raport poszedł do kuratora, jeśli się Kozłowski nie wyrobi u rządu, ja muszę jechać. Mógłbym ekskuzować się chorobą, ale cóż stąd wypadnie? Siedzieć w Wilnie nie podobna bez narażenia się na mnogie niebezpieczeństwa, w Szczorsach wygodne życie, ale bez zajęcia się wisieć jakby na łasce pańskiej nie zgadza się z moim sposobem myślenia. Podobno tedy przyjdzie, zamrużawszy oczy, jechać do Kowna.

Łatwo wystawisz, co mię tam czeka. Jeden Franciszek, który mię listami niegdyś pocieszał, i ten za granicą! W innych czasach lękałbym się o moje zdrowie, ale kto się nic nie spodziewa, ten się nic nie lęka. Prócz tego obojętną mnie jest rzeczą teraz, gdzie będę, jeśli nie mogę być za Renem, za Alpami, za Peloponezem. Podróż tylko była moim ulubionym przedmiotem myślenia i jedynem życzeniem, która, jak wszystkie życzenia, omyliła mię wtenczas, kiedym jej najgoręcej pragnał. Oto masz całą treść ważniejszą doniesień, drobniejsze szczegóły zostawiam nadal. Wiedz i o tem, że sprawa, do której byłeś wplątany, agituje się w grodzie; do brzeby napisać do Chodźki, aby nic nie zaspiał i w Wilnie około tego pochodził.

Odpisz, adresując do Moritza. Jeśli zechcesz, będziesz miał co odpisać: jesteś w Tuhanowiczach!

Chciałem sam jeszcze przejechać nowogrodzkie strony, ale nie wiem, czy uda się przed pierwszym września, a na pierwszy muszę być na miejscu. Zresztą czekam także na wiadomości od Ciebie, których napróżno w Szczorsach czekałem. Jeśli życzysz widzieć się ze mną, odpisz natychmiast.

A ucałuj odemnie panów Michała i Józefa. Złóż moje uszanowanie JW. Marszałkowej, jeśli będzie w Tuhanowiczach.

O Nowickim tu się pytają, ale nic do nikogo nie pisze, i ty nie doniosłeś, gdzie się obraca.

Napisz do kogo ze znajomych, aby Ci o biegu sprawy donieśli. Ja nic dowiedzieć się nie mogę, bo oprócz bruków i ścian w Wilnie znajomego nie mam.

Adam Mick.

Franciszek pisał z Berlina. Ciągłe nas oczekiwał, wszystko mu tam zbrzydło, jak widać, wiele cierpi. Wiadomość o mojem przyszłem przeznaczeniu będzie dla niego bardzo smutną.

Kozłowski przybył; może zostanie w Kownie. Marcinkowski poszedł na miesiąc złożyć w Kownie Żółkowskiego.

DO JOACHIMA LELEWELA W WARSZAWIE.

Wilno, 24 augusta v. s. (1822).

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Teraz właśnie przybyły z Warszawy W. Daniłowicz mówił mnie, że W. I. Pan Dobrodziej życzyłby mieć sobie nie-

zwłoczną odemnie wiadomość, jak się nadal obróć. Dawno jużbym to uczynił, ale nie chciałem zajmować mu czasu kilkakrotnem próżnem pisanem, zwłaszcza, że dotąd sam nic pewnego nie wiedziałem i codzień prawie inaczej się składało. Aż teraz ostatecznie zdecydowały się rzeczy. Niema już co myśleć o wyjeździe, gdyż nie dostałem paszportu, dla rozmaitych i jakby umyślnie kupiących się trudności, które w szczegółach opisywać ani czas, ani miejsce. Powracam więc, zamrużywszy oczy, do Kowna, a co gorsza, nie spodziewam się zgoła, aby się moje położenie na przyszłość polepszyło. Jedyna nadzieja, która mię jeszcze łudzi, jest wyjazd do Krzemieńca. Upraszam więc W. I. Pana Dobrodzieja, ażebyś dowiedzieć się raczył, czy jest podobieństwo, iż katedra polskiej literatury uwolniona zostanie. Jeśliby się tak zdarzyło, mógłbym bardzo łatwo być z Kowna przeniesiony. Oto są wszystkie wiadomości i jedyna prośba, którą do W. I. Pana Dobrodzieja zanoszę, oświadczając mu szczerą wdzięczność, iż niezapominać raczysz o swoim dawnym uczniu i że nim łaskawie interesujesz się dotąd.

W. I. Pana Dobrodzieja obowiązany sługa,

A. Mickiewicz.

Jeślibyś W. I. Panie Dobrodzieju obrócił drogę na Kowno, chciej przejeżdżając uwiadomić mię o tem.

DO TAMASZA ZANA.

(Z Wilna w końcu sierpnia 1822 r.)

Nie bardzo byłem kontent z rozdziałku odebranego z wielkiem ukontentowaniem, bom nie szukał w nim zabawki. Napisałeś zbyt krótko, a w wielu miejscach niejasno. Nie uwierzysz, ile mi to sprawiło goryczy; wszelka bowiem dwuznaczność stosownie do humoru tłumaczy się raz na dobrą, drugi raz na złą stronę, a zawsze aż do egzageracji gubiąc się w takich wykładach, długo byłem niespokojny. Nie doniosłeś mnie zgoła, czy mój list ostatni ręk Twoich doszedł i czy wiesz o mojem smutnem na przyszły rok przeznaczeniu! Co tem boleśniesz, iż teraz właśnie odebrałem z Warszawy od Mazura wiadomość o znacznych na drogę posiłkach. Łyżka po obiedzie!

Nie doniosłeś znowu, czy masz wiadomość o sprawie i jakie przedsiębrałeś środki. Z tej okoliczności ostrzegam Cię,

abyś przybywszy do Wilna, skoro zsiędziesz z powozu, nigdzie nie zachodząc i z nikim się nie widząc, udał się natychmiast do kandydatów, do Krynickiego, gdzie znajdziesz odemnie listek, jak masz dalej postąpić. Nie zapomnij o tem ostrzeżeniu i ściśle je wykonaj.

Powtarzam, abyś pierwaj z nikim się nie widział; dobrzeby na dawną kwaterę od razu nie zajeżdżać. Zresztą nie nadawaj temu ostrzeżeniu zbyt ważnych i groźnych wykładów, Sprawa ta zapewne skończy się na niczem, lubo wpłatanie mię do niej bardzo mi wiele zaszkodziło.

Nie doniosłeś po trzecie, kiedy do Wilna przybędziesz. Nie będziemy zapewne widzieli się z sobą, gdyż ja przed pierwszym powinienem być w Kownie! *Credite posteri.*

Ale na cóż mam wyliczać, o czem nie doniosłeś, kiedy i doniesienia Twoje zbyt krótkie nie wiele warte podziękowania. Musisz, przybywszy do Wilna, obszernie do mnie napisać.

Bawiłem od przyjazdu z Trok w Wilnie zdrów wprawdzie, ale dla tylu kłopotów i niepomyślności zająć się niczem nie mogę i pierwszy raz doświadczyłem w tych czasach, co to jest nuda.

Franciszek pisał z Saksonji; wojażuje piechotą po górach Olbrzymich.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, wrzesień 1822 r.)

Kochany Tomaszu!

Pozwoliłeś mi czynić zapytania, z tem wszystkiem nie będę Cię męczył długą konfesatą. Pamiętam, żeś mię zawsze lakonicznemi odpowiedziami zbywał, a potem cóż za odpowiedź może być dla mnie potrzebną, wieleż z nich będzie przyjemnemi!

Powinienbym nie pytać się o nic, na nieszczęście to powinienbym zawsze mało do mnie przemawia, słucham ciekawości; o, — żeby tylko ciekawości! — masz niektóre zapytania:

Czy Peri wie, gdzie na rok przyszedłem, od kogo i jak przyjęła tę wiadomość?

Czy nie wspomina o mnie kiedy w Tuhanowiczach? Kto? Z jakiego powodu? W jakim sposobie? Jakiemi to wiado-

mościami straszył kons., jakie nieprzyjemności miarkować wypadało?

W odpowiedziach nie przestanę na ogólnych tylko wyrazach; przytocz jaką okoliczność, miejsce, czas, własne z ust wyjęte słowo, gest; Ty umiesz, Ty potrafisz to tak dobrze opisać, jeżeli zechcesz; bogdajby tylko moja instrukcja nie była tak wykonana, jak niegdyś wiele innych.

Na tembym naturalnie list zakończył; chcesze co wiedzieć o Kownie? — Jeślibym zaczął tę materję musiałbym powtórzyć wszystkie dawne półarkuszowe i arkuszowe listy, wyrzucając to tylko, co mi niegdyś tutejszy pobyt osładzało, a co przy zmienionem położeniu mojem tylko mnie smuci, a często przeraża.

Wszystkie moje przyjemności kończą się na dobrem jedzeniu w traktjerze, daleko lepszem, niż dawniej; do czego przydaj kilkakrotną kawę i lulkę, niekiedy jeżdżenie konno. Brakuje mnie tylko własnej hurysy. Dusza moja zdaje się, że umarła i dotąd ma się tylko *passive*

.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna wrzesień 1822 r.)

Kochany Janie!

Między odbytemi lekcjami i następującą niemczyzną, której podjąłem się uczyć, środkuje godzina niedoleżności i wysilenia, trudno mi więc i kilka wierszy postawić.

Dziękuję Ci za pochwały przyznane mojemu rozumnemu zostaniu się w Kownie. Potrzeba robić z potrzeby rozum, jak wielu ludzi robi cnotę. — Życzysz mi dobrego jedzenia, picia i spania; w samej rzeczy, używam gastronomicznych wygod. Stół mam w traktjerni bardzo dobry (z wina kieliszkiem), mogę mówić, wyborny, kawę u siebie, lulkę, konia tylko nie staje.

Nie tak idzie ze spaniem, coraz jednak lepiej, chociaż zęby znowu się odzywają. Ale za to umysł odrętwiał, powieści skończyć nie mogę, wiersze wyciągam jak druty żelazne i nie wiem, czy za tydzień skończyć potrafię, jak się spodziewałem.

.

Adam.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, wrzesień 1822 r.)

Jesteś dobrym i kochanym panem Tomaszem za Twoją odpowiedź; nie żałowałeś zwyczajnego przyjemnego humoru rozdziałkowego, a co lepsza, nie żałowałeś pióra i papieru. Ze wszystkich wszakże okoliczności wyczytuję, żeś nie często widywał się z Peri, nie często rozmawiał, będąc tak blisko. Uwaga ta zdziwiła mię z początku, przyznam się że trochę zagniewała.

„Jako bezbożniku — mówił arab do Francuza — wracasz od granic Egiptu, a nie uczciłeś grobu Proroka, i obojętny mówisz o nim słowami tak zimnemi, jak śnieg z góry Imaus. Ach! Któżby był tak bliski i tak ślepy, głuchy, kamienny! Gdyby Nil mógł choć raz popatrzeć na złote piaski Jemenu i Mekki, oddałby wszystkie skarby, które połknął w górach Bildalderid; gdybym ja był na twojem miejscu, poszedłbym i nie odwiodłyby mię wszystkie nawet hurysy, powiewające chustkami, poszedłbym, choćby most był węższy niż al-sirach!“

Francuz śmiał się z Araba i ja śmiałem się, rozmyśliwszy się, z mojego gniewu.

Tymczasem dziękuję Ci za odpowiedź, nie zadaję więcej pytań. Jeśli co przypomnisz, bądź znowu dobrym panem Tomaszem.

Ale wróćmy się z Arabji, bom nie jest wcale w poetyckim humorze, a ten wyskok winienem Twojemu listowi i scenie w Ułanowszczyźnie, którąś mnie tak odmalował, a która mnie tyle przypomina!

.....
AM.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, 8 października 1822 r.)

Tomaszu! Znowu nagłość okazji obszerniejszemu przeszkadza pisaniu. Wdzięczność tylko za przesłany rozdziałek nie pozwala opuścić pierwszej zręczności podziękowania. Widzisz, Tomaszu, jak grzecznie zacząłem; znak to przywyknienia do życia etykietalnego, ale nie bój się, zaraz w da-

wny ton wpadnę. — A naprzód masz *wygovor* za to, że mi tylko wyciągi przysyłasz; odtąd, jeśli się co zdarzy z Bolciennik, ma być mnie całkiem zakopertowane i na pierwszą oddać pocztę. Toż samo i z przeszłym listkiem uczynić.

Jeśli Peri ma być pewnie w Wilnie, chciałbym pobiec do Was na chwilę. Zresztą uważysz, czy to będzie dobrze lub nie. Załącza teraz do książek *podorożną*, która posłuży do wzięcia drugiego, jeśliby teraz lub potem wypadła potrzeba. Na przypadek, gdybym nie był w Wilnie, czekam opisanie ścisłego całej rozmowy, wszystkich słówek, wszystkich okoliczności. Jeśliby i o mnie coś mówiono, będziesz umiał odpowiadać i nie potrzebujesz instrukcji.

Wszakże nie mogę dociec, co znaczą słowa: mam wiele do mówienia?

Była teraz w Wilnie Kow. Już tylko dla mnie jest panią Kow.; rzadko widywać się z sobą kazała! — Wie o życiu Peri. Co z tej okoliczności między nami zaszło, później opiszę. Wiele uczulem, rozstając się z tak dobrą przyjaciółką, a którą teraz najlepiej poznałem

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, około 15 października 1822 r.)

Tomaszu!

Za cóż Ty jesteś moim pośrednikiem, Ty zimny filozofie, który sądzisz, że o wszystkim zapomnieć można. Nie chcę ukrywać tego, że moja duma jest bardzo upokorzona, kiedy mi przychodzi prosić o co Ciebie i kiedy widzę z postawy, że to dla Ciebie jest fraszka lub śmiesznością.

Wszakże wyznam na Twoją pochwałę lub naganę, że jesteś tolerującym; wybaczaaj mnie, może krzywdzące Twą przyjaźń myśli wybij mnie z głowy.

O wszystkim można zapomnieć. Dla czego to słówko, któreś mi wczoraj powiedział, ten środek leczenia mnie jest na kształt ziarnka trucizny, które mi ciągle dogryza. Jak Ty mogłeś, jak Ty śmiałeś wpaść na myśl taką, Tomaszu? Zawszeż ty będziesz uważać za małą (rzecz) szczęście Twoich przyjaciół?

Prawdziwie nie wiem sam, o co się złoścę, co mam do Ciebie, ale chciałbym, żeby zółć płynęła z tego pióra.

Jestem w gorzkim humorze. Ostatni raz widząc się z Peri, powiedziałem jej kilka przykrych rzeczy umyślnie, aby ją zasmucić. Po dłuższym rozmyśle czuję nikczemność mego postępowania. — Nie spojrzała na mnie, kiedym wyjeżdżał.

Tomaszu! Ty się z nią widzisz i z nią mówisz; powiedz coś o mnie; czy nie wyczytasz z jej oczu przebaczenia? Porzuć na czas Twoją filozofję i chciej mnie zaspokoić. Mając wielką perswazję, mów jej, aby szanowała zdrowie, jeśli cokolwiek przyjaźni ma ku mnie. Nie śmiałem jej sam czynić żadnych przełożeń, bo była na mnie zagniewana.

Odpisz mnie, zmiłuj się, jak najprędzej! Ileż teraz masz do pisania materji, jeśli byś tylko zechciał!

Ten list ekspeduję o jedenastej. Przybyłem o pół do ósmej. Nie będę spokojny, póki nie odbiorę Twojej odpowiedzi.

A.

DO MARJI PUTTKAMEROWEJ.

(Kowno, dnia 17 października 1822 r.)

Marjo, po tem wszystkiem, coś mnie powiedziała w czasie ostatniego widzenia się naszego, na wiele odważam się, pisząc do Ciebie! Jeżeli spojrzysz na ten listek z taką pogardą, z jaką na mnie patrzałaś, zdaje mi się, że aż tu będę czuł to spojrzenie. Ale nie! droga Marjo, wybaczysz mnie, wybaczyłaś mnie, chociaż dałem powód do takiego obejścia się. O, gdybyś wiedziała, ile potem uczułem, rozważając moje dziecinne, dziwaczne i grubiańskie postępowanie. Wtenczas, kiedyś mnie spotykała z niewinną anielską radością, ja odpowiadałem jakąż postacią? jakim tonem? Tobie, nieprzywyklej do tego, niespodziewającej tego po mnie. Cóż mam powiedzieć na moje usprawiedliwienie? A jednak czuję, że gdybyś mogła zajrzeć w głąb mego serca, wtenczas nawet byłbym usprawiedliwiony, kiedym Ciebie obrażał, a kiedym sam sobie był nieprzytomny.

Kochana Marjo, ja Ciebie szanuję i ubóstwiam jak niebiankę. Miłość moja tak jest niewinna i boska, jak jej przedmiot. Ale nie mogę poskromić gwałtownych poruszeń, ile razy wspomnę, że Ciebie straciłem na zawsze, że będę tylko widzem cudzego szczęścia, że o mnie zapomnisz; często w jednej tejże samej chwili proszę Boga, abyś była szczęśliwą, chociażbyś miała o mnie zapomnieć — i razem ledwobym nie wołał,

abyś umarła — razem ze mną! — Daruj mnie, nie możesz nigdy wstydzić się tyle, ile ja samego siebie. Kto inny, rozsądniejszy i cnotliwszy, na mojem miejscu byłby jeszcze bardzo szczęśliwy, ale mnie chyba Bóg natchnąć zechce, chyba Twój przykład poprawi. Cóżkolwiek jednak czuć będę, nigdy Ciebie nie zasmucę.

Jakże ja śmiałem Ciebie zasmucić! ja Tobie winienem, jeżeli miałem w życiu kiedy chwilkę niebieską. Jesteś moim aniołem stróżem, wszędzie obecna. Strzegę się, abym Cię nawet myślą nie obraził. A ja obraziłem Ciebie wtenczas, kiedy byłem powinien zebrać całą moją duszę dla uczucia w całej sile szczęścia, które mię spotykało, które mię tak rzadko spotyka! Prawda, moja Marjo, że powiększasz moją winę, często fałszywie tłumaczysz, albo nie chcesz rozumieć tego, co mówię, nie zważasz na moje położenie. Dawno, po pierwszym poznaniu się, wyrzekłem coś z pogardą o powszechnej opinii. Jakżeś to długo pamiętała! Jak brzydki i krzywdzący dałaś słowom moim wykład! Kiedy po przyjeździe moim do Wilna nie chciałem a raczej nie śmiałem widzieć się z Tobą, nie wiem, jak to tłumaczyłaś, ale wiem, że niedobrze na moją stronę. Nie dziw, że i teraz, com prędko wyrzekł, com w dzikim zapale, umyślnie dla obrażenia Cię (przyznaję się i do tego), dla pomszczenia się za ostre często żarty wtrącił — nie dziw, żeś mię za to natychmiast potępiła.

Ostre żarty, kochana Marjo! ostre były i często do głębi duszy rażące. Powiedziałaś mnie, że stracił czas przybyciem do Wilna, chcąc mi dać do zrozumienia, że byłem nadto dziecinny, szukając chluby przed Tobą stąd, że przybyłem dla widzenia Ciebie. Cóż miałem dalej odpowiadać? Chwytany za słówka, odsyłany do Kowna, wtenczas, kiedy byłem chciał patrzeć na Ciebie i mówić do Ciebie! — Czyliż dawne przewinienie, jakkolwiek brzydkie i rażące Twoją myśl anielską, daje prawo do wyrzucania mi go przed oczy? A kiedy z tysiącnych zgryzot uciekając, chwilkę w Wilnie niebieską myślą przepędzić, czyż litościwie jest ciągle mi powtarzać, że na nią nie zasłużyłem? Jakże nudzę Ciebie wymówkami i ekskuzami! Zapomniałem o głównym celu tego listu. Marjo! widziałem Twój sposób życia, wnosiłem o reszcie z Twoich rozmów. Słyszałem o wielu szczegółach. Ty nie szanujesz zdrowia, umyślnie chcesz je niszczyć. Niespokojność myśli, pomieszane uczucia, malujące się w Twoich wyrazach, często mię zimną trwogą przeszywały. Moja najdroższa, jedyna! nie

widzisz przepaści, nad którą stoimy! Jak to straszny wpływ może mieć na Twoje zdrowie, na spokojność Twojego umysłu. Ja Ciebie nie przeżyję chwili. Chceszże na mnie wrzucić okropną odpowiedzialność, że byłem sprawcą Twego nieszczęścia? Jeżeli chcesz, abym był spokojny, abym był wesoły, abym Ciebie kochał z uczuciem szczęścia, a przynajmniej bez rozpacz, daj mnie przykład! Odtąd przysięgam naśladować Ciebie.

Bądź zdrowa! — Kiedyż obaczę Marję? — W pierwszym spojrzeniu obym wyczytał przebaczenie!

Listek ten spalisz, nie śmiem prosić odpowiedzi.

Czy nie będzie Pani na Wszystkich Świętych lub Boże Narodzenie?

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, około 20 października 1822 r.)

Tomaszu, list, który Ci posyłam, przytem list do Jeżowskiego, zabrały mi cały ranek, a nawet wieczór wczorajszy. Króciutko proszę Cię, oddaj białą kopertę Peri. Powiedz jej, że mię prosiła o jakąś balladę, że ją odsyłam; ma się rozumieć, że oddasz sam na sam, proś od niej rewersu, że odebrała.

Jakże niecierpliwie czekam jutrzejszej poczty. Jestem podobny do owej duszy, którą, jak powiada Milton, szatani przenoszą z największego ognia do największego zimna. Nigdy mi Kowno tak nieznośnem nie było. Być tylko o mil kilka bez nadziei widzenia.

Oddaj ten listek wychodząc, aby nie miała subjekcji rozpamiętowania przy Tobie.

Piszę *strachowo*, aby list prędzej i pewniej doszedł.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, około 25 października 1822 r.)

Kochany Janie!

Przed wsiadaniem do bryczki spojrzałem około siebie; Jana nie było! Raz tylko z nim się widziałem, nic z nim nie mówiłem, nie pożegnałem go! Łzy gorzkie rzuciły mi się z oczu. Rozmyślałem o naszej przyjaźni, o latach dawnych;

dla czegoż moje serce coraz mniej jest czule na szlachetne poruszenia? W ciągu bytności w Wilnie nie wiedziałem, czy są tam moi bracia, czy Ty żyjesz na świecie? Ona jest nakształt czarodziejskiego obwodu, który wszystkie moje myśli i czucia ogradza. Jednak Zan utrzymuje, że ja o niej, a ona o mnie zapomni. Nie mogę mu tej myśli darować. Ale któż mię tak kocha, jak Ty, Janie? Za cóż Ty nie jesteś na miejscu Tomasza? Nie winuję go o to, ale czuję, że choć mię kocha, trzeba mieć kilka gran mojego szaleństwa, albo być Tobą, Janie! Jeden Franciszek mnie rozumiał, a Ty jeden znasz mię.

Od czego zacząłem i na czym mam skończyć? Chciałem opisać scenę, która niedawno zaszła w Kownie, ale ją na czas inny odkładam. Marja życzyła bardzo widzieć się z Tobą, piła zdrowie Twoje. Jeżeli uznasz to za rzecz dobrą, bądź u niej. Ja prawdziwie nie wiem, czy radzić, czy odradzać; taki w mojej głowie chaos.

Listek załączony oddaj Tomaszowi.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, około 25 października 1822 r.)

Tomaszu, tylko szanowny!

Drżą mi jeszcze ręce, chociaż listy czytałem o 7, a teraz pół do 12. Nie bój się jednak, nie będzie tu żadnych uniesień. Jesteś rozsądny i dobry, ale więcej rozsądny. Jeśli moje wymówki były dla Ciebie wodą, przeprosin więc nie potrzebujesz. Może jesteś i bardzo dobry — ale przyznam się, że do tego przyszedł, iż nie żądam przyjaciół, ale pochlebców. Niech kto sobie śmieje się w duchu, niech mną gardzi, ale to dla mnie woda; niech kto mnie kocha, jest przyjacielem i to woda, ale jeśli nie pochlebia, przynajmniej nie pobiła, to jest więcej, niż octem. — Sądź Sobie, co chcesz, o tem.

Zebrane słowa, zapytania i odpowiedzi były dla mnie okropnie przyjemne, sam już dostrzegałem tego strasznego w myślach zamieszania, jakie stąd mogą być skutki. — Sumienie moje nie chce słuchać tego zapytania. Koperta biała jeśli zostanie, a zostać musi, wiele nad tem czuję: Peri odjechała, myśląc, że mógł gniewać się na nią. List zachowaj u Siebie, może będziesz w Bolciennikach, albo ona z Tobą,

się obaczy. Tymczasem napisz rozdziałek i daj do zrozumienia, że przed odesłaniem jej listka odebrałeś również podobną prośbę o przebaczenie. Jak to dać do zrozumienia, zostawiam Twemu talentowi. — Sam nie mam czasu myśleć. Prawda, że to jest tylko kłótnią, w romansach (podług Ciebie) potrzebną i niewiele Ciebie obchodzącą. Daruj, że musisz tyle gadać, odpowiadać, pisać, odpisywać. Wszakże nie raz słuchasz rozmowy tylu zimnych figur, wszakże z jakąś tam Czwartetyńską rozmawiałeś przez litość, bądź więc i dla nas tolerującym.

Wyraz pośrednika, Bóg niech Ci odpuści, jak wytłumaczyłeś; może to być nudna rola w tym przypadku, ale nie poniżająca, a tem mniej upadlająca. Być pośrednikiem Marji! — To, com w jej bileciku czytał, jest treścią mego; to, co ona mówiła, ja myślałem słowo w słowo. Dwie strony jednostajnie zawsze strojne dla cudzych uszu przykre, ale już nie długo zapewne grać będą; zbyt napięte i którażkolwiek spękać się musi. — Obiedwie zatem.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, około 20 listopada 1822 r.)

Kochany Tomaszu!

Zaskoczyła mię niespodziana okazja, piszę w cudzym domu. Ale nie wiele cierpię na tem. Bo cóż mam pisać obszernie? Moje życie fizyczne i moralne zawsze jest jednostajne. A jeżeli przyjeliście systemat zapomnienia o mnie, na cóż się zda zasmucać Was doniesieniami, które nic w sobie pociesznego nie mają.

Tobie, kochany Tomaszu, za list przeszły mocno dziękuję. Ty powinieneś do mnie pisać, bo masz o czem, i doniesienie ostatnie prawdziwie mię pocieszyło. Jakiegokolwiek masz o ludziach wyobrażenie, cóżkolwiek myślisz o mnie, szczerze ci powiadam, iż z uczuciem wewnętrznej pociechy czytałem, iż ona jest spokojniejszą i że dobrze się bawi. Choć dobrze bawić się! wtenczas kiedy — ale dosyć o tem. Jest to ostatnie westchnienie miłości własnej. — Wstydzę się go, ale jest przemijające. Zawsze będę dziękował Bogu, a przynajmniej nie będę się żalił, jeśli ona zupełnie zapomni i będzie szczęśliwą.

Donieś to w rozdziałku następnym. Bądź zdrow — nie chowaj mnie, proszę, jej listków, Tomaszul Wiesz, że byłem niecierpliwy.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Franciszkowi, Czego?

Kowno, 20 novembra s. s. (1822).

Nie dowiesz się ze mnie nic o Wilnie ani o Twoich przyjaciółach, od których rzadko miewam listki, a raczej ausztuchy, kiedy idzie o kupienie książek i tytoniu. Będę zawsze pisał o sobie tylko, jak czuję i myślę od dawna podobno o sobie tylko? Co za skutek jeremjad żalosnych oprócz zasmucenia Ciebie? Wiesz, gdzie jestem, zgadniesz, jak jestem. Nie lituj się jednak zbyt nademną. Łatwiej jest przywykać, aniżeli odwykać. Przywykłem do wielu rzeczy. Kowno dla mnie staje się domem, Wilno gościąną, Nowogródek zagranicą. Dawniej duszą byłem w Wilnie; teraz nie mam tam chęci jechać. Przywykam do szkoły, bo mało czytam, mało piszę, często myślę i cierpię, a zatem potrzebuję zatrudnienia oślego. W wieczór gram w bostona w pieniądze, żadnych towarzystw nie lubię, muzyki rzadko słucham, bez pieniędzy nie mam interesu grać w karty. Byrona tylko czytam, książkę gdzie w innym duchu pisaną rzucam, bo kłamstwa nie lubię; gdzie jest opis szczęścia życia rodzinnego, równie mnie oburza, jak widok małżeństw, dzieci: jest to jedyna moja antypatja. Owożem opisany z głów do stóp. Niedostatek nowin wileńskich nagrodzi list Tomasza, rozmaity, czuły, zwięzły. Był on i dla mnie jedynym niekiedy korespondentem, pośrednikiem z Marją i równie umiał przyjemnie łechtać, i wynaleźć trafnie, co mi się podoba. Ale już wkrótce zerwiemy korespondencję. Reszta naszych w milczeniu zapomina się nawzajem, jedni oddani sobie (ja), drudzy oddani drugim (Janko), inni ani sobie ani drugim. Józef godzien litości większej, choć lituje się nademną, bo mocno czuje odmianę czasów. Przyjeżdża do Wilna, nikt się nie weseli, odjeżdża, nikt się nie smuci, pisze, nikt nie odpisuje: ja odpisuję. Byłem w Trokach, bawilem z nim dni kilka, pływaliśmy po jeziorze, chodziliśmy. Był to początek września, koniec roku przeszłego, a cały ten rok uważam za przyjemny epizod historii nudnej życia mojego. Odtąd nie mam co i o sobie donosić, chyba bym je-

dno powtarzał. — Trzysta rubli mnie dano. Wyjechać na wiosnę nie mam nadziei ani podobieństwa. Dobrowolski wiele wiedział o naszych rodzinnych interesach, ale nie od nas. Zdawał się nam sprzyjać. Zresztą sekretarz i dworak. Pisał niedawno do mnie, prosząc o egzemplarz *Ballad dla Glüksberga*, ale już niewielka liczba drukowanych rozkupiona, chyba przedrukujemy, wtenczas i Ty je mieć będziesz.

List jeden od Józefa do Ciebie podarłem, bo bardzo długi i pisany, jak gdyby z Wilna do Europy, a mógłby *drogo* nas kosztować. Dlatego i list Tomasza przeczytałem. Pisz do mnie, albo na moje ręce; listy z Berlina dochodzą tu w dziesięć dni. — Jak długo będziesz za granicą, jak kalkulujesz przynajmniej? Aż strach wspomnieć, ileż to na Twoje uściśnienie trzeba czekać, jeżeli je odbiorę jeszcze na tej ziemi! Kochany Franciszku, bądź zdrow. Józef nudzi po Tobie, i nikt miejsca Twojego nie zastąpi w jego sercu. Każdy list kończy wykrzyknikiem: *niemasz Franciszka!* Jeśli nie będę miał co pisać, a będę dłużny Tobie odpisu, prześlę listy Józefa.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w listopadzie 1822 r.)

Kochany Janie!

Skończyłem powieść i dzisiejszej nocy (bezsennej!) trochę przepisałem. Jest to pierwsza robota, której skończenie nic mnie nie cieszy, bo po większej części klepana *invita Minerva*. Za kilka dni będziecie mieli. Jeśliby, nim nadejdą *Dziady*, można było cenzurę uzyskać i zacząć drukować, toby było najlepiej; jeśli nie, tymczasem niech Józef stary i młody, Tomasz i Ty odczytają i uwag udzielą, gdzie co poprawić da się. Wszakże i *Dziady* byłyby dotąd, ale mię powieść dusiła, a pierwszą część *Dziadów* trochę poprawiam wedle uwag Borowskiego, niegdyś mnie czynionych.

Zresztą ze mną po dawnemu. Jestem zdrow, ale często cierpię splin; dziś nie spałem, nie skutek to kaprysów lub samowolnego dręczenia się, ale nudy i wreszcie pierwiastku jakiegoś niespokojności, która mi zdawna życie obrzydziła, a przeciw której lekarstwa moralne nie służą.

Wy bądźcie zdrowi!

A.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w grudniu 1822 r.)

Janie,

w poniedziałek.

Dziś poczta z Wilna, już jest godzina jedenasta, listu żadnego nie mam. Może karzecie mnie za niepisanie. Ale dawać mam wymówkę: co pisać? Przyjeżdżam do Was na święta, bo potrzebuję przejazdki, a Wy znudzilibyście się w Kownie, zimą i w mrozy; musielibyście w murach posiedzieć. Powieść wiozę, Dziadów dłuższych jeszcze nie poprawił, ale też niewiele będzie poprawy, ledwo w kilku miejscach. Nie mogłem wszystkiego pokonać dla złego humoru i choroby. Zęby mi wypuły się trzy znowu, nie wiem, co z nimi począć. Broń Boże, rozboleć się i zostać w Kownie; jeślibyście mnie do niedzielnego wieczora nie mieli u Siebie, przyjdźcie koniecznie do mnie. Na głowę też mocno cierpiałem. Blisko dwóch tygodni przeszło bez jedzenia i snu. Teraz zdrowszy. Ucieszyłem się mocno z uplacowania Onufra na ławach Masy. List Tomasza do Berlina natychmiast byłem posłał z moim razem. Dziwię się, że dotąd niema odpowiedzi.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, styczeń 1823 r.)

Janie!

Jutro w piątek mam od Was przyrzeczoną ekspedycję, za czem rozruszałem się także do napisania kilku wierszy. Oprócz zwyczajnego lenistwa czyli *kicygu* (*conf.* Edward względem objaśnienia) nie mało też mam biedy z oczyma, na których jęczmiona jakieś wielce mi dokuczają; nie mogę więc ani czytać ani pisać.

Ciekawy jestem, czyli tomik pierwszy drukuje się dalej; przepędzać trzeba bardzo Zawadzkiego. Dziadów część większą odesłać, nic nie umiałem poprawić. Gdyby nie opłakane obowiązywanie się do druków, poszłyby one pod czerwone sukno. W samej rzeczy lepsze o nich miałem wyobrażenie, nim teraz czytać zacząłem. Ale cóż robić? Nie bierz tego za przesadę lub fanfaronadę, ale jestem przekonany, iż oprócz ballad reszta jest zawczesna i jeśli dłużej pożyję, będą mi kłuc

w oczy te szpargały, ale powtarzam: cóż robić? Odeślę więc pod prasę. Do części drugiej niestaje kilku wierszy w dorobionem kilkunastowerszowem przejściu, a i te trudno mi dorobić, tak muza daleko uciekła, a Zosi żadnej do natchnienia nie mam.

A co się tyczy Zosi, muszę ci uczynić jedno wyznanie. Ów obrazek Karusi w *Dziadach* jest zrobiony podług tego, co o niej Tomasz powiadał. Zmieniłem imię tylko dla rymu, bo wiesz, że ideał Karusi jest wcale inny i zachowuję go na inne miejsce; jeśli więc jesteś w poetyckim humorze, daję ci pozwolenie, owszem proszę restituere textum, odmień imię i stosownie do tego przyjdzie podobno jeden czy dwa wiersze przerobić. Tobie udać się teraz powinno!

Co Lelewel powie o *Grażynie*? Namień, że jestem ciekawy słyszeć jego zdanie. Jeśliby *psiarnia Krzyżaków* wzięta twardo, odmienić na *zgraję Krzyżaków*.

Do Edwarda później; czekam jego wierszy.

Adam.

DO TOMASZA ZANA.

(Z Kowna, 30 stycznia 1823 r.)

Szanowny Tomaszu!

Odebrałem list Twój taki, jakiego się spodziewałem. Wiesz, czego w nim nie dostaje! Ale wymówki byłyby nudne, skargi dziwactwem, prośby po niewczasie. I mnie najlepiej znaleźć się jak o n a, to jest milczeć i poprawiać czarny pasek. W samej rzeczy, dziwactwem jest żądać, aby się inni ustawicznie nami interesowali.

Przezierając dawniejsze listy, widzę z odpisu umieszczonego treściwie w rozdziałku, iż coś pisałeś o swojej ulubionej temie, to jest niestałości. Może to jest prawda, niech sobie jest prawdą! — Ale Ty wydajesz się mnie podobny do doktora, który widząc rodziców, cieszących się z dziecka, jedynego pozostałego dziecka, woła gorzkim tonem: „Nie cieszcie się, to dziecko śmiertelne, umrze, umrze, umrze!” Kochany doktorze, zostawże podobne przepowiadania tym, którzy życzą śmierci dziecka, aby objąć po niem sukcesję.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO.

Kowno, 1 lutego (1823 r.)

Cóż się z Tobą dzieje w nudnych murach Trockich? Nie uwierzysz, jak mi trudno o list do Ciebie. Jeżeli zwyczajnym sposobem natłoczę pytań i doniesień (bo narzekań już dosyć) mógłby twój philosophirende Vernunft wnieść o stanie mojej głowy gorzej, niż jest w istocie. Jeżeli zaś chcę porządniej o sobie donosić, zastanawiam się i myślę i rozkopuję przywalony w piersiach moich Wezuwjust. Wtenczas lawa kamieni, dym, a w końcu difficulté d'être i już nie myśleć o liście. Dodaj jeszcze nudę zatrudnień szkolnych. Dziś przecież piszę. Dwa dni mrozów 29 grad. Nie było lekcyj. Jutro święto, jestem w wolniejszym humorze.

Zdrowie dotąd jakkolwiek, zęby milczą. Miałem też książki do czytania, Romanse Skota, Tragedje Sofoklesa i największej mnie interesującą spowiedź Göthego (N. B. Göthe znał człowieka, który znudzony jednostajnością życzył, aby słońce coraz z innej strony i w innych wschodziło kolorach). Ale za to mój talent poetycki, zdaje się, mnie całkiem opuszcza; mam wprawdzie wiele materji, układam je i kombinuję, ale że są na większą skalę, dzwonek szkolny, herbata wieczorna niszczy je i psuje. Niemalże także przyczyniło się do mojego zamieszania i wycieńczenia duszy, iż oddawna nie miałem nic o Marji. O Tomasz! Tomasz! Jadąc w Nowogródzkie, proszony i zaklinany nie zajechał; powracając, znowu zaklinany, nie zajechał! Marja, widząc prośby bez skutku, nic z nim nie mówiła, o nic nie pytała, nie prosiła, a ja dawno o nic nie pytam i nie proszę. Donosi mnie Tomasz te okoliczności tonem żartobliwym.

Pobyt mój w Kownie jest dla mnie fatalnym i może być gorzej; ale co począć? Jeśli mnie zatrudnienia nudzą, czasem dzień wolny bywa jeszcze nudniejszy. O powikłanych i fatalnych stosunkach z Kleopatrami nie donoszę, bobyś ich nigdy nie zrozumiał. Pisz do mnie, kochany Jeżu, o Sobie coś obszerniej.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, luty 1823 r.)

Kochany Janie!

Zawczora nie miałem czasu pisać do Ciebie, wyprawiając list do Tomasza i posyłkę do Morica. Dziady musiały już

dojść Ciebie. Zdziwisz się, nie znajdując żadnych popraw. Chciałem szczerze uczynić je znośniejszemi, ale mi niepodobna przenieść się duszą w one czasy, kiedy je pisałem. Stąd przewiduję, jak ta poczwarna kompozycja wyda się innym.

Tymczasem napisałem kilkanaście strof niby to prologu pod tytułem *Upior*. Nie mogę teraz na czysto przeprowadzić. Czekam więc poczty poniedziałkowej. *Dziady* jak są, przepis i oddaj Lelewelowi; obaczmy, co każe koniecznie poprawić. Już zdecydowano, że część pierwsza do tego tomiku wygotowana być nie może.

Edwarda pocałuj odemnie, a od siebie daj mentorskiego czuba, za co mi dotąd nie przysła obiecanej obławy ballad etc. etc. etc. etc. etc. etc.

.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, luty 1823 r.)

Janie!

Posyłam dodatek do *Dziadów*, na miejsce *Zdrowaś Marya*. Trzeba według terażniejszej poprawy przepisać. Małej to są wagi dodatki, ale przypominam, że są wzięte z natury i mogą urozmaicać jednostajność obrzędu, nadać cośkolwiek ruchu chórowi.

Przedmówkę również przepis i wszystko pokaż Lelewelowi niebawem, aby jeśli co każe poprawić, był czas potem w terażniejszej chudej epoce muz moich.

Nie mogłem wypieszyć w przepisaniu *Upiora*, ćwiartkowego prologu; zostaje na przyszłą pocztę.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, 15 lutego 1823 r.)

We czwartek.

Janie! Według obietnicy jedzie *Upior*. Kiedy w niedostatku dawnych bogów muza obcuje z djablami, nie dziw, że się tworzą podobne monstra. Ja ponieważ wydałem wyrok o dawniejszych płodach, o tym ogonie nic nie powiem. Nie masz tu ani piersi ogniem buchających, ani oczu zapalonych, bo tylko ogon. Ty, Janie, jeden z tych, którzy najlepiej tego

upiora zrozumieją, znajdziesz w nim interes; innym przyda się do zrozumienia reszty, na koniec jest to ostatnia podobna robota w tym rodzaju — przynajmniej na długo. Co się tyczy waszej protestacji przeciw zdaniu o *Dziadach*, jesteście dobrzy przyjaciele ojca, który ledwie nie wierzy pochwałam, tak hojnie dla dzieci sypanym. I, prawdziwie, jeden monolog w *Dziadach* dawniej zrobiony i całe drugie mniejsze *Dziady* nie są szpargą. Winniśmy nawet tę grzeczność dla Zosi.

.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, 19 lutego 1823 r.)

Janie!

Wkrótce uzyskam świadectwo, ale spytaj wprzód Joachima, czy można mieć nadzieję paszportu, bo jeśli mnie uwolnią, a nie puszczą wyjechać, co potem zrobić? Owszem zaraz po podaniu prośby należy rzucić obowiązek, a broń Boże! przypomną ową sprawę oficerską!

Strofę pocałunkową, lubo najpiękniejszą, wyrzucicie, jeśli potrzeba; gdybym miał co zamiast *Dziadów* umieścić, albo gdyby nie przymuszała do druku prenumerata, nie puściłbym tego i tak ułomnego dziecka z wylupionem okiem. Również strofę z *Upiora* pozwalam wyrzucić i nie wstawiać na to miejsce nie będę.

Zaczynaj druk i kończ, ile można najprędzej, bo tomik pierwszy z drukowanego drukowany włókł się haniebnie. Ostrzegam, aby w ciągu drukowania arkuszy nikomu nie pokazywać, tem bardziej nie dawać, bo jeżeli się rozgłosi, jeśli dojdzie do Bekiego, albo nawet dostanie się, uważ, co stąd wyniknie? Proszę więc i zaklinam o największą tajemnicę.

Ledwiem skończył czytać, tyle listów i wierszy! Ledwie ręka wystarczy pisać. Jestem trochę chory na piersi, nie stawię dziś pijawek, abym mógł list napisać.

Adam.

Do Tomasza teraz nie mam czasu. Z przeszłego listu, to jest z listu teraz przysłanego, ale wyższej daty, wnoszę, że my z nim nigdy się nie zrozumiemy.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, 26 lutego st. st. 1823 r.)

Kochany Janie!

Tak się zbałamuciłem twojami ostatnimi zapytaniem, co się tyczy tekstu *Dziadów*, że nie mogę zgadnąć, które z moich listów doszły, które zginęły, czy błędą jeszcze.

Lecz że powtarzasz zapytania, dla bezpieczeństwa odpowiedzi powtarzam. Pozwoliłem wyrzucić owe porównanie całunku, jak się pozwala oko wyłupić, aby głowę ocalić. Pozwoliłem wyrzucić ową strofę z *Upiora* bez wielkiej o nią troski. Co się tyczy gałązki kasztanu, można poprawić na: *cyprysu*. Dobywa szkarłatu zostać się musi, jest to zamiast *zdobywa*, *chce zdobyć*; nieszczęśliwy wiersz, ale nie umiem go poprawić, chyba: Drze się do szkarłatu. Jeśli sam nie znajdziesz co lepszego, wezwawszy na pomoc Edwarda, tedy zostawcie drze się do szkarłatu. NB. *Butatu* tu nie można, bo nie będzie sensu.

Na takie pan ich gniewał się *zagony* niech zostanie. Co te wiersze znaczą, nie mam czasu tłumaczyć. Nie pamiętam, czy zostało o motylu owym, który był głupim cenzorem? Donieś mnie. Chciałem szczerze poprawić tłumaczenie *Amalji* Szyllera, ale nie wiem, czy uchwycę. Oznajmij mnie, jakim porządkiem i formą idą materje.

Naprzód ma być *Grażyna*, po niej Noty historyczne, dalej tytuł *Dziadów* na ćwiarteczce, jak w pierwszym tomiku *Balady* i *Romanse*. Na tej samej ćwiarteczce, odwróciwszy *Upior*, potem na prawej stronie: *Dziadów część druga*, na lewej *Przemowa*, bez tytułu, tylko po prostu zacząć od wyrazów przemowy. Żebyś lepiej zrozumiał, przyłączam wzór na to. — Jeśli pierwszy tomik wydrukowany, przyslijcie mnie egzemplarz, albo dwa. Z drukowaniem prenumeraty wstrzymać się, bo muszę kilku prenumeratorów przypomnieć i wyszukać.

Posyłam prośby i świadectwa. Odczytaj i poradź się z Joachimem. Balbianiego niema, konsyljum być nie mogło. Jeśli trzeba co w prośbie odmienić, donieście rychło; o część pensji nie prosiłem i nie będę. Delikatność i sumienie nie pozwala. bo już miałem za rok *gratis*. Prócz tego trzeba byłoby czekać bardzo długo od monarchy rezolucji; tak rzeczy pójdą rychlej. Jeśli prośba dobra, oddać ją, zapieczętowawszy,

Skoczkowskiemu, bo według teraźniejszych przepisów należy przez dyрекcję wszystko odsyłać. Prosiłem o dwa lata. Jeśli zdarzy się miejsce, można po roku wrócić, jeśli uda się zabawić, paszport mieć dobrze.

Jestem teraz szczerze chory. Przez pięć dni nic nie jem prócz śledzi i kawioru; na lekcji ledwo wysiedzieć mogę, hemoroidy szczerze mi dolegają. Odsyłam list Franciszka. Ballada Edwarda *Wierność* dobra i wyśmienie tłumaczona, wszakże niektóre wiersze po mentorsku podkreśliłem. *Kasino* oszukało mię niepospolicie, nie spodziewałem się nigdy, aby je Edward napisał.

Na zapusty nie wiem, czy będę, bom niezdrów, czasy brzydkie. Finanse bardzo chude. — Chyba okazja, albo list Tomasza.

DO JANA CZECZOTA.

Poniedziałek d. 5 marca (st. st.) 1823 r.

Przecież nie znudzony i nie tak jak zwyczajnie zmordowany biorę pióro. A choć mi oczy bołą, że ledwie widzę, co piszę, i na dobitkę głowa od wczorajszego dnia dolega, myśl mam swobodniejszą. Odebrawszy list Twój przedostatni, chciałem natychmiast jechać do Wilna, a nawet z Wami za Wilno. Bo nieprędko, mój Janie, zdarzy się mnie widzieć razem ją i Ciebie, dwie tak drogie sercu mojemu istoty! Namyslałem się; wypadło jednak zostać. Położenie moje w tamtych stronach jest zawsze gwałtowne i ma swoje nieprzyjemności, których nie śmiem wymieniać. Nadto nie przysłaliście mnie ostatniego listu M., o co zawsze proszę Tomasza; z niego możebym instynktem wyrozumiał, czy moja obecność byłaby jej miła. Nie mówię o oczach, bo te ani *pro* ani *contra* nie wchodziły do rachuby. Zostaję tedy. Duszą tylko pojadę z Wami.

Równie długo namyslałem się o instrukcji (jak Ty nazywasz) i równie wypadło ją zostawić Twojemu rozsądkowi. Cóż mam polecać i o co prosić? jakie insynuować rozmowy? chociaż M. wie, że jesteś moim przyjacielem i piła Twoje toasty. Ale znajomość tak świeża nie ośmieli jej do poufałości. Wątpię aby Ci zadawała jakie pytania, chyba o zdrowiu, o powodzeniu etc., na to potrafisz *ex abrupto* odpowiedzieć. Nie awansuj nawet wlecie! Jeżeli będziesz w Suchym Lasku, nie dawaj poznać, że wiesz o scenach, które w nim zaszły.

Tomasz jest właściwie naszym interlokutorem, ale do Tomasza nie mam śmiałości pisać. Albo on mnie widzi fałszywie, albo ja jego; na nieszczęście, ten błąd widzenia zostanie na zawsze! Próżno tłumaczymy się przed sobą!

Kiedyś Tomasz pisał, iż gniewa się i wstydzi się, że go nazywam pośrednikiem. Nie wiem, jakie znaczenie przywiązał do wyrazu pośrednik; ale tak niewinne i szlachetne uczucia, które we mnie natchnęła M., a które jeden z moich przyjaciół tak podle tłumaczył, przyjaciel znający mnie i M., te mówię uczucia muszę głębiej jeszcze w sercu zamknąć, kiedy one źle wydają się na szemuświata, cóż mówić o cudzym świecie!

Ostatni list Tomasza był jeszcze dotkliwszy. Trzeba wiedzieć, że on, pisząc ciągle rozdziałki o niestałości, wróżył prędki zgon przywiązaniu naszemu; nazwałem go zato doktorem, który woła ustawicznie na rodziców: „Dziecię wasze, najpiękniejsze i jedyne, prędko umrze!“ Tomasz nawzajem napisał mi o tem dziecięciu, że jest niezmiernie chorobliwe i do znudzenia piskliwe! Nie umiem na to odpowiedzieć, aby nie przedłużać owego pisku! Nie gniewam się na Tomasza, ani go mniej kocham, ale on mnie nie rozumie.

Wszystko, o co miałem Ciebie prosić, zgadłeś sam, Janie; o dziennik podróży, o szczegóły, tyżące się jej zabaw, rozmów, sposobu życia. Odczytaj miejsce najlepsze w *Dziadach*: „Jak ona rano wstaje“ etc. etc. więcej o nic. Jeszcze nie o nic. Jeślibyś był dobry i chciał mnie skreślić obraz M., tak jak gdyby komu nieznanemu, zrobiłbyś mnie największą przyjemność. Ostrzegam, abyś nie pochlebiał, bo wszystkie Twoje pochwały nie zdołają ubrać jej lepiej, niż moja imaginacja. Pisz szczerze i po prostu. Niech Cię nie dziwi to dziwaczne żądanie; chcę Ciebie przymusić, abyś o niej jak najwięcej napisał. Jeślibyś nie znalazł nic idealnego i nadzwyczajnego, mnie tem ani obrazisz, ani zrobisz nieprzyjemności.

Prawda, że w *Dziadach* oburzyłem się na tych, którzy zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności i zalety; ale jest to momentalne, poetyczne uniesienie. Zresztą jestem w tej mierze dziwnie bezstronny i Ty nie możesz gniewać się, jeśli nie podziwiam Twojego zadziwienia dla Zosi.

.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna) 12 marca (st. st. 1823 r.)

Mój Janie!

Co to jest czekać tamtego listu przez dziesięć godzin! nie wiem, czy pojmujesz. W nocy śniło mi się, że go odbieram. Ale do dwunastej nie było pocztyljona. Nie wiedziałem, czy już powróciliście do Wilna, a o interesie świadectwo trzeba było pisać. Już tedy był list gotowy do Kowalewskiego, zakopertowany i zapieczętowany, już go odnosiłem, kiedy spóźniona poczta nadeszła. Ileż razy warto Cię ucałować, drogi Janie! List ten będzie na zawsze w moim pugilarzesie: obrazek Marji, gdzież miłsze znajdzie pomieszkanie? — Ale jak Ty prędko z Bolcienik, tak ja od tego listu muszę już odbiec dla naglących interesów doktorskich.

Adam.

DO RZĄDU CESARSKIEGO WILEŃSKIEGO
UNIwersytetu.

(Kowno, 25 marca 1823 r.)

Prośba.

Niżej podpisany, zostając od roku 1819 miesiąca września pierwszego dnia do roku 1821 miesiąca lipca w obowiązku nauczyciela w szkole powiatowej Kowieńskiej, musiałem dla słabości zdrowia stosownie do rady lekarzów prosić w ciągu tegoż roku 1821 o czasowe ze służby uwolnienie. Rząd Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu do prośby przychylić się i część pobieranej pensji wyjednać mi raczył. Odpoczynek jednoroczny, sposób życia odmienny, miały dobroczynny wpływ na zdrowie moje. Czując się znacznie pokrzepiony, sądziłem, iż będę mógł powrócić do obowiązków: jakoż z początkiem bieżącego roku szkolnego wszedłem znowu na służbę. Wszakże smutne doświadczenie przekonało mię, iż ten powrót był jeszcze zawczesnym. Dawna słabość odnowiła się w całej mocy i wzmagala się gwałtownie. Lekarze, których rady zasięgałem, nakazują mi porzucić zatrudnienia nauczycielskie

i udać się do wód Pirmontskich, tudzież w kraje łagodniejszego klimatu. Zmuszony więc jestem powtórnie wnieść z prośbą do Rządu Uniwersytetu, aby mię uwolnił znowu od obowiązków i jako zostającemu w służbie swego wydziału dopomódz raczył do wyjednania u zwierzchności miejscowej paszportu do wód pirmontskich, tudzież do Włoch i Francji, zwłaszcza, że smutny stan mojego zdrowia nakazuje mi ile możności wyjazd przyspieszyć. Ta powtórna względność Rządu Uniwersytetu włoży na mnie święty obowiązek, abym za powrotem — da Bóg — zdrowia, pracą i gorliwością nagrodził mimowolną w służbie przerwę.

Pisałem w Kownie roku 1823 miesiąca marca 25 dnia.

Adam Mickiewicz.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, 9 kwietnia 1823 r.)

Dnia 9 aprila w deszcz i słońce.

Powinienem był spodziewać się, że tak stanie się z moje-mi prośbami. Jednak doniesienie uderzyło mię w ciemię. Bawić się tu do wakacji jest dla mnie i fizycznie i moralnie prawie niepodobna. Postanowienie uniwersytetu jest przeciwne ustawom, bo każdy nauczyciel może się uwolnić dla słabości zdrowia u rządu uniwersytetu każdego czasu, jeśli o pensję nie prosi. Ale takie nasze fata!

Pytasz się, czy przyjadę na święta; więc nie odebrałeś listu, w którym o tem donosiłem?

.

Czy będziesz miał czas teraz uzyskać podoróżną na przyszłą pocztę, bo ja 14-go stąd wyjeżdżam. Chciałbym mieć na własne imię, czy można będzie, czy nie, napisz we czwartek, tylko nie przekłętą ekstrapocztą, ale pocztą naturalną.

Chciałem pisać do Dobrowolskiego, aby rychło prośbę ekspedjował; ale jeśli Franciszek powróci, to po co? za czem pojedę? gdzie mam zostać? w Kownie na rok przyszły nie będę.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w połowie maja 1823 r.)

Kochany Janie!

Jeśliś korespondował z Bolciennikami. donieś mnie tylko, czy zdrowa i donieś tylko, że zdrów jestem. Wyjechałem

od Was smutny, ale nie gwałtownie cierpiący. Ostatnie pożegnanie wszelkich nadziei ma w sobie coś spokojnego i melancholicznego. List ten, a zwłaszcza ostatnie słowa, dla Ciebie tylko.

Adam.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, 21 maja 1823 r.)

Dnia 21 Maja.

Janie!

Od czasu wyjazdu Edwarda żadnej nie miałem z Wilna wiadomości... Tem niespokojniejszy jestem, że u nas krążą dziwne pogłoski, jakoby Twardowski był zawieszony, czy aresztowany. Mają to za rzecz pewną. Domyślisz się, ile to nas interesuje, a ja nic nie wiem! Zmiłuj się! donieś po szczegółach o tej sprawie.

Gdzie się wizytator obraca? Jeśli Szerok jest w Wilnie, może wie, jak sobie ułożył marszrutę, albo może skąd inąd poweźmiecie wiadomość?

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, maj 1823 r.)

Cheer John!

Przecież dziś święto, mogę kilka listów do Was wyprawić, chociaż Wy coraz opieszalsi korespondenci...

Jestem zdrow, chrypka mnie po egzaminach na dni kilka oniemiała, teraz już mogę gadać. Piękne dni, spacer częsty niemało ożywia na pół martwą istotę...

Musisz wiedzieć, że przyszło dla mnie uwolnienie od kuratora, ale o paszporcie niema wzmianki; piszę teraz do Joachima. Oddaj mu list i poradź się, co robić...

Ostatnią pocztą pisał do mnie Łobojko; mocno uniesiony moją poezją, dziękował *für den hohen Genuss, Wonne und Leben*, którem oddychał, czytając moje *Meisterstücke*; muszę mu przyszłą pocztą odpisać.

Adam.

DO JOACHIMA LELEWELA W WILNIE.

Kowno, 31 maja. (1823 r.)

Łaskawy Dobrodzieju.

Do W. Pana Dobrodzieja zawsze po radę i pomoc. Przyszło mnie nie dawno uwolnienie na lat dwa, ale o paszporcie przemilczano. Zgadywałem, że się tak stanie, ale nie wiem, co teraz począć i z Puław nic mnie Błotnicki nie doniósł. Czy mam podać prośbę do rządu miejscowego? czy do uniwersytetu, albo wprost do kuratora? W. Pan Dobrodziej widzis tam bliżej okoliczności; poradź mnie, gdzie uderzyć. Nie śmiem prosić o odpis, abym mu drogiego czasu nie zabierał; co będzie zdawało się W. Panu Dobrodziejowi, o tem racz uwiadomić Czeczota, a ten ze mną się skomunikuje.

W. Pana Dobrodzieja zawsze wdzięczny uczeń i przyjaciel,

*Adam Mickiewicz.*DO JANA CZECZOTA
I ANTONIEGO EDWARDA ODYNCA.

(Z Kowna, po 11 czerwca 1823 r.)

Kochany Janie! Nie pisałem, bo wiedząc o wyjeździe, naturalnie czekałem powrotu. Wdzięczen Ci jestem, całuję Cię za list, jak go nazywasz długim, chociaż wolałbym więcej doniesień, a mniej uwag. Nie dlatego, żeby Twoje przestrogi były niesłuszne, albo mnie nie miłe, ale że do niczego nie prowadzą; a to jest mojem szczęściem czy nieszczęściem, że wszystkie nauki są dla mnie zgubione. Nie lituj się nademną tak bardzo i uważaj, że Ty, radca, częściej zmieniasz się, nie ja, potrzebujący niby rady. Przed kilku miesiącami cieszyłeś mię n a d z i e j ą, opierającą się na jej własnych rozmowach. Dzięki mojemu charakterowi, żem te pociechy obojętnie przyjął! Teraz mnie cieszysz, odbierając nadzieję — przyjmuję i to obojętnie. Moje opinie, czucia, postępowanie były jednostajne od tego czasu, kiedym pisał do Ciebie list z Tuhanowicz. Kiedym dowiedział się o uczuciach M., kiedym ją z bliska poznał, napisałem, że to będzie list ostatni żalów, narzekań i wykrzykników! I był ostatni. Wiedziałem, że jej uczucia nie tej natury, co moje, że ją straciłem, wiem,

co się z nią i co się ze mną stanie i nie uważam jej za bardzo nieszczęśliwą. Mylisz się, kiedy myślisz, że jej wesołość mnie smuci, a smutek pochlebia. Jest to maksyma filozofji Tomasza. Życzę jej wszelkiego szczęścia najszczerzej, ale nie wszelkie może mnie tyle, ile ją, pocieszać i dlatego nie o wszystkim chcę wiedzieć. Chciałbym nawet, żeby o mnie więcej nie słyszała. Ja będę o niej dowiadywał się, ale nie od drugih. Ten list spalisz; niech to będzie ostatnią rozmową w tej materji. Donoś mnie po prostu, co będziesz wiedział; niczem mnie nie zagniewasz. Podobno będzie za ciemne to tłumaczenie się, ale rzecz nie takiej wagi, żeby męczyć się nad wyjaśnieniami. Zgaduj, co nie jest widocznem. Nie mam nic sobie do wyrzucenia. Jeśli ona cierpi, miała wiele i słodkich chwil; nigdy jej nie chciałem dręczyć i nie będę.

Jestem zdrow. Zbliża się wakacja; myślałem jechać do Warszawy, ale brak kasy; nie wiem tedy, gdzie się obrócić.

W Szczorsach byłoby mi nudnie, a więcej nigdzie w Nowogródzkim byćbym nie chciał. W Wilnie także nudnie bez was, w Kownie niepodobna; myślę jeszcze nad wyborem.

Edwardzie — byłem w Romaniach. Bawiłem się dzień cały do dziesiątej w wieczór, nie mogę mówić, że bawiłem się, napadł mię splin, rozmowa pewna z Zosią zagniewała mię i twoja *Bella* wiele u mnie straciła łaski. Ton także wewnętrzny domu wysmażony, a pana Maurycego dziecinny, nudził mię. Zapraszany mocno i usilnie na Zielone Świątki nie wyjechałem, bom lepiej bawił się w Kownie. Pytano się, czy będziesz Ty w Kownie i ja się pytam. Jeśli przyjedziesz, śpiesz przed Św. Piotrem, albo na Piotra lub w dzień potem. Czy przyjedziesz, czy nie, donieś o tem wczśnie, żebym nie czekał i jak przyjedziesz? Szpilka podobała się bardzo Zosi. List znalazł się.

Jeśli nie przyjedziesz, zostań w Wilnie, abym Cię za przyjazdem widział i z Tobą się pożegnał przed rozjazdem wakacyjnym.

DO JANA CZECZOTA.

(Z Kowna, w końcu czerwca 1823 r.)

Kochany Janie! *Siadłszy płakać*, jak to mówią, gdyby takie fraszki były warte płaczu. Przed kilku miesiącami, pi-

sząc ową nieszczęsną prośbę, przeczuwałem, co stąd będzie, ale już się stało. Nie wiem, co począć, bo los, czy zrządzenie, wszystko płacze koło mnie.

Pojechałbym zaraz do Wilna, gdybym miał podoróżną, ale Ty mnie wówczas obrotnego nie dałeś, żydom święto, koni niema, tymczasem zbliża się pierwszy. Bartoszewicz nadjedzie i zagadkę rozwiąże. Pisać o zatrzymanie mię w Kownie nie mogę, nie mogę pióra zmusić do tak nieszczęsnego pisma, uczniowie tutejsi zbrzydli mnie do ostatka; wszakże zatrzymałbym się, gdyby była jaka perspektywa odmiany miejsca po kilku miesiącach, ale na cały rok! Wszystko było spiknęło się na mnie; wyjechałeś z Wilna, Chlewiński miał mnie zabrać i dotąd nie przyjechał, podobno siedzi w Wilnie, nie miałem za czem do Wilna jechać, bo kilka listów proszących o resurs zostało bez odpisu, i do tego przyszło, że dwa dni bez obiadu byłem. Teraz niespodziane mianowanie Bartoszewicza, czas krótki, do ostatka zwickłały. Pisałem dawniej do dyrekcji, że będę służył do wyjścia paszportu, miałem plan zabawić jeszcze z miesiąc, rozsluchać się, spróbować i potem, jeśli sprzykrzy się, rzucić; ale teraz upierać się przy miejscu, później w kilka tygodni znowu chorować, byłaby arlekinada.

Przyślij mnie podoróżną przyszlą pocztą, to jest na piątek; jeśli Bartoszewicz nie zjedzie tu, może jeszcze narodziwszy się i obaczywszy z rektorem, zostanie. Przyślij podoróżną.

Tysiączne okoliczności jeszcze. Należałoby skończyć trzeci tomik. W Kownie tego nie dokażę, w Wilnie nie wiem. Przy tylu niepomyślnościach muza całkiem mnie opuściła i kto wie, czy nie na zawsze. Mam tu jeszcze przyjaciółkę, która mnie osładzała pobyt, skąd inąd nieznośny; przywykliśmy do rozmów, do uwag, do zabaw wspólnych. Mój odjazd bardzo ją zasmuci. Przyślij mnie także z piętnaście a przynajmniej dziesięć asygnacyjnych rubli.

DO TOMASZA ZANA.

(Kowno, b. d. 1823(?))

Tomaszu.

Przepędziłem wakacje w Kownie, nic o was nie słysząc, żadnego od was listu nie mając. Przecież terażniejsze moje pismo nie będzie ani biografją ani jeremjadą, stąd spodziewam

się u Ciebie zasłużyć na imię rozumnego. Wszakże trudno mi pióro powściągnąć. Wspomnienie twego imienia, połączone z tylu okolicznościami, wzbudza we mnie mimowolne jakieś uczucie, którego nie tłumaczę sobie, nakształt piosenki, którą słyszeliśmy niegdyś kiedyś w dzieciństwie, której przypomniać nie możemy. Ale to nie jest list sentymentalny, jesteś na zawsze wolny od korespondencji, która cię kosztowała wiele niesmaku, nudy, a czasem smutku. Teraz piszę w interesie ekonomicznym. Wyjechałem do Kowna z małym resursem i miałem powróciwszy od Chlewińskiego znaleźć w Wilnie zostawione od Jana pieniądze. Teraz u Chlewińskiego być nie mogłem i pieniędzy nie mam i na kilka listów nikt mnie nie odpisał. Zmiłuj się, pomów o tem z Janem, jeśli powrócił lub z Onufrym lub z Fronczkiewiczem i przyślij mnie, wiaływszy od nich, przynajmniej dziesięć rubli, bo tu nie mogę u nikogo pożyczać, kiedy wiedzą, że w Kownie nie zostanę.

Adam.

Zmiłuj się, odpisz natychmiast.

DO JASŃIE WIELMOŻNEGO REKTORA CESARSKIEGO
WILEŃSKIEGO UNIwersYTETU RADCY DWORU I KAWALERA
JÓZEFA TWARDOWSKIEGO.

Prośba.

(Wilno, 22 czerwca 1824).

Niżej podpisany, gdy przed kilku miesiącami dla nagłego wyjazdu z Kowna nie mógł dokończyć tak prywatnych interesów jako też zdania sprawy tamecznemu dozorczy i biblijoteki, którą zawiadywał, sądzi zaś za rzecz konieczną wszystko to rychło ułatwić, ośmielam się więc wnieść w prośbę do JW. Pana Dobrodzieja, abyś mu raczył dozwolić wyjazdu do Kowna, przyrzekając, że na pierwsze zapotrzebowanie stawić się nie omieszka.

Dan w Wilnie roku 1824 ma Junii 22.

Adam Mickiewicz

nauczyciel były Szkoły powiatowej kowieńskiej.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W WILNIE.

B. d. Kowno, (około 7 lipca 1824(??))

Franusiu kochany.

Przybyłem tedy na wakacje do?? Kowna?!... i zaraz projektowałem, gdzie z Kowna wyjechać. *Quid terras vario callentes sole mutamus? super equitem sedet atra cura!* Choć nie jestem ani smutny ani znudzony, przecież mimowolne *principium mobilitatis* obraca się ciągle we mnie. Jest to zepsuty kompas, który zmienia ciągle kierunki, ale już stracił pierwotną własność i nie może trafić na swój biegun.

Nie zabawię w Kownie nad dwa tygodnie; czas dotąd zabrały wizyty i ekskursje (nie tak dalekie, jak myślałem). Jeślibyście z Marjanem wybrali się na dni kilka do mnie, zrobilibyście arcymądrze, bo coż tam siedzieć w Wilnie? Wprawdzie i ja pojedę stąd do Wilna. Przypuśćmy wasze przybycie, oznajmcie, ażebym wiedział, kiedy czekać; stancij mam tyle, że mógłbym cały szwadron zmieścić.

Mało co myślę i czytam, jednak Szelinga połowę ubiłem, nic nie znajduję niezrozumiałego a nawet bardzo głowę łamiącego, wyjąwszy niektóre termina *aus der Schulsprache*, rzeczy piękne.

Czy odwiedzasz chore moje kuzynki; niema komu teraz ich pocieszać; donieś mnie, czy gorączka zawsze równie mocna i czy widzenia ciągle mają i czy nie powinienem prędzej przybyć, niż zamierzam. Aleksander musiał wyjechać. a pieniędzy nie przysłał; mnie będą potrzebne; jeżeli od Polińskiego nie odebrał, sam odbierz i z Jurewiczem też obacz się.

Di piacere mi ball' il core! pozdrów pannę Marję i łaskawą śpiewaczkę.

Adam Mickiewicz.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W WILNIE.

B. d., Kowno (około 14 lipca 1824(?)).

Mój kochanku!

Do Połagi jadę!... Cóż na to? cóż przeciwko temu? Słuchajcie, słuchajcie! Gdybym miał talent Sterna, a przynajmniej naszego Vice-Sterna, sławny byłby paragrafik, gdy-

by tworzenie się tego projektu opisać. Dwa oryginały (ja z nich jeden) zaczynają rozmawiać o podróżach, o morzu, i dalej, dalej; nareszcie rozmyślamy, układamy, kończymy. Będę miał dobrego kompana i koszt niewielki. — Przyjechałem tu dla czytania i pisania w dzień, dla bawienia się w wieczór: i jak ów cesarz chiński, projektujący siedm dni zabawy, podobnie i ja wyszedłem. Wena nie bardzo służy; wszyscy z Kowna wyjechali, to na wieś, to do morza: *n. b.* wszyscy!... Tydzień więc przepędziłem samotnie, nie mam po co wracać; a choć i tam nie wiele obiecują zabawy, jednak droga tam i nazad i kłapanie się dziesięciodniowe ma za sobą wiele awantazów ze strony ruchu. A więc: Piszę prośbę do Rektora i obowiązuję ciebie, abyś poszedł i przynukał jej ekspedycję koniecznie na piątek, bo w piątek myślę w drogę.

.

Co się tyczy Kanta czy Kantu (nie umiem go nakłonić, deklinować), przypominam ostrzeżenie Śniadeckiego, że ten Kant wiele głów zawrótł; a chociaż się z tej strony nic nie lękam, według tej maksymy starożytnej, że pewni ludzie nie boją się rozboju, wszakże Kant zawsze niebezpieczny. Kiedy nawet z Szelingiem lichy!

Nie czytałem pierwszej jego dodatków: tam sęk; tam ani ugryźć! Jego rozprawa o *absolutum* zdaje się, nie warta mojej. *Absolutum!*... Jak ty mogłeś ostrzegać, żebym się w niem nie nurzał tu w Kownie! Czy Ty przypominasz, co przed kilku laty pisałem ci nieraz: że to nie jest moje *absolutum*. Cóż jest... Czytaj kilka wierszy z mojego pugilaresu, nowego, kościanego:

Do***

W Sztambuch.

Ku różnym stronom ściągnęliśmy dłonie,
W różnych mieszkają światach nasze myśli,
Oczy ku różnej wyglądały stronie.
Jakże, o luba, ku sobieśmy przyszli?
Jak gwiazdy równe wielkością i kształtem,
Do przeciwnego wyrzucone biegu,
Kiedy je niebo jednostajnym gwałtem
Wiecznie odtrąca od każdego brzegu.
Wieczni wygnańce z powszechnego świata,
Jestże to dla nich szkoda czy korzyścią.
Że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata
I że się muszą kochać — nienawiścią!

Na tem koniec. Nie myśl, że do morza jadę, zatem *feindliches Gestirn*. Będziem wcale w różnych stronach.

Cóż robią moje chore siostry? Ich wspomnienie truje mnie całą przyjemność, jaką obiecuję z tej podróży.

Jeżelibym przed pierwszym augusta nie powrócił, zdejm moją pensję od Polińskiego i wyślij do Dobrowolskiego, aby mię czekała w Kownie. Muszą być moje finanse nienajlepsze. kiedy nie jadę do Wilna dla pożegnania Ciebie i sióstr chorych.

Pannie Marji chciej mnie przypomnieć. Może w Bałtyku obaczę syreny; a ponieważ mam śpiewki *Hej, hej, co to starzy etc.*, dam im nuty i obaczę, czy potrafią mnie tak zachwycić jak nasza syrena, której oświadczyć ukłony moje.

N. B. Przypominam, że podług Moora syreny śpiewają patrząc na konchy, kędy są krążki na kształt generał basu. Będę tych konch mocno szukał.

W piątek twój list w kieszeni i w drogę; czwartego lub piątego sierpnia napowrót w Wilnie.

Twój Adam Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA.

(Kijów, 5 lutego 1825).

Kochany mój Edouard! „I unosisz się i łajesz i jęczysz i krzyczysz!” Dla czego nie pisałem, spytaj mego brata Aleksandra, bo nie chcę ekskuzami zabierać małej ćwiarteczki. Jestem zdrow, jadę z północy na drugi koniec Europy w dobrym humorze. Dziś dnia 5 lutego biwakowałem w Kijowie, a ile razy wspomnę o Litwie, bądź pewien, że Ty jeden z najpierwszych stajesz przedemną. Myślałem wiele o Tobie w Petersburgu, ale ze smutkiem wyznam, nienajpomyślniejszy był wypadek moich rachunków. Orientalizm wymaga kutej na cztery nogi pracy i kosztu na rok jeden. Pierwsze i drugie dla Ciebie nie wiem, czy łatwe; wszakże mam nadzieję, że do tamtego Ty się skłonisz, a to da się jeszcze ułatwić. O wszystkim napiszę do ciebie, gdy będzie co pewnego.

Masz tu jeszcze obcy dla Ciebie interes. Nie miałem czasu i papieru pisać o tem do Aleksandra. Tyczy się to sprawy Rostockiego. Przeczytaj tę kartkę Aleksandrowi. Podnieść dekretu sądu głównego niepodobna dla różnych okoliczności; apelacja była nieszczęśliwie przepuszczona, ale słyszałem,

że na prośbę Rostockiego samego sprawa poszła „śledztwiennym porządkiem“ i trafi wkrótce do senatu. Niech Rostocki jak najprędzej zrobi „zapiskę“, tylko nie tak kusa jak pierwsza, i niech tam sprawę ile możności wyjaśni, jak gdyby miał wkrótce przed senatem wyklądać. Tę zapiskę przesłać należy do Petersburga, pod adresem Kwiecińskiego, tytularnego sowieтника na „Bolszoi Mieszczajńskiej, w domie Telskiej“. A on będzie wiedział, co z tem zrobić. Do Kwiecińskiego napisać, że to jest interes, o którym ja mówiłem.

Edwardzie, pisz mnie do Odessy pod adresem Cybulskiego aptekarza i przypomnij mnie moim znajomym, a szczególnie pani Guttowej, pani generałowej i całemu jej domowi; pani Macewiczowej i mojej szanownej pannie Józefie. Jak tylko przyjadę do Odessy, będzie miała list odemnie, chociaż mnie już jest dłużną parę odpowiedzi.

Olesiowi i Julianowi pokłoń się; tobie i im kłania się Franciszek.

Adam.

DO A. E. ODYŃCA.

(Odessa, luty — marzec 1825 r.)

Edouard! Nic dobrego jesteś, milczysz, a mnie strofujesz. Jeśli na tę odezwę nie odbiorę odpowiedzi, kasuję Twoje imię z rejestru korespondentów na dwa miesiące, a przynajmniej na dwie pocztę. Czyż to przybrało Ci się na materiałach listowych? Pewny jestem, że gdybyś mnie przysłał spis wizyt, które co dnia oddajesz, miałbym na każdy dzień dobrą ćwiarstkę bitą, bo jedna wizyta do Collegium juridicum niejednokrotnieby się tam powtórzyła. Cóż dopiero mówić o tych innych wiadomościach dla mnie ciekawych, zaczawszy od poezji, a kończąc na kiksie? Uważ tedy to wszystko, zrób sumienia rachunek i popraw się. A ja Ci z mojej strony będę płacił buletynami wojażów.

Przekroilem teraz całą Europę z północy na południe, a co dziwniejsza, w jednych saniach; rzecz tutaj niesłychana. Przebywałem step nieprzejrany, gdzie między stacją jedną a drugą nic prócz ziemi i nieba nie widać na przestrzeni wiorst blisko trzystu. Zbaczałem też z gubernji kijowskiej trochę z drogi na wieś i oglądałem po raz pierwszy skały, o których tylko z książek wiemy. Był to dla mnie widok nowy i zaj-

mujący: ogromne piętra granitu i ponure między niemi wąwozy, wychodzące znowu na wielkie równiny, kazały żałować, że ta scena nie przedstawiła się oczom moim latem, kiedy ją upiększają wody, zieloność i winograd. Czemże to być musi kaukaski olbrzym, kiedy te pigmeje tak poważnie wyglądają? Postanowiłem widzieć Kaukaz. Tymczasem nic tu jeszcze nowego nie znalazłem. Pora słotna i wiatry zimne, jakich tu w porze tej wcale nie pamiętają, albo też błoto trzyma mnie w zamknięciu. Cieszę się tylko nadzieją lata, które tu zaczyna się w kwietniu, a którego tu wszyscy boją się dla skwarów i pyłów.

Nie piszę jeszcze do panny Józefy, muszę dla niej razem zebrać wiadomości lądowe, morskie, powietrzne. Teraz pójdź do W. Macewiczowej, ucałuj odemnie rączki szanownych przyjaciółek. Pannie Józefie donieś, że tu w Odessie za apelcyne płaci się teraz trzy nasze grosze, rodzynek, fig, migdałów, daktylów bez miary i za bezcen. Słysząc, że orzechami włoskimi ulice brukować będą. Od konfitur zapach na miłę słysząc około miasta, woda zaś tak zdrowa, że mi od niej zęby odrastać zaczynają. Jakież to muszą być kąpiele! Resztę wiadomości, co się tyczą sklepów, branzoletek, szalów etc., na potem.

Kochany Edwardzie. Ty jesteś podobno mój jeden wileński korespondent, znasz moich wszystkich znajomych alboś słyszał o nich. Donieś mnie o tem, co mnie interesować może. Chciałem pytać się Ciebie o wiele rzeczy do mnie prywatnie ściągających się; może się kiedy zapytam, jeśli tu na zawsze zostanie.

Twój Adam Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA.

(Moskwa, dnia 22 lutego 1826).

Jest zawsze trochę bałamuctwa w rozmowie ustnej czy pisanej między ludźmi różnego charakteru, a co gorsza, wieku. Jeden drugiego na swoją skalę mierzy. Tak sobie tłumaczę Twoje długie żale i zakłęcia. Podług Ciebie, czy kto pisze, czy milczy, zawsze musi mieć powód w namiętności, kochaniu, gniewie etc. etc.; lenistwo, okoliczności postronne nie wchodzi w rachunek! Jeśli koniecznie szukałeś hipotezy na objaśnienie milczenia, lepiej było przypuścić, jak inni, że już

umarł; byłby na tem koniec, i hipoteza od drugiej nie fałszywsza. Więc tedy powtarzam, że się zgola nie gniewałem; wszakże była mała przyczynka jeszcze zawieszenia korespondencji, po odebraniu listu Twego z Wilna w Odessie. Rozpisałeś się tam nieco; nie umiałem Cię w biegu zatrzymać i nie chciałem dalej w pole wyprowadzać. Trzeba ze starymi ludźmi bardzo powoli i uważnie rozmawiać, na humor ich mieć baczenie! Trudno mi tłumaczyć się jaśniej, widziałbyś w tem nowe dziwactwo. Koniec końców nie gniewałem się na Ciebie. Słyszałeś zapewno o moich kursach lądowych i wodnych; nie mam ochoty rozpisywać się nad nimi. Ciekaw jestem niektórych okoliczności Twojej podróży. Napisz mi obszerniej o Ursynie, czy nie utworzył czego nowego? o Brodzińskim, jeśliś go poznał, co zacz jest? o Zaleskim etc. Bardzo rad jestem z pism obiecanych; ale *Biblioteki*, jakoby z listem posłanej, dotąd nie odebrałem; może zjawi się jeszcze na pocztce. Co się tyczy moich poezyj drukowanych zaocznie, pierwszy raz ujrzałem je w Charkowie, z niemalym gniewem. Nie chciałem nigdy wierzyć, abyś zrobił takie dzieciństwo. Owa bazgranina do Chodźki, błaża, śmieszna nawet, gdzie się porównyвам do orła, bardzo skromnie! Powinieneś był protestować się publicznie, że to apokryf; jakoż nie wierzę, abym choć po winie mógł tak nikczemne robić wiersze, jakich tam jest kilka. Skoro odbiorę dziennik, pošlę sam stąd protestację.

Dobrze, żeś przyjechał, lubo nie wiem, po coś jeździł, i co teraz robisz, i czy w Wilnie zostaniesz? Weź moje interesa po zacnym Marjanie, który, jak słyhać, ma je porzucić dla odjazdu. Pomów o tem z Aleksandrem, lubo nie wiem, czy się kiedy razem na co zgodzicie.

Moja muza, długo niema, zaczęła wreszcie ruszać się trochę; ale w tym zaraz momencie odebrałem rozkaz wyjazdu. Tam żyłem, jak basza, tu jak ostatni janczar. Nie mam osobnej kwatery, stół najlichszy, wina nie słyhać, kawy nawet dobrej niema. Nadzieja poprawy jest na waszych obrotach bankowych.

Adam.

DO A. E. ODYNCA.

B. d., (Moskwa 1826).

Kochany Edwardzie! Musiałeś być nieco w kwaśnym albo nieco skwaszonym humorze, kiedyś list ostatni zaczynał: popisałeś tam rzeczy, które możebyś potem wymazał. Jak źle tłumaczysz wyrazy moje! Wiesz, jak leniwy jestem w pisanii listów i żadnego do nich nie mam talentu. Czaszka moja w gabinecie Galla mogłaby zasłużyć na najdoskonalszy kontrast z główką pani Sevigné. Chwytam pióro, bazgram, co się przez myśl kręci; nim jeszcze rozjaśni się w głowie, już jest na papierze. Dlatego ciemno trochę tłumaczyć się mogłem, ale serce Twoje powinno by (być) lepszym dla mnie komentatorem. „Starszeństwo“ moje! Ładaco jesteś, Edwardzie, i sam nie wierzysz temu, coś napisał, jakbym ja w innym, w szerszem znaczeniu brał starszeństwo, które mnie chętnie przyznajesz. Muszę powtórzyć, że starszy jestem, bo mam gęstszą brodę i przygasłe nieco oczy i więcej doświadczenia i więcej rozumu, ale nie powiem, że więcej duszy i talentu. Lata niezbyt nas różnią. Wszakże Niemcy słuszne mają przysłowie: „Viel Leben i lang Leben“. Twoją przyjaźń nazywasz zabawką dla mnie i cytujesz „Dziady“; jest to bardzo niezgrabna cytacja. Najmłodszym jesteś z moich przyjaciół, ale najmłodsze dzieci nie są najmniej miłe rodzicom. Dosyć już, dosyć — mogliśmy obadwa źle siebie rozumieć, i na tem koniec.

Za wiadomości literackie nieskończenie dziękuję. Opisy zręczne i zajmujące. Cała scena ze starym Ursynem mocno mnie wzruszyła; szkoduję, że temu zacnemu poecie nie posłał moich dziełek; jeśli wkrótce tomik skończę, pošlę razem przez Ciebie, tymczasem ucałuj go w rękę odemnie.

Z „Biblioteki“ wyczytałem różne zdania o nas obydwu. Przyszło na myśl zdanie moje o zamku Kitl-Katl. Chcesz, żebym Ci poparł dowodami, nie mam teraz pod ręką dzieła, bom Ci pożyczył. Że Warszawianie różnią się w zdaniu ze mną, nic dziwnego; może być przy nich, może przy mnie słuszność, ale co jest pewna, to, że dotąd ludzkiej recenzji o Twoich dziełach nie czytałem i widzę w recenzentach ciasny sposób widzenia. Jedni Cię przechwalają, drudzy słuszności oddać nie chcą, żaden z właściwego punktu nie uważał; co

dziwniejsza, żaden nad wynalezieniem i charakterem Twoich ballad zastanawiać się nie chciał.

.

DO TOMASZA ZANA, W ORENBURGU.

(Moskwa, 9 czerwca 1826.)

Kochany Tomaszu!

Ledwieby pojąć można, takie w nas niedbalstwo i ociężałość do korespondencji. Od lat nie wiem wielu, kiedyśmy pożegnali się na stacji Poniemuńskiej, aż dotąd, jeden tylko od Ciebie był listek; następnie kilka miesięcy milczenia, pomimo naszych odezów, nabawiało nas niemalej niespokojności. Chciałem pisać, ale myślałem, że miejsce pobytu odmieniłeś, że może w drodze do nas jesteś. Szczęściem Jan odezwał się; ale o Tobie ani słowa jednego nie napisał, każe tylko listy pod Twój adres wysyłać: skąd wniosek, że żyjesz, i co gorsza, dotąd jesteś na miejscu. Umyśliłem tedy zostawić na ten raz Jana bez listu, Ciebie zaś na nowo wyzwąć. Tymczasem pismo moje prześlij Janowi, aby powziął o mnie krótką wiadomość.

Od decembra, jak wiecie, jestem w Moskwie, zdrów dosyć; mógłbym powiedzieć: zdrów zupełnie, gdyby mnie oczy nie dręczyły. Mieszkam razem z Franciszkiem i Jeżem; mamy swój stół dosyć dobry i nieźle vegetujemy. Książka nie często w rękę; częściej szachy, prawie zawsze gawęda. Znajomości żadnej i kompanii, oprócz własnej, nie mamy. Wyjmuje się pan Onufry, który jest syndykem tutejszej parafji: stąd często na chrzciny i zaślubiny i pogrzebiny zaprasza się: z księżmi, akuszerkami i sekretarzami znajomości uprawia; zawsze mocno zajęty, pełen interesów i ciągle się śpieszy, jak gdyby miał gdzie iść na *rendez-vous*. Budrys czyste *negative* Onufrego, zawsze *impassible*: pali lulkę dzień cały i patrzy na świece wieczorem; do szachów staje zawsze, w matematykę niekiedy zagląda. Daszkus kurierem pojechał za interesami banku i wkrótce powróci. Ale skończmy na tem, od czego niemiecka filozofja zaczyna: to jest *ja*. Otóż *ja*, żyjąc z nimi, mało się od nich i zewnątrz i wewnątrz różni. Od wyjazdu z Odessy, gdzie miałem jak pasza, muza moja zleniwiała: nie mogę skończyć powieści litewskiej, która ma trzeci

tomik kompletować; wszakże mam nadzieję, że ją skończę. Trzeci ten tomik mający się urodzić, jak *Tristram* Sterna, różne ojcu robi nadzieje. Nie wiem, ile sławy zyskam, ale co ważniejsza, finanse poprawię. Dotąd i w tej kategorii dosyć szczęśliwie wychodzę; mogę Wam nawet przesłać kilkadziesiąt rubli, jeśli mi pewny adres przyślesz.

Donieś o szczegółach, o życiu swoim, i uczynź też wzmiankę o Suzinie, co się z nim dzieje. Bądź zdrow. Niech Cię Bóg pokrzepia i rozum utrzymuje, a nadzieja zasila. Zbliżający się obrzęd koronacji najjaśniejszego Cesarza nam pomysłniejszą wróży może przyszłość; może łaskawy monarcha i na nas zwróci oczy.

Twój, Adam Mickiewicz.

DO GERMANA HOŁOWIŃSKIEGO,
MARSZAŁKA WOŁYŃSKIEGO.

(Moskwa, dnia 23 czerwca 1826)

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju.

Ustawiczna wędrownia moja po różnych końcach państwa jeszczeby dość była znośną, gdybym mógł drogę wedle upodobania obierać. Oddalając się z Odessy, miałem nadzieję znowu odwiedzić Steblów, i w szanownym, przyjacielskim domu JW. Pana Dobrodzieja odetchnąć jeszcze raz powietrzem Ukrainy, nim ją na długie czasy opuszczę. Inaczej zrzuciłyby okoliczności, musiałem jechać przez inne nieznanome strony ku stronom daleko nieznanym. Od dziewięciu miesięcy przebywam w stolicy Moskwy jako *czynownik*, w kancelarji JW. Generał-Gubernatora; zacny ten mąż pozwolił mi spokojnie gotować się do służby, nim się nauczę języka i uformuję nieco charakter. Praca ta na nieszczęście idzie zbyt trudno, i trzeba jeszcze mi wiele czasu, nim zostanę aktualnym piszczykiem. Darujesz JW. Pan te drobne szczegóły. Ludzie żyjący samotnie, nie zajmujący się niczem ważniejszym, zwykli wiele mówić o sobie i radziłyby wiele słyszeć o swoich przyjaciółach.

Z najszczerzszym szacunkiem JW. Pana życzliwy i obowiązany sługa,

Adam Mickiewicz.

DO PANI BONAVENTUROWEJ ZALESKIEJ.

Moskwa, dnia 27 septembra 1826.

Zimujemy w Moskwie. Gdybym wiedział, że projekt Państwa ma przyjść do skutku, choćbym otrzymał pozwolenie wyjazdu, czekałbym zapewne przyjemnej chwili obaczenia się z tak dobrymi i zacnymi przyjaciółmi, ale nasze nadzieje pogasły z ostatnim blaskiem lamp tutejszej iluminacji, i trzeba mieć wielką dozę imaginacji, aby jeszcze spodziewać się czegoś. Powrót zupełny nigdy nie był do prawdy podobny, kilkomiesięczne uwolnienie, chociaż trudne, może jeszcze nastąpić, ale w każdym przypadku nie wyruszę, nim Państwa w murach naszych nie powitam. Jeszcze mi nie chce się wierzyć w skutek pomyślny zapowiedzianej podróży Państwa, lękam się przeszkód, na których nigdy nie zbywało, kiedyśmy oczekiwali jakiej przyjemności, ale prostą obietnicę biorę za formalne przyrzeczenie i nie zaniedbam w każdym liście aż do znudzenia dopominać się o skutek.

.

Fałszywe, rozniesione o nas w Odessie wiadomości, bawią mnie, ale nie dziwią. Miałem zawsze jakieś szczęście zatrudniać języki ludzi, którzy najmniej losem moim zajmować się byli powinni. Z ich łaski byłem dwa razy utopiony, raz rozstrzelany, kilka razy zamknięty, nie licząc innych mniej tragicznych rodzajów śmierci. Często zadaję sobie pytanie, azali ma sprawdzić się na mnie stare przysłowie, że „co ludzie gadają, to wygadać muszą?” Cokolwiek bądź, mam nadzieję, że choćby mi przyszło jeszcze z parą razy umrzeć albo podróżować, mimo to wszystko w nowembrze oczekiwać Państwa będę na drodze z Odessy.

Co się tyczy jakiejś czarnej melancholji mającej mnie dręczyć, upewniam Panią, że to medyczne doniesienie jest równie prawdziwe, jak dawniejsze polityczne. Bez wątpienia możemy powtarzać ze sławnym żurnalistą: *dans notre position, il n'y a pas un petit mot pour rire*, ale męski charakter, zasady, a nawet miłość własna nie pozwala mi być słabą ofiarą okoliczności. Nie jeden dziwak w pomyślności sam sobie troski i biedy wynajduje, a w smutnem położeniu, przez dumę albo również dziwactwo, stara się jakkolwiek pasować z losem. Na nieszczęście, daleko więcej zawsze przeciwnych

niż pomyślnych zdarzeń i dlatego podobne dziwactwo nie jest bardzo szkodliwe.

Panu Bonawenturze wszyscy zasyłamy ukłony, wszyscy prosimy o wytrwanie w przedsięwzięciu podróży.

Pani Dobrodziejki najniższy sługa

A Mickiewicz.

DO A. E. ODYNCA.

Moskwa, 6 Octobra 1826.

W krótkim przeciągu czasu, który od ostatniego listu mojego upłynął, nic nowego nie zaszło w mojem położeniu. Nadzieja polepszenia losu pochlebiała nam cokolwiek, lubom do niej żadnej nie przywiązywał wagi. Pokazało się nakoniec, że nie powinienem niczego nadal oczekiwać, chyba J. W. senator Nowosilców, który najlepiej zna całą naszą sprawę, sam zechce wstawić się, gdzie należy.

Tymczasem żyję i trudnię się zwyczajnym sposobem. Od niejakiego czasu zajałem się żywiej porządkowaniem moich rękopismów, z których i tomik trzeci należy wkrótce wydać.

Miałem tu niedawno pisma perjodyczne warszawskie, pożyczone, bo oprócz kilku numerów *Biblioteki* ani jej ciąg dalszy, ani obiecany *Dziennik* rąk mych nie doszedł. Czytałem z wielkiem upodobaniem poezję Zaleskiego, śliczne tłumaczenie *Elegij*, tudzież piosnki słowiańskie Brodzińskiego. Ale przedmowa do tych piosnek zadziwiła mnie niepomął. Nie mogę wierzyć, aby to, co tam o Byronie powiedziano, i w ogólności zdania o poezji niemieckiej i angielskiej, były wyznaniem wiary literackiej Brodzińskiego.

Co znaczy dziwne bez ścisłości wyrażenie, „że ludy germańskie nie posiadały jakiejs *rzeźwości*, jakiejs poetyckiej *wzniosłości*“, jeśli dobrze pamiętam wyrazy? Że wszystko, co jest okropne, a nawet wzniosłe i tragiczne, przeciwi się charakterowi Słowian? Że u nas tylko są *żeńskie* miłośne śpiewy? Tych wszystkich dziwnych oświadczeń dotąd zrozumieć nie mogłem. Wprawdzie widać dalej, że autor na nas z ubo-

cza ciosy wymierza, skarżąc się, iż w modzie teraz *jakaś niby to proslota* i jakieś *tylko naśladowania niemieckie*, nie mające nic narodowego. Powiadam na *nas*, bo trudno nie dostrzec w tej definicji ballad i legend, a nieszczęściem nasze imiona tam figurują. Wróży autor, że moda wkrótce przejdzie; chwała Bogu, że i Byronowi takiż los przeznaczył.

Nie myśl, aby mnie zagniewała ta maleńka wycieczka, ale jeśli wiesz klucz do zagadki, której rozwiązać nie umiem, chciej mi go udzielić. Proszę jednak, abyś list mój zachował w tajemnicy i Brodzińskiemu nic o tem nie mówił. Każdy jest panem swego sumienia literackiego, a my się tem pocieszajmy, że dobry poeta bywa niekiedy złym krytykiem.

P. Józef Zaleski w liście do Jeżowskiego uczynił pochlebnią o mnie wzmiankę; podziękuj mu za pamięć i oświadcz, że mi najmilej było zabrać, choć uboczną i listowną znajomość z tym, którego talent wysoki oddawna cenię i uwielbiam. Panu Dmochowskiemu również złóż dziękczynienia za kilka numerów *Biblijoteki* i za pochlebne w niej zdanie o moich dziełkach. Jak tylko pewniej dowiem się, gdzie przebywasz i jak pisać do Ciebie, nie zaniedbam przesłać kilku lepszych cokolwiek sztuczek z nowych poezyj moich, jeśli je pan Dmochowski życzy sobie w *Biblijotece* umieścić.

Tutejszy wydawca *Moskowskaho Telegrafa* pan Polewoj, zacny człowiek i gorliwy literat zapewne przez przyjaźń dla mnie wytłumaczył z *Biblijoteki* o duchu, dążności etc., poezji polskiej, dodając zaszczytne dla literatury naszej i dla mnie w szczególności przypiski. Posłał już panu Dmochowskiemu numeru *Telegrafu*; mam nadzieję, że w zamian udzielicie mu *Biblijotekę*, zwłaszcza, że teraz uczy się języka polskiego i radby stałe wiadomości o dziełach polskich w piśmie swoim umieszczać.

Twój Adam.

DO JÓZEFA KOWALEWSKIEGO,

W KAZANIU.

(W przypisku do listu Franciszka Malewskiego).

Moskwa (1826.)

Już Franc Semenowicz wytłumaczył urzędownie milczenie nasze. Jednak muszę coś jeszcze w tej mierze napomknąć, *in gratiam* Szerokiego. Zaczął od elektrycznych fenomenów,

grożąc piorunami i chmurami: cieszę się mocno, że fizyki dotąd nie zaniedbuje. Donoszę mu ciekawe, zrobione przez nas elektryczne doświadczenie: iż rum działa mocno na zgromadzenie piorunowatości; bo skądżeby, w innych czasach, tyle jej się zebrało w głowie Szerokiego, gdyby nie zapasy Stryjaszka? Jednakże i tego nie zawadzi donieść, że mamy wynaleziony doskonały konduktor, niegdyś w Polsce dobrze znany, jak świadczy oda Naruszewicza:

O ty! pod jakimkolwiek sławiony imieniem.

Czy cię Turczyn plecionym nazywa rzemieniem,

Czy Lach basem bolesnym itd.

Owóż zatrwożeni burzą Szeroka, napisaliśmy po taki konduktorek do sławnej fizycznych instrumentów fabryki w Boćkach. Ale może tymczasem przez niedostatek gazów wypogodzi się czoło Szeroka, jako Hemu lub Pindu (kiedy na tych górach postawią konduktory).

A jakim prawem Stryj dobrodziej śmie nas łajać i o hultajstwo strofować? On, który słówka nie nabazgrał i tylko chamskim obyczajem podpisuje się krzyżykiem!... Karcił nas wprawdzie i poił, aleśmy podziękowali, urzędowo podziękowali; nie jestże to dosyć, i więcej niż dosyć? A czyż to rzecz słyszana, żeby ludzie naszego stanu dotąd pamiętali, że im tam ktoś, kiedyś, gdzieś dobrze zrobił?...

Kochany Feliksie, jeżeli jesteś zdrowszy, bądź moim komentatorem i wyłóż te wielkie prawdy i Szerokiemu i Stryjaszkowi. Donieś też nam, czy przyjęta prośba, i czy będziesz mógł zdrowie poratować?

Bądźcie zdrowi. Ściskam Was wszystkich, a Szerokiemu za list udzielne uściśnienie; niech sobie piorunuje, tylko nie gwarzy, że Was przestaliśmy kochać.

DO JÓZEFA KOWALEWSKIEGO,

W KAZANIU.

Moskwa (grudzień 1826).

Kochany Józefie!

Ledwie dźwigam się z choroby i jeszcze dotąd połykam niegodne leki: a więc do zwykłego lenistwa łączy się jakaś słabość i niesmak. Darujesz tedy, że tylko słów kilka do Ciebie załączę. Jesteśmy wszyscy zdrowi i jakkolwiek żyjemy;

ale podobno rozłączyć się przyjdzie: bo Nufr i Budrewicz na nauczycieli wyjeżdżać mają. Ja z Franciszkiem odebraliśmy rezolucję na prośbę o pozwolenie odwiedzenia familji: rezolucja *negative*. Cóż robić? Na sercu nie godzi się upadać, i Ty, mój Józiu, luboś w ostatnim liście bardzo kwaśny pokazał humor, mam nadzieję, żeś znowu umysł pokrzepił, i oddawszy się Bogu, cierpliwie dalszego zrządzenia losów oczekujesz. Nie mogę pominąć zwyczajnej przestrogi, abyś zdrowia zbytęcną pracą nie nadwerekował; lepiej czasem godzinę po naszymu prze-fajkować, przeszachować albo pogawędzić.

Napisz mnie, mój Ty Chadża Effendi, jak Ci się Sonety wschodnie podobają. Masz wiedzieć, że się na pola orientalne wybieram, historję literatury wschodniej czytam, i nawet sześć wierszy historii Mirhondy z perskiego już wytłumaczyłem: *n. b.* z oryginału.

DO JANA CZECZOTA I TOMASZA ZANA W ORENBURGU.

(Moskwa, 5 stycznia 1827).

Buzowałeś mnie, kochany Janku, za fałszywe albo raczej niezgodne z Twoim sposobem myślenia filozoficzne maksymy, za barbaryzmy w stylu, etc., etc. Odpowiem Twojemi słowami: *łaj a słuchaj!* Wreszcie i nie słuchaj, ja się gniewać nie będę; łaj — tego się nie boję. Nie jestem z owych biednych antagonistów, których zahukałeś tak dalece, że jedną pstryczką, jak powiadasz, można ich zabić! Mnie dać możesz tęgiego kwasu *à la Dionizy*, a nawet czuba nowogrodzkiego, a zobaczysz, jak Ci tego odplacę; nie brak i siły i oręża. Czy widzisz, jaki list wielki złożyłem? Rzuć okiem na wszystkie karty, przypatrz się, jak bitym charakterem napisane, odetchnij nieco i przygotuj siły: bo cały ten list kłótnią i łajanką, taką przynajmniej, jaką Adam z Jankiem kłócić się i łajać mogą.

Dobry Tomasz, przysłał nam był swoje listy, a teraz udzielił wiele twoich. Czytałem je z całym interesem, jaki tak dawna, sklejona tyłu okolicznościami, na wieki trwać mająca przyjaźń obudza. Dzięki Tomaszowi, że według Twojej instrukcji listów nie palił. Można je niekiedy palić i należy, jeśli potrzeba: ale Ty czasem drzesz i palisz dla kaprysu, dlatego, że Ci się nie podobają. Przez wszystkich inkwizytorów i cenzorów! Ty Janku miałbyś jeszcze nas cenzurować? Go-

dzi się łajać, kiedy się co nie podoba: ale podług widzimi się drzeć i palić? Jakże Ty potem śmiałyś na jakiegokolwiek skarżyć się cenzora? Alboż Ci nie odpowie: *kasuję, bo się nie podobają?*... Janku, Janku! wyznaj, żeś zgrzeszył: bo co nam wszystkim wogóle nie miło, tego w szczególe nie czynimy.

Czytałem więc listy i odpisy. Pomyślałem: gdyby anioł jaki patrzył na te ich kłótnie i przeprosiny, toby się gniewał. śmiał i płakał razem. Mnie na te wszystkie zanosilo się uczucia; ale nie będąc aniołem, nie tylko nie gniewałem się (jeśli można gniewem nazwać), ale nawet zupełnie po ludzku klócić się zaczynam.

Od kochanek: masz, jak powiadasz, dwie kochanki... Drugiej ja nie kochałem, więc o niej potem. Pierwsza, jeśli dobrze pojał, kto ona, ma w nas wszystkich gorących i stałych kochanków. Biada nam, jeśli na chwilę jeden o stałości drugiego wątpić będzie! ale pewnie żaden dotąd nie wątpi. Ta kochanka jest zazdrosną. Miłość naszą do niej okazywać będziemy nie jak Donkiszot, stojąc na gościńcu i wszystkich wzywając bez braku; albo siedząc w pustyni Czarnej Góry; ale tak, jak król Karol Wielki rozkazał rycerzom swoim zasługiwać na miłość Angeliki. Mój Janku! możnaż z tem wysokiem i szlachetnem uczuciem łączyć i wiązać szczegóły nie nieznaczące? Obiady, tańce, śpiewania, mająż obrażać ową boską kochankę? Nie jesteście podobnym do chłopców Stołowickich, którzy bijąc żyda każdego, chcieli mścić się za ukrzyżowanie Chrystusa; i czyliż nie dobrze ów żyd powiedział, że to nie ja, ale Mirski kahał popełnił tę zbrodnię? Przez wszystko, co jest świętego! zniżasz się Janku do prawdziwej pedanterji. Cytujesz Moabitów! jakże chciałbyś po starozakonnemu zemstę wywierać na pierworodnych dzieciach, na psach nawet — bo widzę, że myszy nie oszczędzasz? Żeby ci jeszcze biblię zacytował: powiem szczerze, iż nie tylko jestem gotów jeść trefny bifszyk Moabitów; ale nawet mięso z ołtarza Dagona i Baala. kiedyś głodny — i będę dlatego, jak byłem, dobry chrześcijanin. Co do mojej lektury: czytam *Fieska* Schillera i historję Machiawela.

Pochwalam Cię, że masz więcej od drugich stałości w znoszeniu biedy, że zajadasz obiady Kurcjusza, że sam sobie wystarczasz; dobrze jest, ale jeśliś sądził, że lepiej i pożyteczniej byłoby ten sposób życia odmienić: było to moje mniemanie; możesz uznać za dobre lub postąpić, jak Ci się podoba; możesz swój sposób myślenia i życia drugim zalecać, ale nie

narzucać, nie krzyczeć, nie przedrwiwać, bo Pan Bóg wie tylko, czyje zdanie lepsze.

Jak będziemy szczęśliwi, zaczniemy się klócić.

Teraz przystępuję do sporów z Tomaszem. Mam ci przypomnieć dwie rzeczy: 1. Jakim byłeś w pierwszych tygodniach nowicjatu u księży Franciszkanów? Czy Aleksander nie mógł na Ciebie wtenczas piorunować z pieca — chociaż pewny jestem, że tego nie czynił? Jeżeliś potem nabrał serca i sypał z rękawa piękne piosenki, zapytaj sumienia, czy to Twoja zasługa, a raczej nie łaska niebios, które Ci zesłały anioła pociechy? Uważaj tedy, jak człowiek sam jest słaby! 2. Przypomnij, jakim był Tomasz w zamku zaczarowanym. Zaprawdę powiadam Ci, że kilkomiesięczne życie Tomasza więcej warte, niż dziesięć lat naszej teraźniejszej stałości. Dał on próbę kochania! Pewny jestem, że w podobnych okolicznościach i terazby podobnie postąpił. Twój stoicyzm teraźniejszy w porównaniu do jego owej przytomności umysłu i cierpliwości tyle ma zasługi, ile niewinne życie anachorety w porównaniu do męstwa bohatera. Kiedy Tomasz zeszedł zimy w okropnem położeniu odetchnął czasem świeżem powietrzem, kiedy wielbił czule na jego nieszczęścia serca, kiedy szukał pociechy, mówiąc przyjaciółom o wronach, gołąbkach i myszach: ja te szczegóły czytam ledwie nie z takim rozrzewnieniem, z jakim Ty słuchałeś opowiadań adjutanta, który był przy naszym sławnym jenerale. Janku! a Ty się oburzałeś i ledwie nie drwiłeś. Dzicy Amerykanie skazanemu na męki niewolnikowi posyłają ostatniej nocy dziewicę dla pociechy: a Ty, gorszy od Amerykanina, nie pozwalasz mówić i marzyć o niej!... Gdybym nie wiedział, że pocziwszego i lepszego od Ciebie człowieka trudno znaleźć, a ja pewnie nie znalazłem i nie znajdę, gdyby mi te szczegóły o kim innym, nie o Tobie powiadano: wzdrygnąłbym się od zgrozy; ale że mój Janek zdziwaczył, zasmuciłem się tylko i widzę, do jakiego stopnia przesadzone mniemania ludzkość, nawet w najlepszym sercu, tłumić mogą.

Ponieważ ten list do Was obydwóch piszę, powiem razem moje zdanie Tomaszowi. Jeśli go na obiad proszą albo jeśli bez nieprzyzwyczajności może iść nieproszony, niech idzie i smaczno zajada. Bo dobry obiad siły pokrzepia, a pieniądze lepiej drugiemu — swoje obiady jedzącemu — oddać, albo za nie tytoniu, czy książkę kupić. Jeśli w czasie obiadu może z dobrym przyjacielem pogadać, tem lepiej: bo się czas

przyjemnie zabija, a on powinien mieć za najpierwszy, za jedyny cel: zdrowie zachować. Więcej nie ma co myśleć i robić. Jeżeli gra w bostona, najlepiej czyni. Sam doświadczyłem, że grając w bostona, kalkulacja matematyczna zajmuje serce i umysł, ochładza, a długo grając w nocy, nawet śnią się trefle i piki i kara, co lepsza, niż sny, po których łzy z oczu płyną. Jeżeli Tomasz może pisać, niech pisze; a pisać życzę mu serdecznie, ale nie przymuszam: bo pisać nie jest to buty szyć na rozkaz. Ja pisałem, bo były okoliczności sprzyjające muzie; a teraz znowu haltuję. „Ale, ale, krzykniesz, to są maksymy jakieś Adama!” Poczekaj, bratku, powiem zaraz i *pro domo sua*.

Ja tu mam znajomości i od wielu osób doświadczyłem przychylnych chęci, od niektórych przyjaźni, i radbym za to wdzięcznością im odplacić. *Przeklęci, którzy nic nie płacą!*... Daruj, że *Dziady* zacytuję. Bywam i w salonach, ale tam nie bardzo figuruję; nie dlatego, żebym nie chciał, ale że nie umiem. Gdybym dobrze tańczył, albo jakkolwiek tańczył, radbym był temu; gdybym grał na flecie czy na gitarze, cieszyłbym się jeszcze więcej; gdybym śpiewał, wyszedłbym na tem dobrze; komplementa jakkolwiek może potrafię z czasem kleić i nie zaniedbam w tem doskonalić się. Bo zaprawdę powiadam Ci, że można tańczyć, grać, śpiewać i być grzecznym, nie zostając pasibrzuchem, i można być pożytecznym dla drugich, a to jest największą nagrodą wszystkich starań w tak małych drobnostkach. Prawda, że gdybym powrócił do Litwy naszej, mógłbym, jak spuszczone sprężyna, spaść na dawną kwintę, i kiedyby mi nikt zewnątrz nie dokuczał, tobym sam sobie jaką biedę wynalazł i smucił się i gryzł znowu. Ja zacząłem być wesół u Ojców Bazylianów, a spokojny i ledwie nie rozumny w Moskwie.

Chciałem ci wypisać z twego listu filipikę o moich dochodach, bo może o niej zapomniałeś; ale nie mam czasu. Dość na tem, że ja na przyjaciół i na przyjaciółki podatku nie nakładam, bo od wyjazdu z Litwy o żadnym i żadnej nie słyszę, i oprócz należności od Zawadzkiego nic od innych nie odbieram. Co się tyczy darów, pamiętasz dawniej, żem przyjął dar kilkuset rubli jeszcze w Wilnie od pewnego księcia, i ten dar nie tylko mnie samemu przydał się. I teraz, jeśliby kto miljonowy, *n. b.* rodak i przyjaciel, przysłał mi 100 rubli, nie wahałbym się przyjąć i z potrzebnymi rozdzielić. Prawda, że czasami źle marnuję pieniądze; ale kiedy

mam grosz, każdy z przyjaciół może wziąć z niego trzy czwarte.

Nie myśl, żebym się gniewał za Twoje podejrzenia i wnioski. Czytałem je z tem uczuciem, z jakim syn słucha ostróg ojca staruszka, trochę dziwaka i w kwaśnym humorze, a do tego w niedzie.

Musiałeś odebrać Sonety. Drukowałem w Moskwie, bo do Wilna nie mam na czyje posłać ręce. Aleksander ciągle miał wyjeżdżać, a inni, wiesz, jak pilni w sprawunkach. Gdybym Ci opisał, jak wytrącać umieją pieniądze za to, że książki nasze w ich stancji miejsca zajmowały, śmiałybyś się gorzko — ale nie chcę poruszać tego. Z Warszawą komunikacje trudne i zawikłań pełne. Wszakże inne poezje tam drukowane będą. Całuję Cię serdecznie, odpisz mnie prędko.

Adam.

Ach, ach! jeszcze o listach Szeroka. Trzeba dziś na zawsze wszystkie kłótnie zakończyć. Szerok pisze stylem wzorowym; przynajmniej w pewnym względzie życzę go naśladować i w każdym liście mały artykuł tego rodzaju umieścić. Jest to balast listowy bardzo do żeglugi potrzebny.

DO JOACHIMA LELEWELA W WARSZAWIE.

(Moskwa, 7 stycznia 1827).

Dziwiłeś się zapewne, Szanowny Joachimie, a może nieraz źle o mnie pomyślałeś, kiedym odzywając się do innych znajomych, Ciebie pomijał. Szukaj przyczyn uporczywego milczenia nie we mnie, ale w okolicznościach. Ustawiczna przyszłego losu niepewność, oczekiwanie odmiany w mojem położeniu i ciągle przenosiny z miejsca na miejsce nie dozwoliły coś pewniejszego o sobie donieść. Nieraz wytrąciła mi pióro z ręki obawa, abym listem niewczesnym, zabierając Tobie chwile ważniejszym poświęcone zatrudnieniom, jeszcze ambarasu jakiego nie stał się przyczyną. Teraz, kiedym podobno zasiadł w Moskwie na długie czasy i kiedy listownie raczyłeś moich znajomych o mnie zapytywać, ośmieliłem sam przemówić do Ciebie raz pierwszy, po tylu latach! Jeżeli mnie odpowiedzieć będziesz łaskaw, możesz oczekiwać częstych prośb, zapytań i zleceń, bo w moich teraźniejszych literackich zajęciach wielokrotnie będę potrzebował Twojej przyjacielskiej rady i pomocy. Z tych literackich zatrudnień po-

winiębnym najpierwej zdać sprawę przed moim dobrym nauczycielem. Prawdę mówiąc, kiedym w tym celu zrobił z sobą literacki rachunek sumienia, do mnogich poczuwam się grzechów. Parę lat zeszło z bardzo małym pożytkiem. Ale i tu mogę znaleźć wymówkę. Kiedym był w Petersburgu, rzuciłem się do języków wschodnich: ledwie zaczął sylabizować, zmuszony zostałem wniknąć znowu na sanie, odniósłszy tyle pożytku z lekcyj Szpicnagla, ile król Wizymir z Elementarza Doświadczyńskiego.

W Odesie prowadziło się życie orjentalne, a po prostu mówiąc, próżniackie. Ale widziałem Krym! Przetrzymałem tęgą burzę morską i byłem jednym z kilku zdrowych, którzy zachowali dosyć siły i przytomności, aby napatrzeć się do woli temu ciekawemu widowisku. Deptałem chmury na Czatyrdachu (podobno Trapezie starożytnym). Spałem na sofach girajów i w laurowym gaiku w szachy grałem z klucznikiem nieboszczyka hana. Widziałem Wschód w minjaturze.

Co pozostało z pamiątek podróży, znajdzie się w sonetach, które zapewne już ręk Twoich doszły i o których zdania Twojego niecierpliwie czekam.

Puściłem sonety na wywiady. Jak po owych piosnkach gminnych odważyłem się pokazać potworne Dziady, tak i teraz, jeśli sonety znajdą przyjęcie dobre, mam zamiar coś obszerniejszego w guście orjentalnym wypracować; jeżeli zaś owe minarety, namazy, izany i tym podobne barbarzyńskie dźwięki w delikatnem uchu klasyków łaski nie znajdą, jeżeli... powiem z Krasickim, że zasmucę się, ale będę pisał.

Tymczasem, chociaż zakopałem się w Hammera i gotuję się atakować Indje Szlegla, nie zapominam o Litwie. Powieść z dziejów krzyżackich o Wallenrodzie już kończy się i wkrótce ją na Twoje ręce prześlę. Niestety brak mi zupełny książek. Jeżeli będziesz mógł napatrzeć kędy Strykowski, a chociażby kupić (byle tanio), odłóż go na stronę, może wysprzedaż sonetów pójdzie i będę w stanie zapłacić. Zrobiłbyś mnie wielką łaskę, polecając komu częściowe kupowanie na rynkach lub licytacjach *wyboru pisarzy*, hypotekując koszta na Sonetach, gdyż boję się, abym całkiem nie zapomniał języka. A prócz tego mam zamiar przedsięwziąć jaką teoretyczną nad pisarzami naszymi pracę. Później oznajmię, jaką drogą te książki najłatwiej przesłaćby można. Żeby też Edward kiedy udzielił mi jakakolwiek nową broszurkę

warszawską! Od tylu lat nic ze świeżych pism nie czytałem, oprócz kilku przypadkiem zabłąkanych romansów.

Ale co najważniejsza i w czym bez Twojej pomocy nie począć nie zdołam, jest to projekt pisania o Barbarze Radziwiłłównie. Racz to zachować w sekrecie, bo lękam się, aby mię z góry nie okrzyczano, że śmiem tyle razy traktowaną materję dotykać i w szranki niejako z Wężykiem i Felińskim występować. Praca moja, jeśli ją uda się wykonać, będzie w innym nieco rodzaju, a przynamniej kroju. Owóż, nie mam żadnej historii ani kroniki, ani wiadomości, ani żadnej rzeczy, które jego są. Ledwie śmiem prosić, znając, ilu pracami jesteś obarczony; wszakże jeśliby niezbyt było trudno zrobić mały wypis o znaczniejszych w owym wieku osobach i ich charakterach, o rodzicach Barbary, o Kmicie, Tarnowskim, Radziwiłłach, etc. etc., wtenczas, z łaski Twojej, mógłbym dzieło przedsięwziąć: szczególnie osoby najbardziej przeciwne małżeństwu w senacie chciałbym mieć wymienione, z datami ich urodzenia, również jak i szczegóły, jeśli są jakie wiadome, tajemnych króla zaślubin. Będę o to prosił archiwistów radziwiłłowskich, ale nie wiem, czy się uda co pozyskać. Czy nie zrobiono stamtąd jakowych wypisów do *Pamiętników Historycznych* i czy nie możnaby z tych wypisów skleić jakiego wypisku dla mnie?

Na ten raz dosyć, podobno utrudzam Cię, szanowny Przyjacielu; jeśli raczysz odpisać, adresuj list pod kopertą Daszkiewicza.

Twój zawsze życzliwy i obowiązany sługa,

A. Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA.

Moskwa, 1827 (pierwsza połowa marca.)

Wybaczyłbyś i mnie nieczęste pisywanie i krótkość listów, gdybyś wiedział, ile w tych czasach miałem różnych kłopotów, a co gorsza, dotkliwych umartwień familijnych. Teraz jestem cokolwiek spokojniejszy i na dzisiejszą pocztę najpierwej się pisze do Ciebie. Zaczniem od literatury. Czemuś dotąd nie przysłał choć w części onego dramatu? Plan jest małą rzeczą, chciałbym koniecznie samo wydanie, styl poznać. Wygotuj kilka scen przynajmniej i pocztą wyślij, ja koszt opłaty wezmę na siebie. Muszę Ci prawdę powiedzieć, że niezbyt wiel-

kie mam o dramacie owym nadzieje, bo nie mogłeś w tak młodym wieku nabyć dostatecznej znajomości ludzi, aby ich charaktery nie w próżnej deklamacji, ale w prawdziwych głębokich rysach odmalować; chyba to będzie coś nakszałt *Dziadów*. Ja daleko starszy od Ciebie znajdowałem się w daleko liczniejszych z ludźmi związkach i stosunkach, a ile razy porwę się za dramat, czuję, że mi wiele brakuje. Wszakże nie zrażaj się tem powątpiewaniem; tem szczęśliwszy będę, jeżeli moje przewyższysz nadzieje. Odebrałem niedawno *Dziennika* numeru cztery, każdy dubeltowy; wołałbym mieć ośm pojedynczych. Zdaje mi się, że *Strój czarny* jest Twojej ręki; koniec szczęśliwy i epigramatyczny, ale całość niedbała; n. p. „Wesołym szkarłaty, smutnemu żałoba“. Co za szkarłaty? Czy u Was w Warszawie ludzie weseli noszą szkarłaty? gdybyż jeszcze kwiaty! „Kochanka mnie kocha daremnie!“ nieścisłe i dwuznaczne wyrażenie. Myślę także, że *Pociecha* z Goethe'go do Ciebie należy. Wyjawszy kilka wierszy, piękne całe i przedziwne tłumaczenie. Czy i sonet do *Anieli* nie Twój? Ale *per Deos immortales!* Wasz ten *Dziennik* nieszczesny niepomalu mnie zasmucił. Jakaż to mizerja! Najgorsza proza, najnieznośniejsze wiersze, źle wybrane artykuły, ostatnie w redakcji i drukarni niedbalstwo; wyjawszy rozprawy Lelewela, które wydarłem z tego zbioru głupstw i nieświadości. A jakież przypiski redaktora! Mój Boże, jak może Joachim pomieszczać tam swoje głębokie i ważne badania? jak Ty masz serce figurować obok wieszczki z Miodobioru, i tłumacza *Mignon*? „Tam, tam, niechby został on sam“. Witwicki wszakże ma talent, ale niedbalec, nie czyta polskich pisarzy, mało myśli, a wiele pisze, i jeśli nie spostrzeże się, pójdzie w tłum rymopisów. Gniewałeś się na Dmochowskiego, a ja go dziesięć razy kładę nad dziennikarzów. Dobrze po polsku pisze, głupstw nie gada; recenzja na Humnickiego *Edypa* wcale rozsądna; wiersze jego przynajmniej gładkie i poprawne. Dmochowski, jeśli będzie pracował, wyjdzie na dobrego literata, i wołałbym, żebyś się z nim pobratał, aniżeli z owymi nibyto romantykami, od których zgłupieć można. Nie dziwuj się, że Osiński, Koźmian tak przesadzają w niewiści; proszę, abyś z Twojej strony miał dla nich więcej uważania. Wszakże, jeżeli rzucają się do mizernych sposobów, o których wspomniałeś, będziemy się bronili. Najbardziej ostrzegam, abyś zbyttem entuzjazmem w pochwałach moich nie obrażał tego szanownego zawsze, ale już podstarzałego

Areopagu. Broni tylko sam Siebie, ja dalibóg mało dbam o ich komeraże, nadto wiele mam z blizka dotykających bied, że-
bym jeszcze na te dzieciństwa zwracał uwagę (ale donoś mnie
o nich dla ciekawości).

Adam.

DO A. E. ODYŃCA.

(Moskwa, 1827 Kwietnia 14 v. s.)

Dosyć mam swoich grzechów, abym jeszcze cierpiał za cudze; nie moja wina, że listy błakają się dziwnym sposobem. Miałem trochę niespokojności o *Sonety*, aby gdzie w drodze nie osiadły. Ciekawy byłem, co o nich publiczność wyrzeczce, chociaż prawdę mówiąc, z góry wszystko odgadłem: że damy nie bardzo mnie łaskawie przyjmą, że ogół czytelników niezbyt zachwycony będzie; tylko wyznam, spodziewałem się, jeśli nie pochwały, to przynajmniej więcej względów znaleźć u klasyków. Wreszcie ich gwałtowna opozycja nie bardzo mnie zadziwia; chciałbym jednak, żebyś cokolwiek mniej dąsał się na nich i nie tak zapalczywie bronił Szylera, który się sam obroni. Dobrze jest unikać dysput, lepiej jeszcze umieć je spokojnie i bez goryczy prowadzić. Cieszę się, żeś poznał się bliżej z Brodzińskim. W Wilnie zdanie Borowskiego, w Warszawie Brodzińskiego więcej u mnie waży, niż wszystkie wykrzykniki wielbicielów i sarkazmy przeciwników. Posłałbym chętnie egzemplarz Brodzińskiemu, ale pierw-
wej obawiałem się, aby to nie miało miny *de mendier sa protection*. Kiedy już opinja ustala się, uczynię to niechybnie, i z prawdziwą rozkoszą, bo jego talent szacuję wysoko. Twoje krytyki jedne przyjmuję, drugie nie, jak zazwyczaj po autorsku. Ów wykrzyknik: „Aa!” — wyraża tylko zdziwienie pielgrzyma nad śmiałością murzy i dziwami, które on oglądał na górze. Orjentalnie trzebaby powiedzieć, że pielgrzym na te słowa włożył w usta palec zadziwienia.

N. B. Czy doszły was z Petersburga egzemplarze tłumaczenia perskiego tego sonetu? Przedmowę ciekawą Dżafara, wytłumaczoną na polski, prześlę Ci później. Miał to tłumaczenie wcielone być w dziełko, ale winą litografów i agentów moich w Petersburgu wyszło za późno i teraz niepotrzebne. Jeżeli Moroziewicz tak dobry, że na francuskie tłumaczy *Sonety*, radziłbym, aby z pierwszej części wziął kilka tylko,

n. p. Ranek i Wieczór, Rezygnacja; reszta, jeśli ma jaką zaletę w polskim oryginale, straci ją do reszty w tłumaczeniu. Krymskie mogą się cudzoziemcom więcej podobać. Tu w Moskwie znany książę Wiaziemski wytłumaczył je na rosyjskie, wkrótce będą w *Telegrafie*, z bardzo pochlebną dla mnie recenzją; później osobno wyjdą z druku z tekstem. Znakomity poeta, stary Dmytriew, zrobił mnie honor i wytłumaczył sam jeden z sonetów. Otóż już aż nadto o *Sonetach*. Ale co się dzieje z Tobą? co piszesz? ową dramę? Czy odebrałeś mój list który? Zmiłuj się, zapytaj Joachima, czy on także mój długi list, jeszcze w styczniu na Petersburg wysłany, odebrał i czy będzie łaskaw mnie odpowiedzieć?!

Mam do Ciebie wielką prośbę. Pan Bóg wie, kiedy moich kochanych znajomych obaczę; wiele osób, które szacuję, Pan Bóg wie, czy poznam kiedy. Chciałbym mieć bliżej siebie ich cienie przynajmniej. Obowiązuje Ciebie, abyś mnie co najrychlej przesłał Swoją miniaturę lub portret. Sam napiszę do Joachima, prosząc go o tę łaskę. Skromność autorska nie może służyć na wymówkę, ja go nie jako autora, ale jako jednego z najmilszych przyjaciół chcę mieć oczom przytomnego. Tymczasem postaraj się o portrecik Ursyna, który musi być u Was łatwy do nabycia; wydrzej wreszcie z jakiej książki. Jeśli będziesz mógł, postaraj się również o portrety Zaleskiego i Brodzińskiego. Pojmiesz zapewne, ile mnie oddalonemu taka szczupła galerja może sprawić przyjemności.

Jeżeli dzienniki pošlesz na Wilno, to je zapewne w roku przyszłym czytać będę. Zaprenumeruj dla mnie z pieniędzy sonetowych jedno jakiegokolwiek pismo lub gazetę.

Dawniej odebrałem starego Dziennika cztery tylko numera; ale podobno już o tem pisałem.

Szanownego Walerjana uściśnij i dziękuj odemnie za wszystkie jego starania. Niech odemnie wynurzy wdzięczność pannie Laskarysównie za jej łaskawą pamięć. Niech jej raczy zapytać o zdrowie p. wojskiej Zaleskiej i pani referendarzowej Zaleskiej. Miło mnie będzie w listach p. Walerjana wy czytać choć kilkosłowną wiadomość o tych szanownych osobach. Od lat trzech nie miałem o nich żadnej wiadomości. Oleś Chodźko nic mnie nie odpisuje. Brat mój Aleksander w Petersburgu; pojechał w interesie brata Jerzego, nie wiem, czy tam zostanie na długo.

Bądź zdrów.

DO JÓZEFA KOWALEWSKIEGO W KAZANIU.

(Moskwa, 9 czerwca 1827 r.)

Kochany Józiu!

Listek Wasz, który powolniej rósł jak liść aloesu, bo w miesiąc ledwie powiększył się o kilkanaście linijek, i który potem dni pięćdziesiąt odbywał drogę, odebraliśmy. Dzięki za nowiny, choć nie bardzo świeże. Jeżeli wam ochota przyjdzie, napiszcie jeszcze o zdrowiu Tomasza i Szeroka, gdybyście co pewnego wiedzieli, bo my dawno o nich nie słyszymy. Jeden drugiego łaje o próżniactwo, a wszyscy się opuszczają, bo niema o czem pisać. Józiu kochany, Ty nic nie pisałeś o Twoich robotach: o Herodocie, o historii Kazania; powiedz, jak tam idą rzeczy, chociażbym nie chciał, abyś zwyczajnym sposobem, jak gąsienica, nad książkami uczepił się i osnuł. My lepiej sobie radzimy. Ja naprzykład (pod sekretem mówiąc), haniebnie próżnuję, aż mi czasem sumienie dokucza: ale znajdziemy zaraz restrykcje i ekskuzy: je się więc, chodzi się więc, etc. więc. Na nieszczęście jeden drukarz lwowski (oby mu paraliż naruszył wszystkie prasy!) zrobił tańszą edycję Sonetów i mnie podciął dochody, niweczając sprzedaż; trzeba więc o czem nowem myśleć i na gwałt drukować, aby było czem *Wańków* tutejszych z drażkami i roznosczyków z *kłubnika* i *ziemlaniką* opłacać — nim drukarz jaki znowu mnie nie podgoli! Spodziewam się, Józiu, że Ty nad Sonetami mojami orjentalne popisziesz uwagi, a przynajmniej ponotujesz, coby w technicznych mahometańskich wyrazach poodmieniać lub lepiej objaśnić należało. Wszystkie warszawskie gazety były długo nadziane krytykami ostremi i pochwałami przesadzonemi. Jedni mówią, że ja nie powinienem płodów niedowarzonych drukować; inni znowu, że Sonety lepsze od Petrarkowych, i że jeśli ma być literatura oryginalna u nas, to ja będę jej ojcem. *Risum teneatis!* Wszystkie pochwały i krytyki jedna w drugą głupie.

Jan obiecuje *Hafiza*: mało temu wierzę; lubo spodziewam się, że go tyle, ile możesz, zachęcasz. Trzeba, mój Józiu, że powiem orjentalnie a razem z litewską, w pośladki jego zamiarów pruć ostrym kijem przymuszania.

Adam.

DO JOACHIMA LELEWELA, W WARSZAWIE.

(Moskwa, 7 sierpnia 1827 r.).

Szanowny Przyjacielu!

Czekałem Twojego z Łucka wyjazdu, nie chcąc listów na włóczęgę narażać, tudzież czekając odpowiedzi z Warszawy od moich komisantów, ażebym mógł w interesach typograficznych Twojej rady i pomocy prosić. W Warszawie milczą, ale, że tam jedziesz, raczysz sam wziąć potrzebne objaśnienia, ale o tem na końcu listu.

Jakżeś dobry, żeś pozbierał uwagi nad sonetami! Wprawdzie przewidziałem wszystko; damy sentymentalne potępiły za uczucia zbyt ziemskie, a salony za wyrazy w stylu garderobjanych; uczeni klasycy za tatarszczyznę, gramatycy za omyłki; każdy prawie grzech gramatyczny popełniony z namysłem i nieprędko chyba skruczę uczuję. Odwykłem od dźwięków mowy ojczystej, *kołysa* i *klaska* miłsze dla mnie, aniżeli *sze* i *szcze*. Może się potem poprawię, ale dotąd muszę swojego ucha radzić się i jemu zaufać. Z czego zaś nigdy nie poprawię się, są to wolności składni, odmiany w następstwie czasów, gwałcące przepisy gramatyki francuskiej, bo wszyscy łacinnicy tego sobie pozwalają, bo Trębecki i Krasicki równie błądzą; chociaż dążenie terażniejsze poezji polskiej, ażeby śladem Francuzów postępując, jak najbliżej trzymać się prozy, wolnościom podobnym zagraża. Ciekawy byłbym egzemplarzów z poprawkami Chłędowskiego widzieć. Możebym znalazł, czego nie dostrzegłem i co mógłbym zmienić. Dotąd, po tylu krytykach, zawsze poczuwam się do większej liczby uchybień, do uchybień ważniejszych, aniżeli wszystkie mnie wytykane, i gdybym sam na siebie recenzję pisał, byłaby najsurowsza, ale możebym nie wspominał o tem, o czem krytycy rozprawiali, tak bardzo różnymi się w zdaniach. Jeżeli będziesz mógł przesłać mi edycję lwowską, uczyni to jak najrychlej albo Odyńcowi poleć jej przesłanie.

Brat mój Aleksander z Petersburga, gdzie daremnie szukał miejsca, jedzie przez Moskwę i bawi tu od miesiąca. Ma zamiar udać się do Warszawy lub Krakowa i zaciągnąć w nauczycielstwo, co podług mnie najlepiej do niego przystaje. Jeżeliby w tym czasie można było upatrzeć jakie miejsce, ufam Twojej dobroci, że nie omieszkasz nam donieść.

.

Nowe poezje brat mój zawiezie i do Ciebie uda się, ażebyś mu dał radę, jak z niemi począć.

Twój, Adam Mickiewicz.

DO GOTARDA SOBAŃSKIEGO, W PETERSBURGU.

(Moskwa, 10 sierpnia 1827 r.)

W dopisku do listu Franciszka Malewskiego.

Przyjmij moje podziękowania, szanowny Gotardzie, za przysłane książki Fredra; wielką sprawiłeś mi przyjemność. Posyłam Ci nawzajem tymczasem egzemplarz Sonetów; dawniej byłbym to uczynił, gdybym wiedział pewniej miejsce Twego pobytu.

Będę zawsze wdzięczen za przychylność, jaką bratu mojemu okazywałeś. Bawi on teraz w Moskwie i zasyła Tobie ukłony.

Słyszałem, że masz zamiar zająć się winietką do *Wallenroda*. Zwlekałem dotąd przysyłanie modelu kostyumów, chcąc je tu dostać; spodziewam się, iż w Petersburgu większa będzie łatwość. Trzeba wyszukać kroniki Duisburga; Polewoj mnie to przyrzeka. W tej kronice na czele jest rysunek wielkiego mistrza Krzyżaków i jego kapelana. Są to właśnie osoby poematu, które chciałbym na winietce umieścić. Wielki mistrz ma mieć lat trzydzieści kilka, chudy i twarzy ponurej. W celi zakonnej widać łóżko, zakryte skórą zwierzęcą; na ścianach widać łuk, piki, szable, stolik po środku, na nim parę butelek i puchar niedbale porzucony. Kapelan zakonu, starzec lat sześćdziesięciu. Sytuacja jest następująca: Wielki mistrz, zamknięty w celi, lubi przebierać miarę w napoju; wtenczas wpada w pewny rodzaj gwałtownego uniesienia, porzywa lutnię i śpiewa, a jeżeli rycerze znajdują go w tem położeniu, przestaje śpiewać, gniewa się, grozi, bluźni bezbożnie. Natenczas kapelan naprzeciwnie usiada i wzrok surowy utopiwszy w obliczu Wallenroda, rozbraja jego gniewy. Na winietce tedy schwycić należy ten moment. Właśnie kilku rycerzy drzwi odmyka: Wallenrod ciska na ziemię lutnię, stojąc przy stole, gniewnie pogląda; kapelan stoi naprzeciwnie niego, ręce założywszy na piersiach, i spokojnie patrzy w oczy Wielkiemu Mistrzowi.

Format zdaje się najlepszy *octavo*; do formatu winietki i wydanie stosować się będzie. Raczysz mi donieść, łaskawy Gotardzie, czy można będzie rysunek i sztych przedsiębrać w Petersburgu i jak długo to trwać może; bo poema przez brata mego wysłała się do Warszawy. Polewego Twoim względem polecamy; dobry człowiek i nasz przyjaciel. Bądź zdrow. Twój obowiązany zawsze sługa,

Adam Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA, W WARSZAWIE.

(Wrzesień-październik) 1827 roku.

Kochany Edwardzie!

Wiecznie będziem toczyć spory, kto z nas leniwszy i bardziej roztrzępany, chociaż podobno obydwaj jesteśmy lepsi.

Już o wydaniu niema co pisać; jeśli bez trzeciego tomu trudno zagać układy, czekajcie, nim nadeślę materiały; zrobiłbym to dawno, gdyby mi *Wallenrod* czasu nie zabił — już dawno skończony. Trudności są z cenzurą, bo Kochanowski już nie zajmuje się tym obowiązkiem, a nikt więcej po polsku nie umie. Podobno udam się do Petersburga. Chciałbym drukować w Moskwie; Warszawa i daleka i trudne związki i niewielka wyprzedaż. W Kijowie sto egzemplarzy *Sonetów* rozeszło się w tydzień, tyleż w Petersburgu, nawet więcej. U Was dotąd podobno moja sława nie wielce zwabiła do księgarni, chociaż Walerjan, żeby mnie pocieszyć, składa winę na format *Sonetów*. Odtąd więc w przedsięwzięciach moich literackich Warszawa będzie punktem drugiego rzędu.

Z *Wallenroda* nie bardzo jestem rad, są piękne miejsca, ale nie wszystko mi przypada do smaku. Piszę teraz nowe poema dosyć dziwaczne, na bardzo rozległą skalę i nie wiem, czy kiedy będzie drukowane; piszę z większą niż kiedykolwiek rozkoszą, bo piszę dla samego siebie, bez żadnego na nic względu; niektóre wyjątki może Ci później nadeślę.

Waży się tu ciekawe przedsięwzięcie, nie wiem, czy przyjdzie do skutku; miej jeszcze w sekrecie: myślę wydawać pismo perjodyczne polskie. Jak myślisz, czy w Warszawie znalazłoby prenumeratorów?

Co robi Zaleski? Dlaczego tłumaczy wiersze Kozłowa (bardzo miernego poety), kiedy nikt nie dotknie Goethego, kiedy tyle dzieł Byrona nietłumaczonych? Dla Boga, dajcie pokój tym tłumaczeniom poetów drugiego rzędu! Gdzież teraz oprócz Warszawy tłumaczą Legouvė i Delila, a co gorsza Milvoie, etc.? Rosjanie kiwają głowami z litości i z podziwiania. Zostaliśmy się cały wiek w literaturze! Tutaj każdy nowy wierszyk Goethego obudza entuzjazm, zaraz jest tłumaczony i komentowany. Każdy romans Walter Skota natychmiast w obiegu, każde nowe dzieło filozoficzne już jest w księgarni; a u nas! pocziwy Dmochowski uważa *Georgiki* Koźmiana za ideał polskiej poezji.

.....

Gosławskiego uściśnij, wiersze jego czytałem w dzienniku ze smakiem; ale powiem szczerze, że jeden wiersz, w którym zefir przekrzywiał, pożywiał i wywijał, jest pełen deklamacji. Te mętne myśli i te niby uczucia bez uczucia, są tak smutne, jak zimne opisy Francuzów. Gosławski może się obłąkać na drodze; Byron tak nie pisał, Goethe tak nie pisał, Trembecki tak nie pisał, Szyler tak nie pisał. To nie jest ani klasycyzm, ani romantyzm — to jest po prostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur, nic nikt nie znajdzie. Darujcie mi ten ton dyktatorski, pozwalam łączyć siebie nawzajem, tylko poprawiamy się wraz, żebyśmy się nie stali pośmiewiskiem nieprzyjaciół. Wieszczy z Miodoboru zdaje mi się, że powinien rymy pożegnać; jego wiersz:

Lub szczęśliwy miłością, albo sławą wielki.

..... Wanda,

..... Rolanda.

może służyć za wzór najpustszej i najnieznośniejszej deklamacji.

Być zdrów,

Adam Mickiewicz.

DO JULJANA URSYNA NIEMCEWICZA.

Moskwa 1827, m. listopad 11/22.

Jeżeli J. W. Pan Dobrodziej słyszałeś kiedy moje nazwisko, jeżeli przypomnisz sobie, że pisywałem wiersze, łatwo

raczysz wybaczyć młodemu pisarzowi chęć niepowściągniętą zabrania znajomości z szanownym Nestorem naszej literatury. Może ta chęć pochodzi z miłości własnej, ale jest niewinna i młodemu wiekowi właściwa. Sam J. W. Pan doświadczył zapewne w rańszych latach, jak miło jest poczynającemu swój zawód pisarzowi dać się poznać wielkim mistrzom i być pewnym, że mąż, dla którego czujemy najwyższy szacunek i podziwienie, wie przynajmniej o naszej egzystencji i o naszych pracach, jest stokroć pochlebniej, niżeli zyskać oklaski licznej publiczności. Czyż imię wzbudzić może w sercu młodego polskiego poety żywsze uczucia szacunku i podziwienia nad imię Juljana Niemcewicza? Od matek naszych przywykliśmy słyszeć opowiadanie jego czynów i przygód. Jego pieśni dały nam najwcześniej uczuć wdzięki poezji; są to nasze najstarsze poetyckie znajomości, w jego obrazie szanowaliśmy rysy męża, który charakterem i talentami stał się jedną z najcenniejszych ozdób swojej epoki i który za życia już był kanonizowany w izbie obrad i na Parnasie.

Długo miałem nadzieję, i była to jedna z najśłodszych nadziei, że mię kiedyś los zbliży do Ciebie, Mężu szanowny, i że pracami moimi ściagnę może kiedyś Twoją uwagę, że puszczając się w zawód poetycki, odbiorę błogosławieństwo ojcowskie pierwszego narodowego poety. Teraz, kiedy mię okoliczności przykuły na długo w dalekiej ziemi, ośmieliłem się, korzystając z korespondencji wspólnego przyjaciela X. Wiaziemskiego, lubo nieznajomy, odezwać się do J. W. Pana Dobrodzieja i wynurzyć Mu dawno powzięte uczucia. Smutne moje położenie będzie wymówką śmiałości. Książę Wiaziemski zaszczyca mię ciągle swoimi względami, szacunek dla wielu mieszkańców Warszawy, szczególnie zaś dla J. W. Pana Dobrodzieja, natchnął mu tem mocniejszą życzliwość ku wszystkim tu bawiącym Polakom. Winniśmy temu zacnemu i szlachetnie myślącemu książęciu wiele chwil przyjemnych i nieraz nad brzegami Moskwy piliśmy zdrowie równie nam wszystkim miłego Juljana Niemcewicza. Jeżeliby J. W. pan dobrodziej raczył oświadczyć książęciu Wiaziemskiemu podziękowanie za przyjaźń, którą nas nie przestaje zaszczycać, wypłaciłbyś dług za Swoich współrodaków. Oni wszyscy po-

dzielają uczucia najgłębszego szacunku, z jakimi zostaną za zawsze.

J. W. Pana Dobrodzieja
najniższy sługa

A. Mickiewicz.

DO MARJANA PIASECKIEGO, W PETERSBURGU.

B. d., Moskwa (listopad 1827).

Kochany Marjanie!

Raz kiedyś parę słów do mnie rzuciłeś i chwalisz się ustawicznie tym listem, narzekając na milczenie moje. Owóż masz nie tylko odpis, ale i odpis urzędowy, i z poleceniami i komisami. Nie myśl, że uciekłeś z Wilna, już całkiem uwolniłeś się od obowiązku plenipotentą. Potwierdzam Cię znowu w dawnej randze, i zostaniesz, co do zapłaty, na dawnym etacie — podziękowań i ukłonów.

Posłałem Anastaziewiczowi nowe poema, które chciałbym tu drukować pod okiem własnem. Udaj się tedy do szanownego cenzora; proś, ażeby rychlej przeczytać raczył. Jeśliby nie wiele było do odmienienia, mógłbym jeszcze przerobić; jeśli zaś całkiem niepodobna, albo w znacznej części obcinać wypadnie, wtenczas nie podając urzędowo do cenzury, zwróć mnie rękopism. *N. b.* dawaj baczność, aby nikt prócz Ciebie nie czytał i nie widział tego poematu. Możesz dać do czytania Chodźce Aleksandrowi, pod słowem honoru, że on nikomu nie będzie czytał i sobie nic nie wypisze. Ostrożności te są konieczne. Bądź zdrow.

Oleś nic a nic nie pisze. Mimo zgłaszań moich kilkakrotnych, nawet przez brata mego Aleksa nic mi nie pisał. Dwa lata już czekam kopji jego wierszy.

Brat mój Aleksander upraszał wszystkich swoich znajomych, a szczególnie Januszewskiego, Sosnowskiego i zapewne Ciebie, abyście mi donieśli o przyjeździe brata mego Jerzego. Fregata *Diana*, na której on popłynął, już jest w Kronsztadzie od dawna; a żaden z Was nic mi o bracie donieść nie raczy.

DO PANA JAENISCHA.

Petersburg, (początek lutego 1828).

Panie!

Odbierzesz ten list w dzień, którego miałem przybyć do Moskwy. Nieprzewidziane okoliczności nie pozwoliły mi przedsięwziąć tej podróży, z której obiecywałem sobie tyle przyjemności. Zostaję jeszcze dni kilka w Petersburgu, czekam na przyjazd księcia Dymitrego (Galicyna), aby tak lub owak zdecydować o mej przyszłości.

Stan tej ciąglej niepewności, te bezustanne zmiany tłumaczą moje długie milczenie. Po kilka razy ociągałem się z wysłaniem listów w nadziei, że je wyprzedzę. Bądź co bądź po załatwieniu swoich interesów zawitam do Moskwy, choćby dla przypomnienia się znowu przyjaciołom, do których, pochlebiam sobie, że mogę zaliczyć Pana i Jego szanowną rodzinę.

Bardzo przyjemna mi jest wiadomość, że żona Pańska i panna Karolina dobrze się mają i trochę pamiętają o mnie. Panna Karolina zrobiła w polskim języku postępy, które zadziwiają wszystkich, oprócz osób znających jej nadzwyczajne talenta do wszelkiego rodzaju nauk. Jako jej były nauczyciel tego języka, dumny jestem z takiej uczenicy. Ponieważ książki, używane w studjach elementarnych łatwo się zużywają, proszę Pana wręczyć pannie Karolinie dwa nowe tomiki polskie. Niech wzamian zechce mi dać książkę, na której nauczyła się czytać po polsku, będzie ona dla mnie droższa, niż paryskie i londyńskie wydania.

Mam zaszczyt zostać z najwyższem poważaniem
najobowiązańszy sługa

A. Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA.

Moskwa, 22 marca (1828).

Czy zawsze mieszkasz „z Ordynata łaski i patrzysz w ogród Saski?” — dla czego mój list, adresowany do Pałacu Błękitnego, zaginął? Długi list, niestety, i nieprędko zdobędę się na podobny. Pisałem go z Petersburga, było tam i o scenach *Izory* i o moich nowych rymach i zamiarach rymo-

twórczych. Przysięgam na czułą balladę, że nie zmyślam. Daj mi więc lepszy adres, jeżeli chcesz listy regularnie odbierać.

Jestem od miesiąca przeszło w Moskwie i czekam suchej drogi, aby znowu udać się do Petersburga, gdzie podobno osiadę. Jak tylko będę bogatszym, dam i połowę kosztu na drogę, abyś mnie odwiedził; inaczej Bóg wie, czy się zjeździemy jeszcze przed wielkiem *rendezvous* na Józefatowej dolinie. W Moskwie zaczyna mi się przykrzyć. Zalescy, z którymi przeżyliśmy lato, wyjechali niedawno, jedna znajoma moja i przyjaciółka świat pożegnała. Jej strata w Moskwie bardzo mi dolegliwą była. Ucieknę stąd, jak wyrobię pozwolenie.

Chciałbym ci posłać tłumaczenie ruskie moich poezyj. Musiałbym wielką zrobić pakę. We wszystkich prawie almanachach (almanachow tu mnóstwo wychodzi) figurują moje sonety; jest ich kilka całych przekładów. Jeden, podobno najlepszy Kozłowa, (tego, co pisał *Noc Wenecką*) drukowany częściami, ma wyjść wkrótce.

Żukowski, z którym poznałem się, i który mnie bardzo przychylny, pisał, że jeśli weźmie jeszcze pióro, poświęci je tłumaczeniu moich wierszy. Puszkina wytłumaczył początek *Wallenroda*, wierszy kilkadziesiąt. Rosjanie gościnność rozciągają aż do poezji i przez grzeczność dla mnie tłumaczą mnie; gmin idzie w ślady naczelných pisarzów. Już widziałem Sonety rosyjskie w guście moich. Owóż sławy dosyć dla obudzenia zazdrości, chociaż ta sława wychodzi często z za stoła, przy którym jedliśmy i pijaliśmy z rosyjskimi literatami. Miałem szczęście zyskać ich względy. Mimo różnych mniemań i partyj literackich, ja ze wszystkimi w zgodzie i przyjaźni.

Listów moich nie czytaj i nie rozgaduj, oprócz Joachima, przed którym niema sekretów.

Pannie Laskarysównie wdzięczny jestem nieskończenie za pamięć; oddaj jej w moim imieniu egzemplarz *Wallenroda* i upewnij, że listu pani Zaleskiej nigdy nie odebrałem, nigdy bym go bez odpisu nie zostawił. Uściśnij Zaleskiego; nie-dobry, nic mnie nie przyśle ze swoich nowych kompozycji. P. Dmochowskiemu podziękuj za przesłane poezje i ofiaruj nawzajem *Wallenroda*. Nie daję darmo. Trzeba, aby mnie wkrótce znowu czemś swoim zapłacił.

Donieś, co tam areopag za pieczenią Generała sądzi o Wallenrodzie? i co warszawscy Szlegele piszą w gazetach, przyślij. Czego się Ty z nimi kłócisz? Śmiej się i pisz.

.

DO TOMASZA ZANA, W ORENBURGU.

Moskwa, 3 kwietnia 1828 r.

Nie mogę przypomnieć, czym na list Twój latem pisany odpowiedział. Jest szczególny rodzaj lenistwa, na który musisz nowy wyraz wynaleźć: jest to odkładanie ode dnia do dnia. Tym sposobem, często pół roku ciągnie się u mnie napisanie listu: a Ty największe masz prawo do naszej częstszej korespondencji, bo nas obdarzasz nowinami szczegółowemi o Swojem życiu, myślach i zatrudnieniach, czego od Janka wyprosić niepodobna. Cieszę się bardzo, że lubisz czytać (może i pisać weźmie Cię ochota), że szukasz uprzyjemnić Sobie czas długiego w tamtych stronach pobytu. Szkoda, że książek dosyć niema i większa szkoda, że teraz nie wyuczyłeś się dobrze niemieczyny, ani angielskiego języka. W niemieckim łatwiej i posilniejszą znaleźć lekturę. We francuskim tylko historyczne teraz prace znakomicie występują, i starać się będę przesłać Tobie cokolwiek książek w tym rodzaju. Wyjeżdżając do Petersburga, poleciłem kupić trochę, bo wtenczas nie byłem bardzo bogaty; donieś, czy tę przesyłkę, przez aptekarza jakiegoś ekspedjowaną, odebrałeś. Musisz wiedzieć, że byliśmy z Franciszkiem w Petersburgu. Moja sława, która w Moskwie rozszerza się, sprawiła mi wszędzie dobre przyjęcie. Rodacy mieszkający w stolicy i przybyli dali mi wspaśniałą *kucję*; improwizacje, śpiewy, etc. przypomniały zabawy młodzięńczego wieku. Potem nastąpiły zaprosiny codzienne w różne miejsca, i czas zeszedł dosyć przyjemnie, wyjąwszy smutne i bolesne spotkanie się z bratem moim Jerzym, którego złe prowadzenie się wiele mi zdrowia ujęło. Poznałem się w stolicy z literatami rosyjskimi: Żukowskim, Kozłowem, etc., i niektórzy szczerzej przychylności dali mi dowody. Ale najmilsza czekała mię siurpryza za przybyciem do stolicy Hejdatela i Sobolewskiego. Wiele oni ucierpieli, pracując w odległych gubernjach; teraz i miejsca wygodniejsze i rangę wyższą otrzymują. Uwija się też po Petersburgu Krzywousty, Kudrawy Marjan, którego historia długa i ustnie chyba

dałaby się opowiedzieć. Służy on teraz, a razem jest moim plenipotentem. Oleś Chodźko dopełnił liczby moich znajomych, — kochany chłopiec! mieszkał prawie u mnie i nie mogliśmy nacieszyć się sobą. Wy tłumaczył on pieśni greckie z Fauriela i wkrótce wydrukują się; wcale dobre tłumaczenie. Chwała Bogu, Oleś wybił się ze swego ciemnego stylu! Mimo tylu petersburskich przyjemności, wyrwałem się do Moskwy. Mieszkała tu familja Zaleskich, chciałem jeszcze ją zobaczyć przed wyjazdem i śpieszyłem się też do naszych znajomych, były i inne okoliczności. Franciszek został w Petersburgu, ale dotąd nic pewnego niema. Ja w miesiącu kwietniu tam się udam i w służbę wejdę, i spodziewam się i Wam wkrótce dopomóc. Na lato mam różne projekta: na Kaukaz, czy do Krymu! Czasem Orenburg mię wabi; czasem śnią się Włochy... Wszystko to jeszcze w głowie pomieszane i do wykonania trudne. Jak się coś wywiąże, doniosę Wam.

Życie moje płynie jednostajnie i ledwie nie powiem szczęśliwie — tak dalece szczęśliwie, że lękam się, aby zawistna Nemezys nie gotowała mi już nowych jakich utrapień. Spokojność, swoboda myśli (przynajmniej indywidualnie), niekiedy przyjemna zabawa, nigdy gwałtownych wzruszeń namiętnych (ma się rozumieć indywidualnych). Spodziewam się, że latem i większa obudzi się chęć do pracy; bo teraz leniwy jestem, lubo zawsze wiele czytam i myślę. Mój dzień każdy idzie równo: rano czytam, niekiedy rzadko piszę, o drugiej lub trzeciej jem obiad albo się ubieram na obiad; jadę na koncert w wieczór lub inną zabawę i powracam najczęściej późno. Uczę też po polsku niektóre damy. W nawiasie, wielu tu uczy się po polsku, i kurator zamysła katedrę przy uniwersytecie założyć. Mógłbym ją dawno otrzymać; ale nie myśląc zostać w Moskwie, zaniedbuję ten interes. W ciągu życia, jakie tu opisuję, charakter mój wyrównał się i uspokoił. Oleś Chodźko bardzo się mnie dziwił za teraźniejszym widzeniem się; uwielbiał mój jednostajny humor i łatwość w pożyciu z ludźmi, której dawniej nie miałem.

Daszkiewicz, mój *commensalis* i razem mieszkający, chociaż znudzony pracą w kantorze, utrzymuje przecież dobry humor. Jerzy wiele stracił przez wyjazd Zaleskich, jedynych jego znajomych; bywa tylko czasem u Kozłowskich, niegdyś wileńskich instytutorów, dziś tu mieszkających. Z nimi siedzi też Dominik Chodźko; tłusty i brudny kapucyn, którego staramy się, jak to mówią, *rozhluzdać* i do pracy przymusić.

'Ale zgadnij, gdzie Nufr, gdzie? Choćbyś myślał i radził się kabały, nie zgadniesz! I ja nie powiem, gdzie jest teraz; powiem tylko, gdzie będzie za parę tygodni. Gdzie? będzie w Nowogródku, będzie w Bołciennikach, będzie w Mereczu, będzie w Szczuczynie!!! Jedzie urządzać interesa jednego z tuższych urzędników; dano mu pozwolenie na kilka miesięcy. Pierwszy on tedy da przykład powrotu; dobra wróżba! Teraz jeszcze będziemy milczeć; ale kiedy on znowu stanie w Moskwie, odwołamy się do tego przykładu i doniosę Tobie, jak postąpić należy.

Posyłam Tobie tymczasem dwa egzemplarze *Wallenroda*: jeden dla Ciebie, drugi dla Janka; jeszcze kilka potem odbierzesz.

Zmiłuj się, daj adres, kędy najlepiej pisać do Ciebie. Ten list idzie do p. Żemczużnikowa. Odbierzesz tu rubli ass. 100, połowę dla Ciebie, połowę dla Janka. Może Janek przyjąć bez skrupułu: to są pieniądze uzyskane z *Wallenroda*. Poema, nie wiem, czy zechce czytać, bo nie w jego myśli drukowane. W Wilnie *Wallenrod* nie mógł być wydany, ani w Warszawie. Bądź zdrow. Udziel ten list Jankowi, bo teraz nie piszę do niego.

DO A. E. ODYŃCA.

Petersburg, 28 kwietnia 1828.

Kochany Edwardzie! Odebrałem *Izorę* przed samym z Moskwy wyjazdem. Odczytałem kilkakrotnie. Nie ucieszysz Cię zdanie moje; może być mylne, ale je otwarcie powiem.

Jest to praca młoda, wiele obiecująca, ale w świat jej puszcząć nie radzę. Jeżeli czytasz Szekspira, sam lepiej poznasz i zrozumiesz wady swego poematu. Myśl tylko nad każdą sztuką Szekspira. W tłumaczeniu Guizota (miernem) są wstępy zawierające niekiedy zdrowe uwagi. Wynajdź tłumaczenie Bandy, niemieckie, wierne i tanie. Przebież wstępy, odczytaj Schlegla o Szekspirze, trochę przesadzone, i Tiecka, głębokie zdanie. W Goethego „*Wilhelm Meister's Lehrjahre*“ są skarby uwag dla pisarza dramatycznego; *Hamlet* tam przedziwnie rozebrany. Nie zrażaj się pierwszego kroku trudnością; jesteś młody, zdrow, w sile talentu; gdybyś jeszcze dziesięć dramatów spalił, będziesz miał czas dwadzieścia dobrych napisać. Ja kilka ich całych w ogień rzuciłem, kilka w połowie doko-

nanych, i dotąd jeszcze nie mogę sił zebrać na tragedję, a już siwieję i zębów nie mam. Przecież nie tracę nadziei.

Powtarzam jeszcze raz, że w naszej epoce jedyne drama, odpowiadające potrzebom wieku, jest historyczne. Zresztą dotąd jeszcze nikt go w całym znaczeniu nie rozwinął. Szyler z całym geniuszem był naśladowcą Szekspira, co do rodzaju i formy dramatów. Goethe w jednym „*Götzu*“ trochę odgadywał dążenie historyczne epoki; w innych dramatach jest zawsze poetą przeszłości, szczęśliwie dawne formy odświeża i stosuje. Byron uczuł ducha nowej poezji i znalazł jej formy *epiczne*; ale *dramatycznych* dotąd niema, bo te się najpóźniej tworzą. Sofokl nie rychło wyszedł na scenę po Homerydach, a Szekspir po romansistach i nowelistach angielskich. Nie u nas znajdują się nowi poeci dramatyczni, trzeba ich czekać z Anglii, a najpodobniej z Francji, po wielu jeszcze latach. My naśladujemy Szekspira, Szylera, Goethego, przynajmniej ich formy, stosując je do narodowych. Życzyłbym Tobie zacząć od przerobienia jakiej ze sztuk tych wielkich mistrzów, a szczególnie Szekspira. Nabralbyś więcej pewności i taktu, większej znajomości teatru i natury dialogu. Korzeniowski z kilku sztuk zrobił swoją *Anielę* (czy też inną, nie pomnę, która z nich dłuższa; bo są dwie: *Klara* i *Aniela*, jedna głupia), próbę wcale dobrą i wiele obiecującą. Resztę uwag dramatycznych, może nieco jaśniejszych, bo te rzycałem pisać, odkładam do krytyki *Izory*.

Twoje uwagi, bardzo skromnie i trwożnie wyrzeczone o *Wallenrodzie*, bardzo słuszne. Uczta długa nadto; nie moja wina. Chciałem zrobić dwie powieści oddzielne, poema zacząć od opisu zarazy, etc., ale musiałem dać je w usta Wajdeloty dla różnych przyczyn, to zepsuło układ. Wiersze, zaczynające rozmowę Konrada z Aldoną, ciemne; grzech mój, leniłem się poprawić. Uwaga damy (panny Natalji Bispink) o chrześcijaństwie Konrada, żywem, a potem zaniedbanem, jest arcygłęboka. Błąd mój pochodzi z planu, który się potem zmienił. Życzę, abyś tej damie Swoje dramata czytywał. O wierszach nierymowych co oni mi piszą, iż jest po siedmnaście zgłosek, nie rozumiem. Alboż liczę zgłoski? O cenzurze długo rozwodzić się; mój system metryczny potem wyłożę zupełnie. Wiersze: „Ja cię, mój luby, nie chcę widzieć z bliska“, etc., etc., utrzymuję i bronię przeciwko zarzutom.

Wyjechałem z Moskwy nie bez żalu. Żyłem tam spokojnie, nie znajdując ani wielkich przyjemności, ani smutków. Przed

odjazdem literaci dali mi wieczór pożegnalny (nieraz mi robiono siurpryzy tego rodzaju). Były wiersze i śpiewy, ofiarowano mi na pamiątkę puhar srebrny, z napisami osób obecnych. Byłem mocno wzruszony; improwizowałem podziękowanie po francusku, przyjęte z wielkim aplauzem. Pożegnano mnie ze łzami. *Wallenrod*, tłumaczony prozą, już się drukuje w „*Więstniku Moskiewskim*“ (nie u Kaczanowskiego w *Więstn. Europ.*)

Twój wiersz do Lipińskiego dobry, ale pospolity, — zupełnie warszawski. Popraw się szlachcicu! Są tam piękne kawałki tylko.

Adam

DO A. E. ODYŃCA.

Petersburg, maj 20, 1828.

Listy Twoje razem dwa różnemi drogami odebrałem. Łatwo było przewidzieć, że przedsięweźmiesz obronę *Izory*, na którą tak srodze napadłem. Jestem tolerant, i nie dziwi mnie zdanie od mojego różne, albo mojemu przeciwne. Wszakże sumiennie tego, com powiedział, odwołać nie mogę. Czytałem *Izorę* swoim tutejszym i moskiewskim znajomym; sąd ich był jednomyślny. W Warszawie może się inaczej wydawać; na teatrze może pozyskać oklaski, ale próba ogniowa druku jest na nią za ciężka. Wreszcie, jeżeli masz jakie powody ważne drukowania, z Panem Bogiem!... Mam wstręt okrutny do wszystkich wysp i krajów, których niema na mapie, i królów, których niema w historii. Owe intrygi osnowane na przebraniach się i siurpryzach, wyroczniach, dla mnie nieznośne. Jestem zabity szekspirzysta; lubo dozwalam odmieniać formy i ekonomię dramatu, ale zawsze szukam ducha poetyckiego i prawdy historycznej. Wierszowana i dialogowana powieść jest zawsze powieścią, tylko fałszywie opowiedzianą. Nieszczęsny był Twój zamiar czerpać natchnienie albo treść z Ségur'a; cóż można z tak płytkiego źródła wyczerpnąć? Jeżeli szukałeś materji na dramat, czemuś nie zajrzał do Tacyta albo do romansów Walter-Skota? Nowelle, z których Szekspir snuł swoje kroniki i tragedje, były tysiąc razy poetyczniejsze, niż wszystkie historie i romanse (wyjawszy może niektóre dzisiejsze memoary Francuzów i romanse historyczne). Powtarzam milion razy, że nasz wiek potrzebuje dra-

matów historycznych. Lubię Tassa Goethego i Ifigenię, chociaż w nich gwałtownych niema namiętności.

.

Twoja ostatnia uwaga nad *Wallenrodem* nie trafia do mojego przekonania. Konrad musiał jechać w obce kraje, bo powróciwszy wkrótce po ucieczce, byłby poznany. Musiał też imię i sławę zyskać. Jeśliby zginął? to pytanie każdy w wielkiem przedsięwzięciu sobie zadaje, i przeznaczenie je rozwiązuje. Jeśliby zginął Bonaparte w Egipcie, toby świata nie skłócił; żeby Konrad zginął, nie byłoby poematu.

Uściśnij Joachima. W Warszawie wylitografowaliście ze mnie małą. Ktoś fałszywie doniósł, że bardzo się za to gniewałem i że paryski portret podarłem. Fałsz wielki. Portret paryski dosyć kształtny, podarto go, przesyłając, a ja nawet karykatury, z rąk p. Joachima otrzymanej, nie śmiałbym źle traktować. P. Joachim takim i podobnym wieściom niech nie wierzy. Mój adres: „Na Bolszaj Mieszczanskoj, w domie Joachima“, albo zwyczajną drogą na ręce pani Szymanowskiej.

Czytałem w Gazecie Polskiej artykuł „O reputacjach literackich“, tak zdrowo pomyślany i tak dobrze po polsku napisany, że wierzyć nie mogę, żeby w Warszawie wziął początek. Dowiedz się, proszę, kto jego autorem? Był też inny artykuł: „Myśli o literaturze polskiej“, wcale do rzeczy, wyjąwszy niepotrzebne zapuszczenia się w estetykę, które w gazecie nie są na miejscu. Te dwa artykuły pocieszyły nieco nas zasmuconych widokiem Waszej literatury. Czy nie dostaniesz tłumaczenia Kalderona przez Kamińskiego? Ciekawe zjawisko! Przecież odezwno się o Hiszpanach, o których Fr. Dmochowski, ojciec, i ks. Golański tak śmiało sądzili i wyrokowali, nigdy ich w oczy nie widząc.

Kup na mój rachunek i przyślij tu kilka broszurek, np. *Chwile spoczynku*, *Polnische Miscellen*, *Śmieszek*, *Harald*, jeśli wyszedł, i nowy dramat Korzeniowskiego, podobno *Mnich*, czy coś takiego. — Ale, ale, biegnij zaraz do księgarni, szukaj, kupuj, chwytaj i czytaj dzieło francuskie pod tytułem: *Les Soirées de Neuilly*, jeżeli się nie mylę w ortografii ostatniego wyrazu, bom na krótki czas miał książkę w ręku. Autor *l'abbé de...* (zmyśłone nazwisko). Są to sceny dramatyczne, podług mnie najciekawsze i najpoetyczniejsze dzieło naszej epoki, może nawet stanowić epokę w sztuce dramatycznej, a przynajmniej obwieszcza nową szczytną formę. ró-

zną od greckiej i od szekspirowskiej; formę prawdziwie naszego wieku, do tegoczesnych zdarzeń najstosowniejszą. Zawsze myślałem, że Francuzi, mimo terazniejszy zupełny upadek poezji, są na dobrej drodze, i że nowy rodzaj poezji dramatycznej *u nich* powstanie, może w drugiej lub trzeciej generacji. Dzieło, o którym piszę, jest dowodem, że się nie mylił, i zapowiada z daleka ważne dla poezji odmiany, nowe formy. Tak to sztuka, zamiast wycieńczania się przez cywilizację (jak się to krótkowidzom zdawało), przeradza się tylko, zmienia się na kształt Proteusza, w ogień, w straszydła:

Raz się zdaje lampartka; to znów hydra śliska,

Nie puszcza jednak młodzian i potężnie ściska.

Ściskajmyż ją tedy i duśmy, żeby się i nam odezwała.

Ale wątpię, czy w Warszawie znajdziesz te *Soirées*. Wasi literaci, opatrzeni w Laharpe'a, Damiron'a, po cóż mają czytać nowe rzeczy?

DO A. E. ODYNCA.

(Z Petersburga, w lecie 1828 r.)

Kochany Edwardzie!

Nieraz mnie popsuleś humor Twoim ustawicznym bólem głowy. Dla czego dotąd nie przedsięwiesz porządnego leczenia się? Choć nie jestem doktorem, radziłbym Tobie zrobić małą podróż nad morze i brać kąpiele, które wiele pomogły na tego rodzaju słabości. Wreszcie zostawiam to fakultetowi, rób sobie, co chcesz, bylebyś zupełnie był mi zdrowym i wesółym. Słyszałem, żeś urósł i wyglądasz jak dragon, albo (jeżeli Ci się podoba porównanie), jak Goethe. Trzeba to porównanie usprawiedliwić. Że Warszawa jest złem siedliskiem dla poetów, niema kwestji. Drażnią tam Ciebie małemi nieprzyjemnościami, zajmują głupstwami koteryjnemi, o których myśleć niewarto, i rozrywają fraszkami. Nie mogę bez żalu pomyśleć o strasznej u Was literackiej stagnacji. Chwała Bogu, że przecież Szekspira z orjginału tłumacza i o Kalderonie choć słyszą. Dawniej o nich tylko sędzili i potępiali. Całe nadzieje leżą na Zeleskim, na Tobie, na Korzeniowskim! Witwicki bardzo nas zadziwił. Artykuł o reputacjach wyborny! stylem wcale nie warszawskim, bo czystym, jasnym i mocnym. Witwicki mógłby wielką zrobić literaturze przysługę, zajmując się historią literatury i krytyką, a tymczasem po-

pularniejszymi artykułami atakując grube przesady i nieświadomość zupełną naszych pseudokrytyków. Tylko nie-
szczęściem *Gazeta Polska*, jedyny organ odzywający się nie-
kiedy ze zdaniem zdrowszem, jest bez planu redagowana.
Jeśli znasz biuro gazeciarskie, wytłumacz redaktorom, ile
sobie narażają czytelników, mieszcząc długie o sześciu cią-
gach artykuły. Za zasadę przyjąć należy, aby żadne pismo
nad dwa ciągi nie rozszerzało się, inaczej wychodzi za za-
kres gazety. Czy można znowu wlec przez miesiąc spory
o *Ktosia* i znowu potem o łowiectwie Bobiatyńskiego! Nie
mogę wydziwić się, że dotąd lepsi literaci Wasi nie umyślili
choćby jednego znośnego pisma perjodycznego ufundować.

Ja teraz niewiele pracuję, albo raczej wiele próżnuję, jak
zwyczajnie latem, przy różnych rozerwaniach, a czasem nie-
przyjemnościach. Podobno zostanę i nadal w stolicy. Do al-
manachu Twego dam parę nieogłoszonych sztuk. Należa-
łoby mieć i prozę. Przyślij mnie plan tego dziełka i imiona
kollaboratorów. Nie mogę u Was doprosić się rachunku
z *Wallenroda*. Żebyście też przypomnieli (ja dotąd nie wiem),
ile egzemplarzy *Sonetów* rozsprzedano, i ile jest dotąd w księ-
garni?

Z wydaniem tutejszem idzie powoli, bo litery odlewać
trzeba. Złeście zrobili, że paryskiej edycji, jeśli możecie nią
rozporządzać, w znacznej części nie przysłali morzem do
Petersburga. Ażali niepodobna jeszcze tego zrobić? Toż samo
stosuję do edycji poznańskiej; choćby część przeznaczoną do
Litwy, tędy przesłaćby należało. Zresztą jeszcze tych wydań
nie rozumiem, i czy mi szkodę, czy pożytek przyniosą, nie
wiem.

Krasińskiego i pana Joachima uściśnij. Pruszyńskiego
pozdrów i za bilecik mu podziękuj. O pieniądzach przypomi-
nam jeszcze.

A. Mickiewicz.

Przyślij mi koniecznie Twoją miniaturę. Joachima już
mam, o Zaleskiego przypominam.

DO JOACHIMA LELEWELA, W WARSZAWIE.

B. d. (Petersburg, lipiec 1828).

Szanowny Panie Joachimie.

.....

Odebrałem wczora list z wekslem, a dawniej nieco egzem-
plarz paryski. Na pierwszą nowinę byłem zdziwiony nieprzy-

jemnie, widząc, że mi nieznane osoby dają podarunki i chcia-
 łem nawet publicznie protestować się. Ale szanowna dama
 uczyniła to zapewne w dobrych zamiarach, myślałem także,
 iż może od Ciebie miała upoważnienie. Postanowiłem tedy
 milczeć; proszę tylko, abys raczył uwiadomić wydawców, iż
 to tylko chciałbym za własność poczytać, co się od zwrotu
 kosztów pozostanie, i nie widzę, dla czego by koszta łożone tra-
 cić mieli. Złe postąpiono, zostawiając egzemplarze w Paryżu,
 księgarze płacą za nie wydawcom (jak mi p. Chodźko pisze)
 po sześć franków, a sprzedają po dziesięć do Polski, gdzie
 znowu cena zapewne podwoi się. Możnaby było wprost sprze-
 dać po dziesięć franków z pierwszej ręki, taniej dla czyteln-
 ików, wygodniej dla wydawców i autora... Obaczysz, jak pój-
 dzie w kurs Twoja Historia skrócona. Prawda jest, że, podług
 mego rachunku, połowa tylko rozkupionych książek czyta się
 przez nabywców. Wielka masa egzemplarzy kupiona i nie
 rozerznięta kursuje, ale i ta trafi z czasem na czytelnika.
 Czy uwierzysz, że tu greckiej Odysei Jeżowskiego z łacińskim
 objaśnieniem kupiono egzemplarzy pięćdziesiąt i kto kupił?
 Plenipotenci i procederejąca szlachta. Najgorsza u nas
 sprzedaż u księgarzy, ci ludzie leniwi i nieczynni na pulkach
 dzieła duszą. Jeden Glücksberg więcej ma handlarskiego taktu
 i na kontrakta kijowskie zagłada. Tam właśnie jest *Oster-*
messe lipskie, na prowincje litewskie.

Radzisz mi cokolwiek na stronę odłożyć i wymawiasz mi
 niedbalstwo o przyszłość. Jakże o niej myśleć mogłem, od tylu
 lat żyjąc tylko od jutra do jutra? Częstkami wchodzące sumy
 tysiąc już miały otworów do wyjścia. Wszakże ani na karty
 ani na żarty nie traciłem. Teraz oto w stolicy tak długo sie-
 dząc i zawsze tymczasowie, grubo wydałem. Przecież ile mo-
 żności korzystać z rad Twoich będę i kilka tysięcy rubli ass.
 albo w Lombardzie albo w Banku polskim złożę. Moja po-
 dróż za granicę dotąd się nie składa i nie wiem, jak prędko
 nastąpi; nie wiem nawet, czy tu zostanę, czy znowu wrócę
 do Moskwy.

Dziękuję za przysłanie dzieła o prawodawstwie. Czyta-
 łem je dawniej, nie umiem go ocenić, niestety nie wielu bę-
 dzie umiało przeczytać nawet! Jakkolwiek wszyscy znamy
 i nadzwyczajny talent Twój i dziwną pracę, musimy jednak
 zawsze dziwić się na nowo tylu i tak ważnym robotom. Szko-

da tylko, że dla uczonych badań zdajesz się opuszczać właściwą historję. Czujemy tych badań i ważność i potrzebę. Bez nich i historia u nas kulawo postępowaćby musiała, ale wszyscy wołają, że nam historyków jeszcze gwałtowniej potrzeba, aniżeli badaczów i wszyscy wiedzą, że jeden tylko Joachim jest historykiem w znaczeniu całem tego wyrazu. Dziwną byłoby z mojej strony śmiesznością dawać Tobie rady, ale cóż! Zawsze, im się mniej czego umie, tem się więcej chce o tem gadać i zawsze uczniowie mistrzom radzić lubią. Wybacz tedy, jeśli w prostocie ducha wyglądam zawsze od Ciebie czegoś w rodzaju *Dziejów Starożytnych*, tak mało u nas rozumianych, a godnych europejskiej sławy. Dzieje średnich wieków obiecałeś nam, a przynajmniej obiecaliśmy je sami sobie i wyglądać ich będziemy ustawicznie.

.
Daruj mi, Szanowny Panie Joachimie, że ton listu mego jest może zanadto poufały. Zrób mi teraz łaskę i nie nazywaj mię nigdy *Panem*, tylko po prostu Adamem, a siebie tylko panem Joachimem pozwól tytułować. Jeżeli zaś nazwiesz mię kiedykolwiek panem, będę wnosił, że chcesz, abym Ciebie Jaśnie Wielmożnym Żylichowskim Panem Dobrodziejem co słowo czcił.

Daszkiewicz dotąd w Moskwie. Zdrow jest i życzy sobie przenieść się na służbę do stolicy. P. Sękowskiego od przyjazdu raz tylko widziałem na ulicy.

Obowiązany sługa,

Adam Mickiewicz.

DO PANI BONAVENTUROWEJ ZALESKIEJ.

Petersburg, dnia 20 augusta (1828).

Troszczysz się podobno, Pani, ze zwykłą dobrocią, nie odbierając tak długo odemnie wiadomości. Należało wnosić, że nie ma żadnej w położeniu mojem odmiany, bo jeżeliby cokolwiek pomyślnego zaszło, nie zaniedbałbym natychmiast Pani napisać. Siedzę tu od pięciu miesięcy w oczekiwaniach. Moje zamiary wyjazdu na Kaukaz lub do Odessy nie wzięły skutku, dotąd nawet miejsca w Petersburgu nie znalazłem. Tak jestem znudzony, tak sprzykrzyłem sobie tutejszy pobyt, że jeśli za miesiąc nic nie zrobię, udam się napowrót do Moskwy i tam końca czekać będę. Niepewność ustawiczna,

choć tak długa, zawsze jednak dokucza i trudno do niej przywyknąć, stąd i zatrudnienia obrać i oddać im się szczerze, nie czuję ochoty.

Pani zawsze cierpi na zdrowiu; będąc ostatni raz u Szymanowskich, znalazłem całą rodzinę w smutku a Helenę we łzach. Mówiły, że Pani znowu zaczęła się leczyć podług *Le Roi*. Moje myśli w tym względzie wiadome Pani, i doniesień tych bez trwogi słuchać nie mogłem. Ale czyż mi godzi się radzić lub odradzać!

O niech Bóg dobry natchnie Panią skuteczną radą w tej tak długo trwającej słabości. Ja zawsze myślę, że podróż mogłaby najwięcej dobrego dla niej przynieść. Jeśli tylko okoliczności pozwalają, staraj się pani gdziekolwiek wyjechać. Mieszkanie na wsi byłoby zbawienne, ale zostawując w spoczynku ciało, daje czas duszy do myślenia i dręczenia się. Cokolwiek pani przedsięwzięmie, niech donieść raczy. Słyszę od Daszkiewicza, że interesa pana Bonawentury źle idą. Czas już i dawno czas, abyś Pani ostatecznie ułożyła Sobie, jak nadal postąpić, jak się urządzić, gdzie mieszkanie obrać.

Ile razy pomyślę, w jakich trudnościach, w jakich smutkach teraz zostawać musisz, Bogu wiadomo, co się w sercu mojem dzieje.

Przeznaczenie zdawało się Ją ścigać, ale zbyt poddawanie się troskom, a co gorsza, niepewność i niedecyzje może jeszcze więcej przyczyniły się do jej umartwienia.

Tyle razy robiłaś Pani różne zamiary o Swoim przyszłym losie! a zawsze zapominałaś, że zdrowie było pierwszym do wszystkiego warunkiem.

Tłumaczenie *Wallenroda* dotąd jeszcze nie drukowane. P. Malewski wziął na Siebie przejrzenie i porównanie z oryginałem. Nie wiem, jak daleko zaszedł, ale podobno już blisko końca, i spodziewam się, że razem z nowem wydaniem moich poezji wyjść może przed nowym rokiem.

Odebrałem tu jeden egzemplarz paryskiej edycji moich dawniejszych poezji. Chciałem przesłać Pani, ale mi zabrano i dotąd nie mogę odszukać.

.

Całuję ręce Pani i czekam od Niej wiadomości, o gdyby cokolwiek pomyślniejszych!

Adam.

DO A. E. ODYNCA.

(W PRZYPISKU DO LISTU ALEKSANDRA CHODŹKI.)

(Petersburg, 27 października 1828 r.)

Pisałem do Ciebie bardzo dawno przez p. Wclowskiego, starszego w kancelarji sekretarjatu. Jeśliś listu nie odebrał, idź go szukać i odpisz mi na umieszczone tam zapytania względem wydań poznańskiego i paryskiego, o czem szeroko pisałem, i nie mam dotąd wiadomości pewnych. Posyłam balladę jedną do almanachu. Może coś jeszcze odbierzesz przez pocztę. Nie wiem, czy ta ballada może się pći pięknej podobać i czy nie obrazi delikatności warszawskiej. Daję Ci pozwolenie odmienić, jak Ci się podoba, niektóre szczególnie wiersze, nim oryginał taki, jaki jest, w swoich poezjach wydrukuję.

Natychmiast wypraw mi format Twego almanachu. Może Ci stąd jaką rycinę dostanę albo wylitografować każę. Bądź zdrów.

A. Mickiewicz.

DO MARJI SZYMANOWSKIEJ W PETERSBURGU.

Petersburg, 2 listopada 1828.

N. 18,956.

My, poeta romantyczny, z łaski prenumeratorów autor wielu książek drukowanych, sprzedawanych, tudzież drukować się i sprzedawać mających, wszystkim i każdemu z osobna, komu wiedzieć należy, wiadomo czynimy:

Od wielu miesięcy trwały między naszą poetką Mością i Jej arcy-muzykalną Mością, pierwszą pianistką, autorką kaprysów, warjacyj, romansów i kontredansów, etc., stosunki sąsiedztwa i przyjaźni. Wiadomo światu całemu, a przynajmniej dziesięciu ludziom, że nieraz jadalśmy obiad społem, a nawet w orszaku Jej arcy-muzykalnej Mości przedsiębraliśmy dalekie, aż ku ogrodowi Letniemu, podróże. Niestety te stosunki sąsiedztwa i przychylności zostały zerwane i potargane, albo raczej potargane i zerwane zbiegiem smutnych wypadków, a mianowicie dla deszczu i błota, dla drogiej ceny doróżek i dla strat okropnych, jakie ponieśliśmy w kaloszach i parapłujach. Usiłując przecież ile możności

dawne wznović przymierze, osądziliśmy za rzecz przyzwoitą, przyjąć na obiad ze strony Jej arcy-muzycznej Mości zaproszenie i do obiadu łakomego własną osobą zasiąść przyrzekamy.

Dla urządzenia ceremonjału zwykłego w podobnych okolicznościach wysłany jest od nas, w charakterze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego, JW. Nikifor ex-kucharz dworu naszego, rzeczywisty tajny pijak, *grand valet de chambre et d'anti chambre*, kawaler orderu wienika i rądelka, ozdobiony medalem dwugrywiennym za wytrucie tarakanów i drugim medalem piaciąłtynowym za wypędzenie szczurów, tytularny mąż i ojciec kilkorga dzieci, etc., etc.

JW. Nikifor zawrzeć ma układy następującej treści:

1. Jego romantyczna Mość uda się w podróż w sobotę o godzinie trzeciej, piechotą lub w dorożkach według okoliczności, zachowując najściślejsze inkognito i nie witając się z nikim oprócz znajomych.

2. Na granicy posiadłości Jej arcy-muzycznej Mości, Jego romantyczna Mość powitany będzie długim biciem we dzwonek, podług dawno przyjętego zwyczaju.

3. Następnie przyjęty będzie przez kucharkę, pokojową lub innego podobnej godności dygnitarza.

4. Jego romantyczna Mość wejdzie bez straży i uzbrojony tylko parą epigramatów, które dla uniknienia nieufności będą płaskie i niezaostrzone.

5. Ponieważ Jej arcy-muzyczna Mość zawsze zwykła się ukazywać uzbrojona uśmiechem zdradliwym, spojrzeniem przenikającym, przeto Jej arcy-muzyczna Mość da słowo, iż podobnych niebezpiecznych orężów przeciwko osobie Jego romantycznej Mości używać nie będzie. Równe przyrzeczenie wymaga się od osób składających Jej orszak.

6. W przypadku napaści, Jego romantyczna Mość ostrzega, iż natychmiast oszańcuje się za fortepianem i zacznie grać i śpiewać swoje kompozycje, aż póki za pomocą Bożą nie zostanie sam panem placu bitwy.

7. Po przyjęciu i powitaniach Jego romantyczna Mość złoży podarunki, jako to:

a) Kilka komplementów ciężkości i długości niesłychanej.

b) *Des bons mots massifs d'une fabrique étrangère.*

c) *Plusieurs impromptus faits a loisir avec beaucoup de peine et de travail.*

d) *Des anecdotes d'une antiquité respectable et bien constatée.*

8. Poczem nastąpi obiad, którego rozporządzenie oddaje się zupełnie na wolę Jej arcy-muzycznej Mości.

Dan w rezydencji naszej, pod N. 23.

1828 roku, 2 listopada.

(L. S.)

NB. Dla nadzwyczajnych wypadków obiad zapowiedziany na sobotę miejsca mieć nie może.

W niedostatku damy na sekretarza obowiązek ten sprawa JW. kandydat Wschodu i pierwszy aspirant do haremu, Aleksander Chodźko.

Jego romantyczna Mość każe mnie, sekretarzowi swojemu, ostrzec JW. Helenę, kanclerza Jej muzycznej Mości, iż warunki, na których niniejszy traktat osnowany, mają się obserwować w każdej obiadowej ceremonji na przyszłość.

DO JOACHIMA LELEWELA, W WARSZAWIE.

Petersburg, 5 grudnia (1828 r.)

Za przesłane książki i łaskawe pismo bardzo dziękuję. Jeżelim w dawniejszym liście, uskarżając się na to, że prace właściwe historyczne zdawałeś się opuszczać, omyliłem się w zdaniu mojem o czytającej publiczności, spodziewam się, że mi wybaczysz. Nie miałem wcale zamiaru występować z radami i cieszę się mocno, że od czasu uchylenia się mego ze sceny literackiej czytelnictwo rozszerza się, a co lepsza, posuwa się w głąb i w górę, kiedy już umieją dzieło o prawodawstwie cenić i z niego korzystać. *Extrait* z biografji wszystkich tu przyjemnie zadziwił, bo wszyscy tu entuzjaści Lelewela i miło widzieć świadectwo zagranicznych o sławnym rodaku. Zapal, z jakim tę biografję wyrrywano i obnoszono, nieraz obudził we mnie żalodne uczucie, i ledwo nie uśmiech pogardy. Czyż dotąd trzeba nam dowiadywać się z zagranicy, że mamy ludzi z genjuszem? i nigdyż nie będziemy umieli ich ocenić, póki nie są przez obce pisma patentowani na wielkich ludzi? Dzięki Bogu, ten zarzut nie pada na dawnych uczniów Pana. Zresztą w tej biografji dzieła dobrze wypisane, obraziło nas tylko ogólne o stylu zdanie. Było dawniej modą skarżyć się na styl Lelewela, należało wszakże zrobić różnicę między broszurami na prędce z not układanemi i mię-

dzy dziełami noszącemi cechę wypracowania. Ja nie pojmuję, jakim innym stylem możnaby napisać dzieje starożytne o Indjach, etc., lubo w innych książkach żądałoby się popraw.

Zacnemu Muczkowskiemu poślę podziękowanie na ręce pana, napiszę i do hrabiny, której dalibóg nie wiem, co pisać. Nakazałem do Leonarda Chodźki, aby mię o kosztach tej edycji paryskiej uwiadomił, i czy nie możnaby ich zwrócić; zresztą poradź mi, co mam począć. Jak Poznańczykom wdzięczny jestem, tak ów dar paryski niemiły dla mnie.

Malewski Franciszek jeździł za pozwoleniem dwudziesto-ośmiudniowem do Wilna i teraz właśnie wrócił. Ja podobno na kilka miesięcy znowu Moskwę zamieszkam, skąd znowu do Petersburga przeniosę się.

Życzliwy sługa,

Mickiewicz.

DO A. E. BENKENDORFA.

SZEFA ŻANDARMERII

(z francuskiego).

Petersburg (styczeń 1829).

„W końcu r. 1823 byłem aresztowany przez wileńską policję i w ciągu siedmiu miesięcy zamknięty w więzieniu, gdzie mnie traktowano jak kryminalnego przestępcę. W piątym miesiącu swego więzienia byłem po raz pierwszy i ostatni badany przez komisję, która miała za zadanie przeprowadzić śledztwo co do istnienia tajnych towarzystw wśród studentów uniwersytetu wileńskiego. W jakiś czas później rzeczona komisja uznała, że będąc jeszcze studentem uniwersytetu wileńskiego, należałem do towarzystwa literackiego, złożonego z 5—7 członków, którego istnienie nie trwało dłużej niż 2 lata, w r. 1817 i 1818 i któremu komisja śledcza nie przypisywała żadnego celu politycznego; równocześnie jednak uznano, że nie należałem do innego towarzystwa studentów, złożonego z więcej niż 100 członków, którego początek odnosił się do d. 1820 i w którym sama komisja znalazła jedną tylko winę — *miłość narodu*, nie mówiąc nigdy, jak i dlaczego jest ona zakazaną. Na skutek tego śledztwa zostałem uwolniony z więzienia w kwietniu 1824 r. i jak przypuszczałem, mogłem już zapomnieć wszystkie swe nieszczęścia, gdy rozkazem policji, w październiku zostałem zmuszony w ciągu 24 godzin opuścić

Wilno i udać się do Petersburga. Dowiedziałem się wtedy, że umieszczono mnie w liczbie 14 studentów skazanych na służbę państwową w oddalonych od Polski guberniach. Po przybyciu do Petersburga na rozporządzenie z góry, które pozostawiało mi wybór miejsca urzędowania, skierowany zostałem do hr. Witta, kuratora Liceum w Odessie. Ale wkrótce potem, gdy nowy rozkaz zmusił mnie do zmiany miejsca pobytu, wybrałem Moskwę, gdzie byłem zaliczony do kancelarii cywilnej Generał-gubernatora. Interesy moje własne, zarówno jak i rodziny mojej, zmuszają mnie pragnąć, abym był przeniesiony do Petersburga, stan mego zdrowia wymaga przedsięwzięcia podróży do wód niemieckich, ale ja widzę dobrze, że wszystkie me wysiłki są płonne, dopóki będę zmuszony bronić się nie przeciw określonym zarzutom, ale przeciw ciemnym i nieokreślonym podejrzeniom.

Nie zasługuję na wyrok, gdyż nie byłem sądzony, nie zasługuję na karę, gdyż nie byłem karany, sprawowanie moje jest bez zarzutu, gdyż za mnie odpowiada świadectwo mego szefa; zasługuję na zaufanie, gdyż mogłem otrzymać katedrę profesorską, a pomimo to wszystko jestem człowiekiem niebezpiecznym, podejrzenie krąży dokoła mnie. Tak więc, gdy wszystko już się zmieniło dokoła mnie, gdy ja sam dosięgłem wieku, gdy jest się zmuszonym pomyśleć o swym losie, gdy jako człowiek i poddany państwa, i jako ojciec rodziny powinien poznać i wypełnić swe obowiązki, na mnie wciąż patrzą, jak na studenta uniwersytetu wileńskiego. Nowe śledztwa następują jedno po drugim i nie dodają nic do winy mojej i towarzyszków moich, z żadnej strony nie wspomina się już o wileńskiej komisji śledczej; łaska Władcy zmniejsza surowość sądów, Manifesty kasują wyroki trybunałów, otwierają więzienia, wracają rodzinom zesłanych, a pomimo to wszystko moja własna pozycja socjalna pozostaje niezmienną. Zesłany w r. 1824 za czyny zaszłe w r. 1818 w ciągu 5 lat nie mogę uzyskać odkupienia swoich pierwszych lat szkolnych“.

Adam Mickiewicz.

DO JOACHIMA LELEWELA, W WARSZAWIE.

16 stycznia (1829 roku).

Chociaż przebaczasz mi wszelkie kłopoty i komisa, którymi ciebie obarczam, czuję zawsze zgryzotę sumienia i lę-

kam się, aby Klio albo inna jaka muza sprawująca obowiązki patronki bibliografji i bibliotek, nie zemściła się na mojej muzie za te księgarskie i wekslarskie narzucane Tobie roboty, mój szanowny Mistrzu i Przyjacielu. Odebrałem już pieniądze, w czas przyszły. Nie chciałem tu zaciągać pożyczek na wypłatę druków. Wydanie moje kończy się, zawiera dawne rzeczy i nowe przydatki. Będę ukamienowany w Warszawie za przedmowę. Złamałem kopje ze wszystkimi prawie literatami przychylnymi i nieprzychylnymi. W uwagach nad polską krytyczną szkołą od X. Nirjusza Golańskiego do Ludwika Osińskiego rzuciłem niemało sarkazmów na warszawskie *Kleinstädtereien*, wzajemne pochlebstwa i wielką obcych rzeczy nieznajomość. Ta przedmowa jest tylko zagajeniem wielkiej walki, którą mam chęć wręcz rozpocząć i śmiałość czuję do końca w niej wytrwać. Zacznę pisać różne literackie rozprawy; powtarzając myśli cudze wprawdzie, ale u nas bardzo nowe, dołączę, jako zastosowanie, rozbiory naszych pisarzy. Mam wielkie dla talentu poszanowanie i autorowie, klasa, że tak powiem, płodna w literaturze, zasługują na słuszne względy i na pobłażanie nawet uchybieniom. Ale retorowie zuchwali i ciemni litości nie warci, łatwo pokazać ich nicość. Zresztą napaść pociągnie za sobą z ich strony wzajemne ataki, będą musieli czytać, co zawsze wyjdzie na pożytek.

Tadeusz bardzo ucieszony wyborem, robił on dawniej a przynajmniej pisał niektóre psoty, teraz wszakże stało się przychylny i dobrze się stało, że go umieszczono. Mówiłem niedawno o recenzji Karamzina dalszym ciągu; zdaje się, że do jej zatrzymania przyłożył się czynnie pan orientalista, dowodząc, że sensu niema. Z tym orientalistą powtarzam, iż nie wypada, abyś miał jakie związki listowe, chyba literackie najubożniejsze. Co się z nim stało albo raczej, co się w nim odkryło, przechodzi moją nawet wiarę.

Czy pamiętasz, że przy ekspedycji mojej z Wilna zostawiłeś w liście dla mnie r. as. 100. Nie widzę w rachunkach, abyś je potrafił. Musiałeś zapomnieć; jestem teraz bogaty i mogę wszystkie długi płacić, oprócz długu wdzięczności, którą dla Ciebie, kochany Joachimie, do grobu zachowam.

Pocciwy Mikołaj, jak wiadomo, straszny projekcista, zawsze siedm rzeczy razem robi. Jedną podobno zrobić kompletnie: ożenił się.

Jeżeli kiedy wolny czas mieć będziesz, napisz trochę o warszawskich pracach literackich i udziel nam kilka anegdotek.

Adam.

DO JÓZEFA MUCZKOWSKIEGO.

Petersburg, 5 marca 1829 roku.

Wielmożny Mości Dobrodzieju.

Darujesz mi, że tak spóźniłem się z należnem podziękowaniem za życzliwość, jakiej mi dałeś dowody, zajmując się tak czynnie literackimi i handlarskimi interesami nieznajomego Panu autora. Byłbym bardzo niewdzięcznym, gdybym skarżył się na brak zachęcenia w kraju naszym. Nad bogate honorarja zagranicznych pisarzy, nad ich znaczenie i tytuły, zaszczytniejszy może, a zapewne sercu miłszy, szczupły dochód, który winienem bezinteresownej życzliwości nieznajomych, w dalekiej stronie mieszkających rodaków. Przy teźniejszych trudnościach handlu księgarskiego i stosunków literackich, kiedy własność autorska tak u nas mało szanowana, dałeś Pan przykład piękny, pokazując, iż można potrzebom czytelników odpowiedzieć bez zaszkodzenia autorom. Jeżeli tym sposobem zobowiązałeś Pan cały cech pisarski, mnie szczególnie wyrządziłeś cześć i przysługę, i wyborem dziełka mojego i pilnem trudnieniem się około jego wydania.

Pozwól mi Pan być przekonanym, że kwitując siebie zobopólnie z handlowych stosunków, nie zakwitujemy się ze znajomości i przyjaźni. Będę nieskończenie wdzięczny, jeżeli mi wskażesz drogę i dasz pozwolenie dalszej korespondencji. Jeżeli zostanę na długo w tutejszej stolicy, ośmieliłbym się do różnych moich literackich projektów używać Pana Dobrodzieja pomocy i rady.

Wydrukowałem teraz właśnie w Petersburgu nowe, pomnożone wydanie poezyj moich. Posyłam Panu jeden egzemplarz, który na pamiątkę zachować raczysz, i kilkanaście dla zdarzyć się mogących amatorów. Nie chciałbym, aby w Poznaniu dawni prenumeratorowie podwójny koszt łożyli na zakupienie teźniejszego nowego wydania. Może Panu zdawać się będzie, z nowo ogłoszonych artykułów jeszcze jeden tomik do poznańskiego wydania przyłączyć dla właścicieli trzech tomików i liczbę egzemplarzy tego dodatku podług

liczby dawnych prenumeratorów odbić. Zostawiam to wszystko zdaniu i rozporządzeniu Pana; w szczegółach zaś i rachunkach z W. Joachimem Lelewelem znosić się raczysz.

Pozostałe z dawnego wydania egzemplarze nie rozsprzedane możesz Pan uczniom albo amatorom ubogim swego wyboru rozdać.

Przyjmij Pan wyraz głębokiego szacunku, z jakim zostaje WMPana Dobrodzieja najniższy sługa,

Adam Mickiewicz.

DO JOACHIMA LELEWELA W WARSZAWIE.

Petersburg, 7 marca 1829 r.

Kochany Panie Joachimie.

W pierwszej pacie są egzemplarze dla pana Joachima i innych z nadpisami, jeden bez nadpisu dla hrabiny Ostrowskiej, ten raczysz z listem tu załączonym przesłać jej, gdzie należy, podobnie jak egzemplarz z listem do Muczkowskiego. Napisz mnie, proszę, co myślisz o przedmowie mojej; po jakiemu tam ją traktować będą. Od Odyńca odebrałem nową pakę Meliteli, część rozprzedam, wszystko by się rozeszło, ale dla zbyt brudnej edycji wszyscy się książką brzydzą. Ja wszedłem tu w służbę do kolegium interesów zagranicznych, ale dla słabości ciągłej zdrowia nie wiem, czy tu ciągle bawić będę. Aleksander dotąd nie może naadmirować się dzieła Twojego o prawodawstwie i dzieło to zupełnie jego ideom o prawie krajowem inny nadało obrót.

Bądź zdrow, kochany Panie.

Sługa, Mickiewicz.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO(.)

Moskwa, ostatniego marca (1829).

Od dwóch blisko tygodni jestem w Moskwie. Droga, jak zwyczajnie, zdrowiu memu pomogła: apetyt i sen z procentem odzyskałem. Spodziewam się, że, jeśli mi się uda na południe wyruszyć, o wiele lat życie przedłużę. Nie wiem jeszcze z pewnością, kiedy stąd ruszę: jeśli droga będzie znośna, w przyszłym tygodniu, to jest za dni trzy lub cztery, uciekam; jeśli

rzeki puszcza, będę musiał tu dwa tygodnie jeszcze przebawić. Podróż nieźle poszła, interesa pokończyłem, nieprzyjemności, których lękałem się, uniknąłem. Później o tem ustnie powiem.

A. M.

DO EDWARDA ODYŃCA W WARSZAWIE.

Petersburg, 1 maja 1829 roku.

Edwardzie!

Powróciłem niedawno po złej drodze z Moskwy. Widzisz, jakim zrobiłem się nomadem, sto mil po śniegach topniejących i rzekach łamiących się przelecieć, niczem dla mnie. Rozpaczam teraz podróż dłuższą jeszcze. Za kilka tygodni dla poratowania zdrowia za granicę wyjeżdżam, za łaskawem J. C. Mości chlubnem dla mnie zezwoleniem. Dla szczupłości funduszków puszczam się najkrótszą drogą, to jest morzem do Lubeki, i stamtąd w końcu maja ruskiego stanę w Dreźnie; zabawię czas jakiś u wód i dalszą podróż wedle stanu zdrowia i różnych okoliczności rozrządę. Opowiedz to wszystko tymczasem panu Joachimowi, nim do niego oddzielnie napiszę. Jeżeli masz sposoby podróżować teraz, bież do Dreznia i tam czekaj na mnie. Zgadniesz, kochany Edwardzie, jak ta myśl sama mnie cieszy. A gdybyśmy razem Włochy zwiedzili? Jeżeli ominiemy tę zrzeczność widzenia się, Bóg wie, kiedy spotkamy i czy spotkamy się kiedy?

A co się tyczy klótni literackich, wszystko przewidziałem i nic mnie nie dziwią. Nie mogę tylko pojąć, za co tak gniewasz się na Dmochowskiego, napastowany musi bronić się; w jego odpowiedzi nic niema podłego, jak Ty nazywasz, trzeba się spodziewać sroższych ataków klasycznych, uderzą oni na moje poezje, szczególnie na *Dziady* i będą może nawet dowcipnie z wielu rzeczy się naśmiewać, i cóż w tem nadzwyczajnego? Ja, czy mam szczęśliwy charakter, czy nadto miłości własnej, ale, jak Cię kocham, nie gniewam się na krytyków i im dowcipniej będą mi dogryzać, tem się serdeczniej uśmieję. Niech się wypiszą. Mam na nich znowu przygotowaną gorszą jeszcze filipikę, gdzie niektórych posługi w całej obszerności roztrząsam i oceniam. Dla mnie zapewne byłoby lepiej nikogo nie zaczepiać i wiesz, że jestem w pożyciu bardzo tolerujący człowiek i ze wszystkimi w zgodzie, ale mnie

znudziła klasyczna Wasza hołota i pokażę, że się ich wszystkich razem nie boję. Napisz mi, co myśli pan Joachim o przemowie. Żałuję trochę, że m drasnął Grzymałę: ile przypominam, jego artykuł, jeśli nie miał wielkich literackich zalet, przynajmniej pokazywał śmielsze widoki pisarza i ducha szlachetny; kiedyś go przeproszę.

Wdzięchen jestem Witwickiemu za list, odpiszę wolniejszym czasem, nie śmiem po mojemu bazgrać, mając tylko kilka wolnych minut i parę jeszcze listów do napisania. Podziękuj też autorowi, który mnie w gazecie broni tak rozsądnie, lubo trochę długo.

Jedzie podobno do Warszawy p. Sękowski, orjentalista, w różnych celach, widokach, zamiarach, radzę go strzec się i mieć na oku, znam go bardzo, bardzo, bardzo, bardzo dobrze. Powiedz o tem panu Joachimowi.

Pan Sękowski projektuje różne reformy religji katolickiej i teraz katechizm jakiś układa!!!

P. S. List ten przypadkiem tydzień u mnie przeleżał i lękam się, aby dziś nie pozostał jeszcze. Pan Żukowski musi być w Warszawie. Udaj się zaraz do niego. On żył ze mną w przyjaźni i wie o Tobie. Zaprowadź go do Joachima, do Niemcewicza, bądź mu Ciceronem.

DO MARYI SZYMANOWSKIEJ, W PETERSBURGU.

Kronstadt, 15 maja 1829 roku.

Kochana Pani!

Dieu dispose. Niech powiedzą, jak się stało, że nie mogłem pożegnać się nawet z Panią. Ileż na tem cierpiałem! Bywaj zdrowa, droga Pani i drogie Panny. Piszę to na statku parowym i jeszcze nie wiem, czy zostanę na noc.

Adieu, drugi listek z Lubeki; listy i weksle odebrałem.

Adam.

DO MARYI SZYMANOWSKIEJ, W PETERSBURGU.

Hamburg, 2 junii 1829 roku.

Niema jeszcze tygodnia, jakeśmy wszyscy razem siedzieli u stołu Pani, a już znalazłem się o mil, nie wiem wiele, a co gorsza, nie wiem, na jak długo zapędzony. Dotąd nie mogę

wmówić w siebie, że jestem tak daleko od Michałowskiego placu, i że trzeba odwyknąć i od fortepianu Pani i od obiadów panny Julji i od kłótni z panną Celiną. Niestety wszystko to już mi stało się nieodbycie potrzebnem. Przyznam się Pani pod wielkim sekretem, że gdybym się nie wstydził, odrzekłbym się i tutejszych zieloności i słowików i wież gotyckich i Watykanu nawet, ażeby po cichu wylądować na wybrzeżu angielskiem, uplacować się w domu Jochima, a potem z łyżką w kieszeni nie proszony u drzwi Pienteszewa zadzwonić. Ten zamiar, choć dziwaczny, tak mię bawił, że mi się o nim śniło i na morzu i na lądzie. Sam chciałem tej podróży, nie skarżę się na przeznaczenie, znajduję tu tyle rzeczy do widzenia, tyle wszystko wzbudza ciekawości i interesu, a przecież smutno podróżować z tą myślą, że gdziekolwiek przyjadę, nikt mnie nie powita, nikt się z przyjazdu mego nie ucieszy. Spieszę się stąd, jak można najrychlej, do Drezna, gdzie spodziewam się listy z Petersburga odebrać. Pani dobra, mam nadzieję, że kilka słówek dołączy i małeńkie dzieteczki także. Pannie Julji proszę rączki ucałować; upewniam, że nie zapomnę z Rzymu posłać obiecany prezent. Pannę Helenę przepraszam za scyzoryk, musi gdzieś w stancji mojej leżeć, niech *Herr Sprachlehrer* poszuka. Panna Celina niech mi daruje wszystkie dawne urazy, a o przestrobach pamiętać może, bo zawsze pochodziły ze szczerej przyjaźni. Bądź zdrowa Pani i wspomnij czasem o Swoim słudze. Racz przeprosić panią Szyszkow, a panna Helena panią Bagrejeff, że ich nie mogłem pożegnać.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W PETERSBURGU.

Hamburg, 2 czerwca 1829 roku.

Jestem zdrów i wesół, kochany Franciszku. W jakim stanie wyjechałem, musisz wiedzieć od Marjana. Ból głowy męczył mię jeszcze 24 godzin, ale potem odzyskałem zdrowie i humor. Co dziwniejsze, uleczyłem się prawie od oczu podróżą moją. Stanęliśmy po żegludze pomyślnej w Travenmünde w sobotę, i zaraz ruszyłem do Lubeki, gdzie po noclegu dojechałem koni do Hamburga. Zabawię tu parę dni i sam nie wiem jeszcze, czy na Berlin czy mimo Berlina wprost udam się do Drezna. Listy adresuj do Drezna *poste restante*. Masz tedy część oficjalną albo raczej buletyn podróży. Powinienby

nastąpić rozdział sentymentalny: wiedz albowiem, że stałem się trochę sentymentalny i że nawet piszę dziennik podróży, ale na ten raz nie udzieli Ci wyjątków, bo niepewny jestem, czy list dojdzie. Nie chciałbym nadaremnie konceptów depensować. Powiem tylko ogólnie, że mnie podróż bawi, że wszystko w koło siebie znajduję dobrem, pięknem, ciekawem; już masz w tem dowód dobrego humoru, albo, jakby Jeżowski powiedział, dowód szczęśliwego usposobienia duszy, serca, umysłu itd. Ja ociężały, nie lubiący nic szukać, nie chcący o nic starać się, liczyłem marki i szylingi, robiłem redukcję monet z całą zimną krwią bankierską. Leniwa jazda i popas co sto kroków nie bardzo mię znudziły. Prowadzę gawędkę z oberżystami, którzy mię klepią po ramieniu. Wypytuję się o wszystko, oglądam wszystko. Rząd i prawa, rozległość Lubeki i Hamburga już mi są wiadome. Byłem na paradzie siły zbrojnej tutejszej, pójdę na birżę: słowem, jestem prawdziwy „a tourist“ i mógłbym, nim wyjadę do Altony, tom podróży napisać. Rad jestem z siebie, nie wiem tylko, czy tak dalej będzie. Szczególnie mię dotąd zachwyca widok zieloności, zapach wiosny, śpiewy ptaków, i w drodze chociaż samotny, nie tak mi ciężko na sercu, jak tu w mieście. Postrzegłem, że odwykłem zanadto od samotności i że kosztować mię będzie to nagłe oddalenie się od Was wszystkich i ten długi pobyt w krajach zupełnie dla mnie bezludnych. Cóż robić! oto jest wykrzyknik, który mi się często z ust wyrwa i którym list kończę.

Odebrałem weksle i dziś będę o nie negocjował, bo chciałbym wziąć bilet na Drezno. Najlepsza moneta za granicą dukaty; szkoda, że ich więcej nie wziąłem. Mają tu kurs wyborny 12 r. assygn. i wymieniają się bez trudności. Dotąd wydatki nie zbyt straszne, dalej spodziewam się, że je zmniejszę. Na statku parowym zdarto 30 rubli, bo na drugim miejscu nie podobna było lokować się dla złego stołu i niewygód, a za stół, czy kto co dzień pił szampana i reńskie, czy tylko wodę, jak ja, wszyscy prawie toż samo zapłacili, tak nieregularnie liczono śród zamętu, szumu i bezładu. Towarzystwo, z którym miałem jechać do Drezna, opuściłem w Lubece, bo z niem lękałem się nudy fatalnej i przekonałem się, że grubo musiałbym się opłacać w oberżach. Bądź zdrow.

Adam Mickiewicz.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

Berlin, 12 czerwca 1829 roku.

Franciszkule!

Piszę do Ciebie te kilka słów dlatego tylko, ażebyś dowiedział, iż nie lenię się wcale, kiedy mam zęczność odezwać się do moich miłych. Siedzę tu od tygodnia, tutejsi Polacy dali mi obiad *ein wenig burschikos*. Wieleby o tem pisać. Cieszyłem się, iż muzyka u nich więcej kwitnie i pieśni mają podostatkiem i lepiej nuca, niż nasz fundamentalny Onufry. Filozofja tu pozawracały łby. Lękam się, abym nie przeszedł na stronę Śniadeckiego, tak mię nudzą Hegliści. Chadzam na Hegla. Dwie lekcje zajęła różnica między *Vernunft* i *Verstand*. Widzę, że należę do dawniejszego pokolenia i jako *stationnaire* żadnym sposobem nie zrozumieć się z tutejszymi metafizykami. Bądź zdrow, z Berlina jeszcze napiszę do Zaleskiej i do Jeża. Powróciłem do domu o dwunastej wieczorem, a Żukowski wyjeżdża o siódmej z rana jutro; napisałem do P. Wyżygina i jeszcze napiszę do Szymanowskiej: widzisz, na jak czynnego wychodzę korespondenta.

N. B. Jeszcze mam pisać do Lelewela.

Adam Mickiewicz

DO JOACHIMA LELEWELA, W WARSZAWIE.

Berlin, 12 czerwca 1829 r.

Przypadkiem znajduję zęczność przesłać kilka słów Tobie, szanowny i kochany panie Joachimie. Przepląnąłem Bałtyk, zwiedziłem Lubekę i starożytny ratusz Hansy. Ile pamiątek! Tam mają być raporta z Krakowa. Przebyłem kilka dni w Hamburgu, lubo dla ustawicznych deszczów nie wiele widzieć mogłem. Teraz niby to oglądam Berlin. Ruszę stąd do Drezna, Wejmaru i Włoch. Będziesz miał odemnie z drogi jeszcze niemieckiej wiadomości. Nie mogłem dotąd znaleźć tu poety rosyjskiego Żukowskiego, przyjaciela mego, który tu w powrocie z Warszawy bawi. Nie wiem, czy się poznał z kochanym panem Joachimem. Pisałem był do Odyńca, zalecając mu, ażeby zbliżył Żukowskiego z Tobą i panem Ursynem, tymczasem Odyniec w drodze rozminął się z listem i jeżeli poeta nie poznał się z Wami, wielka szkoda. Jest to mąż rzadkiego charakteru, rzadkiej uczciwości i szczerzy mój przyjaciel.

Słyszałem, żeś nie bardzo rad z przedmowy! Cierpię nad tem. Myślałem nie raz, pisząc, że Cię do śmiechu pobudzi. Powiedz, dla czego miałem oszczędzać *krzykliwą czeladkę Parnasu*, jak nazywa Trębecki. Wielkie też oni zadali ciosy literaturze głupiemu radami swojemi, zły smak zaszczepiając. Odyniec, choć ich nie lubi, jednakże uległ nieco ich wpływowi i głupstwa niektóre ledwie, że nie admiruje. Może w innych naukach macie tam dobrych pracowników, ale w literaturze cofniono się o pół wieku nawet od Rosji. Cóżkolwiek będziesz myślał, jeszcze im dokuczę nieraz, niech sobie, co chcą, na mnie piszą i jak chcą, potępiają.

Jeżeli kto z Warszawy pisać do mnie zechce, adresować do Dreżna *poste-restante*.

Adam Mickiewicz.

DO PANI MARJI SZYMANOWSKIEJ.

Berlin, 12 czerwca 1829 roku.

Cóż mam pisać mojej Pani o Berlinie? Lepiej go znasz Pani odemnie, a ja go znam tylko po wierzchu, bo mię osobliwości tutejsze strasznie nudzą. Jeżeli wszędzie tyle tylko, ile tu, znajdę ciekawych przedmiotów, nie miałem po co z do-
mu Jochima, z takim kłopotem, biedą i nudą uciekać. A jak-
by mi się tam chciało powrócić! Proszę o sekret, ale dalibóg
zaczynam myśleć, że po staropolsku *tam dobrze, gdzie nas
niema*. W Berlinie przynajmniej nic nie znalazłem, coby
mi wynagrodziło nasze obiady, muzyki i przechadzki; oba-
czymy, co będzie dalej; dotąd nic prócz nudy, przeciwności
i głupstwa. Los mię dziwnie ściga. Po nadzwyczajnym wy-
jeździe w Lubece niema koni: mówią Niemcy, że to rzecz
nadzwyczajna i niesłychana; zachorowałem ciężko od ostryg,
mówi doktor, że to niesłychany przypadek! W Berlinie dwa
dni szukam kwatery, nadzwyczajna, dziwna rzecz: słowem
wszystko na moją biedę nadzwyczajnie i dziwne rzeczy. Prze-
cież teraz doczekałem się pogody, widziałem piękne obrazy
i jestem w lepszym humorze, a Panie moje w jakim? Czekam
listu w Dreźnie. Byłem u starego Celtera, bardzo mię sza-
nuje, bo powiada, że *madame Szymanowska sehr klug und
sehr gescheidt* napisała o mnie, że'm wielki poeta. *Sie soll
das verstehen, sie ist ja mit dem Herrn Göthe bekannt
worden*.

PP. Julji, Helenie ukłony. P. Celinie przypominam się.

Adam.

DO TADEUSZA BULHARYNA.

Berlin 12 junii novi stili (1829).

Szanowny i łaskawy Tadeuszu!

Przybyłem do tutejszej stolicy wśród deszczów, chłodów, mgły, rosy, po błocie gorszem od litewskiego, a stąd w nienajlepszym humorze. Przykro mi było, że musiałem Karlowo ominąć, ale jakżebym mógł Rygę przejechać i wiatru litewskiego zachwycić i oprzeć się tylu pokusom nowogrodzkim i kowieńskim! Wolałem tedy prosto skoczyć do Bałtyku i znalazłem się odrazu o tyle mil od wszystkich moich znajomych. Spieszę się do Włoch, muszę jednak Drezno zobaczyć i do Weimaru na kilka dni skoczyć dla widzenia się z Goethem, do którego mam listy polecające.

Dodam jeszcze w prywatnej części listu mojego, że dowody przyjaźni Twojej dla mnie głęboko w sercu zapisałem. Przekonany jestem o Twojej szlachetności, daruj jednak, że Ci raz jeszcze wyciągając rękę przez piaski Brandenburskie i morze Bałtyckie, przypomnę potrzeby Tomasza i kilku moich przyjaciół. Tadeuszu kochany, jeśli dla nich będziesz chciał tyle być dobrym, ile dla mnie, na całe życie moje zachowam ci wdzięczność, zachowam jedno z pierwszych miejsc w sercu mojem. Bądź zdrow. Odczytaj raz jeszcze te ostatnie kilka wierszy.

Żonie Twojej ręce całuję. Przypomnij miż zacnemu naszemu Przyjacielowi ludzkości.

Twój szczerzy przyjaciel

Adam Mickiewicz.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W PETERSBURGU.

Drezno, 15 lipca 1829 roku.

Od dziesięciu blisko dni jestem w Dreźnie, wczora ledwie list Twój odebrałem, biletu zaś p. Szymanowskiej dotąd nie mogłem ani na pocztę ani w hotelu się dopytać. Zabawiłem nad zamiar dłużej w Berlinie, bom znalazł wielu zacnych Poznańczyków, z którymi czas prędko schodził. Jeżeli znajdę zrzeczność pisać przez kogo, będziesz miał obszerniejszy obraz Berlina, a przynajmniej moje myśli o Berlinie, tymczasem

tyle powiem, że mi się miasto nie podobało, a ludzie wiele zajmowali. Drezno ciasne i ciemne, ale miłsze daleko; mamy o pięćdziesiąt kroków Elbę i piękne przechadzki. Mam tyle do zwiedzenia rzeczy! Dzień mój tak się pospolicie toczy: o 6-tej (jeżeli pogoda) w szkole pływania; po 8-mej idę z katalogiem w kieszeni do galerji obrazów i tam siedzę a raczej chodzę do 12-tej lub 2-giej; potem z kochanym generałem gdzieś na obiad lub gawędkę lub wizyty. Muszę o wszystkim pokrótce nadmienić. No, o jenerale trzebaby było równie obszernie pisać, jak o galerji i niektórych bawiących tu lub napotykanym Polkach; masz zaś wiedzieć, że tu Mazurów i Warszawiaków ledwie nie tyle, co Niemców, a wszystkie Mazurki ładne. Listy pani Szymanowskiej wszędzie najmilej przyjmowane i wszyscy o nią dopytują się z interesem, a jenerał z westchnieniem.

.

P. S. Ten list długo leżał. Dziś jadę z Morozewiczem do Pragi, stamtąd do München, Szwajcarji i Włoch.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W PETERSBURGU.

Rzym, 30 listopada 1829 roku.

Odbieram dziś twój list pełen nowin smutnych i zgryźliwych. Biedny Sobolewski, mój niegdyś towarzysz u Bazyljanów i na kibitce. Słowa Twoje, że to pierwszy nasz nieboszczyk, głęboko utkwily mi w duszy. Muczkowskiego paszkwilów przez Boga nie rozumiem. Wiesz dobrze, że nigdy nie byłem dla rodaków niegrzeczny; pamiętam nawet, że z bratem Muczkowskiego gadałem i że mu list bardzo grzeczny do profesora wręczyłem. Musi to być jakiś gałgan. Coś mi obilo się o uszy, że go tam na jakąś fetę nie proszono, ale już nie wiem, jak to było. W Berlinie, zdaje się, że wszyscy ze mnie byli radzi, bo mnie uczniowie fetowali i w nocy do wozu odprowadzili, a dla Poznańczyków obywateli powziąłem szacunek i mam dowody, że mnie nawzajem lubili i najmilej przyjmowali: z nimi w Berlinie ciągle żyłem. W Karlsbadzie prawda, że od niektórych poetów uciekałem, bo biorąc wody, niepodobna być w humorze słuchania głupich wierszy,, ale z całą prozą w dobrej byłem harmonji. Mieszkałem z Morozewiczem ciągle, on świadek wszystkiego, spytaj go, skąd te wieści poszły. Dziwię się, że Ciebie obchodzą! Od Karlsbadu

nie widziałem nikogo, oprócz kilku wojażujących błaznów, którzy nam wstyd robią. Nie szukałem ich wprawdzie, ale i dla nich byłem grzeczny. Wieści te muszą być karą Bożą za jakieś moje grzechy. Zdarzyć się mogło, że o poznańskim wydaniu, jako o źle drukowanym mówiłem, ale o antreprzyzie i o wdzięczności dla Muczkowskiego rozwodziłem się do znużenia. Pisałem nawet do Poznania na ręce Bernatowicza, dawnego kolegi nowogrodzkiego, i Muczkowskiemu odpowiedziałem na jego pytania względem pieniędzy. Pozostałe egzemplarze zdałem na jego rozporządzenie, prosząc, aby je biednym uczniom rozdarował. Masz tedy nadto już długie wymówki. Powtarzam, że brat Muczkowskiego musiał nakłamać grubo. Mogły też spaść na mnie różne kłótnie, które dawanym mnie obiadom słyszałem, że towarzyszyły. Dość już o tem. List do Janka załączony poślij mu niezwłocznie, a ten, który do ciebie piszę, komunikuj Jeżowskiemu dla dalszego potem przesłania Jankowi. Od Medjolanu do Wenecji byłem ciągle chory i na zęby cierpiałem. Teraz zupełnie zdrów jestem.

Adam.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W PETERSBURGU.

Rzym, grudzień 1829 roku.

...Z Wenecji ruszyliśmy na Ferrarę i Bolonję do Florencji, gdzieśmy trzy tygodnie bawili. Rzym mię zagłuszył i kopuła świętego Piotra nakryła wszystkie pamiątki włoskie... Przez muzeum jeszcze tylko przemaszerowałem szybkim krokiem, rzucając tu i owdzie oczyma, zatrzymując się przed Apollinem, Laokoonem i Zapaśnikiem. Marsz ten trwał dwie godziny. Gdybyś zebrał wszystkie posągi i gipsy drezdeńskie, weneckie, nawet florenckie, schowałbyś je w kątku Watykanu. Tutejsze muzeum jest to prawdziwe miasto posągów, zavalone sarkofagami i tynkowane inskrypcjami. Po Rzymie odpadnie na zawsze ochota zbiory posągów i obrazów oglądać, a to, co się z entuzjazmem dawniej widziało, przypomina się z niejakim wstydem. Uczni rzymscy o Niemcach, Anglikach ledwie zasłyszeli i śmieją się z Byrona. Mają za to swoich wielkich ludzi, sławnych aż po Tyber; w Lombardji więcej ruchu, i stamtąd nowa literatura groźnie cieknie i już stoi nad Rubikonem. Liwjusz tu na miejscu ma

dziwny urok, bo w wieczór można iść oglądać scenę wypadków czytanych zrana. O Rzymie trudno pisać. Byron, jak Horacjusz Cocles, wielkim krokiem most na Tybrze zajął: *ingenti gradu occupavit pontem...*

DO STEFANA WITWICKIEGO W WARSZAWIE.

Rzym, 2 grudnia 1829 roku.

Narzucam Tobie literackie polecenia nudne i żmudne. Jeśli będziesz miał czas i cierpliwość skutecznie je, bardzo mię zobowiązesz. Nagle wyjeżdżając, nie mogłem napisać dat z życia Bogusławskiego i Karpińskiego, o których teraz piszę. Racz wziąć to na siebie i, przejrzawszy ich dzieła, wynotuj rok urodzenia Bogusławskiego, wniście do teatru, data pierwszej opery-komedji *Henryki*, *Notowań z Parny*, *Opera Wintera*, *Ofiara Fraskatarska*, *Azur*, drama *Iskalar*, *Krakowiaki i Górale*, *Saul*, etc., etc.; data jego kursów do Poznania i Wilna; czy były teraz jakie o nim pisma, nadmienię parę słów. O Karpińskim podobnie. O gdybym mógł tu gdzieś jego *Sielanki* złowić. N. B. daty, jeśli można, jego tłumaczeń, *Osińskiego i Komedji Zabłockiego*. Daruj tyłu zarazem komiśsom. Byłbyś najgrzeczniejszy z autorów, gdybyś nam przysłał *Edmunda*. Nie uwierzysz, jak go wyglądam, ile się po nim spodziewam. Wiesz, że to nie są frazy. Twój *Tobiasz i Śpiwki* ostatnie mnie dziwnie się podobały. Panu Lelewelowi zanieś moje ukłony, nim sam napiszę do niego urzędowy list, bo nie śmiem świstków posyłać, wiedząc, że mię za nie łaje. Walerjana uściskaj. Zaleski ażałiby nam czego w liście nie przesłał? bo cierpimy z Odyńcem głód poetycki, nie mając nic polskiego.

Twój sługa,

Mickiewicz.

DO MARJI SZYMANOWSKIEJ, W PETERSBURGU.

Rzym, 4/16 grudnia 1829 roku.

Pisałem do Pani list kurjerem, tu przypieczętuję tylko pozdrowienia i ukłony dla Pani, Panien i p. Teodora. *Anegdota prawdziwa* (scena w dyliżansie): *Odyniec*. Adamie! no. — *Ja*. Co? — *Odyniec*. Wszak to mówią, że podróż cywilizuje? — *Ja*. No i cóż? — *Odyniec*. Widzisz, Adamku, już

przejechaliśmy nie mało krajów! — *Ja*. Prawda. — *Odyniec* (z żalem). No powiedz, w czymże ja ucywilizowałem się? — *Ja*. (wzdychając i kiwając głową). Nie bardzo i wiem. — Koniec.

Adam Mickiewicz.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO W PETERSBURGU.

Rzym, 2 lutego 1830 roku.

Lubicie krzyczyć, kochany Franciszku, a sami nie lepsi. Dwa miesiące już minęło, jak pytam daremnie na pocztę o Wasze listy. Moje, różnemi drogami posłane, dojść już musiały. Trzy już wysłałem z Rzymu, ten piszę na pocztę dla większej pewności. O mojem terażniejszym życiu nie wiele mam do powiedzenia: tam dobrze, gdzie nas niema. Dotychczasowy pobyt w Rzymie nie tak zazdrosny, jakby się здавало. Klimat dręczy nas okropnie. Wiecie z gazet, iż ten rok wszędzie klęskami i mrozów i deszczów sławny. My tu wprowadzie nie mamy mrozu, ale ciągła wilgoć chłodna, ciągły deszcz i słońca przemieszana ciągłym śniegiem wyjrzeć na świat nie dozwala. Jeśli się pokaże dzień piękny i prawdziwie letni, w domu za to wieczna zima. Dwa miesiące siedzę zaszyty w kaftan, szlafrok i płaszcz. Wychodząc tylko, lżej się ubieram. Całe dni trawię nad książką, wieczorem idę na jaką herbatę, a czasem na bal. Przeczytałem wiele, szczególnie historyków rzymskich; Liwjusza skończyłem ze szczególną rozkoszą, teraz wziąłem się do Włochów. Cóż, kiedy chłód tak mię zdemoralizował, że muza usnęła, a ręki z pod płaszcza wytknąć nie śmiem, i teraz pisząc, w palce chucham. Okolic dalszych Rzymu dotąd nie widziałem. Muzea i galerie zwiedzam, których ogrom głowę zawraca. Przed wiosną nie tylko pisać, ale i myśleć nie zdołam. Czekam niecierpliwie od Was wiadomości. Czy też Feliks przyjechał i czy nie masz co pociesającego donieść o naszych przyjaciółach? Musiałeś czytać w *Journal des Débats* nedorzecznny artykuł o Goethem, gdzie i o mnie i o moich podróżach po Syberji śmiesznie bredzono. Wybaczam głupiemu cudzoziemcowi, który wtenczas był w Wejarze i, przebawiwszy miesiąc, synową Goethego brał za żonę i w artykule swoim troje dziwów o Niemcach prawi; ale mię stokroć więcej boli, że ten przekłety Leonard Chodźko w swoich jakichś *Rysach literatury polskiej* bez sensu

o mnie pisze. W biografjach *des Contemporains* moje życie, z wymienieniem różnych domowych okoliczności i z nazwiskami osób umieszczono za sprawą zapewne tegoż Chodźki. Nie słusznież wołał ów Włoch: „Broń nas Boże od głupich przyjaciół!” Jeśli ta bezwstydną biografia dojdzie kiedy do Litwy, może ktoś pomyśleć, że ją sam napisałem.

— Skończyłem, kochany Franciszku, na święty Adam lat trzydzieści. Przeszedł więc już czas, w którym się ludzie sami zenia, a następuje epoka, w której są od drugich zenieni. Lękam się, abym nie doczekał lat, w których, jak mówią, djabeł swata. Do życzeń nowego roku łączę i to, abyś, wspomniawszy o mojej siwiźnie, nie czekał, aż chłopcem olysiejesz. Jeżeli kiedy zjedziemy się znowu, powinienbym u Ciebie przynajmniej mieć *gratis* herbatę. Te i tym podobne myśli często mi parę godzin snu odbierają. Nie wiem, dlaczego częściej niż dawniej napada mię tęsknota do kraju. Przypomniałem słowa owego Rzymianina, który w starości zaczął czuć, co to jest wygnanie. Może w części tęsknota pochodzi z zupełnej samotności, bo mój towarzysz zbyt różni się wiekiem i myślami i całem życiem; niema więc między nami takich związków, w jakich żyć przywykłem.

Pani Szymanowskiej zanieś moje tysiączne ukłony, pannie Julji, pannie Helenie i dobrej pannie Celinie rączki całują. Słyszałem, że mniej coraz bywa kaprysów, z czego mocno się cieszę. Olesia uściskam, panu Kasprowi przypominam się, panu Tadeuszowi kłaniaj się.

Adam Mickiewicz.

DO JOACHIMA LELEWELA W WARSZAWIE.

Rzym, 6 lutego n. s. 1830 roku.

Szanowny Panie Joachimie!

Od czasu, kiedyś mój list drezdeński odebrał, przejechałem znaczną część Niemiec i przez Szwajcarję na Medjolan, Wenecję i Florencję zdążyłem do Rzymu. Gniję tu już trzeci miesiąc, bo ustawiczne deszcze nie pozwalają nic widzieć, oprócz kościołów i galeryj. Tych znowu liczba niezmierna zaczyna mordować, mimo nowości i różnaitości przedmiotów, z którymi pierwszy raz zabieram znajomość. Czekam niecierpliwie wiosny, ażeby kiedy niekiedy odświeżyć imagi-

nację widokiem żywej natury. Dotąd dni całe trawię nad książkami, szczególnie nad pisarzami włoskimi i historją rzymską. Czytanie Liwjusza, którego z dziwnym interesem skończyłem i przerzucanie Niebuhra i Gibbona obudziło znowu me wnie zapal do historii, powzięty niegdyś ze słuchania Twoich lekcyj i przytłumiony różnemi przeszkodami. Od siedmiu lat nigdy nie byłem pewny, że na miejscu jednym rok przebawię i ustawiczna włóczęga rozrywała wszelkie zatrudnienia, wymagające czasu i ciągłego myślenia! Gdybym kiedy osiadł nareszcie, gdybym miał pod ręką bibliotekę polską, gdybym z Twoich rad mógł korzystać, wziąłbym się na-przód za jaką epokę dziejów ojczystych. Może dziwisz się zamiarom tak bardzo przechodzącym siły i usposobienie moje, lubię jednak o nich marzyć. Jak długo w Rzymie zabawię, sam jeszcze nie wiem. Jeśli mi się uda coś napisać, na czembym mógł oprzeć nadzieje zasilenia finansów, wtenczas puściłbym się dalej ku wschodowi; w przeciwnym razie będę musiał dla ekonomizowania we Włoszech zostać, gdzie jeszcze mam wiele do widzenia i do uczenia się.

Twój życzliwy.

Adam Mickiewicz.

DO JÓZEFA JEŻOWSKIEGO W MOSKWIE.

Rzym (lut.) 1830.

Kochany Józefie! Tydzień mija, jak się dowiedziałem o śmierci Cyprjana. Nie miałem siły wziąć się zaraz do pióra. Wiadomość przyszła aż z Białocerkwi od Zaleskiej. Wy już zupełnie zaniedbaliście mnie. Może nie chciałeś zasmucać... Ach! kochany Józefie, takie okropne nowiny robią mnie niepokojnym o Was: doniescie przynajmniej, że żyjecie. Prawda, że do Ciebie nie pisałem. Jeden jestem. Was kilku. Pisząc o interesach do Petersburga, mówię i o podróży i proszę, aby Tobie każdy list udzielano, co Franciszek przyrzekł. Opisz mi szczegółowo ostatnie chwile jednego z naszej coraz szczuplejszej rodziny. Z niewymowną boleścią myślę, że jego położenie względem Karoliny musiało przyczynić się do zrujnowania jego zdrowia. To szlachetne i nowe serce nie wytrzymało pierwszej namiętności. Donieś mi o Onufrach i Budrewiczu. Jak Wam tam być musi smutno, jak mię ta myśl

mgłą otacza i zasłania Włochy. Przeznaczenie, jeśli mi co udzieli, musi najprzód jak harpia dary swoje zatruć. O podróży nie mogę pokrótce pisać. Z Niemiec, oprócz widzenia Szwajcarii Saskiej, Goethego i Schlegla, nic nie skorzystałem. Okolice Renu i Szwajcarii zostawiły wspomnienie lekkie i piękne i niewyraźne jak sny. Włochom więcej winien będę.

Otwierają się powoli zmysły moje dla sztuk, które oceniać i rozeznawać poczynam. Pomaga mi wiele jeden artysta Polak, Stattler, którego zdania przemawiają do mnie i wzbogacają mnie. Bogactwa sztuk przechodzą wszelkie wyobrażenie; wszystkie galerje z tamtej strony Alp są dzieciństwem. O starożytnym Rzymie chybabym pisał wierszem. Od dwu lub trzech tygodni mamy przecie stałą piękną wiosnę, jak nasz maj. Natchnienia poetyckiego nigdy nie miałem, zamroczony i rozerwany mnóstwem przedmiotów, które się nie prędko skryształizują i w warstwy ułożą. Muszę też na papier wyrzucić część teoretycznych a raczej praktycznych myśli o sztuce, już gotowych. Nie pisałem dotąd, bo w stancji tak było zimno, żem siedział w płaszczu. Mam zamiar pojechać stąd do Neapolu, a możebym mógł wyrachować dosyć pieniędzy i zwiedzić Egipt, to ostatnie wątpliwe. Zdrowie dobrze mi służy, ale tęsknię więcej niż dawniej do kraju i do Was. Jestem moralnie samotny zupełnie, bo towarzysz mój dobry już całem niebem różni się odemnie i sposobem myślenia i czucia i nie mając między sobą języka, zamknęliśmy się w skorupach; wyjąwszy to, że razem mieszkamy, zdaje się, żeśmy daleko od siebie. Chciałem pisać do Karoliny, ale nie wiem, co się po tym okropnym wypadku stało, co ona myśli i co się z nią dzieje. Jeśli bywasz u niej, napisz mi szczerze i bez ogródki. Bądź zdrow, kochany Józiu. Śmierć przyjaciół naszych przebudziła mię ze snu nadzieją. Czyż tylko będziemy wzdychać do Jerozolimy naszego powrotu i wspólnego razem życia, umierając po jednemu? Nie zapomnij donieść mi o stanie Twoich finansów. Polecam Cię Bogu.

DO PANI ANKWICZOWEJ, W RZYMIE.

Rzym (1830?) (luty — marzec.)

Po tysiąc razy przepraszam Panią za taką straszliwą bazgraninę. Zwyczajnie, nie chwając się, piszę lepiej, kiedy mam dobre pióro i atrament. Dziękuję nieskończenie i memu

szczęściu i łasce Pani Hrabiny za piękny portfel. Pannie Henrjecie mam honor pokornie oświadczyć, że u nas w Litwie nie godzi się grać z damami w żadną grę przez posty. Ilekroć zechce przekonać się o mej pamięci, niech mi raczy rozkazać, abym stawil się osobiście, a przysięgam na wszystko, co jest zielone, od mirtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin znajdzie u mnie kolor nadziei. Odyńcowi wierzyć nie można: ucukrował świeżo usta z łaski Pani: jest więc świadkiem przekupionym. Mamy nadzieję, że dzisiaj u Państwa wszyscy zdrowi i jednostajnie na nas łaskawi. Najniższy i najzieleńszy sługa,

Adam Mickiewicz.

DO JÓZEFA PRZECŁAWSKIEGO.

Rzym, 1830 r. 2 maja n. s.

Kochany Przecławski.

Odpisałeś przecie choć lakonicznie na mój bilet. Było to jedynych kilka słów, jakie w przeciągu pół roku z Petersburga odebrałem. Ile Ci winienem przyjemności, zgadniesz, jak postawisz się w mojem położeniu. Przez cześć miesięcy znudziłem i pocztę i ambasadę, dopytując się o listy. Odbieramy tu paki, gazety, almanaki pod różnymi adresami, odbierają wszyscy prócz mnie. Wyprawilem nie wiem już wiele pism przez kurjery i okazje. Odpisano mnie z Paryża, z Odessy, Kijowa: z Petersburga daremnie czekam. Pani Szymanowska pisała tu do generała Winspera, mnie tylko ukłon załącza. Co to wszystko ma znaczyć? Musiało zdarzyć się jakieś nieszczęście, które dziwną polityką zataić chcecie. Jestem bardzo niespokojny o zdrowie Malewskiego. Niespokojność i niepewność truła mi wszelką przyjemność pobytu w Rzymie. Oczekując na listy, wstrzymałem się z wyjazdem do Neapolu, teraz straciłem już nadzieję i jutro puszczam się w drogę, nie wiedząc zgoła, co nadal przedsięwezmę. Zostawiono mnie nie tylko bez pieniędzy na rok przysły, ale bez doniesień o stanie interesów moich i nie mogę wyrachować, gdzie i jak długo zabawić przyjdzie. Spuszczając się na Petersburg, nie wziąłem reszty moich pieniędzy z Warszawy i ledwie wczora pisałem o pożyczkę do Odessy. Przecież wszystkie te ambarasy niczem są w porównaniu z trwogą, abym się czegoś smutniejszego nie dowiedział. Wieczny będę

miął żal do Malewskiego i do pani Szymanowskiej za tak zupełne o mnie zapomnienie. Proszę cię i zaklinam, kochany Przecławski, abyś mi zaraz odpisał i doniósł, co się dzieje z Malewskim i z Piaseckim, kto się trudni moimi interesami i czy myślą mi kiedy odpisać. Adres zawsze do Rzymu: *Via Monte Brianzio palazzo Ferrucci presso la principessa di Volkonsky*.

Jakże chcesz, żebym w takim humorze pisał artykuły do gazety, której mi nawet na pokazanie nie przysłaliście i o której nic nie donosicie, oprócz jednego słowa „wychodził“ Zrobiłem był votum napisać nowe poema we dwa dni po odebraniu listów, alem go dotąd spełnić nie mógł. Daję ci solenne przyrzeczenie, że będziesz miał zaraz kilka arkuszowych artykułów, nie wprzód, wszakże, aż mnie listem cokolwiek uspokoisz. Niedobry Oleś, ani mi swoich poezji nie przysłał, ani słowa nie napisał. Korsak niegodny musiał odebrać listy Odyńca.

W naszej kolonji polskiej mieliśmy żalobę. Straciliśmy X. Parczewskiego. Ten zacny i pełen talentów przyjaciel nasz skończył życie na ręku naszym, po długiej chorobie 29 kwietnia. Nie brakło mu ani dozoru ani starania doktorów. Nie mam serca donosić jego matce, do brata na ręce twoje napiszę i testament poślę, który mnie dniem przed śmiercią dyktował. Zostawił nam w rękopiśmie zaczęłą historję, a raczej romans historyczny polski, któryby mu zapewnił jedno z pierwszych miejsc w literaturze.

Możesz pomieścić w gazecie swojej, że teraz w Rzymie mamy dwóch znakomitych artystów polskich: Statler, zwany Stański, z Krakowa, malarz historyczny, i Julian Karczewski z Wilna, pejzażysta. Ostatniego roboty na wystawie bardzo chwalono i jedna z nich zakupiona została przez towarzystwo zachęcania sztuk.

Adam Mickiewicz.

DO HR. ANKWICZOWEJ.

Neapol, 10 maja 1830.

Pani Dobrodziko. Według rachunków naszych już Państwo muszą być we Florencji; odprowadziliśmy Ich myślą aż do bram stolicy tokańskiej i obchodziliśmy w dyliżansie

imieniny pana hrabiego i Pani Dobrodziejki, żalując, że nam z daleka tylko wolno przysłać życzenia.

Kazałem już robić galerję, albo mówiąc po prostu, paczkę na antyki, któremi zbogacić myślę muzeum panny Henrjety. Nie dosyć mi na tem, żeby o mnie tylko w inwentarzu wspomniano, chcę koniecznie dobudować całe *braccio nuovo*, składające się przynajmniej z półłokciowej szufladki, gdzie imię moje wielkimi literami wyryję. Śmiem nawzajem upraszać, ażeby panna Henrjeta przysłała mnie przyrzeczone opisanie podróży do Florencji. Będzie to najdroższy rękopism w całej mojej bibliotece, w większem u mnie poszanowaniu, niż na Watykanie rękopism Cicerona. Zwiedziłem jego willę po drodze; znajduję, że willa mojej sąsiadki na ruinach Palatinu jest daleko piękniejsza, a tak łaciński stary Cicero co do gustu musi młodszemu polskiemu ustąpić.

Racz Pani Dobrodziejka oświadczyć ukłony moje panu hrabiemu i pannie Marcjannie. Kartkę do jej albumu prześlę, jak tylko się dowiem, gdzie mam list adresować. Polecam się pamięci p. Strzeleckiego i pozdrawiam p. Aleksandra.

Pani Dobrodziej(k)i życzliwy i obowiązany sługa
Mickiewicz.

DO HR. ANKWICZOWEJ W FLORENCJI.

Neapol, 13 czerwca 1830.

Długo nie czułem się w stanie odpisać Pani Dobrodziejce; tyleśmy doświadczyli przychylności w domu Państwa, że nieszczęście, które ich dotknęło, jest dla nas jak gdyby familijną przygodą. Ja umiem czuć całą wielkość podobnej straty, bo nikt nie wie lepiej odemnie, co to jest zostać sierotą. Pocięszamy się tą myślą, że Opatrzność zwykła takie nieszczęścia konieczne i niechybne osładzać jaką niespodzianą pomyślnością. Oby żal Pani po rodzicach pocieszyło niebo, błogosławiąc Jej dziecku. Spodziewam się, że Pani znalazłaś ulgę w tej nadziei, w uczuciu religijnem i w przywiązaniu do rodziny, której szczęście od zdrowia Jej zawisło.

Wdzięczen jestem nieskończenie za wiadomość o podróży i dalszym jej celu. Zamiar jechania do Paryża każe wnosić, że zdrowie panny Henrjety jest w pożądanym stanie. Zapytujesz mnie Pani nawzajem, gdzie się obróć. Prawdziwie wstyd mi, że nie umiem dokładnie odpowiedzieć, tak

jestem niepewny i sam z sobą niezgodny. Odebrałem listy długo oczekiwane, które mię postawiły w możności uskutecznić dawno zamierzone dalekie podróże. Cóż, kiedy mię ochota do tych podróży zupełnie odpadła. Daremnie przekonywam siebie, że dobrzebym zrobił, oddalając się na długi czas z Europy. Rozpytuję się jeszcze o okręty do Grecji, ale tylko przez ciekawość — podobno z projektów nic nie będzie, przynajmniej na ten rok. Postanowiłem udać się wkrótce na Rzym i Genuę do Genewy, skąd zwiedzę Szwajcarję. Nie taję przed Panią, że nadzieja spotkania Państwa w Rzymie mocno mnie do granicy Włoch przywiązuje. Piszesz Pani, że byłoby przyjemnie dla Niej znaleźć mię w Rzymie — może to tylko jest zwyczajną grzecznością! Ja przecież w tych wyrazach radbym wyczytać nowy dowód łaskawej przyjaźni. Może nie spodziewała się Pani, że ja grzeczne oświadczenia tak *à la lettre* tłumaczę i że mnie ta część Jej listu tak wielką sprawi przyjemność. Proszę podziękować pannie Henrjecie za opis kaskady. Poczytuję sobie za niemałą zasługę, że ją namówiłem do polszczyzny; nie wierzę przecież, żeby to było pierwszą próbą jej pióra w naszym języku. Oprócz wdzięku i naturalności, które z duszy pochodzą i jak Duch Święty wszystkimi językami zarówno przemawiają, znajdujemy w stylu naszej podróżnej Pani całą ścisłość i poprawność starego pisarza. Wstydziliśmy się z Odyńcem, poglądając na nasze niedbałe dzienniki, żalowaliśmy za grzech śmiertelny lenistwa i postanowiliśmy troskliwiej notować. O moich podróżach odkładam do przyszłego listu dokładny raport. Niestety panna Henrjeta zna Neapol lepiej odemnie, a o kraterze Wezuwjusza tyle słyszała opowiadań, ile menuetów *Don Juana* i rondo Herza. Wystąpię przecież z opisem krateru i świątyni Paestum. Mam jeszcze coś ciekawszego — byłem w Sycylii w czasie trzęsienia ziemi i wybuchu Etny. Szkoda, że nasz arcywojażer Strzelecki odjechał, wprowiłbym go w rozpacz takimi wieściami. Wszystko będzie w przyszłym liście, którego proszę czekać choć z tysiączną częścią tej niecierpliwości, z jaką ja listów Państwa wyglądam. Dodam tylko, że mię pobyt w Neapolu niebardzo zachwyca, może to wskutek złego humoru i niedobrego zdrowia. Powietrze tutejsze zgoła mi nie służy.

Za tydzień opuszczamy Neapol. Jeśli Pani raczysz odpisać, proszę adresować do Genuy poste restante. Na przypadek, gdyby ten list zbyt późno rąk Pani doszedł, odpis zna-

leżbychm życzył w Genewie, gdzie w połowie lipca spodziewam się stanać.

.

JW. Hrabiemu racz Pani oświadczyć mój ukłon. Pannie Marcelinie proszę mnie przypomnieć.

Pani Dobrodziejki najżyczliwszy i najobowiązańszy sługa
Adam Mickiewicz.

DO IGNACEGO DOMEYKI.

23 czerwca 1830 roku.

Roma, via Monte Brianzo, Palazzo Ferrucci,
presso la principessa Zeneide Wolkonsky.

Nie pisałbym do Ciebie, kochany Ignasiu, bo wiem, że przyjemność korespondencji opłaca się mnogimi rublami, o które u Was nie bardzo łatwo, ale już Odyniec zaczął, dołączę Ci słów kilka. Jestem znowu w Rzymie. Ledwie nie czulej go powitałem, jak za pierwszym przybyciem. Ze wszystkich miast zagranicznych Rzym jeden mógłby mnie na zawsze zatrzymać, bo samo miasto bez ludzi na wiele lat dostarcza przedmiot zabawy i nauki. Położenie moje z wielu względów zdaje się być godne zazdrości.

Kiedy, lulki pałac, radzimy, czy karnawał w Neapolu czy w Rzymie przepędzić, czy na zimę do Paryża lub Londynu jechać, — możnaby nas kłaść w równi z udziałnymi książętami, których się tyle tu włóczy. Mam przytem szczęśliwy talent nie myśleć o jutrze, i nikt mi nie wytłumaczy, żebym nie był wielkim panem, póki mam w kieszeni napoleondory. Niestety, wydały się jakkolwiek: gdyby człowiek mógł być tylko podróźnym albo poetą! Cóż, kiedy z nami podróźują wszystkie nasze wady i kaprysy. Wybacz mi tę mozolną rozprawę. Otóż jakiś kaprys pędzi mnie z Rzymu do Szwajcarji, chociaż powinienbym tu jeszcze zostać. Zwiedzę stepy, przez które tylko w przeszłym roku przejechałem, a potem albo do Paryża albo pewniej nazad do miłego Rzymu na zimę powrócę, z nadzieją, że i Ciebie tu zobaczymy. Musisz tam bardzo się nudzić, kiedy masz nam za złe, że tak czule Litwę wspominamy. Uważ, że kiedy marzę o Litwie, myślę tylko w szczególności o kilku miejscach, o kilku osobach, i dla tych nigdy serca nie zmienię; resztę kocham tylko miłością

chrześcijańską i cywilną, jak kraj ojczysty. Gdybym kiedy do Litwy powrócił, nie chciałbym ani jednej nowej znajomości, przestałbym wiesz na jak małej liczbie osób.

Odyniec bazgrał widzę długo o naszych wielkich podróżach na dno krateru. Nie chcę Cię nudzić opisem mojej wycieczki do Sycylii. Mało brakło, ażebym nie puścił się za morze; tać sama przyczyna, która mię do Szwajcarii ciągnie, zatrzymała mię w porcie Neapolu. Gdybym usiadł na okręt, nie prędkobym powrócił. Nie mam dość podziękowania za list Twój, za nowiny o znajomych naszych. Jeżeli chcesz mi zrobić wielką, największą przyjemność, udzielaj mi podobnych nowin. Posłałem pamiątkę dla p. Wereszczakowej, dla p. Marji, dla każdej po różańcu. Różańce te były poświęcone przez samego papieża. Donieś mi, czy doszły, wysłałem je na Petersburg. Uściskam cię serdecznie, pisz zawsze pod adresem Wołkońskiej, skąd pewnie i prędko listy odbiorę. Do brata mego Franciszka prześlij załączoną tu kartkę.

Adam.

Pomimo, że w tych listach niema nic sekretnego, komunikuj je memu bratu; będzie mu przyjemnie dowiedzieć się o naszych obrotach.

A. M.

DO LEONARDA CHODŹKI, W PARYŻU.

Florencja, 10 lipca 1830 roku.

Kochany Panie Leonardzie!

Spodziewałem się być tej jesieni w Paryżu i odkładałem do osobistego widzenia wiele rzeczy, o których chciałbym pomówić, a których listom powierzać nie lubię. Zamiary mojej podróży podobno się zmieniają. Muszę tedy, choć pokrótce, nadmienić Tobie o mojem i moich przyjaciół położeniu, ażebyś im niechcąc nie szkodził. Mając w Paryżu związki z redaktorami i poświęcając się, jak się zdaje, pisaniu, mógłbyś niemalą zrobić przysługę rodakom; ale działając i pisząc, stosownie do dobra ogółu, nie podług swego widzimisię. Zawsze byłem przekonany, że dzienniki zagraniczne więcej nam szkoda, niż pomagają. Bo któż je u nas czyta? W Warszawie, ile wiem, trzy lub cztery osoby, w Wilnie i tylu nie znajdziesz; na opinję tedy nie one nie wpływają i tylko drażnią

osoby, mszczące się na blizkich, za grzechy dalekich. Od niejakiego czasu pomieszczono okropne dla nas artykuły i pełne fałszów. Otrąbiono *Towarzystwo Promienistych* jako polityczne i ważne, co właśnie dowodzili i dowodzą nieprzyjaciele nasi, a czemu dotąd zaprzeczyliśmy, starając się rząd o prawdzie przekonać. Te artykuły, dając miecz w ręce prześladowcom naszym, posłużą na dowody, bo zdają się być pisane przez naszych przyjaciół. Nie należało mówić o nienawiści rządu przeciwko indywiduum i Towarzystwu, bo rząd był oszukany intrygami kilku łotrów. Przypomnij, że oprócz mnie wszyscy przyjaciele są na wygnaniu i że wystawiać ich jako ludzi niebezpiecznych jest to im na zawsze drogę do powrotu zamykać. Nie rozumiem, kto tych o mnie podyktował szczegółów, ale mię w przykrem postawił położeniu, kiedy wszystkich moich przyjaciół i protektorów Rosjan ogłosił za malkontentów przeciwko rządowi, co jest fałszem i odstraszy od protegowania innych moich kolegów. Nie śmiałbym oczu pokazać przed znajomymi, jeśli pomyśla, że to fanfarońskie oświadczenie, jakobym znudzony był etykietą dworu, wyszło odemnie, bo rzeczywiście nigdy dworu nie widziałem. Zapewne nie należałeś zgoła do pisania i ogłaszania podobnych artykułów, ale na miłość dla kraju i na przyjaźń dla niewinnie prześladowanych wygnańców zaklinam, abyś nadal pilnował i ostrzegał zapaloną młodzież naszą, która oby mogła poprawić się z dawnej wady: *wiele krzyczeć, mało robić*.

Artykuł *Revue*, tytczący się moich poezyj, gdyby nie miał tej części politycznej, sprawiłby mnie wielką przyjemność. Choć pochwały cudzoziemca, nie znającego mowy naszej, nie wielką mają krytyczną ważność, ale ten cudzoziemiec jest, jak widać, niepospolitym pisarzem; zawsze pochlebnie dla autora ściągnąć uwagę podobnych ludzi. Od czasu, jak o mnie piszą w gazetach i dziennikach, jest to jeden artykuł, z którego rad byłem. Wyjątki tłumaczenia znalazłem wierne i piękne. Z dziwną troskliwością starano się najmniejszą piękność oryginału. często właściwą mowie polskiej, przenieść w tłumaczenie francuskie. Zdaje mi się, że muszę być więcej obowiązany panu Feliksowi Miaskowskiemu, niż jego pomocnikowi. Gdyby mnie poradzono się, co należało wybrać do tłumaczenia, wskazałbym tylko *Farysa*, wyjątki z *Wallenroda*, *Sonetu Krymskie*, parę sonetów z pierwszej części i dwie lub trzy *ballady* i *Dziady*; ostatecznie nawet lękam się, aby

nie nudziły cudzoziemców. Resztę nie warto było tłumaczyć. Jeśli w Genewie niema w księgarniach tego tłumaczenia, przyslij mi egzemplarz *poste restante*.

Nie śmiem przepraszać Stanisława Starzyńskiego, że mu dotąd nie odpisałem. Chciałem koniecznie po poetycku odpowiedzieć; daremnie oczekiwałem natchnienia! Nigdy nie byłem w prozaiczniejszym humorze, jak teraz. Czy nie mógłbym mieć piosnek Starzyńskiego, chociażby w rękopiśmie, jeżeli nie drukowane? Twój życzliwy

Adam Mickiewicz.

DO HR. ANKWICZOWEJ.

B. d. (Genewa, początek sierpnia 1830.

Dotąd nie mam żadnej wiadomości o przybyciu Państwa do Paryża. Ponawiam prośbę, abyś mnie Pani raczyła kilka słów do Genewy przesłać, bo trudno byłoby kilka miesięcy nic o Państwie nie słyszeć. Od czasu, jakem mój list neapolitański wyprawił, nic nam nie trafiło się ważnego lub ciekawego; wszakże korzystając z dawnego pozwolenia Pani, znowu Jej przesyłam gazetę naszej podróży. W Rzymie bawiliśmy dni kilka. Odwiedziłem tylko Kolizeum, Forum i inne znakomitsze ruiny, a między niemi najinteresowniejszą i najsmutniejszą dla nas pustkę na Strada Mercede. Po festynach S-to Piotrskich udaliśmy się do Florencji drogą, którąście Państwo przejechali. Gdyby nie opis Panny Henrjetty, nie miałbym odwagi iść do Terni w okropny upał, kiedy mię w Szwajcarji tyle czeka kaskad. Przecież rad byłem z podróży i widok niewymownie się podobał i za powrotem śliczna przechadzka. Zstępując z góry, przypominałem, co tu Panie dokazywały mimo chłodu i bólu zębów, błogosławiłem zamiar jechania do Paryża, gdzie szczęściem niema gór, kaskad, jam wilgotnych, kościołów zimnych i tym podobnych pokus. Cóż, kiedy z drugiej strony przejażdżki w pyle i gorącu, teatru nabite, muzea dostarczyłyby materiałów na całą litanję, którą myślę ułożyć, dodając do każdej strofy: „Zachowaj nas, Panie!“ Zapomniałem donieść, że po drodze odwiedziłem Assisi czy też Assigi, stolicę Franciszkanów, i widziałem samo źródło, skąd Ci ojcowie rozeszli się po świecie. Niech Panie napomną Odyńca, że do tej pielgrzymki nie dał się

namówić. Chciałem ją opisać, ale że Assyż ma odpusty i leży na przykrej górze, nie wątpię, że Panie musiały tam zajrzeć.

We Florencji dopytałem się doktora Lazarini, pocieszył mnie i na wiele dni wprowadził w dobry humor i wesołość doniesieniami o zdrowiu Panny Henrjetty. Powiadał, że ją ledwie mógł poznać, tak nabrała cery i kolorów w Rzymie, zaręczał, że po kilku jeszcze miesiącach pobytu w Rzymie będzie mogła, gdzie się podoba, podróżować i bawić. Należałoby więc jeszcze raz na zimę za Alpy wrócić. Byłoby to dla mnie szczęśliwym zdarzeniem. Postanowiłem znowu Rzym odwiedzić i kilka miesięcy jeszcze jego głębszemu poznaniu poświęcić. Wolałbym znajdować się w Rzymie w tym czasie, kiedy Państwo tu będziecie. Chciej Pani Dobrodziejka donieść mnie w szczegółach: jak długo myśli zabawić w Paryżu, kiedy i jaką drogą powraca? Możliwym miał przyjemność w drodze ich napotkać. Życzyłbym, powracając, nie mijając Genewy, gdzie Państwo dotąd jeszcze podobno nie byli.

Z nowin ubocznych donoszę, żeśmy towarzyszyli Panu Stattlerowi do ślubu z Panną Klementyną, zapomniałem, jak nazywającą się. Po weselu miał wkrótce wyjechać do Krakowa, gdzie go familja niespodzianie wezwała. P. Garczyński nie dał się wyciągnąć do Neapolu; chyba w jesieni tam wyruszy, jeśli nie przyrośnie do swojej komnaty, z której rzadko się wychyla.

J. W. Hrabiemu racz Pani ukłon mój oświadczyć, Pannie Marcelinie i Pannie Henrycie mnie przypomnieć.

Najobowiązańszy i najżyczliwszy Jej sługa

A. Mickiewicz.

DO PANI ANKWICZ, W PARYŻU.

(Genewa, 14 sierpnia 1830 roku.)

Od dwóch tygodni co rana wracamy od okna pocztu z uczuciem, jakiego nie życzę nieprzyjaciółom moim. Jak tłumaczyć milczenie Pani? Mogłażes Pani się nie domysleć, że my tu czytamy gazety i nie odgadnąć, co się dzieje w mojem sercu przy tem czytaniu? Gdybym przynajmniej wiedział, na której ulicy mieszkaliście państwo, mógłbym, porównawszy z historją tych bitew, być spokojniejszy. Mimo całe przekonanie, że cudzoziemcom w podobnych politycznych rozruchach nic z tego przytrafić się nie może, bo ich obie

partje zwykle szanują, nie mogłem pozbyć się obawy o zdrowie państwa. Po tylu smutkach trzebaż jeszcze było upaść na podobną scenę. Piszesz Pani, że panna Henrjeta była cierpiącą, kiedyż dowiem się znowu o jej zdrowiu? Jutro opuszczam Genewę i wracam za parę tygodni. W liście do Pani Klustine obiecywaliście państwo opuścić Paryż pierwszych dni sierpnia, od pierwszego już droga była wolna i bezpieczna; gdybyście państwo i później wyruszyli, już dawno byłibyście w Genewie. Obchodziłem codziennie procesją hotele — daremnie. Uciekam znowu w góry, bo już nie mam cierpliwości czekać, czekać i czekać.

Uproszczę u Pani odpis? Dałem tu adres, i listy mnie dojdą pewnie. Czy odebrałaś Pani mój z Florencji pisany?

Opuszczam Genewę w daleko innym humorze, aniżeli do niej przybyłem, większa część przyjemności podróży mojej już z góry stracona, i raczej z nudy, niż z ciekawości, przedsiębiorę te nowe kursa. O odpis na kolanach błagamy.

Najżyczliwszy sługa,

Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA W PARYŻU.

Rzym, 19 listopada 1830 r.

Piszę do Ciebie słów kilka, a razem drugi list pocztą wyprawiam. Przybyłem zdrowo do Rzymu. W Medjolanie źle się miałem, to może dało powód pani Ankwiczowej do tylu trwogi. Dziwi mnie, że znając ją, tak bardzo się przeląknęła. Nie mało wprawdzie dotknęło mnie to, com widział w Medjolanie. Zdrowie H. w bardzo złym stanie i smutną zgaduję przyszłość. Nieopatrzni rodzice, jeden dziwną oziębłością, druga zbytnią troskliwością zapewne ją domęczą; nie uwierysz, jak ją po jeziorach i górach włóczyli. Opuściłem Medjolan chory i zgryziony. Ale trzeba się godzić z przeznaczeniem. Mon parti est pris. Zabawię zapewne w Rzymie do maja lub kwietnia; co dalej będzie, nie wiem. Z Polaków nowo przybyłych jest tu Henryk Rzewuski, dawny mój znajomy dobry z Petersburga i Krymu, o którym Tobie nieraz gadałem. Z nim i ks. Chołoniewskim (teraz bardzośmy się zbliżyli) najwięcej czasu trawię. Mieszkam w domu, gdzie stał Karczewski, mam pokoje wygodne i niedrogie. Czytam wiele i w domu siedzę, teraz nad dziełami l'abbé Lamennais me-

dytuję i życzę, abyś je z uwagą przeczytał. Listów żadnych z Petersburga nie miałem, Twoje dwa razem przysłał mnie Krasiński, bo ja z Medjolanu przed ich przybyciem wyruszyłem. Napisz mi obszernie o Paryżu i przyslij mi egzemplarz moich poezyj; może też znajdziesz okazję co jeszcze ciekawszego z nowych francuskich przyrzucić.

Bądź zdrow i o mnie spokojny.

Adam.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO, W PETERSBURGU.

Rzym, 20 listopada 1830 roku.

Pisałem do Ciebie, kochany Franciszku, raz ostatni z Medjolanu, stąd na Parmę, Ankone, Loret przyjeżdżam znowu zimować w Rzymie, jeśli można nazwać zimą najpiękniejszą, dotąd trwającą wiosną. Nie zastałem tu żadnego listu, była paczka z tygodnikiem, ale na nieszczęście wysłano ją do Genewy i muszę znów kilka tygodni na jej powrót czekać. Dotąd w głowie mojej straszna mieszanina, bom nadto widział, myślał i żądał, chcę trochę się uspokoić i uporządkować. Po bezładach podróży nastąpiła zawierucha natłokowej lektury, gdzie Dante, Winckelmaniści, Niebur, dzienniki, kroniki na stoliku i w głowie mieszają się. Życie moje w Rzymie zaczyna się po przeszłorocznemu, ale teraz więcej domowe i ciche, rzadko gdzie bywam i mam zamiar najpotrzebniejsze wizyty zredukować. Wielką dla mnie pociechą przyjazd Henryka Rzewuskiego. On tradycjami, anegdotami, szlacheckim stylem, świeżo ze wsi wziętym, ożywił mnie. Czuję, niestety, słuchając jego polszczyzny, jak wiele tracę przez niedostatek książek, a co gorsza, rozmowy polskiej od lat tyłu. Jakbym chciał wszystkich języków zapomnieć, książki obce na czas zarzucić i zamknąć się na rekolekcje w jakiej bibliotece naszej! Jak to ustawicznie człowiek nierad z siebie, zmienia chęci i żądania i wielki to dowód dobroci Boga, że bezkarnie puszcza takie umysłowe kaprysy. Na północy tęskniłem do południa, a tu tęsknię do śniegów i lasów. Nie uwierzysz, z jaką rozkoszą, ledwie nie ze łzami, powitałem na stepach wegetację północną, zieloną trawę i jodły! Henryk powiada, że wasz *Tygodnik* bardzo lubiany i czytany; na sercu mi leży ta entrepryza i lękam się ustawicznie, aby się nie rozchwiała. Słyszałem z ubocza, że Jeżowskiego niema

w Moskwie. Gdzie jest? i czemu do mnie nie pisze? Wspomnij też w każdym liście o dalszych przyjaciółach. Dobra pani Szymanowska pisała raz do mnie, za co jej nieskończone nie dziękuję i później odpiszę. Piękna dziwaczka nasza czy już poszła za mąż? Z poprzedzającego listu wiesz, że rozstaliśmy się z Odyńcem w Genewie i że teraz sam się pakuję i rozplacam. Pisałem, że moje finanse do maja zabezpieczone, ale wiedząc zwłoki i przesyłki, wcześniej mię uwiadom, na ile liczyć mogę i, jeżeli masz gotowiznę, wyślij około marca, aby na kwiecień mię doszła. Walerjan doniósł, kilka temu miesiący, że mi do Genewy pieniądze wyprawia, ale potem nic o tem więcej nie słyszałem. Czekam okazji, aby Ci posłać *tibi soli* mój dziennik podróży, skąd, co ci się zda, możesz bezimiennie do *Tygodnika* rzucić albo Jeżowskiemu ten wybór zlecić, bo pod *tibi soli* i Jeżowski rozumie się. Bądź zdrów, pisz zawsze pocztą, bo okazje strasznie chybiają, adres dawny.

Adam.

DO MARYI SZYMANOWSKIEJ, W PETERSBURGU.

(Rzym, 20 lutego 1831 roku.)

Droga i łaskawa pani!

Straciłem od dawna nadzieję otrzymania jakichkolwiek wiadomości z Petersburga, już na nie czekać nawet sprzykrzyło się. Ośm miesięcy upłynęło od ostatniego listu, może odezwy kędyś giną w drodze. Postanowiłem był zgoła nie pisać, ale teraźniejsze straszliwe okoliczności zapewne niespokojnemi o mnie myślami trapić będą dobrych moich przyjaciół, do których śmiem liczyć moją Panią. Muszę więc dla ulgi sumienia te słów kilka przestać, chociaż pewny jestem, że nie dojdą. Żyję tu w przykrem bardzo położeniu; przed kilku tygodniami już, już miałem Alpy przejechać, kiedy po uprzątnieniu różnych przeszkód wyjazdu zaszły nowe. Musisz już Pani wiedzieć z gazet o rozruchach we Włoszech. Rzym pełen trwogi. Boją się wszyscy gminu i transtewerynow, którzy burzycielów i cudzoziemców za jedno mają. Licho jakieś wniosło Grabińskiego na dowództwo w Bolonji, co tytuł Polaka zrobiło we Włoszech niebezpiecznym. Chodzimy tu po ulicy z pistoletami w kieszeni, oglądając się na koltelatę, a wieczorem zamykamy się po domach. Muzea zaparte, ga-

lerje puste. Rzym, niedawno tak cichy i wesoły, może kto wie jakich scen doczekać się. Radbym jak najrychlej stąd zemknąć i wyglądać statku parowego, bo łądem coraz trudniej będzie. Zresztą o własnych kłopotach i niebezpieczeństwach nie mam czasu ani pomyśleć. Zapewne smutni tam wszyscy jesteście. Gdybym przynajmniej wiedział, żeście zdrowe i zdrowi. Malewski czy zawsze w Petersburgu? O Jeżowskim słyszałem, że z Moskwy wyjechał, a dokąd, nie wiem. Pietraszkiewicz jak przetrwał cholerę? Zdaje mi się, że w Ameryce. Mam nadzieję, że mi Pani literkę prześlesz pod adresem księżnej, która zawsze wie, gdzie się będę obracać. Celisia już zapewne za mężem. Nie wiedziałem, kiedy za jej zdrowie wypić. Zamawiam sobie do chrztu trzymać jej syna, choćby *par procuration*, a Helenka z weselem na mnie czekać powinna. Daruj mi pani te pustoty. Lękam się, aby razem z jakimi smutnymi nowinami nie zbiegły się. Żegnaj panią i panie i wszystkich moich znajomych.

Adam Mickiewicz.

DO STEFANA GARCZYŃSKIEGO.

Rzym, 2 marca 1831 roku.

Kochany Garczyński!

Nie wiem, czy ten list znajdzie Cię i gdzie, oby w dobrym humorze znalazł. Siedzę dotąd w Rzymie i dręcę się i nudzę. Różne okoliczności wyjazd mój wstrzymały. Teraz w Romanji rozruchy i drogi nie bardzo bezpieczne. Myślę jednak ruszyć, zwłaszcza, że mam o czem. Twoje 360 talarów odebrałem wypłacę Rzewuskiemu za Hubego 200 franków, sobie 100, resztę czy nie odbierzesz u Walerjana, bo i sam potrzebujesz kilkuset franków i nie wiem, gdzie Ci odsyłać. Wszakże jeśli mieć je chcesz, napisz do mnie pod adresem Wołkońskiej, która mnie zakomunikuje. Może nawet u niej część pieniędzy zostawię. Wszyscy Twoi znajomi zdrowi i zatrwożeni. Niech Cię Bóg ma w swej opiece.

Przyszły tu dwa listy do Ciebie. Jeden w kilka dni po Twoim odejździe, od Baranowskich podobno i od Odyńca. Ciekawy nowin przeczytałem, nic ciekawego, drugi, z adresem francuskim, posłałem do Dreżna.

Adam.

DO WOJCIECHA STATTLERA W KRAKOWIE.

Rzym, 19 kwietnia 1831 roku.

Kochany Panie Wojciechu.

Trudno mi dostatecznie podziękować za tak pożądane wiadomości. Żaden może obraz Rafaela nie był tak troskliwie rozpatrywany, rozbierany po szczegółach, ceniony i chowany, jak Twój list przez szlachtę bracią sejmikującą na ulicy *Mercede*. Nie myśl przecież, że tylko zyskałeś u nas sławę żurnalisty nowinami publicznymi; ucieszyło nas równie to, coś o Sobie, o rodzinie i o znajomych napisał, bo Ciebie tu wszyscy szczerze kochamy. Nie gorsz się, że mówię po królewsku w liczbie mnogiej, w imieniu rzeczypospolitej *Mercedeńskiej*; tak pewny jestem ich uczuć, a o moich nie wątpisz. Nie odpisałem Tobie na listek zimowy, który bez adresu blakając się, do mnie trafił. Miałem za dni kilka wyjeżdżać; zatrzymywały mnie przeszkody, o których długo by pisać. Teraz już niezawodnie wyjeżdżam za dni parę. Cel dawno obrany; ale jak i kędy się obróć, zależyć będzie od okoliczności. Żałuję, że nie mogę prosić Ciebie o odpis; trudno zgadnąć, gdzie będzie mój adres. Cóż ci powiem więcej o sobie? Czy w terażniejszych czasach przyjaciele nawet mogą trudnić się czyją osobą i mają czas czytać jej historje? Powiem ci tylko, że ciągle zdrów byłem. Zima przeszła daleko smutniej, niż pierwsza. Stracę może u Ciebie łaskę, kiedy się przyznam, że mię mokry arkusz niemieckiej brudnej gazety więcej teraz zachwyca, niż wszystkie *Vinci* i *Rafaele*. Moje muzeum jest teraz na placu *Colonna Sciarra* w brudnej jamce, która się nazywa gabinetem lektury. A jednak żal mi Rzymu; smutno myśleć, że podobno już go więcej nie obaczę. Jeżeli Niemcewicz jest w Krakowie, przypomnij mnie jego pamięci. Wiesz, jak go wysoko považam; domyślisz się, jak Wam zazdroszczę, że go macie pośród Siebie. Staraj się, żebyś zrobił jego portret. Żonę Twoję całuję, ma się rozumieć, w obie rumiane jagody. Spodziewam się, że przez wzgląd na odległość miejsca ten buziak powietrzny nie wzbudzi w Tobie rzymskiej zawści. Jakżebym chciał stawić się ustnie i osobiście na Twoje zaprosiny chrzestne! Dusza moja przynajmniej będzie na tych chrzcinach. Imię nie bardzo dobre wybrałeś. Adamy, ile ich znam, nieszczęśliwe, zaczawszy od pierwszego mojego cioski

rajskiego. Oby Puławskiemu lepiej się powiodło i twojemu, który od trzydziestu lat przekonywa się, że tylko się na biedę urodził i który Ciebie po raz ostatni z Rzymu ściska.

Adam.

DO IGNACEGO DOMEYKI.

Poznań, 2 stycznia 1832 r.

Drogi Ignasiu.

Niema podobieństwa, aby Cię ten list znalazł jeszcze na miejscu. Piszę niechętnie na przepadło. Jak mi smutno, bardzo smutno, że tak bliski nie mogłem Cię uścisnąć, z Tobą się nagadać o tylu rzeczach. Mój Boże! któżby mi więcej mógł naopowiadać. Twojej chęci powrotu nie bardzo rozumiem, ale nie umiem ganić ani radzić. Przez tyle lat włóczęga. przywykłem już do cygańskiego życia, które pojmuję, jak może być ciężkie nowicjuszom. Ale powrócić, widzieć, co się tam dzieje! Zresztą rób, jak Bóg Cię natchnie. — Brata widziałem. Jest w pewnym miejscu wygodnie i lepiej może, niż w domu: ale przewiduję, że się zatęskni wkrótce do Litwy. Ja zdrow. — Smutny, że mi się nie udało choć na chwilę być z Wami i wiecznie Wam zazdrościć. Jeślibyś wkrótce powracał, pozdrów ode mnie, jeśli kogo jeszcze znajdziesz. Twój list dawny smutny odebrałem w Rzymie. Było tam kilka słów Marji. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czeczotem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi. Bądź zdrow.

Adam.

DO JOACHIMA LELEWELA, W PARYŻU.

Drezno, 23 marca 1832 roku.

Drogi Panie Joachimie.

Czuję, pisząc do Ciebie, jak gdybym był już na dolinie Józafatowej, i nie wiem, skąd zacząć rozmowę o tylu wypadkach tak długiego życia! Pojmiesz, dlaczego nie śmiałem

zarzucać Cię listami w czasie rewolucji, prosząc o nowiny albo dając rady, które tak łatwo dawać z daleka i po czasie, a tak trudno znajdować na miejscu i wśród okoliczności. Bóg nie pozwolił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płódnem na przyszłość dziele. Żyję tylko nadzieją, że beczynnie ręki na piersiach w trumnie nie złożę.

Nie uwierzysz, jakbym gorąco chciał Ciebie widzieć i w tym jedynie celu nie raz chciałem jechać do Paryża, którym brzydzę się, jak piekłem. Objaśniłbyś mnie wiele wypadków niepojętych, a nie łađa czyjemu objaśnieniu wierzę. Ale to już należy do przeszłości, do historii, a wyzwany jesteś działać na przyszłość; i ciekawszy byłbym Twoich o niej widoków.

Tu powszechne skargi na niezgodę, łatwą do przewidzenia, bo wyniesioną z Warszawy i tylko dojrzewającą we Francji. Mnie się zdaje, że jedni ufają rządowi francuskiemu, drudzy narodowi albo ludziom *du mouvement*. Ja oba te stronnictwa francuskie mam za zgraję egoistów zdemoralizowanych i nic na nich nie liczę. Francja, podług mnie, są to Ateny za czasów Demostenesa; będą wrzeszczeć, odmieniać mówców i wodzów, ale się nie ulecą, bo rak toczy ich serca. Ja pokładał wielkie nadzieje w naszym narodzie i w biegu wypadków nieprzewidzianych żadną dyplomatyką. Zresztą więcej masz światła i doświadczenia; radź i rób podług siebie. Myślałbym tylko, że naszemu dążeniu należałoby nadawać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów, i że na katolicyzmie trzeba grunt położyć. Czy znasz dzieła Lamennais? Jest to jeden Francuz, który szczerze płakał nad nami; jego łzy były jedyne, którem widział w Paryżu. Pobyt w Wielkopolsce i to, com słyszał o Śląsku, utwierdziło moje zasady. Może nasz naród jest powołany opowiadać ludem Ewangelią narodowości, moralności i religji, wzgardy dla budżetów, jedynej zasady teraźniejszej polityki prawdziwie celniczej. Najuczeńsi Francuzi nie czują patriotyzmu ani zapalu dla wolności; rozumują o nim.

Piszę teraz wiele, ale rzeczy mniej stosowne do okoliczności. Rewolucja wydała poetę swego, nieznanego jeszcze. Jest to Garczyński; dwa lata znałem go w Rzymie, a nic mi nie czytał i nie wiedziałem, że pisze. Talent wielki i daleko pójdzie; już teraz jest na stanowisku, na którym ostatnie dzieła moje spoczęły.

Odynieć tłumaczy Moora i Byrona wzorowie. Siedzimy tu samotni zupełnie, z nikim się nie wdając. O przyszłości nie myślę, paszportów ani funduszków niema, ale jest nadzieja honorarjów. Jeżeli masz wiele czasu i nic a nic nie kosztuje cię pisać list, kilka słów mi udziel, nie o przeszłości, ale o teraźniejszości i przyszłości.

Mam myśl dla Leonarda Chodźki. Niechby on zaczął układać *Martyrologję polską*, katalog alfabetyczny męczenników narodowych od czasu Konfederacji Barskiej, prawdę ścisłą biorąc za zasadę, bez żadnej egzageracji. Familje dostarczyłyby materiałów. Ile znam szlachtę, byłoby to dzieło w każdym domu, i każdyby tam szukał krewnych i znajomych. Chodźkoby to dobrze zrobił; jeśli się podejmie, poślę mu moje myśli i postaram się o materiały. Jak sądzisz o tem? Pisać trzeba po francusku.

Twój zawsze jednostajny,

Adam Mickiewicz.

DO JÓZEFA TACZANOWSKIEGO.

Drezno, poniedziałek (w marcu 1832.)

Łaskawe zaproszenie Twoje obudziło tylko nowy żal w naszej kolonji, nowe przekleństwo na tych, co wynaleźli granice, paszporty, rysopisy i t. d., bo przed odebraniem jeszcze listu z Horyni rozbieraliśmy nieraz zamiar wyprawy na Wielkopolskę i na koniec musieliśmy uznać go za niepodobny. Są rzeczywiście przeszkody oprócz ogólnych paszportowych, ekonomicznych czyli finansowych, jeszcze inne każdemu z nas osobiste. Odynieć kupuje płaszcze dla żołnierzy, kończy tłumaczenie poematu, co gorsza, gdyby wyjechał na tydzień, mogłoby kilka szanownych staruszek życiem przypłacić jego oddalenie, kilkanaście osób kocha się w nim, z których najmłodsza ma lat 72. Ja czekam kilku przyjeżdżających, z którymi koniecznie widzieć się muszę, i jestem bardzo zatrudniony pisaniem i przepisywaniem. Uważ tedy, łaskawy Panie, co tu za przeszkody, dodane do przeszkód i pomnożone przez przeszkody. Wierzaj, że chcieliśmy widzieć Horyń, goręcej nie mogliśmy być oczekiwani. Przyjdzie nam tu święta samotnie przepędzić. Nigdzie zgoła nie bywam i rzadko nawet wychyłam się z domu. Po długiem próżnowaniu, szczególnie

po odrętwieniu przeszłorocznem, gdzie oprócz gazet i nowin o niczem nie myślałem, wracam teraz do dawnych zatrudnień, wiele rzeczy w tych czasach tłumaczę, inne kończę, inne zaczynam. Skoro muza raz łaskawe oczy pokaże, trzeba jej zasługi uczcić i na chwilę nie odstępować, bo gotowa uciec i nie wrócić. Nie mogąc z Wami podzielić jaja wielkanocnego, proszę, żebyście wspomnieć raczyli, pozdrawiając się Zmartwychwstaniem. Pani Dobrodzice i Pannie Józefie rączki całuję i przypominam, że wiosna już pod bramami Drezna, słońce piękne i niebo pogodne i skowronki, słowem pań tylko nie widzimy. Aż do maja siedzę tu i nie tracę nadziei być ich przewodnikiem po Szwajcarji Saskiej. Potem nie wiem, gdzie się obróć, jeśli wojny nie będzie. Edmunda i Władzia i Zosię ściskam. Pannie Dupin ukłony oświadczyć racysz. Zapewne już się otworzyła komunikacja piesza z Kopaszewem, proszę mnie tam przypomnieć, nim do P. Skórzewskiej napiszę, a chociaż z drugiej strony komunikacja wodna przerywa się pod Osiekiem nie wątpię, że jako dobry sąsiad nie zaniedbujesz robić tam wyprawy, choć dalszą drogą. Może będziesz raczyć kłaniając się odemnie państwu Zakrzewskim, nie zapomnieć ślicznego ukłonu pannie Aleksandrynie. Muszą już wiedzieć, że ów zmarły oficer był jakiś Niemiec i mogą być spokojni o syna, który podobno jest w Besancon, ale pewnych wiadomości nie mam o nim.

Twój obowiązany sługa.

A. Mickiewicz.

DO JULJI Z GROCHOLSKICH RZEWUSKIEJ.

Drezno, 28 marca 1832 r.

Pani Dobrodziejki list wybawił mnie z ciężkiej niespokojności. Troszczyłem się mocno o Jej zdrowie, od wyjazdu z Rzymu jeden tylko list miałem i w nim żadnych szczegółów. Teraz nawet niedobra Pani nic mi nie piszesz, jak dalece czujesz się zdrowszą, jak długo zabawisz we Włoszech, co porabia i w jakim humorze pan Henryk? Adresu nawet nie mam i nie wiem, czy to pismo dojdzie kiedy. Zapytany, abym doniósł o sobie oprócz podziękowania za ten dowód przyjaźni troskliwej, prawdziwie nic więcej dodać nie umiem. Cały rok od wyjazdu z Włoch był tak okropny, że boję się myśleć o nim, jak o chorobie albo o złym uczynku, lubo pani

nie zrozumiesz mocy tego ostatniego porównania. O przeszłości tedy wolę milczeć, a przyszłość więcej niż kiedy niepewna. Skoro już dalsza podróż z Poznańskiego stała się niepodobna, postanowiłem wrócić, nim Bóg pozwoli coś przedsięwziąć. Do Włoch miałem wielką ochotę, bo mi inne kraje, szczególnie Francja, bardzo zbrzydły; ale są trudności liczne i trudne do pokonania. Żyję tedy bez jutra. Jestem tu z Odyńcem i Garczyńskim, czekamy Goreckiego. Połączeni myślami i duszami, dobrze nam z sobą i nie zabieramy więcej znajomości. Braknie nam tylko do naszego klasztoru kochanego uniwersalnego historyka polskiego, a mnie braknie mocno księdza Stanisława (Chołoniewskiego). Słusznie pisał, że nie lęka się o trwałość naszej przyjaźni; ale przyjaźń jest za słabym wyrazem, mam dla niego wdzięczność i uwielbienie. Wiele mu winienem, wiele pociechy, wiele chwil szczęśliwych, nowy widok świata, ludzi i nauk. Nie wiem czy mogę do niego pisać o wszystkim otwarcie; miałbym różne rzeczy do doniesienia. Proszę o adres. Zabawię tu w Dreźnie do maja, jeśli nas nie wypędzą. Potem sam nie wiem, gdzie się udam, ale listy mię dojdą adresowane poste-restante do Drezn, pod mojem własnem nazwiskiem. Poleć mię Pani pamięci panny Pelagji. Zazdroszczę jej klasztoru, ale możeby powinna była czekać na odjazd Pani. Zresztą jest to ostatnia kłótnia między nami i spodziewam się, że mi ją wybaczy, jak wszystkie dawniejsze.

Marysię kocham i całuję.

Wielmożnej Pani Dobrodziejki najżyczliwszy sługa

Adam Mickiewicz.

DO KSIĘNEJ ZENEIDY WOLKONSKIEJ.

Drezno, 16 kwietnia 1832 r.

Czcigodna Księżno!

Pierwszy list Księżnej długo się błakał, zanim mnie znalazł w Dreźnie. W chwili, kiedy mam odpisać, odbieram drugi Jej list. Wszystkie listy Księżnej sprawiają mi takie samo wrażenie. tchną jednakiem ciepłem i mają ten sam blask, jak promienie jednej i tej samej gwiazdy miłości i dobroci. Miałem był zamiar jechać na spotkanie Księżnej do Genewy, ale my Polacy niezawsze mamy swobodę ruchów.

Cóż to za miła niespodzianka ujrzeć Księżnę w Dreźnie! Żyję tu bardzo odosobniony, ale dość przyjemnie, widując tylko Odyńca i Garczyńskiego. Po przejściach strasznych zeszłego roku, po życiu zwierzęcem albo raczej roślinnem w lasach poznańskich, zaczynam czuć, myśleć, żyć. Muza po długiej nieobecności nawiedza mnie, aby mnie pocieszyć. Czytam i piszę wiele; kiedy zaś pracuję i spodziewam się Księżnę wkrótce zobaczyć. to zdaje mi się, że to jest zbytkiem szczęścia na tym świecie.

Moją idée fixe, moim ulubionym projektem było powrócić do Włoch, tak zbrzydziłem sobie wszystkie narody z tamtej strony Alp. Ale projekt ten nie da się wykonać... Księżna zna tego powody. Zostanę przeto w Saksonji póty, póki... od 8 lat nie wiem jak skończyć to zdanie, skoro chodzi o mój pobyt lub o mój wyjazd. Księżna będzie tak dobra pytać się o mnie w Dreźnie u Odyńca Töpfergasse Nr. 581. na drugim piętrze albo u szambelana Tödwen Johannisstrasse. Ściskam księcia i Szewirewa; skoro przejdzie Alpy kochany Szewirew, poczuję go po zapachu erudycji. Mam nadzieję, że starożytności nie każą mu zapomnieć przyjaciół, którzy nie są dzisiejszymi, bo są z przed kilku lat, co nie jest bardzo powszedniem w krainie serc ludzkich, gdzie ruiny trwają tak krótko. Czy przywozi Księżna także Rozalina? Radbym go znowu ujrzeć.

Przywiązany dozgonnie

Mickiewicz.

DO FRANCISZKA MICKIEWICZA W ŁUKOWIE.

Drezno, 29 kwietnia 1832 roku.

Kochany Bracie!

Tak jestem zatrudniony od kilku tygodni, że ledwie mam czas brodę ogolić. Pisałem tyle, że liczba wierszy skleconych w ciągu tego miesiąca wyrównywa trzeciej części, a może i połowie wszystkiego. com dotąd ogłosił. Nie wszystko jeszcze, com zaczął, pokończone i póki nie skończę, zostanę zapewne w Dreźnie. Jestem zdrow, a przy zatrudnieniu dosyć wesół i. ile można być, szczęśliwy. Jakie to 200 talarów przysłałeś? Schowałem je na wszelki przypadek, ale teraz bardzo nie potrzebuję. Już Ty o mnie się nie troszcz. Ja sobie dam

radę. Jeżeli to pieniądze p. Grabowskiego, podziękuj mu, uważać je będę za pożyczkę, ale jeśli wzięłeś z jakich składek albo broń Boże z Komitetu, proszę Ciebie, abyś mi oznajmił, a ja zaraz odeślę, bo ja wsparcia takowego i nie potrzebuję i przyjąć nie mogę, bo nie mam do niego prawa, nie będąc wpłątany w teraźniejszą rewolucję. Odpisz mi na to jak najrychlej.

O tych wywodach w Petersburgu, nie wiem, skąd Ty tyle się kłopotujesz, o Twoim powrocie do Litwy dotąd wcale niema co myśleć; ja nigdy pod rząd rosyjski nie wrócę, nigdy, nigdy nie miałem tego zamiaru. Aleksander potrafi sobie sam zaradzić. Wszakże dla spokojności Twojej gotów jestem napisać do Przecławskiego, tylko wytłumacz mi jaśniej, co tam mają robić? Bądź zdrow. Twój brat

Adam.

DO HR. JÓZEFA GRABOWSKIEGO, W ŁUKOWIE.

Drezno, 16 czerwca 1832 roku.

Szanowny Przyjacielu!

Wstrzymałem się z odpowiedzią na Twoje dwa listy, nie mając nic do powiedzenia, prócz żalu i utyskiwań, których zapewne nasłuchiłeś się dosyć. Czekałem, co sam pocznę z sobą nadal i ledwie teraz wyjazd mój przychodzi do skutku. Rugują stąd powoli naszych, grzecznie wyprasząc. Przykrząc się prośbami. mnie dotąd dają pokój, ale sam nie chcę czekać, nim na mnie kolej przyjdzie, i mam osobiste powody posunięcia się ku Francji, bo moim dawnym opiekunom nie ufam, znając dobrze ich długie ręce. Mam też potrzebę Paryż odwiedzić dla interesów, których gdzieindziej ułatwić nie można. Puszczam się tedy około 23 w drogę z żalem, że Ciebie, łaskawy Przyjacielu, nie będę mógł pożegnać. Bóg wie, kiedy się znowu spotkamy! Jeżeli Franciszka wypłoszą, niech na Drezno jedzie za mną: tu dowie się o moim adresie. Stefan jeszcze zostanie dla picia wód i interesów i może się Twojego przyjazdu doczeka; wszakże i to niepewna, bo policja lada dzień może go wyprawić za nami. Wiesz już zapewne o ruchach paryskich. Republikanie zawczasie porwali się. Opozycja, która ich podburzyła, z zwyczajnem tchórzostwem siedziała w domu, czekając wypadków tak jak w dniach czerwcowych, ale tą razą nie udało się, i deputowani opozycji

ze wstydem przegrali. *Le juste-milieu* chwycili się tego pretekstu, żeby nas ciemnić i na nas krzyczeć: zdaje się, że jeszcze kilka miesięcy ten system potrwa. Dłużej wątpię, żeby się utrzymał; tymczasem wiele nam złego narobią! Nasi wiele budują na rozprawach parlamentu, które, jak mi się widzi, skończą się na głupstwie. Nie słyszałem, żeby naród jaki rozprawami i notami dyplomatycznymi wskrzeszono! Wszakże ponieważ nic nie mają do roboty, niech gadają. Szkoda tylko, że gruntują fałszywe zaufanie w dyplomacyce, któreśmy już drogo przypłacili! Ja sam mam tylko nadzieję w Panu Bogu; on pomiesza ich wszystkie układy, a potem w szablę, aby tylko raz jeszcze ją z pochwy dobyto. Dwieście talarów miałem na drogę. Racz je zapisać na mnie, jako dług mój; oddam chyba we Francji. Poezyj nie mogłem przesłać dla bałamuctwa szlachcica, który wziął je przepisywać i oczu nie pokazuje. Kłaniaj proszę odemnie P... Byłem w dzień ich wyjazdu, ale jużem nie znalazł, oświadczyć, że to wcale nie po polsku tak regularnie i tak wcześniej wyjeżdżać. Pani rączki całuję.

(Bez podpisu).

ZIOMKOM, LITWINOM, TUŁACZOM, W BESANÇON.

Paris, rue Richelieu 50. Sierpień 1832 r.

Hotel de Strasbourg.

Kochani Ziomkowie! Polska, ojczyzna nasza chociaż sama uboga i znieważona, nie przestaje hojnie nagradzać wszystkich, którzy się dla niej poświęcali. Wam, wojownikom, uplotła wieniec sławy szeroki na całą ziemię, mnie, który za sprawę narodową walczyłem tylko uczuciem, przesyła przez ręce rodaków dar dla serc czułych najdroższy. Bierzmy stąd pochop pokrzepiać w sobie nawzajem odwagę i zachęcać się nawzajem do nowych poświęceń się za sprawę ludu, którego żaden wojownik, żaden pisarz, żaden prawy obywatel o niewdzięczność oskarżyć nie może. Narody cywilizowańsze i bogatsze od nas mają poetów, większych odemnie talentem, osypanych skarbami i pochwałami, ale niejednen z tych europejskich genjuszów oddałby może miliony złota i okłasków za jeden pierścien darowany poecie tułaczowi — od tułaczów wojowników. Tym pierścieniem obrażkowym ziomkowie poświadczacie mi, żem dochował wiary od dzie-

ciństwa poślubionej ojczyźnie, tym pierścieniem powtórnie z nią się zaślubiam. Sprawiliście dla duszy mojej wesele jubileuszowe, wesele złote.

Przyjmijcie odemnie powtórna ślubną przysięgę, że będę zawsze ojczyźnie wierny i że jej sprawy do śmierci nie opuszczę.

Adam Mickiewicz.

DO A. E. ODYŃCA, W DREZNIE.

Paryż, ulica Louis-le-Grand, 24, 8 grudnia 1832 r.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Popsuleś mi się bardzo od czasu, jak zostałeś poważnym małżonkiem: nic do mnie nie piszesz. Obaczysz, że Cię wobec żony wyczubię za to, a przynajmniej wyłaję. Tymczasem Zosi osobnym listem zaskarżę, z prośbą, aby Cię ukarała. Cóż tam, czy ty gospodarstwem tak zajęty? Dzieci przecie jeszcze nie masz; możesz tedy pisać jak dawniej. Odebrałeś zapewne list, w którym radzę Ci, abyś jechał do Lwowa. Singer pisze, iż zgłaszał się do Ciebie. We Lwowie będzie i żonie Twojej wesele między rodakami. Tymczasem gołąbka Twego słyszałem, że trwoży przyszłość, i że Ty sam lękasz się o nią i myślisz zawsze o jutrze. Fi, Edwardzie! Nie skorzystałeś z mego towarzystwa. Czyż mię widziałeś kiedy oglądającego się na jutro? Gdybym miał kochającą żonę, zdaje mi się, że nie myślałbym nawet o następnej godzinie i cały oddychałbym teraźniejszością. Używaj tedy szczęścia, bo może zniknąć i uciec, szczególnie jeśli rozgniewasz Opatrzność, nie umiając z jej darów cieszyć się. Masz tedy kazanie i naukę moralną.

Nowin nie wiele odbierzesz. Tomik wyszedł; weź go u Todwena lub gdzie znajdziesz. bo nie wiem dobrze, jak go wysłano. Drukowałem tu broszurkę w stylu biblijnym; wkrótce mieć ją będziesz. Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju *Hermann i Dorotea* (Goetego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadomej Tobie przyczyny, tyle kłopotów korekty i prócz tego różnych bagrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.

Donieś mi w szczegółach o zdrowiu Stefana Garczyńskiego. Choroba jego jest nowym dla mnie ciosem, strasznie mię

smuci; ile razy wspomnę o Was, świat mi brzydnie: tyle dokoła smutku. Zosi ręce odemnie ucałuj. Jeśli nie bardzo zazdrośny jesteś, to możesz i w twarz pocałować na moją intencję; przyślij mi, proszę, twój portret mały i Zosi, tylko nie taki, jak miałeś w Dreźnie. Chciałbym mieć i portret Stefana. Czy Pani K... jest w Dreźnie? Możeby panna Pelagja była tak dobrą i podjęła się odrysować.

Twój Adam.

DO STEFANA GARCZYŃSKIEGO, W DREZNIE.

Paryż, ulica Louis-le-Grand, 24. 12 stycznia 1833 r.

Drogi Stefku!

Wczora, ledwie wczora odebrałem twój rękopism, nie wiem jeszcze, jaką drogą. Czytałem cały wieczór *Wacława*. Wrażenie zrobił na mnie większe nad wszystkie moje nadzieje o nim. Kiedyś czytał niektóre części, zdawały się niedokończone albo zamieszane; ale w ciągu harmonizują się i stanowią całe indywiduum. Już nie radziłbym odmieniać tego, co dawniejbym odmieniał. Czytałem zaraz niektóre części jednemu z przyjaciół, który wiele filozofował i saintsimonizował; uderzyły go mocniej, niż moje nowe *Dziady*. Niezawodnie pokazuje się, że więcej przez głowę Twoją przeszło myśli, niż przez moją, choć je wiele lepiej wyrobiłem. Ileż wierszy w *Włocławie*, nad którymi dumam, jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i wprzód wyjechać, nim tę koleinę wygryzły! Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi. Ja niezmiernie cieszę się, że nawet pod względem moralnym robi skutek zbawien-ny: bo od razu przeniesie młodzież przez długą drogę rozumkowań. Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrość poetycką; ale mnie się zdaje, że gdyby *Włocław* był nie Twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi, teraz kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Dedykacja musi być odmieniona, to jest pierwsze trzy wyrazy z tytułem wyrzucone, dla tysiąca przyczyn, a najbardziej, że mi tak serce dyktuje. Pieśń o pchle, jeślibyś mógł odmienić **na** co narodowego? bo mi przykro, że Fausta przypomina.

* * * * *

Ja zdrów dosyć, może nadto zajęty emigranckimi rzeczami, które mi czas żrą i humor często psują. Piszę powoli *Poema Sielskie* mam już prawie całe dwie wielkie pieśni; jak przepiszę bruljon, pošlę wam; Odyniec umie decyfrować. Gedrojc, stąd jadący, zawiezie wam broszurkę *Ksiąg Pielgrzymstwa* i Twój zegarek przysłany z Lubostronia, a którym nie dałeś dyspozycji. Bądź zdrów, mój kochany. Odyńca uściśnij i pisuj częściej do mnie.

Adam.

DO A. E. ODYŃCA, W DREZNIE.

Paryż, 28. stycznia 1833 roku.

Tylko co odebrałem list Stefana. Odpiszę mu później; teraz dla Ciebie ćwiartkę złożyłem, aby Cię łajać i klócić się z Tobą, że mię tak zaniedbujesz, o co zaczynam na panią Zosię gniewać się. O Twojem życiu domowem nic nie doniosłeś, a wszystko chciałbym wiedzieć, aż do Twoich funduszów. Ja tu żyję niemiłe wśród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą, doktrynery mają za warjata: wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni.

Mam zatrudnień nie bardzo wiele, ale na moje lenistwo uciążliwych. Stefka Garczyńskiego poezje teraz do druku gotuję, tu i ówdzie wyrazy przestawiam i łagodzę. Mnie się *Wacław* bardzo podobał. Prócz tego literackiego zatrudnienia drukami mam inne różne mniejsze i nudniejsze. Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać. Co zrobiłeś z *Korsarzem* i *Moorem*? Ja teraz *Giaura* przepisuję i z wielkim żalem musiałem *Poema Szlacheckie* zawiesić. Co za szkoda, że Ty nie możesz gdzie zjechać na wiosnę! A może i zdołasz? żebyśmy znowu razem przesiedzieli z parą miesięcy! Ale to trudno powtórzyć.

Kilka miesięcy drezdeńskich miłe wspominam. Stefka zdrowie zawsze mi sen odbiera i bardzo smuci. Pamiętasz, że ja mu radziłem pić wody, które mu zaszkodziły.

.

Zosi uściśnienie serdeczne.

Adam.

DO FRANCISZKA MICKIEWICZA, W ŁUKOWIE.

Paryż, 15 lutego 1833 roku.

Kochany Bracie!

Bardzo mię przeraziłeś wiadomością o Twojej chorobie, zwłaszcza, że nie doniosłeś, jakiego to rodzaju słabość i czy jeszcze trwa, czy już minęła. Widzę z listu, żeś zawsze bardzo smutny, i to zapewne jest najpierwsza przyczyna choroby. Jeślibyś był rugowany, tu w zakładach polskich można mieć żołd i towarzystwo z rodakami i zajęcie się, chociaż wszystko to nie zastąpi kraju. Ja zdrow jestem, na wiosnę chcę wynieść się z miasta i niektóre pisma znowu zaczęte kończyć. Jest podobieństwo, że własność moich poezyj sprzedam za pensję dożywotnią, małą wprawdzie, ale pewną, wyniesie to około tysiąc złotych, może i więcej. Jeślibyś wrócić nie mógł, tę pensję przeniosę na Twoje dożywocie i Tobie całkiem ustąpię, bo ja sam jakoś znajdę sposób do życia; zresztą jeszcze mogę coś napisać. Osiądziesz tedy Sobie gdzieś na wsi i będziesz czekał wypadków, nie potrzebując nic od nikogo. Czekam wkrótce z Niemiec odpowiedzi tyczącej się...

DO STEFANA GARCZYŃSKIEGO, W DREZNIE.

Paryż, 5 marca 1833 roku.

Odebrałem list twój, kochany Stefanie, i weksel na Rougemonta, o czym uwiadom panią Potocką. Wiadomość, żeś zdrowszy, natchnęła mnie lepszym humorem i zdolnością pisanja listów, bo często jestem zmęczony moralnie. wiesz. z jakiej przyczyny. Niestety, dotąd nie mogę odpokutować i widzę chęć wplątania mnie znowu koniecznie; postanowiłem nic nigdy nie odpisywać; nic też o tem nie gadaj i nie pisz nigdzie. Wiesz zapewne przyczynę zwłoki druku, którego tak jesteś niecierpliwy. Pojmuję dobrze niecierpliwość, lubo teraz, jak ojciec wielu dzieci, już mniej dbam o ich urodziny i chrzciny, a Twój Wacław więcej mnie teraz obchodzi, niż moje własne dzieło. Czekaliśmy założenia nowej drukarni, gdzieby nas mniej kosztowało; jeśli w tym tygodniu drukarnia nie otworzy się, zaczniemy u Pinarda. Nie pisz teraz nic, póki całkiem nie wyzdrowiejesz:

Goethe powiedział, że nie trzeba psuć się i ekspensować *an ein Bild des Lebens*. O sądy publiczności nie troszcz się; jakżeby Ci chciał udzielić połowę mojej obojętności! Na mnie gotują się tu krytyki straszne w pismach francuskich i niemieckich; słyhać, że Gurowski, etc. chcąc mię zdyskredytować, mają dowodzić, że m głupi, przewidując, że Polacy uwierzą, kiedy wyczytają taki sąd w pismach zagranicznych, a zagraniczni sprawdzić nie będą mogli. Cała ta historia moich przyjaciół gniewa, mnie śmieszy. W tych dniach przenoszę się pod Luxemburg, będę mieszkał z Domejką; nie pamiętam numeru domu, później dam adres. Zajęty byłem mocno i znudzony przepisami i poprawą *Giaura*, jeszcze nieskończonego; muszę kończyć i przedawać, i to mi przerwało moje *Poema Wiejskie*, które bardzo lubię; *Giaura* już zbrzydziłem. O plotkach z okazji przedaży tomu IV przykro mi słyszeć! Wdałem się, zdawało mi się, z ludźmi uczciwymi, i tak kłamią; Walerjan narzeka na moją opieszałość polityczną: przyznam się, że nie lubię grać w liczmany i puste orzechy! Mówiłem Lelewelowi, żeby zaraz się usunął; źle to przyjął i teraz widzi, że m dobrze radził. Nasi, po większej części, zapominają o polskiej sprawie i kłócą się tylko o retorykę polityki, o formy przyszłe, o szkielet jakiegoś narodu przeszłego, nie myśląc, czy się urodzi to dziecko, którego kości mają rozbierać. Pani Potockiej oświadcz moje zawsze jednostajne dla niej uczucia. Odyńca uściskaj.

DO J. U. NIEMCEWICZA, W LONDYNIE.

Paryż, place de l'Observatoire, (22 marca 1833).

Szanowny Panie.

Zawsze jesteś łaskaw na mnie, ja też nie przestanę być wdzięcznym. Dawniej przychylne Twoje wyrazy były dla mnie ośmieleniem i zachęceniem i teraz czerpam w nich pociechę i uważam je za nagrodę. Ze wzruszeniem czytałem zdanie Twoje o czwartym tomie. Zdawało mi się, że podsłuchałem przyszły wyrok potomności. Pozwól autorowi cieszyć się tem złudzeniem. Pochlebilo mi niezmiernie, że odgadnąłeś cel i plan mojego poematu; rzeczywiście mam zamiar objąć w nim całą historję prześladowań i męczeństwa naszej Ojczyzny. *Sceny wileńskie są wstępem do więzień petersburskich. katorżnej roboty i posilenia w Sybirze*. Przedsięwzię-

cie szerokie i bogate w przedmioty. Oby tylko Bóg dał natchnienie! W jednej z następujących części wprowadzę niewolnika konfederata, który w zamku petersburskim przesiadawszy całe życie, doczekał roku 1825 i opowiada nowym towarzyszom więzienie Kościuszki i Niemcewicza. Jeżelibyś mógł, szanowny Panie, udzielić mnie w kilku słowach szczegółów o swoim ówczesowym pobycie w *krieposti*, bardzobyś mnie uszczęśliwił i moje dzieło ozdobił.

Przykro mi z literackich materji przechodzić do naszej biednej polityki. Dobrze się stało, że mieszkając w Londynie, nie patrzysz z bliska na rany emigracji i na gnieźdzące się w nich robactwo. Widok taki byłby nieznośny dla oczu, które już widziały tyle nieszczęść ojczyzny. Wszakże nie należy rozpaczać, obok złych pierwiastków rozwijają się w tym samym stosunku i dobre. Jestto odwieczna walka, która się przed nami zaczęła i nas przeżyje.

Ja usunąłem się od tutejszych machinacyj i zdaleka je uważam, nie biorąc czynnego udziału, bo między pijanymi najlepszą jest polityką czekać, aż się wytrzeźwią. Zdaje się, że emigracja zaczyna treźwić się, i że partja chcąca porządku i zgody przeważy na koniec. Tymczasem może, jak to często się zdarza, niespodziewany jaki wypadek lepiej nam usłuży, niż wszystkie ludzkie usiłowania. Cechą dobrych ludzi jest, że ufają w lepszą przyszłość, i z tego względu śmiem liczyć siebie do dobrych i mam nadzieję, że jeszcze obaczymy się wszyscy w ojczyźnie, którą kochać uczyłeś słowem i przykładem.

Obowiązany i życzliwy sługa,

Adam Mickiewicz.

Racz oświadczyć księciu Czartoryskiemu moje uszanowanie.

DO STEFANA GARCZYŃSKIEGO, W DREZNIE.

Paryż, 1833 r., w dzień świąt (w kwietniu.)

Kochany Stefku!

Odebrałem Twój hymn, który należy do najpiękniejszych naszej literatury twórców. Kochałbym go jeszcze więcej, gdyby tyle Tobie nie był zaszkodził. Zmiłuj się, już nic nie pisz, pókiś chory. Ucisz w Sobie człowieka, a pielęgnuj zwierzątko; reperuj okręt, a potem kapitan zacznij robić ob-

serwacje i nabijać harmaty. Pierwszy Twój arkusz już wyszedł z powtórnej korekty. Nie uwierzysz, co kłopotu. Emigracja okropnie piśmienna: samych dzienników cztery drukuje, a cóż dopiero broszur, poezji, etc. Drukarnia jedna i autorowie siedzą tam i wyrывают sobie prasy. Domeyko chodzi i jak może, napędza; ale druk pewnie dwa miesiące potrwa. Zresztą epoka ogłoszenia szczęśliwa bardzo. Nie będą mieli czasu recenzenci drobnostkowemi uwagami oślinić dzieło. Nikt teraz nie myśli o szlifowaniu wierszy i mikroskopowaniu wyrażen: a Twoje poezje właśnie całością uderzą. Czytałem niektórym młodym poetom wiele części: uderzyły ich bardzo. Pokolenie młode bardzo dojrzało, do zadziwienia. wiesz, że rozprawiają o teologii? Słowem, Opatrzność wyda dzieło Twoje nie pierwaj i nie później, jak potrzeba. Niektóre poezje drobne puszcę w dziennik *Pielgrzyma*, w którym piszę artykuły. Osobno zrobię uwagi nad całym dziełem. Sonety niektóre wyrzucę. W opólności Sonety (wyjąwszy dwa) mniej mi podobają się, bo w całych ramach rażą tu i ówdzie szczegółami. Widzę z listu, że masz przesadzone wyobrażenie o moich tu nieprzyjemnościach; wierz mi, że ja z tego wszystkiego, co mnie się tyczy, mojej sławy lub moich pism, śmieje się, a przynajmniej jestem spokojny zupełnie. Domeyko widział mnie nieraz głęboko smutnym, ale z innych przyczyn, o których wiesz nieco. On to myśli, że bieda finansowa albo figle demokratyczne tak mię dotykają. Nie lubię Paryża; ale mój tu pobyt może i nie był bez jakiegoś pożytku. Nie kłopotcz się też bardzo o pieniądze na druk; ja zawsze kilkaset franków mogę w ostatnim razie pożyczyć. Domeyko, widząc, że zastawiłem szpilkę, strasznie zmieszał się: a mnie się nie chciało iść szukać u znajomych; odkładał to na koniec. Zdrow jestem; *Giaura* szelmę i nudnika skończyłem przepisywać; zjadł mi więcej miesiąca. Wracam do Szlachcica i piszę czasem do dalszych *Dziadów*. *Księgi pielgrzymstwa* już tu wyszły dawno po niemiecku; nie wiem tedy, czy drugi przekład potrzebny; wychodzą też po francusku i angielsku. Chciałbym puścić się gdzie z Paryża. Czekamy wypadków w Niemczech; i tu rzeczy długo stać nie mogą. Ale wy o Niemczech lepiej wiecie. Mam przecucie dobre od niejakiego czasu, i zdaje mi się, że wkrótce gdzieś coś ważnego zajdzie.

Edward nic nie pisze do mnie. Winien mu jestem list jeden. Jak Ty ozdrowiejesz, będę częściej do niego pisywał.

Uściśnij go mocno bardzo i żonę jego pocałuj. Pieniądze Oleszczyńskiemu wręczyłem. Mam zgryzoty sumienia, że Pani naszej podobno wiele narzuciłem kłopotu. Przeprós ją, jak możesz najczulej: ale ja nie wymagałem tylu starań i zabiegów! Gdybyś wyjechał z Drezn, bardzobym życzył, żeby i p. Potocka usunęła się z tej rozstajnej drogi emigranckiej gdzie podobno wiele ucierpiała od naszych szarlatanów i bar-dów.

Twój, Adam.

DO A. E. ODYŃCA W DREZNIE.

Paryż, carrefour de l'Observatoire, 36. 20 kwietnia 1833

Kochany Edwardku!

Z listów moich do Stefana Garczyńskiego wiesz, że dotąd siedzę w Paryżu. Zamiary zbliżenia do Niemiec spelzły. Nie wiem wszakże, czy tu długo zabawię i gdzie się obrócę. Mieszkam dwa miesiące już prawie za miastem przy Luksemburgu, dla użycia świeżej aury, a używam tylko dotąd śniegu, błota i sloty. Piórem dosyć kiwam. Oprócz pomniejszych napisałem kawalki do *Dziadów*. Fatalny *Giaur*, przepisywany i poprawiany, strasznie mię nudził i męczył i przerwał ważniejsze roboty. Przecież skończyłem; musiałem kończyć, bo obiecano za to pieniądze, których dotąd nie przysyłają. Wróciłem teraz do wiejskiego poematu, który jest na dzisiaj mojem pieśczonek dzieckiem, i który pisząc, zdaje się, że w Litwie siedzę. Gdyby nie *Giaur*, jużbym go może skończył. Dosyć powoli, ale ciągle idzie. Jakiż mi brak Ciebie i Stefana! Zdaje się, że jak magnetyzowany z oczu towarzyszków ciągnie siłę, tak ja z Was nabierałem ognia i ochoty. We trzech tak nam było dobrze! Możeby i Wy byli czynniejsi. Tu pożerają wszystkich chwilowe wypadki i mnie często rozbijają na części duszę i trzeba ją potem w samotności sztukować i kleić.

Czytam mało, najwięcej dzieła Saint-Martina, teologiczne Baadera. Jeśli gdzie znajdziesz *Seherin von Prevost*, odczytaj. Mnie bardzo zajęła. Co czasu schwyce, poetyzuję. Wiele bardzo mam różnych zamiarów, ale je odpędzam, nim *Tadeusza* skończę.

Mieszka tu ze mną Żegota i on mię ożywia rozmowami. Widzę się też z Witwickim i polubiłem go. Z Bohdanem odległość wielka nas rozdzieliła; wszakże spotykamy się.

Jak zdrowie Stefka? Posyłamy arkusz pierwszy; drugi się odbija, trzeci układa. Spieszmy, jak można.

Prześlij mi, proszę, portret Stefana, koniecznie. Czy odeśłałeś Lindego Taczanowskiemu? Zmiłuj się, zrób to. Żonę twoją uściskaj mocno, mocno. Jeśli będziesz miał córkę, daj imię Zosia-Marja albo Marja-Zosia; te imiona są dobrej wróżby. A syna nie chrzczij Adamem: wybierz inne imię, tylko nie z pretensjami. Powiadam, że mię ta idea i bawi i uszczęśliwia, widzieć Cię ojcem. Bądź zdrow, kochany Tatuniu!

Adam.

DO J. U. NIEMCEWICZA, W LONDYNIE.

Paryż, rue Saint-Nicolas, 78. B. d. (maj 1833).

Czcigodny Panie!

Wybaczycie, że dotąd Wam i za dar Wasz i za rękopism Pamiętnika Waszego nie podziękowałem. Część tego pamiętnika wejdzie w poemata moje; jużbym go teraz użył, ale zajęty byłem innemi pracami, po których skończeniu do poematu *Dziadów* wrócę. Mam zamiar ogłosić tu tłumaczenie *Giaura* lorda Byrona. Jeżeli mnie pozwolicie, to tłumaczenie w dowód szacunku i przez wdzięczność za przyjaźń, którą mnie zaszczycacie, Wam przypiszę. Bardzo żałowałem, że mi nie podobno było Was w Anglii odwiedzić; piszę teraz właśnie poemata wiejskie, w którym staram się zachować pamiątkę dawnych naszych zwyczajów i skreślić jakkolwiek obraz naszego życia wiejskiego, łowów, zabaw, bitew, najazdów, etc. Scena dzieje się w Litwie około roku 1812, kiedy jeszcze żyły dawne podania i widać jeszcze było ostatki dawnego wiejskiego życia. Pracę tę już do połowy doprowadziłem, ale obszerna jest i nie mało jeszcze roboty zostaje. Ileż mógłbym skorzystać z Waszych rad i rozmów!

W emigracji pełno ruchu i dosyć niezgody. Nikt temu zaradzić nie zdoła, chyba sam Bóg nieprzewidzianym cudem. Tymczasem kiedy niekiedy odzywać się do rodaków, robić, co można, a zresztą nie mieszając się wienne zdarzenia, w obrady i sejmiki, czekać przyszłości: oto zdaje mi się powinienby być plan ludzi uczciwych. Zostawić należy wszystkim wolność szukania środków czy bronią czy konspiracjami, bo rzeczywiście, gdzie leży zbawienie nasze ziemskie, los ojczyzny naszej, nie podobna zgadnąć. Może kto przypadkiem

na dobrą drogę trafi. Jeśliby przyszło do zaburzeń we Francji, będzie niemało z początku kłótni (oby się na kłótniach skończyło!) między rodakami, ale łatwo się pogodzą, skoro orły w pole wyniosą.

Ponawiając Wam zapewnienia głębokiego uszanowania, jestem Wasz życzliwy sługa,

A. Mickiewicz.

DO STEFANA GARCZYŃSKIEGO, W DREZNIE.

Paryż, 6 maja 1833 roku.

.

List Twój ostatni ucieszył mię, bo w nim nic o Swojem zdrowiu nie piszesz: skąd wnoszę, że musi być lepsze. Ale z widzenia się naszego nie wiem, czy co będzie. Trudno nam z miejsca ruszać: paszportów niema. do Niemiec nie puszczają, a przekradłszy się, trudno nazad wrócić. Finanse też w lichym stanie. Do Strasburga nawet doktrynery nas nie chcą puszczać i wszystkich stamtąd wyrugowali. Ja miałem projekta na wschód: powierzam *tibi soli* i Edwardowi; ale pókój z Ibrahimem podobno mnie odejmie sposobność puszczania się w tamte strony. Byłem chory na katar gardła, kaszel, etc. dni z dziesięć, ale to przechodzi: wyruszę na kilka dni na wieś, póki tu inną kwatere znajduję.

.

Co się dzieje z Edwardem, który ledwie kiedy pisuje do mnie? Ofiarują mi z Krakowa fundusz na druk przyszłych poezyj; jeśli układ przyjdzie do skutku, mam nadzieję, że dla niego wyrobię toż samo. Skończyłem trzecią pieśń *Tadeusza*. Zanosi się na długą chryję: dotąd dosyć dobrze udaje się, gdyby nie tyle przeszkód, gdyby jeden tydzień przeszło-rocznej ciszy! Bądź zdrow i odpisz rychło.

Drugi tomik nie może wyjść przed końcem lipca.

Adam.

DO A. E. ODYŃCA, W DREZNIE.

Paryż, ulica Saint-Nicolas 73. 23 maja 1833 r.

Kochany Edwardku!

Odebrałem od Stefana list z Drezna, a razem mam i późniejszą wiadomość z drogi, że on tam znowu zapadł. Od-

gadniesz, ile mię to boli. Stefan jest z ludzi, którzy i drugim i nam tak są potrzebni do życia, a tak ciągle słaby. Pisałem do niego list do Strasburga; załączam kartkę, prześlij ją, jeśliby Stefan był gdzie zatrzymany chorobą.

Twój listek jest bardzo melancholiczny, co mi się nie podobą. Mało donosisz o tem, co robisz. Czy przepisałeś Twoje tłumaczenia? Co z niemi myślisz robić? Jeśli mnie pieniądze przyjdą, wezmę je tu sam drukować; jeśli nie, trzeba je zawsze na świat puścić. Tu możebym sprzedał wydanie. Wygotuj jedną kopję dla mnie i przyślij do Paryża.

Jeżeli będę mógł, pobiegę do Szwajcarii do Stefana. Dotąd siedzę w Paryżu; znowu wlałem w miasto. Robię dosyć wiele; oprócz różnych postronnych, mimojazdowych pisań, kropię moje poema, którego pieśń czwartą dziś kończę. Żyję tedy w Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, żydami, etc. Rzadko gdzie wychodzę; ciągle chodzimy i gawędzimy z Witwickim, moim bliskim sąsiadem, czasem z Zaleskim. Gdyby nie poema, uciekłbym z Paryża. Czytam mało; w domu teraz jadam o południu, po wiejsku, i ledwie mam kiedy potrzebę zajrzeć w miasto.

Proszę Cię bardzo o portret Twój, Zosi i Stefana. Musisz mieć przecie jaki portret Stefana. W tych dniach byłem chory na grypę, ale się wychodził z choroby i teraz zdrow jak ryba. Wzdycham bardzo do dalszych części *Dziadów*; czasem kawałki do nich sztukuję. Poematu szlacheckiego, jak się przepisze, pošlę Tobie z mojego rękopismu część przynajmniej. Zosię uściskaj i bądź zdrow, kochany Edwardzie!

Twój, Adam.

DO IGNACEGO DOMEYKI, W PARYŻU.

Bex, 8 lipca 1833 roku.

Przyjechałem tu we wtorek po piątkowym wyjeździe z Paryża. Dla prędszej jazdy wyminąłem Genewę i prosto na Lausanne ruszyłem. Znalazłem Stefana w lepszym nieco stanie, niż się lękałem. Zdaje się, że choroba jego zatrzymała się w biegu i mówią, że może się przesili; ale Bogu to wiedzieć. Doktorowie mało wiedzą. Przysłali go do Bex, gdzie o serwatkach nikt nie słyszał, gdzie piersiowych chorych nie widywano. Smutne i rozdzierające duszę było widzenie się nasze. Patrząc na twarz smutną Stefana, taką

bladą i smutną, przewracało mi się w sercu. Stan jego zdrowia jest taki, że nie tylko nie będę mógł robić wycieczek w góry, ale nawet trudno mi wychylić się za próg. Siedzimy więc w oberży, a deszcz leje. Jadąc do Lausanny, znalazłem na statku na Lemanie p. Potocką, która jak anioł opiekuńczy utrzymuje duszę w Stefanie. Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć wiarę w cnotę i w dobroć na ziemi. Zdaje się mi, że życia ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym. Wkrótce ona stąd odjeżdża i nie wiem potem, co się z nami stanie. Nie śmiem Cię tu zapraszać na pobyt tak niewesoły. Wszakże jeśliś mógł przybyć na czas jakiś, bardzo byś mnie ucieszył i robiłbyś stąd wycieczki w góry, a u nas miałbyś główną kwaterę. Pomyśl nad tem. Jechać najlepiej za paszportem na imię Francuza czy Niemca, ale trzeba wziąć miejsce w *coupé* i nic z nikim nie gadać, jechać na Genewę, stamtąd statkiem parowym, który codzień płynie, ruszyć do Villeneuve, skąd idzie dylizans tegoż wieczora do nas do Bex. Można też jechać na Lausannę, skąd również płynie statek, ale wartoby widzieć Genewę.

Ja chory byłem mocno przez całą noc w Lausannie. Teraz całkiem zdrow jestem, nie wiem, jak na długo. Podróż, szczególnie przez Szwajcarję, miałem przyjemną. Widok gór i błękitnego Lemanu przeniósł mnie w dawniejsze weselsze lata. Przyznam Ci się, że politycy paryscy jeszcze głupszy i mniejszy teraz wydają się, niż przed tygodniem. Jak wielkich ludzi czas i oddalenie powiększa, tak liliputów pomniejsza i pożera.

Jeszcze mieszkam w oberży, ja najmuję oddzielny pokój: zacznę może co pisać, nie wiem, jak to będzie, bo humor nie po temu, a od wielu dni ledwo dziś mamy pogodę. Jeśli są listy jakie, przesyłaj mi *par Lausanne à Bex, en Suisse*.

Bądź zdrow, Witwickiego uściskaj. Napiszę do niego osobno jutro.

DO A. E. ODYŃCA, W DREŹNIE.

Bex (w Szwajcarji). 9 lipca 1833 roku.

Kochany Edwardzie.

Jestem od wczora w Bex. Stefan ma się lepiej nieco od czasu, jak tu stanął. Chce koniecznie udać się do Włoch

i mnie w drogę zaprasza. Sam też w żaden sposób udać się nie może, a ja przewiduję dla siebie wielkie trudności. Obaczmy, jak się to uda.

W Bex dotąd lał deszcz nieustanny i mgła na górach ledwo teraz rozrzedniała. Gdybym miał wielkie sumy, sprowadziłbym Cię tu z Zosią; kupilibyśmy parę krów szwajcarskich i koguta, żeby pod oknem piejąc, Litwę nam przypominał; kupilibyśmy też gęsi i indyków, etc. Ale co się tyczy kupna, mam kupca na Twoje poezje, jeżeli bardzo żądać nie będziesz, bo wiesz, że czasy na literaturę ciężkie. Ja *Giaura* za 100 dukatów na własność sprzedałem; tobie za *Korsarza* (nie na własność, ale za wydanie 2,000 egzemplarzy) mogę również dostać 100 dukatów. Ile chciałbyś za *Czcicieli ognia*? Donieś mi zaraz; pieniądze tem prędzej odbierzesz.

Podróż moja do Szwajcarii, połączona z wielkimi kłopotami paszportowymi, pomieszała mi szyki w interesach i przerwała moje roboty. *Tadeusza* dotąd nie dośpiewałem! Na nieszczęście nie wiem, czy tu będę miał humor śpiewać dalej. Wszakże mam już trzy czwarte poematu najdłuższego, jaki napisałem.

.

Jeżeli chodzisz do Plauen, przypominaj tam miłe czasy naszego pobytu! Już potem równych nie było dla mnie! a ile za to miałem zgryzot i bied! Bądź mi zdrów, odpisz prędko,

Adam.

DO IGNACEGO DOMEYKI, W PARYŻU.

Genewa, Hotel de l'Ecu de Genève, 38. 2 augusta 1833 r.

Kochany Ignacy.

Jesteśmy od dwóch tygodni w Genewie. Stefan tak był słaby, że przez kilka godzin codziennie patrzyliśmy na wszystkie symptomata konania. Możesz wystawić Sobie moje położenie. Teraz lepiej znacznie; ale ja przynajmniej nie mam żadnej nadziei. Może tylko do jesieni lekarstwa życie mu utrzymają. Nie mogłem nigdzie wyjść i często po kilka dni ze stancji nie wychylałem się. Znaleźliśmy tu Klaudynę Potocką, zresztą nikogo widzieć nie mam czasu.

.

Chciałbym na kilka dni wybiec w pole dla nabrania świeżego powietrza, nie wiem, czy się to uda. Stefana Witwickiego pozdrów, napisałem stąd do niego, wkrótce znowu napiszę. Roboty moje całkiem na teraz przerwane. Łatwo zgadniesz, że przy odgłosie kaszlu i patrząc na ciągle cierpienie Stefana, niepodobna myśleć o pisaniu, a nawet czytaniu. Gdybym przynajmniej mógł przepisać pieśń czwartą; spróbuję, może potrafię. Zabawimy tu jeszcze z miesiąc.

Adam.

DO IGNACEGO DOMEYKI, W PARYŻU.

Genewa, 12 augusta 1833 roku.

Kochany Żegoto.

Byłem przez cały ten czas i jestem niezdrów, wszakże nie chory, bez apetytu, z bólem zębów i z różnymi akcesami tego rodzaju. Garczyński miał kilka dni nieco lepszych. Istny to męczennik. Po co go wyprawili z Drezna, nie pojmuję. Kiedy stąd wyjedziemy, nie wiem, bo to zależy i od zdrowia Stefana i od jego chęci, które naturalnie zmienia, równie jak stan zdrowia. Więcej nic niema do doniesienia. Od czasu, jak tu jestem, za bramą miasta nie byłem i nikogo z Genewczyków nie widziałem.

Szkoda, żeś mi nie przysłał listu Bochenka, nie wiem, jak odpisać, i teraz nie mam rozumu tyle, żebym nawet list grzeczny sklecił. Weksel naturalnie trzeba mu odesłać nazad i za dobrą chęć podziękować, z której już korzystać nie mogę po przedaniu rękopismów. List do Bochenka pošlę na Twoje ręce stąd. Czy przepisujesz *Tadeusza*? Kiedy Stefan miał się trochę lepiej, skopiowałem z biedą pieśń czwartą, ale dalej, nie wiem, kiedy zacznę, jestem zupełnie z nóg zwalony. Kłaniaj i uściskaj Stefana i Bohdana, jeśli Bohdan w Paryżu.

Dobrze byłoby, gdyby Jełowicki kazał kilka zrobić szkiców do *Tadeusza*; mógłbyś teraz podać na to kilka myśli z pieśni, które masz u siebie, reszta później. Rękopismu pilnuj, bo to jedyny egzemplarz, bruljonu nie mam. Bądź zdrów.

Adam.

DO A. E. ODYNCA W DREZNIE.

(Avignon, 22 września 1833 r.)

Nasz Stefan już przed dwoma dniami przestał cierpieć. Wróciłem właśnie z Marsylji, gdzie jeździłem niby po paszport do Włoch, i znalazłem naszego przyjaciela, przez kilka dni mojej niebytności, bardzo zmienionego. W nocy o godzinie szóstej przestał oddychać; tak lekko usnął, że nie można nazwać skonaniem tej krótkiej chwili przejścia na świat lepszy. Cierpiał Stefan wiele w Bex i Genewie, potem ustały bóle fizyczne, dręczyła go tylko niecierpliwość, chęć prędkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, a razem uczucie wzmagającej się słabości. Śmierć swoją często przepowiadał, ale równo często pełen był nadziei, a w ostatnich dniach więcej niż kiedykolwiek. Wiozłem go z wielką trudnością od Genewy do Avignonu. Tu, na wielkie moje szczęście, dopędził nas dawny znajomy Stefana, Pągowski, zacny człowiek. Ten mię wspomógł w moich kłopotach i został przy chorym, kiedy wyjeżdżałem do Marsylji. Wyperswadowaliśmy Stefanowi, aby czekał w Avignonie na paszport, ale rzeczywiście już go niepodobna było z miejsca ruszyć.

Przybyła też przed kilku dniami przed jego śmiercią pani Potocka i osłodziła mu ostatnie chwile na ziemi. Tej nocy, kiedy żyć przestał, byłem przy nim do późna; potem, znużony bezsennością i drogą, poszedłem spać. Pągowski czuwał przy łóżku. Przerażony zbyt cichym snem chorego, zbliżył się i znalazł go bez życia. Pojmiesz łatwo, dlaczego nie pisałem do ciebie z drogi. Byłem sam w bardzo smutnem położeniu. Wyjeżdżam stąd do Lyonu, a stamtąd zapewne wrócę do Paryża. Jestem mocno osłabiony na zdrowiu, ale mam nadzieję, że się to poprawi. Zosi twojej rączki całuję. O twoim interesie przedaży poezji zaraz zagaję znowu umowę, i pewno się uda.

DO IGNACEGO DOMEYKI W PARYŻU.

22 września 1833 r.

.....

Dziś ruszę z Avignonu do Nimes dla przejażdżki, stamtąd wrócę jeszcze, pokończywszy tu interesa, puszczę się do Lyonu. Pisz tam *poste-restante*. Z Lyonu wrócę do was.

Pójdź do mojej dawnej kwatery Saint-Nicolas, czy jest tam mieszkanie; ale nie chcę dawniejszego, będzie zbyt zimne. Miały tam być inne pokoje z oknami na południe. Zresztą weź tę lub inną kwaterę, byle obszerną i na słońce obróconą. Jestem podobny teraz do Francuza wracającego z 1812 r., zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełny, bez butów prawie. O niczem myśleć dotąd nie mogę, ale z czasem wypocznę i zdrowie, mam nadzieję, że wróci. Pągowski po tygodniu stracił apetyt i sen, a ja byłem dwa miesiące w takim położeniu. Uważam za łaskę Nieba przybycie tu Pągowskiego i Potockiej, bez ich pomocy możebym padł na łóżko. Bądź zdrow,

Adam.

DO HIERONIMA KAJSIEWICZA W ANGERS.

Paryż, październik 1833 r.

Miałem od was wiadomość w Lyonie od Pavie, który mi położenie wasze pięknie malował, jak tam was kochają, admirują, szanują; cieszyłem się nie pomalu, tymczasem dziś przyjechawszy do Paryża, słyszę, że jecie marony i chleb. Mam nieco żalu, żeś do mnie na ręce Domeyki nie napisał. Jestem teraz w porównaniu do was Krezusem. Posyłam wam pożyczki fr. 100, które oddacie, kiedy będziecie w lepszych interesach. Ma się rozumieć, że czekać mogę długo.

Przybyłem tu wczoraj z południowej Francji. Przyjaciel mój, Stefan Garczyński, skończył życie w Avignon. Wiele mnie z nim ubyło. Coraz to przyjaciele moi przeprowadzają się na drugą stronę i coraz świat pod starość pustoszeje. Pozdrawiam was i uściskam.

Adam Mickiewicz.

DO HIERONIMA KAJSIEWICZA W ANGERS.

(Listopad) 1833 r. Paryż, rue

Saint-Nicolas (Chaussée d'Antin), 73.

Słyszałem, żeście zdrowi i pracujecie, jest więc czego wam winszować. Ja byłem chory długo, leczyłem się, teraz znowu czuję się dobrze i wracam do dawnego sposobu życia. Siedzę w domu, jak ćwiek, i piszę; w wieczór herbata i gawędka, do której was braknie. Miałeś podobno zamiar, a podobno i Rettel przenieść się wkrótce do Paryża i jeżeli poda-

liście prośbę, napiszcie mnie o tem, może będę mógł przez kogo u znajomych poprzeć ten interes. Mnie Paryż bardzo znudził i dokuczył, radbym niezmiernie uciec, ale muszę kończyć roboty i druk. Przez czas cały od wyjazdu z Paryża aż do powrotu nie tylko pisać, ale i myśleć odwykłem. *Tadeusz* teraz zaczyna postępować; jestem na szóstej pieśni; do końca jeszcze daleko. Co się dzieje w emigracji, lepiej zapewne wiecie odemnie, tak mało widuję osób mających stosunki z publicznem życiem; słyhać tylko, że się ciągle kłóca.

Jeżeli będzie wam potrzeba jakiej książki w szczególności, wymieńcie ją, a niezawodnie, jeśli tylko jest w Paryżu, mieć ją będziecie. Ściskam Was serdecznie

Adam.

Spodziewam się w tych czasach kilkadziesiąt egzemplarzy sonetów twoich wysłać do kraju.

DO A. E. ODYNCA W DREŹNIE.

Paryż, 13 nowembra 1833 r. Rue Saint-Nicolas, 73.

Kochany Edwardzie.

Przybyłem do Paryża z chorobą, która mi przez kilka miesięcy dokuczała, chodząc po zębach, głowie, piersiach. Zamknąłem się i po trzech dniach kuracji wypędziłem wszystko złe; jestem znowu zdrow i świeży. Wziąłem się do roboty, wychodzę rzadko, piszę a piszę. Piątą pieśń *Tadeusza* skończyłem, trzy jeszcze zostaje. Wyjątki Tobie trudno przesłać, bo z nich nic się nie dowiesz, jak z kilku kart wyrwanych z *Walter-Scota* (wybacz nieskromne porównanie), a całość zbyt jest obszerna. Czekaj więc ogłoszenia.

Dziwaczysz sobie, myśląc, że Stefan miał przeciwko Tobie jakieś nieukontentowanie za jakieś dysputy. Stefan mile zawsze Ciebie wspominał i Twoję Zosię, o której mnie wiele mówił i którą bardzo szacował. Dysputy i wszelkie małe przykrości, które sobie wyrządzamy w życiu, tak się zapominają między przyjaciółmi, jak małe odmiany powietrza latem. Inaczej nie byłoby przyjaźni. Iluż to najlepszym przyjaciółom nieraz ja dokuczyłem, i oni mnie. Nieraz nawet Stefanowi w czasie jego choroby nie mogłem wstrzymać się, aby co przykrego nie powiedzieć, albo milczeniem zagniewaniem karmiłem dziwactwa słabości, którym trzeba prze-

baczać. My mężczyźni nigdy nie osiągniemy tej doskonałości moralnej w pobłażaniu i przebaczeniu: przekonałem się o tem, patrząc na Potocką. Jeżeli Twoja Zosia jest taką, to jest czego tobie winszować.

Adam.

DO HIERONIMA KAJSIEWICZA I LEONARDA RETTLA
W ANGERS.

Paryż, 16 grudnia (1833 r.) Rue Saint-Nicolas, 73.

Moi mili przyjaciele.

Do obydwu razem piszę, bo obadwa razem mieszkacie w mojem sercu. Listy wasze odebrałem chory obłożnie; długo, prawie ciągle cierpiałem, teraz mnie kaszel opuszcza, zaczynam wierzyć, że przyjdę do zdrowia. Dla tych cierpień nie pisałem do Was, chociaż często myślę o Was i byłem wezwany do pisania. Znalazłem w tem wezwaniu wielką pociechę i nagrodę i zachęcenie. Nie nazywajcie mnie, proszę, nauczycielem; jest to tytuł straszny i ciężki na moje barki. Serce Wasze potrzebuje kochać i szuka doskonałości, więc ubieracie w doskonałość bliźnich waszych, złocąc ich i zdobiąc promieniami. Strzeżcie się tego; zachowajcie złoto i blask Bogu i Kościołowi, a dla bliźnich miejcie tylko zawsze dla wszystkich suknię miłosierdzia, aby okryć ich nagość; uszyjcie i dla mnie tę suknię, nic więcej od was nie żądam. Napisano jest: nie nazywajcie się ani Pawłowi ani Apollowi, ale Chrystusowi. Nie wiercie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądzcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz; dziś dobrze robić, jutro źle. Słusznie powiedziano, (*de Imit. Christi*) *homo mendax* i dalej: *homines sumus, et nihil aliud quam homines fragiles, etiamsi angeli putamur ab aliis...* Jeżeli które słowo z ust moich przyjęło się na sercu Waszem, to słowo nie było moje, ale tylko przechowane i przesadzone; poznać po tem słowo prawdy, że pada cicho i leży długo a potem powoli wschodzi; owocem jego jest miłość i zgoda. Goethe powiedział: *Was ist am heiligsten? das, was die Menschen verbindet.* Przeciwnie, słowo fałszu, słowo ludzkie, wypada z hukiem, jak kula, a zostawia zaraz po sobie ranę lub śmierć. Więc kule wymyślił i zrobili ludzie, ale ziarnka zboża dotąd nie umieją zrobić, tylko je przechowują i sieją. Nie jestem tedy nauczycielem. Przyjdą na was może chwile,

że będziecie gniewać się na mnie i na słowo; chwile, które wyraził Garczyński:

„Które jak miecz na włosku wisi nam nad głową“,
„...na słowo.

Nieraz kręcimy głowami, chcielibyśmy go nie widzieć, a przecież coś woła na nas, jak ów głos na Pawła świętego: „Pawle, próżno chcesz przeciw ościeniowi (prawdzie) wierzyć“. Każdy z nas nieraz wierzgnie i drugich zrani; bo póki człowiek żyje, póty trwa walka, różne myśli, różne uczucia przewiewają głowę i serce. — Podaję wam sposób na rozeznanie dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych. Kiedy powezmę jaką myśl religijną lub polityczną, dochodzę, czy w tym dniu kiedy ją powziąłem, jestem zgodny z sobą, czy nie zrobiłem czego złego, czy mową lub myślą bardzo nie zgrzeszyłem. Jeżeli rachunki sumienia źle stoją, pewnie wtenczas i w głowie zamęt. Sumienie jest to żołądek duszy. Nie myślcie, że słowo prawdy uwolni was od tentacji, od walki; owszem im żołnierz czujniejszy i tęższy, tem częściej wódz go posyła na niebezpieczeństwa; hultajów i tchórzów zostawia w obozie; ale oni prędzej od mężnych giną. Ciężka to jest walka życie! Doświadczycie sami rzeczy dziwnej! rozkosze i przyjemności, które uciekają od nas, kiedy gonimy za nimi, skoro zaczniemy wyrzekać się ich, zaczną gonić za nami. Człowiek może przyjść do tej strasznej potęgi, że ledwie okiem rzuci na błyskotkę, na twarz piękną, znajdzie je wnet przed sobą; cisnąć się będzie świat do niego przez drzwi zamknięte. — Ludzie sławni u ludzi, są to ludzie gardzący sławą i ludźmi, ale skuszeni nakoniec od świata. Im kto wyższy, tem łatwiej i niżej spaść może. Napisano jest: „Kiedy wypędzisz ducha nieczystego, tedy on duch, widząc dom wyczyszczony i wymieciony, błąka się po miejscach pustych i przyzywa siedm duchów w pomoc, i uderzają znowu na człowieka, a wtenczas czyny późniejsze owego człowieka bywają gorsze od pierwszych“. Ale w tej walce są chwile, których czas skończony, ziemski, dać i zmierzyć nie może. Piszę to wam, bo wiem waszą miłość ludzi, ojczyzny, wolności; lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczna światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnątrz. Kraj i człowiek, wewnątrz bezładny, upada. Ludzie wewnętrzni często, jako sternik wśród burzy, rzucają się do rudla: patrzą na niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skiną, a los

łódki jest w ręku ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednej fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje. Tylko nie myślcie, że to pisząc, mam siebie na widoku; piszę o ludziach, których nam potrzeba, których żebyśmy mieli, toby łódka nasza nie zatonała. — Największą pomocą we wszystkim są (*de Imit. Christi*): *Evangelium et Corpus Christi*. Pamiętacie, co napisano jest: że Apostołowie, spotkawszy w drodze Chrystusa zmartwychwstałego i długo z nim mówiąc, nie mogli poznać Go, aż zaczął chleb łamać i dał im, wtenczas otworzyły się oczy ich. Otóż jedyny sposób rozumienia Pisma. Powiem wam własne zdarzenie. Dysputowałem raz z księdzem prostakiem i przerozumowałem go; on mi powiedział: apeluję do Chrystusa — pomówimy o tem nazajutrz po komunji. Rzeczywiście ujrzałem potem, że miał słuszość.

Poezja Hieronima bardzo mnie podobała się; znalazł już dobrą drogę prostoty i styl zupełnie oczyścił, ale radzę, aby nie drukował, aż skończy. Niebezpieczna jest rzecz druk, nagany i pochwały; zawsze potem człowiek zepsuje dzieło, poroni je; dlatego na bruku miast wielkich nigdy nie urodzi się wielki człowiek. Rozpisałem się do Was szeroko i może tonem nieskromnym; spodziewam się, że to wszystko zachowacie u siebie.

Po odjeździe waszym mało kogo widuję; jeden Zan przychodzi śpiewać i grać w szachy. Jański rzadko widziany, w kłopotach ustawicznych finansowych i w tłumie dawnych i nowych znajomych, wiele cierpi, mało robi. Koźmian, o którego pyta Hieronim, nieszczęśliwy człowiek, chory na szulerkę, wszystko, co ma, przegrywa; ucieka z mieszkania na mieszkanie. I Jańskiego wprowadził w biedę, bo rzeczy Jańskiego za Koźmiana zagrabiono. Napiszcie do niego łagodnie i bez połajań. Wątpię wszakże, czy pismo pomoże w takiej chorobie. Nie widziałem go ani razu. Miałem pociechy wiele w tych czasach, i z listów Waszych i z listów przyjaciół moich i znajomych z kraju. Z książkami polskimi nie wiem, co począć; u Hofmana dawniej pożyczone poginęły między emigracją. Broszury Ostrowskiego pošlę wam. Czy macie *De imitatione Christi i Confessiones St. Augustini*? Chciałbym, żebyście czytali po łacinie. Nie wiem jeszcze, gdzie wiosna wyjadę; jeszcze o tem wam napiszę. Bądźcie zdrowi.

Adam.

DO PANI KLAUDYNY POTOCKIEJ.

Paryż, rue Saint-Nicolas (Chaussée d'Antin, 73).

B. d. (początek 1834).

Z kilku słów pani wielką miałem radość. Dobrze, że pani przed zimą góry przebyłaś, a co lepsze, nie myślisz narażać się na podróż do kraju w takiej porze. Mam jakąś nadzieję wyrwać się około wiosny z Paryża, gdzie mnie wiążą prace literackie. Kończę teraz nowe poema, które, jako najmłodsze dziecko, najmocniej teraz lubię. Umyśliłem pieśń pani naszej poświęcić, dla zachęcenia samego siebie do pracy. Zwyczajem autorskim proszę panią o pozwolenie dedykowania. — Marmuru jeszcze nie posyłam. Dawid wyjechał z Paryża, oczekuję na niego; skoro wróci, wyślę swoją facjatę, którą, od czasu jak mi p. Merian powiedziała pewny komplement, bardzo zacząłem cenić. Kocham się w sobie, jak Narcyz albo jak Władysław Plater, teraz właśnie siedzący mnie nad karkiem i przeszkadzający pisać.

Zamoyskiego nie widziałem i nie wiem dotąd, czy jest w Paryżu. Długo miałem nadzieję spotkać państwo w Lyonie. Czy się jeszcze kiedy zobaczymy!

A. Mickiewicz.

DO EDWARDA ODYŃCA, W DREŹNIE.

Paryż, rue Saint-Nicolas, 73. W lutym 1834 r.

Kochany Edwardzie.

Od czasu, jakem pisał do Ciebie, długo i ciężko chorowałem na zęby, fluksje i kaszel uporczywy. Wszystko to skończyło się z nowym rokiem; odtąd ciągle mi lepiej, i wróciłem do pracy. List twój z nowego roku był bardzo smutny; przewidywałem, że przecierpisz na świecie. Dotąd zdawało mi się, że krążyłeś po brzegach życia, nigdy o nic mocno nie uczepiwszy się i nie zabrnawszy głęboko. Teraz żyć zaczynasz na serjo. Wszakże jesteś szczęśliwszy od drugich, że w położeniu Twojem jako mąż i w uczuciach Twoich religijnych znajdziesz obronę i pociechę. Nie bywszy nigdy bardzo złym, łatwiej Ci się stać bardzo dobrym. A wierz mi, że to grunt szczęścia, a oprócz win własnych innego prawdziwego nie-

szczęścia niema. Nie oglądać się na nikogo, tylko na siebie; mało dbać o świat i ludzi: to jest jedyna nauka, którą łatwo powtarzać, ale której ważność późno daje się czuć w całej rozciągłości. Ja tu żyję prawie samotny, z ludźmi coraz mi trudniej, a im mniej ich widzę, tem lepiej mnie. Przekonywam się, że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, że nigdy już pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym *Tadeusza* zaniechał, ale już był bliski końca. Więc skończyłem wczoraj właśnie. Pieśni ogromnych dwanaście! Wiele marności, wiele też dobrego. Będiesz czytał. Za parę tygodni druk zaczynam. Mnóstwo pracy w przepisywaniu. Co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone, naszego kraju i naszych obyczajów domowych. Ledwie skończył; bo mnie już duch porywał gdzieindziej, do dalszych części *Dziadów*, których kawałki oderwane mimojazzem pisałem. Z *Dziadów* chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania, jeśli Bóg dozwoli skończyć. Żyję prawie tylko ze Stefanem i z Antonim; z Stefanem Z. gram w szachy, z Bohdanem czasem dysputuję. Odpisz mi i daj adres. Zofji twojej całuję ręce. Miałem ją często w myśli, malując heroinę poematu mego, Zosię. Wszakże lepiej jest patrzeć na żywą, niż stworzyć najpiękniejszą malowaną tylko. Jełowicki już ogłosił drukowanie *Korsarza* i czeka tylko rękopismu.

Bądź zdrow! Czytam bardzo mało, najczęściej *Saint-Martina*, którego dzieła, jeżeli gdzie znajdziesz, czytaj wszystkie pilnie.

DO FRANCISZKA MICKIEWICZA W ŁUKOWIE.

Paryż, rue de Seine-Saint-Germain, hôtel de France, 59.

(19 kwietnia 1834 roku.)

Co się tam dzieje ze zdrowiem Twojem. Nasza emigracja bardzo choruje i umiera. Wielu już ubyło. Bóg wie, co się z resztą stanie! Twój znajomi Stefan Zan i Domeyko zdrowi, cieszą, jak mogą, siebie i drugich. W mojem nowem dziełku, które drukuje, scena toczy się w Litwie; znajdziesz opisy naszego życia domowego, polowań, koncepty palestranckie, polowania, etc. Pisanie tych rzeczy bawiło mię niezmiernie, przenosząc mnie w nasze mile strony rodzinne. Od Aleksan-

dra nie miałem wprost wiadomości, ale słyszę, że mieszka w Kijowie i że mu się dobrze wiedzie. Państwu Grabowskiemu i całemu ich domowi złożę moje ukłony. Będę wkrótce miał okazję powolną, ale pewną, pisać do Ciebie.

DO EDWARDA ODYŃCA W DREZNIE.

Paryż, rue de Seine-Saint-Germain, hôtel de France, 59.

(19 kwietnia 1834 roku.)

Jużbym miał prawo bardzo Ciebie zburczyć za taką apatię: kilka miesięcy ani słowa do nas! Ale wiem, że są takie chwile, a czasem tygodnie i miesiące, w których człowiek nie czuje się zdolnym gadać z drugimi, chociaż myśli o nich. Boję się, żebyś nie był w takim smutnem położeniu, Edwardku, i troszczyć się bardzo o Ciebie; bo już na tym świecie coraz mniej zostaje nas dawnych przyjaciół; a nowych, którzyby nas tak kochali i rozumieli, nie znajdziemy. Ja zimę całą chorowałem, teraz znowu żyję i ciągle drabuję korekty. Pierwszy tom *Tadeusza* wkrótce z druku wyjdzie, ale go nie puścimy, aż się drugi skończy. Miałem w pisaniu rozrywkę, a teraz w nudach korekty niejaki *contre-coup* przeciwko splinom gwałtownym, które mnie często jak grajcarem w sercu wiercą; ale wiesz, że zawsze w sobie troski zamykam i nikt nie wie, jak mi czasem żyć ciężko. Nie wiem jeszcze zgoła, czy tu na lato zostanę, czy gdzie około Paryża na wsi. Chciałbym zacząć jaką prozaiczną pracę ciągłą, dla zająć myśli. Żegota zdrów. Stefan Zan mieszka teraz ze mną i kawę mnie z rana robi. Zresztą rzadko kogo widuję, a najlepiej mi, kiedy nikogo nie widzę. Ze Stefanem tylko sympatyzujemy i często z nim gawędka lub przechadzka. Częściej też widuję się z Goreckim, który od kilku miesięcy stał się świętym człowiekiem, nas przykładem buduje, a drugich nawraca z niemalym sukcesem.

Nie wiem, co się stało, że nie przysyłasz swoich rękopismów? Jełowicki zapowiedział ich drukowanie. Co teraz robisz? Drezno musi dla Ciebie być bardzo samotne. Ach! jak tam mile przepędziliśmy kilka miesięcy! jak czułem, że nie prędko już będziemy mieli taką epokę spokojności i pogody! Bądź zdrow,

Adam.

UWAGA WYDAWCY

O LISTACH MICKIEWICZA.

Nie dajemy wszystkich listów pisanych przez poetę. Pojedno zdołano zebrać tylko część jego korespondencji: tak **n. p.** nie przechowywała rodzina listów jego aż do upadku powstania listopadowego; ale i tych, które zebrano i ogłoszono już drukiem, nie dajemy wszystkich ani w całej rozciągłości. Wybraliśmy z nich to, co jest najważniejsze dla bliższego poznania Mickiewicza jako człowieka, literata i działacza politycznego.

W miejsce opuszczonych listów Mickiewicza, względnie skreślonych w nich ustępów, przytaczamy znamienniejsze wyjątki 1. z listów osoby jego dotyczących i 2. z listów do niego pisanych. Przyczynią się one w znacznej mierze do wyświeatlenia wielu niejasności, nasuwających się w listach wieszczą, o ile się porówna ich datę z datą tamtych.

LISTY O MICKIEWICZU.

Z LISTU J. JEŻOWSKIEGO DO MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Wilno, 6 maja 1822 roku.

„Książę Czartoryski już od 30 marca u nas przebywa. Wkrótce wezwany był Adam, złożył roboty, które się bardzo podobały; poezyj zaś Sienkiewicz dosyć wychwalić nie mógł. Poezyj tych tomik pierwszy za kilka dni wyjdzie z druku u Zawadzkiego, książę podał mnie i Adama do wojażu. Lecz na Adama rozgniewany nieco Ernesti (Grodeck), robił mu niejakie trudności, warował aby wprzód ukończył magistrowanie się. Takie opinie poszły na radę. To jeszcze mniejsza bieda; wyznaczono komitet, któryby napisał urządzenie zupełne względem wojażów. Zaledwo wyznaczono, pan Jędrzej (Śnia-decki) wyjrzał z dziury swojej i przysnął na wojażerów śmiertelnym jadem... Tak więc nic o naszych wojażach wiedzieć nie możemy. Cała zaś nadzieja jaka jest, polega na księciu; on może z tych wydobędzie trudności. Cokolwiekbądź, Adam pewniejszy być może niżeli ja, przynajmniej podróż prędzej mogłaby nastąpić. Bo jeśliby uniwersytet uchylił, lub jaką uczynił trudność, wysłany będzie kosztem Krzemieńca; ale wysłany do Włoch i Francji południowej, a to żeby zdrowie mógł sobie poprawić“.

Z LISTU TOMASZA ZANA DO MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Wilno, 14 stycznia 1823 roku.

„Adam cierpko do mnie piszący niegdyś, za myśl w rozdziałku wywiedzioną o niestateczności uczuć człowieka, już zaprzestał korespondencji ze mną, ma tylko z Janem dru-

łarską. Serce jego i cały stan duszy podobny (zdaje się) do lasu, w którym pożoga przeszła: czyta, żyje, nie pisze. Marja czasem pisuje, spuszcza się na moje rady i niektóre usiłuje dopełniać, pocieszam ją i rozrywam roztropniejszymi rozdziałami. Byliśmy z Janem u niej w Bolciennikach całą dobę, jej stan uniesienia i uczuć bardzo go zajął; ja surowego przed nią udaję, a pobłażanie nieobacznością pokrywam. Nie widzieli się z sobą od listopada i to na dobro; głuche uspokojenie może do harmonji władze przywieźć“.

Z LISTU JANA CZECZOTA DO MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Wilno, 21 stycznia 1823 roku.

„Staraj się dłużej utrzymać za granicą; bo z Adamem nie wiadomo, co zrobić. Uczyć dalej żadną miarą nie może, do ostatka straci zdrowie; mówi że go lekcje na cały dzień paraliżują. Lubo zdaje się być teraz spokojniejszym i jest nawet w istocie, jednak zawsze nudny, często bezsenny, ciągle tylko fajką i kawą żyje. Każdy widzi, sam pragnie, doktorowie radzą, że mu potrzebny koniecznie wojaż; ale jakże ma być jego wojaż? jakiegoż on pragnie? Czy się nie uczyć? broń Boże, chodzić a chodzić. Ze wszystkich twoich opisów. *Riesen-Gebirge* najbardziej go zajęły. Może ta manja ustać, jak się ujdzie mil sto, a chodzenie nie będzie nowością, może i posiedzi gdzie przez zimę; lecz czy tak, czy owak, zawsze potrzebny za granicą punkt jakiś bliższy, do którego by i na zimowe leże powrócił i w każdym zdarzeniu mógł się zgłosić. Dziwna to jego będzie pielgrzymka! ni to jemu razem pieniędzy dać można, ni pewnym być, że gdzieś nie okradną, albo sam od razu nie straci, a potem zostanie w ciężkiej potrzebie. A gdzież się wówczas uciekać? Nie wiem też, jak mu w jego humorze przypadnie być między obcymi, a na zyski czyhającymi ludźmi; najczęściej zapewne będzie samotny, nie pójdzie on bowiem poznawać ludzi, ale *Riesen-Gebirge*; doliny, łąki, to go zajmą, a to wszystko wątpię, czy nie będzie miało szkodliwego na jego imaginację wpływu. On zdaje się potrzebować ciągle nad nim czuwającego anioła stróża, a tam same tylko będą dla niego glazy. Z tych przyczyn im bliższy punkt będzie jego komunikacji, tem mu będzie lepiej i weselej. Że go wyprawić trzeba, to rzecz koniecz-

na, bo do reszty zdrowie się jego zrujnuje. Staraj się więc Franciszku pozostać dłużej za granicą, bo inaczej boję się go wyprawić. O tem zbierałem się już do ciebie napisać, list twój przyspieszył pisanie. Adam na podróż ma 300 leżących подарowanych rubli, tyleż można będzie, a może więcej, spodziewać się z sprzedaży dziełka. Drugi tomik wkrótce będzie się drukować, już jest gotowy. Będzie walny, będzie w nim *Grażyna*, powieść litewska malująca sposób myślenia Litwinów o Krzyżakach i wystawująca ich z nimi zatargi. Chociaż Adam skarżył się na *musam invitam* i ta mu się robota najmniej przyjemną w robieniu zdała, jednak wcale piękna, a styl z czasów Zygmuntowskich w miłą przeszłość przenosi, i dziwnie się podoba.

Z LISTU TOMASZA ZANA DO MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Wilno, 12 maja 1823 roku.

„Usiłowałem i usiłuję uczuciom Adama i Marji nadać pogodniejsze dążenie, nie jestem pewny skutku zupełnego, zdaje mi się atoli, że ich cierpienia złagodzone. I z nim i z nią w tym widoku koresponduję, ona mię drogim i dobrodziejem nazywa. Podług mnie, niema nadziei wyjechania za granicę, tak dla Józefa jako też Adama. Pisał do mnie Tryczyński przeznaczając swoich 200 rubli na ten cel, prawdziwie nie umiem jemu podziękować i odpisać. Czytałeś *Upiora*, przeczytasz *Dziady*, nie wielebym co miał pisać o Adamie, sądzę że może niewczesne wyjawienie się ze swojemi miłosnemi uczuciami, niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie. W czasie świąt oni byli w Wilnie przez dwa prawie tygodnie, usiłowania moje na uspokojenie poszły w niwecz, nie wiem, co dalej, tak to wszystko daleko i nieszczęśliwie zaszło, tak że niegdyś obrońca miłości, ledwobym otwartej przeciwko niej nie wypowiedział wojny“.

Z LISTU JANA CZECZOTA DO MALEWSKIEGO W BERLINIE.

Wilno, 12 maja 1823 roku.

Przyrzekłem Ci posłać tomik poezyj i posyłam. Jak tylko zdrowie się poprawi, ruszaj nazad do Saviniego; powiedział-

bym ruszaj nazad do nas, gdyby jeszcze nadzieja, że Adamowi do Francji będziesz mógł pokazywać drogę, nie wstrzymywała mojej chęci ujrzenia ciebie. Adam był podczas świąt spokojniejszy, zdrowszy; ma konia do jazdy i używa przejażdżki. Rezolucji jeszcze na prośbę nie odebrał. Wiosna i przechadzki odrywają od książki, ale dają zdrowie“.

Z LISTU JANA CZECZOTA DO MALEWSKIEGO
W BERLINIE.

Wilno, 30 maja 1823 roku.

„Adam wziął od swojej kochanki klacz jezdną; druga donzella musi ją tam karmić, jeździ sobie zapewne i chodzi. Wcale nie wiem, co z nim i jego zdrowiem będzie. Już mnie wszystkie nadzieje odpadają, wszystkich resursów zbywa. Jeden ty, jeszczebyś mógł go swoim towarzyszeniem ratować, na restaurację jego wpłynąć. Ale jak to być może, nie wiem. Uwolnienie przyszło, ale jak dalej, rzeczy zbyt wątpliwe. Nie wiem, nie wiem, chcę oderwać myśl od tego przedmiotu, bo ilekroć pomyślę, nieszczęśliwy jestem i jego nieszczęścia widzę. Co się z nim dzieje? zawsze w stanie nienaturalnym, zdrowie najgorzej mu służy, fajką, niespaniem i trudami ciężkimi obowiązków dobija siebie, a nie stara się wyjść z letargu. imaginacji nie ostudzi, bo z tem mu dobrze, ale za moment boskiego uniesienia, tego to wykradzenia się na chwilkę za ziemską granicę, odbiera potem ciężkie na ziemi męki. I tam nawet człowiekowi nie pozwolono bezkarnie wozować! Perswazje na nic się nie zdadzą, pięknie się raz odezwał w liście, że nie potrzebuje teraz przyjaciół, ale pochlebców. Jakkolwiekbyś, na tak nadwreżone zdrowie i tak skrzywiony umysł, podróż by miała zbawienne skutki. Co będzie, czas rozwiąże. Dałby to Bóg, żebyś ty mógł się dłużej utrzymać, bo on bez przewodnika być nie może, jednak nad tym artykułem się zastanawiam, co to z nim być może, choćby wszystko poszło najłepiej?“

Z LISTU FRANCISZKA MALEWSKIEGO DO RODZINY.

Petersburg, październik (1824).

Jeszcze niespodziewanie z Kowna dziś do Was piszę. Dla niedostatku koni musieliśmy tu zostać się. Droga mało dała

się uczuć, a wypoczynek tu najwygodniejszy. Gdyby cała droga do Petersburga była zasiana Kownami, nicby nie było z tej podróży, oprócz ruszania gębą. Na dobrym humorze, jak z tego możecie się domyślać, nikomu nie zbywa. Jedno mię tylko smuci, że i tego roku nie spędzam dnia imienin razem z Wami. Przy tym listku bilety z powinszowaniem sześciu razem wysłanych: Adama Mickiewicza, Franciszka Małewskiego, Józefa Jeżowskiego, Onufrego Pietraszkiewicza, Sobolewskiego Jana, Konstantego Zaleskiego.

Z LISTU ODYŃCA DO ANTONIEGO GORECKIEGO.

Warszawa, 1 stycznia 1827 r.

Szanowny i kochany Antoni!

Miałem niedawno list od Adama z Petersburga, dokąd przybył dla otrzymania pozwolenia cenzury na drukowanie nowego swego poematu: *Wallenroda*. Otrzymał to pozwolenie i wkrótce ma wyjść na widok publiczny poema, które bardziej dręczy Koźmiana, niż kiedyś jego bohater dręczył nieszczęśliwych Prusaków. Dwa razy co tydzień, rad nie rad, widuję się z Koźmianem i Osińskim u generała i u Zamoysskich, gdzie także od niejakiego czasu są obiady literackie dla zabawy bawiącego tu księcia Adama; szczęście że także bywają na nich Brodziński i Fredro. potężni moi sprzymierzeńcy. Osiński mianowicie musi mię szczególnie nie lubić, to jest wzajemnością odplacać, ale też wiem dobrze, że się mnie niepospolicie obawia, bo zawsze i wszędzie prawię mu śmiało, częstokroć może nieprzyjemną prawdę, i nie dawno jeszcze oświadczyłem głośno, wobec dwudziestu może osób, iż przyniosę jego *Zabawki wierszem*, w dwudziestym szóstym roku jego życia wydane, dla porównania ich z wierszami Mickiewicza, w ośmnastym roku pisanemi. Nie wiem, czy czytałeś te zabawki, ale jestto zbiór takich głupstw, że prawdziwie dziwić się potrzeba, jak człowiek rozsądny mógł je drukować. Zna to dobrze sam Osiński dlatego całą tę edycję wykupił i rozumiał, że nikt jej więcej nie ma. Przypadkiem jakimś złowiłem egzemplarz Nie pokazałem go dotąd, bo wolę mieć zawsze bicz na Osińskiego, który już zbliżyć się do mnie prosił, aby wszelkich dysput zaprzestać. Masz więc pokrótkie biuletyn wojny.

Z LISTU MIKOŁAJA MALINOWSKIEGO DO JOACHIMA
LELEWELA.

Petersburg, 9 stycznia 1828 r.

...Od trzech przeszło tygodni przybyli tu Adam Mickiewicz i Franciszek Malewski z Moskwy, w orszaku księcia Jenerał-Gubernatora moskiewskiego. Malewski może w Petersburgu zostanie a Mickiewicz za kilka dni nas opuści i na-
zad do Moskwy wróci. Po tylu latach niewidzenia się, po
tylu zobopólnie doznanych nieszczęściach, z braterskiem
uczuciem rozrzewnienia witaliśmy siebie nawzajem. Mickie-
wicz zewnętrźnie cokolwiek odmienił się, zapuścił baken-
bardy, to go poważniejszym czyni. Cera zdrowsza, nieco
zmęźniał, odmienił się, ale na swoją korzyść. W towarzy-
stwie nie jest, jak dawniej, excentryczny, i owszem, bardzo
swobodny i ujmujący. Tych nawet, którzy mniej mają prawa
być ze strony jego z uprzedzeniem traktowani, bardzo uprzej-
mie przyjmuje. Talent jego dojrzał, rozmowa, zasiloną i tem
co widział i co czytał, nosi nadto piętno jego bogatej ima-
ginacji. Lubi teraz mówić dużo, jego głos często sam tylko
słyszać w zgromadzeniu, i każdy skwapliwie ucisza się, aby
go słuchał. Prawdziwie napęłnia mię uczucie dumy, że by-
łem kolegą Mickiewicza, i że jestem jego przyjacielem. Przy-
bycie jego do Petersburga sprawiło niesłychaną sensację. Ro-
sjanie i Polacy prześcigają się w okazywaniu mu poszano-
wania. Prowadzimy życie prawdziwie karnawałowe, jedne
obiady, aż za północ przeciągają się, szybko idą po drugich,
a i tak zaprosin wszystkich przyjmować nie może. Pozostaje
mu tylko trudność wyboru. Mickiewicz talent improwizacji
doprowadził do zadziwiającego stopnia doskonałości. Gdy
czuje się w werwie, dosyć jest zagrać na fortepianie znajomą
jaką piosnkę, natychmiast improwizuje, i to z taką gwał-
townością, tak nagle, że zdaje się, iż duch jakiś go dręczy,
by co prędzej pozbyć się uczuć serca. Jużem go kilkanaście
razy słyszał. Pisać niezmiernie trudno, bo żadne pióro nie
pościga szybkości poety i przytem nie pozwala on, aby pisać,
bo mówi, że to w nim zapał niszczy, gdy piszących widzi.
Przynajmniej co wieczór pilnie spisywałem treść każdej jego
improwizacji; niech te niezgrabne rysy przedziwnych mało-
widel przynajmniej w trwałej pamięci zostaną. Mickiewicz
przyjechał tu, jużto dla towarzystwa Franciszka (Malewskie-

go), już dla osobistego postarania się o pozwolenie wydawania pisma perjodycznego, pod tytułem *Iris* w Moskwie, w języku polskim. Miało być to pismo poświęcone literaturze, filozofji, poezji. Z wielkim żalem naszym, minister nie pozwolił; żadnej nawet przyczyny nie dał.

Z LISTU LELEWELA DO...?

Warszawa, 6 października 1828 r.

Nie byłem w Berlinie ani w Wielkopolsce: z tem wszyskiem, co mi, Panie, o Wielkopolanach piszesz, jest mi dosyć wiadome. Mam o tem z różnych stron wiadomości i spotykam wielu Wielkopolanów nas tu nawiedzających. Jak ich, Panie, znasz dobrze nie wątpię, żeś ich dokładnie Adamowi opowiadał. Powinienby tedy Adam umieć się wziąć z nimi, ile gdy z upragnieniem oblicza jego wyglądali. Spodziewam się nawet, że Adam rzeczywiście trafnie postępował, ale martwię się, że gadanina na jego dezawantaż rośnie. Na szczęście nasze przybył do Warszawy Muczkowski, ten sam, co był w Berlinie, a z Adamem się widział, brat Józefa. Upewnia mię tedy, że co było Polaków, przynajmniej w pierwszych dniach pobytu Adama, z Adama kontenci byli.

Słuchali mówiącego, śpiewającego, improwizującego. Opowiadał mi spotkanie swoje z Adamem, jak w kompanji licznej Adam dopytywał o Józefie Muczkowskim, czy nie spotka kogo coby go znał, bo mu wdzięczny niemało za tak staranne wydaniem w Poznaniu zajęcie się. Wskazano mu na to oświadczenie, że właśnie jest jego brat i zaprezentowano: ale nacisk nie dozwolił Muczkowskiemu z Adamem rozmawiać, a wkrótce Muczkowski z Berlina wyjechał, i co było dalej, nie wie. Z temi wiadomościami stoję w obronie Adama, zaprzeczam potwarzom. Trzeba wiedzieć, że Józef Muczkowski stetryczał, narzeka, że Adam nie dał mu o sobie wiedzieć, że bawi w Berlinie. Domyśla się, że może się Adam nań gniewa, że na list nie odpisał i za ofiarowany egzemplarz nie podziękował. Przybyły tu do Warszawy Muczkowski domyśla się, że ktoś musiał chcieć jego bratu Józefowi złość wyrządzić, dlatego o Adamie taką puścił plotkę, a Józef temu uwierzył. Ale za co tak wiele jawi się gadanin, za co niejedną spotykam osobę z widzących jego, a wcale z tego nieusatisfakcjonowaną? Kto Adamowi się przysługuje, dochodzić będziemy.

Z LISTU FRANCISZKA MALEWSKIEGO DO RODZINY.

Petersburg, 1 czerwca 1829 r.

Oto wyjechał Adam, zostawił mi swoje interesa, musiałem w różne strony pisać, liczyć, a to wszystko przy smutnym z tego rozstania się humorze. Teraz znowu wybiła godzina rozstania się z mieszkaniem, szukam kwatery, a co to jest szukać w Petersburgu... Przydajcie zimno, wiatry, katary a potem osądźcie, jaki to piękny był miesiąc. Gdybym nie miał tej pocziwej familji Szymanowskich, u której śpiew i fortepiano wieczór przynajmniej dają miłszy, zachorowałbym temi czasy na śledzionę. Ah, Adam! Adam! z jego odjazdem zdaje mi się, że mię dobry duch odleciał. Nie mogę przywyknąć do samotnych obiadów, śniadań. Miałem list od niego już z Hamburga. Zdrow i wesół, tylko się skarży na samotność.

Z LISTU A. E. ODYNCA DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

Neapol, 15 maja 1830 r.

Kochany Franciszku!

Dziś rano wyprawilem Adama do Sycylji na statku parowym. Sam nie pojechałem, bo podróż drogo kosztuje, a nicbym z niej nie skorzystał więcej, oprócz że mógłbym mówić, że byłem w Sycylji. Statek zatrzymuje się tylko parę dni w Messynie i tyleż w Palermie, skąd na siedm dni znowu do Neapolu powraca. Podróżni więc nie będą wcale mieli czasu na zwiedzenie sławniejszych okolic lub starożytności. Adam sam wcale niespodziewanie wybrał się w tę podróż, o której przed odebraniem Twego listu ani myślał. Niech Cię nie martwi ani obraża gorzki nieco styl jego listu do pani Szymanowskiej. Nie wiem, jakie mieliście powody do tak nadzwyczajnie długiego milczenia, ale widziałem, ile ono chwil, ile dni Adamowi zatruło. Wiadomości o śmierci Sobolewskiego i Daszkiewicza dotknęły go mocno i usposobiły do najczarniejszych, mianowicie względem Ciebie, przeczuć. Co rano musiałem grać rolę jakiegoś wróżbity, tłumacząc na dobre rozmaite o Was sny Adama, jedne straszniejsze od drugich. Przyznam Ci się, że nakoniec i sam im wierzyć zacząłem.

Tyle razy my pisaliśmy obadwa, Adam do ciebie, ja do Olesia i Korsaka. Od nikogo żadnej odpowiedzi. Kurjer Krywców przywiózł od pani Szymanowskiej list do Wnispeara. Do nas ani słoweczka, przez długi czas nie śmieliśmy rozmawiać o Was, każde wspomnienie obudzało w nas niespokojność. Odebranie przedwczorajszego listu rozproszyło ją przecie. Pozostało jednak niejakiś uczucie żalu sprawiedliwego, jeśliś ni razu przez ten czas pocztą nie pisał. Na drugi raz bądź akuratniejszy. Wiadomości o zdrowiu Twojem przynajmniej widzę ile są potrzebne do spokojności Adama. Gdybyśmy je mieli, ostatnie tygodnie pobytu naszego w Rzymie byłyby prawdziwie wesołe. Po szkaradnej zimie śliczna wiosna od 10 lutego. Zwiedzaliśmy okolice Rzymu w towarzystwie państwa Ankwiczów i kilku młodych ziomeków, tęgich chłopaków. Przez tę zimę przesunęło się przez Rzym w tę i drugą stronę sześćdziesięciu trzech Polaków. Dom Ankwiczów, gdzieśmy przy końcu codzień bywali, był ciągle ogniskiem polskiego towarzystwa. Oboje są bardzo zacni i przyjemni ludzie. Córka ich panna Henrjeta, siedmastoletnia dziewczyna, dla której zdrowia właśnie od trzech lat bawią we Włoszech, pod względem ukształcenia umysłu i serca, należy do rzędu najniepospolitszych kobiet, któreśmy znali. Trzema dniami przed nami wyjechali do Florencji, być może, że się z nimi w Szwajcarji zobaczymy. Z różnych przyczyn spóźniliśmy nad zamiar wyjazd do Neapolu. Ostatnią była śmierć znajomego ci księdza Parczewskiego. Poznaliśmy go tu i blisko z nim żyli. Adam nic a nic nie pisał. Milczenie Wasze wiele się do tego przyczyniło. Dał mi raz słowo, że jeśli list Twój odbierze. w parę dni napisze pierwszą pieśń zamierzonego poematu. List nie przyszedł i poematu niema. może go Sy-cylja natchnie. Zdrowie Adama jest ciągle dobre, prócz że krótko przed wyjazdem z Rzymu, cierpiał pewny rodzaj febry, która go cztery dni w łóżku trzymała.

LISTY DO MICKIEWICZA.

OD LELEWELA.

Warszawa, 26 kwietnia 1827.

List Twój Adamie kłopotu mię nabawił. Obligowałeś mię aby nie powiadać o Twoich literackich zamiarach, a razem poruciłeś, abym na Odyńca nacierał o nabywanie dzieł Tobie potrzebnych, o nadsyłanie Ci broszur. Wymiarkował Odyniec, żem od Ciebie list otrzymał, dowiedział się od Walerjana o tem. Dopieroż mię pytać, nalegać, aby list Twój jemu pokazać, dać do czytania.

Już to dość dawno pisałeś i pewnie niecierpliwie wyglądasz mojej odpowiedzi, a jeszcze więcej dopełnienia Twych żądań. Dokazałem tyle, że Twych sonetów kilka egzemplarzy wymienili na kilka dzieł edycji wrocławskich, które są wcale tanie, a między którymi znajdziesz Orzechowskiego kronikę do Twej Barbary istotnie potrzebną. Co do broszur, o nie próżne zanosisz żądania. Dawno z naszego poziomu zniknęły.

Co do Twoich o Barbarze żądań, niełatwo mi jest w ten moment zadość uczynić. Obietnicami wprzód uczynionemi dość liczne pozaciągałem obowiązki, z których i wprzód uiścić się wypada. Co będę mógł, to zrobię. Powierzyłem niektórym ten przedmiot, nie wiem, czy w nich pomoc znajdę. Daty urodzin głównych niektórych osób powynotowywam. skoro zdołam chwilę urwać. Ale na ten raz tego nie masz. Do tego przydałby się zdaje się koniec tomu pierwszego *Pamiętników Niemcewicza*. Trudno to przepisywać, należałoby tu tom nabyć i Tobie przesłać. W *Dzienniku Warszawskim* jest kilka stosownych do tego listów.

Chcesz Adamie ze Szleglem o Indję wojować? podobno w tych czasach wojnę podobną wydał Heeren i coś w tym przedmiocie miał w Hamburgu drukować. Widzę, że ze swojej do Krymu podróży wcale kontent jesteś! Nas to cieszy, żeś znalazł satysfakcję i rozrywkę. Co nadrukowano o sone-

tach Twoich masz pozbierane i przesłane. Odyniec pewnie o tem dokładniej pisał. Z tego możesz miarkować jaki robisz efekt. Wszakże to wyznać trzeba, że nie są tak łatwego przystępu, jak inne dotąd ogłoszone poezje Twoje. Bardzo wielu, co się wczytali w ballady i takich co się w *Dziadach* rozmiłowali, opuszczają przy sonetach ręce, nie mając siły w sobie, aby je zgłębić. Stąd nie będą mogły mieć tak powszechnego odbytu jakby zasługiwały. Daszkiewicz zapytywał mnie o zdanie o jakiejś historii, o którą ma z Tobą spór. Imienia autora w liście jego wyczytać nie mogłem, ale jednak miarkuję, że wcale go nie znam i nie widziałem go dotąd.

OD NIEMCEWICZA.

Warszawa, 8 lutego 1828 r.

Odebrałem list zacnego Ziomka, pełen wdzięczności za pochlebne a niezasłużone wyrazy Jego dla mnie. Ubolewam z serca, że tak piękny talent, tak szlachetną zapalający duszę, tułać się musi w obcej ziemi, i zamiast poddawania się silnym obywatelskim natchnieniom, w ulotnych tylko gubić się pieniąch. Tak jednak chciały niezgłębione a zażarte na nas wyroki; ufajmy, że kiedyś zmiękczyć się dadzą. Niech młodzież w czasie słoły przysposabia ziarna do zasiewów pod pogodniejszym niebem: czerpajmy w czystych źródłach, *vos exemplaria graeca diurna versate manu, versate nocturna*. Jeśli siedmdziesiątletniemu starcowi wolno jest zdanie swoje otworzyć, powiem iż uważam w wielu płodach dzisiejszych jakąś skłonność i upodobanie do niemieckich metafizycznych, romantycznych uniesień i wyrazów. Nie jestem ja niewolniczo klasycznym, wiem, ile zbyt surowe Arystota przepisy ujarzmiają genjusz, pozbawiają nas nieraz osobliwie w dramatycznej sztuce, wielkich, uderzających piękności i sytuacji; nie potrzeba atoli, uwolniwszy się od wszelkich prawideł, zarzucać cugle na kark Pegazów i w cwał z wiatrami latać po obłokach. Można i potrzeba nawet prawdy zdrowej filozofji (jak czynił Voltaire) rymami ogłaszać, nabierają one przez wdzięk poezji, nowej mocy, i silniej wrażają się w umysły, lecz broń Boże zapędzać się w głębokości metafizyczne, w jej z ciężkością dościgłe pomysły; to co nie jest jasnem, naturalnem, z łatwością zrozumianem, ciężkoby było pięknem

i podobajacem się. Nie piękne zapewne płody zacnego Mickiewicza, ale dorywcze pisma niektórych niedojrzałych wierszopisów naszych dały mi powód do uwag tych. Cóż bowiem rozumieć o wyszłych we Lwowie Sonetach, zbiorze dzikich niedorzeczności? Cóż np. znaczy ten wiersz:

Wypiłem duszą, duszę kałamarza,

i dalej

Jam widział diabła, diabła co się zowie,

Zawsze w dół myśli, niby w truflach guści.

Nierozważnie czytani pisarze niemieccy nieraz złęgo u nas gustu stali się przyczyną. Naśladujmy rzadkie piękności Szyllerów, Goethów, Wielandów, lecz strzeżmy się co tylko jest w nich przesadzonego, zdrożnego. Niech Homer, Eurypides, Sofokles, Horacy, Wirgili będą wzorami naszymi. Temi to wzorami szedł, i poszedłby dalej nasz Mickiewicz, gdyby genjuszowi jego wolno było swobodnie skrzydła swoje rozwijać. Miejmy nadzieję w dobrym monarsze, iż skruszy niepotrzebne dzisiejsze zapory, i dla własnej i poddanych swych sławy da się talentom rozwijać.

Piszę do księcia Wiaziemskiego z podziękowaniem za wszystkie jego dla ziomek naszych grzeczności. Niech Cię zacny młodzieńcze Bóg Ojców naszych cieszy, wspiera, i dla dobra kraju jak najdłużej zachowa. Z serca życzę.

OD LEONARDA CHODŹKI.

Paryż, 8 rue de Grammont, 3 maja 1828 r.

Kochany Adamie.

Otrzymasz zapewne jednocześnie chociaż przez dwie drogi prywatne idące: listy szanownej hr. Ostrowskiej, i mój mniejszy, donoszące Ci o nowem wydaniu paryskim Twoich poezyj. Pani Ostrowska donosi Ci ogólnie, ale do mnie należy dotknąć niektórych szczegółów, które nie będą dla Ciebie obojętne.

Były szczęśliwe chwile, gdyśmy od roku 1815 byli razem w świetnej epoce uniwersytetu wileńskiego: ale teraz, jakżeśmy rozdzieleni? Cnotliwy Tomasz Zan w Orenburgu, Ty

w Moskwie, mistrz nasz Joachim Lelewel w Warszawie, a ja w Paryżu! Ale jeżeli jesteśmy rozdzieleni ciałem, dusze nasze polskie nigdy nie rozłączą się, bo te są nieśmiertelne, jak jest nieśmiertelna święta sprawa naszej ojczyzny; jej służymy, i ona jest celem naszych żywotów na tej ziemi!

.....

Ale, nim się sprawdzą te sny publikat *francuskich*, ciężyło mi na sercu sprawdzenie rzeczywistości polskiej, to jest założenie drukarni polskiej, a więc odlanie liter; lecz gdy to nie robi się bez pieniędzy, a więc udałem się do pani Ostrowskiej, która z właściwą sobie i patrijotyczną szczodrobliwością ofiarowała swoją pomoc. Ponieważ gonitwy Twoje zruszyły Cię z Wilna, a niedostatek musi Ci dokuczać, postanowiliśmy zatem, iż pierwsze dzieło polskie zacznie się od Twoich poezyj, i cały zysk ze sprzedaży będzie poświęcony dla Ciebie. Odlanie liter, druk, papier i broszowanie na tysiąc egzemplarzy, kosztowały 6 000 franków. Cena egzemplarza po 10 franków. Pani Ostrowska bierze z sobą do Warszawy, w poczwórnej swej karecie dwieście egzemplarzy. Po ich rozprzedaniu w Polsce, Joachim Lelewel zatrudni się przesłaniem Ci pieniędzy. Inne egzemplarze ja tu spieniężę i przyślę gdzie wskażesz. A te co się pozostaną, znajdziesz w Paryżu, gdy tu przybędziesz, bo dla czegożbyś tu kiedyś nie przybył, a znajdziesz grosiwo, które Ci będzie użyteczne.

Przeznaczenie chce, abym się zajmował propagandą dzieł Twoich. Zapewne przypomnisz sobie, z jaką gorliwością zbierałem prenumeratorów na Twoje pierwotne wydanie wileńskie 1822 roku i gdy z tej okazji pokilkakrotnie dochodziłem do Twego mieszkania, do budynku dawnego Trybunału Litewskiego, na placu katedralnym za zamkową bramą. W starych schodach brakowało kilku poprzecznych desek i wzajemnie śmieliśmy się, aby nie skrećić karku, wstępując lub zstępując z tych trybunalskich schodów? Udało mi się zabrać z sobą egzemplarz tego wydania i z niego przedrukowałem wydanie paryskie. Portret Twój zdobiący to wydanie przysłany mi był własnoręcznej roboty Joachima Lelewela. piórem i atramentem nakreślony. Widzisz więc iż zawsze myśleliśmy o Tobie.

Pani Ostrowska, jest z domu księżniczka Sanguszkówna z Lubartowa; mąż jej jest hr. Władysław Rawicz Ostrowski, pułkownik z wojsk księstwa warszawskiego.

OD PROFESORA BOROWSKIEGO.

Wilno, 7 listopada 1828 r.

Kochany Panie Adamie,

Pan Franciszek Malewski będąc teraz w Wilnie raczył mię odwiedzić i oświadczył mi w nader uprzejmych wyrazach Twoją pamięć o tutejszych stronach i ludziach. Wymieniony w tych liczbie, dziękuję Ci serdecznie kochany Adamie, dziękuję wprawdzie prozą, lecz to, co o Tobie myślę, a wyrazić nie zdołam, jest najpiękniejszą poezją mej myśli. Jako poeta i młody i dobrze niegdyś z myślą moją oswojony, łatwo ją sobie dopełniesz. Twoje słowa, posłańcy natchnień Twoich, są prawdziwe, ja moich marzeń upierzyć niezdolny, dość kiedy się liczę do tych, o których Byron mówi: *They felt, and loved and died*. Sonety, które mi dawniej wdzięczny uczeń przysłał, są bardzo pięknym wiankiem jego poetyckiego czoła. Jaka natura uczuć, jaka świeżość kolorów, jak miły mroczący nawet niekiedy zapach kwiatów wschodnich, raczej niż południowych. O *Wallenrodzie* powiedziałbym Ci, że nasza poezja nie ma nic podobnego w tym rodzaju. Ale to mało zalety dla talentu twórczego, który musi być niepodobnym. Nie mówię o piękności języka poetyckiego i mowy polskiej; bo nasz język jest wybornym materiałem, a Ty przedni majster. Możeby się życzyło więcej równości, akcji i harmonji między częściami, a mniej wyrzekań i przeskoków. Ale to smak wieku. Wreszcie więcej ma przyjaciół anomalja, pełna życia i świadoma tajemnic swojej sztuki, niż zgrzybiała foremność. Heksameter Twój piękny; ma tylko jeszcze trochę monotonności wiersza rymowego, jak mi się zdaje; ale to łatwo poprawić pracując więcej nad metryką, godną całej Twojej uwagi. Schema Królikowskiego zdaje się nastęrczać więcej rozmaitości. Daruj temu gderaniu, kochany Adamie, skutek to dawnej poufałości i dowód wysokiego szacunku dla pięknego Twego talentu.

Życzliwy Twój przyjaciel i sługa, *Leon Borowski.*

OD LELEWELA.

Warszawa, 17 listopada 1828 r.

Na list Twój, panie Adamie, niezmiernie dawno nie odpisałem. Kaczanowski będzie teraz w Petersburgu, rozpraw się tedy z nim o list Twój, którego mi nie oddał ani odesłał.

Z panią Hrabinią nie ma co począć: nie ma wyobrażenia o handlu i trudno jej co przełożyć, trudno dać do zrozumienia. Mniemała, że kiedy na każdy egzemplarz położy cenę dziesięciu franków, że rzeczywiście z tego dziesięć franków przyjdzie na każdy egzemplarz. I tego dotąd oczekuje, zostawiwszy je w Paryżu. Stąd wynikają otwarte zdzierstwa księgarskie. Ale Hrabina wygląda na swój list od Ciebie wzajem jakiego listu z komplementem. Jeżeli wydawcy nie chcą Ci przez Chodżkę przysłać 500 egzemplarzy, nie muszą być opłaceni zaspokojeni. Pisz, Panie, o to do Chodżki, niech tę rzecz wyjaśni. Jeśli wszystko, co z wydania paryskiego przyjdzie, ma być Twoje, powinni Ci egzemplarze bez opłaty wydać, tylkoby transport Twoim był kosztem.

Drukarnia poznańska już jest zupełnie zaspokojona z samego wydania. Posyłam Ci Poznańskiego wydania egzemplarz, który mi przysłano, możesz Sobie obliczyć, wielu było prenumeratorów. Mają obrachunki przysłać i resztę co się uzbierało i pozostałych egzemplarzy do rozprzedania sześćset. Zatrudniał się tem wydaniem były nauczyciel gimnazjum Poznańskiego Muczkowski, polskiej gramatyki autor. Począł on był wydawać w małym formacie poetów dawnych polskich a naprzód *Sępa Szarzyńskiego*. Młodzi wielkopolscy obywatele ofiarowali mu za to pierścień, z którego za pociśnięciem sprężynki wyskakiwały trzy figurki *Kościuszki*, *Napoleona* i *księcia Józefa*. Ministerjum w Berlinie było ciekawe tego pierścienia, kazało go sobie przysłać i wskutek obojętności Muczkowski od obowiązków był pożegnany. Na różne o to krzyki, zwrócono go do obowiązku, ale miał być przeniesiony do *Leszna*. Na taką propozycję, Muczkowski sam się od tych nauczycielskich posług uwolnił a wszedł w prywatne u *Dzieduszyckiego* obowiązki. On tedy i Twoje dzieła przedrukował i tem przedrukowaniem się trudnił. Jeśliby Ci się zdawało, napisz do niego z komplementem, byłoby to jemu miło. List na moje ręce posłany dojdzie go. Sześćset egzemplarzy jeszcze mi nie przysłano, widać nie wydarzyła im się okazja, w tych dniach piszę do niego.

O *Lwowskich* przedrukowaniach nic nie wiem.

Na dyspozycję względem leżącego u mnie złota oczekuję.

Przypominaj mię, *Adamie*, wszystkim znajomym. A sam trzymaj się w sercu Twojem.

Swego szczerze życzliwego i kochającego cię sługę

Lelewela.

OD PANI SZYMANOWSKIEJ.

Maj 1829, we wtorek o godzinie 5 wieczorem.

Przybiegliśmy do Berta zawodu, lecz już od pół godziny odjechał statek, który nam zabrał dobrego i kochanego pana Adama. W nadziei, że na Stieglica pyroskafie może jeszcze będziesz, gdyż nie mogłyśmy powziąć zupełnej informacji, czyś już odpłynął, udałyśmy się na angielskie nadbrzeże, gdzie Malewski mocno zasmucony doniósł nam, że już jesteś *en pleine mer*. Działki płakały. Julcia chorowała, a ja tymczasem życzenia najszczerze spełniam, aby strata którąśmy ponieśli, na szczęśliwszą przyszłość dla Ciebie się zamieniła. Proszę do nas pisać, niewiele ale często. Powiedz, gdzie jesteś i o zdrowiu nam drogiem donieś. Za resztę dziękujemy.

Księżę Nikita odda panu muzykę co dziś przepisałam, to jest: *Barkarolę*, do której na moją intencję kiedy zrobisz wiersze. Napisałam także Wilję, piękny kwiatek, poloneza, piosnkę litewską, coś mnie pan nauczył i którą często sobie zagram, czasem zapłaczę..., nie zaśpiewam. Helcia prosiła o to to to... Nie może się pocieszyć, że w jej albumie nie napisałeś... Proszę dla tej dobrej dziecinki o kilka słów w wolnej chwili. Celina także mocno płakała, a kiedy jej mówiłam: odjechał, któż Ci prawdę powie? zanosila się z płaczem, aż jej krew nosem poszła. Listy zostawione wziął księżę Nikita. Niechaj Ci ich nie odda aż w Dreźnie, bo ambarasu unikniesz. Malewski i Odyniec są u nas. Pierwszy filozof, drugi płacze jak baba. Ja z Malewskim trzymam. Bądźże zdrow, szczęśliwy. Mnie cieplej będzie, jak się dowiem, żeś we Włoszech. Twoje dobro jest naszym, nasze serca Twoją własnością. Żyj spokojny.

M. Szymanowska.

Jeszcze słów kilka. Adaśku! Nieprawdaż, że jak się obaczysz z panną Heleną, Celiną, będzie to już jak po słowie, które wydać miałeś. Lecz próżno je tą myślą pocieszyć. Przekłete niech będzie oglądanie się na drugich! Nie mogę sobie przebaczyć, że nie pojechał do Kronsztadu. Do zobaczenia w Dreźnie, skąd pamiętaj, że czekam listu od Ciebie. Adaśku *adieu*.

Twój Edward Odyniec.

Ja mój list posłałem. Teraz byłem u Szymanowskiej, gdzie przypominam, że nic nie jadł. Wszędzie łyż, u jednych zasychają u drugich jeszcze płyną. Z Odyńcem cho-

ceśmy się uzbrajali w wino i w porter, mimo to Odyniec beczy, a ja jak na lichu patrząc na panny płaczące nie mogę się od łez utrzymać. Najniegodziwszy wynalazek na świecie jest wynalazek parochodu! Daremnie dowodziłem, że to nie po chrześcijańsku tak płakać po wyjeżdżających, że to niedowiarstwo w nieśmiertelność, nic nie porusza, łzy się nie utulają. Zdaje mi się, że to jest Twoja familja po Tobie płacząca. Bóg Ci błogosław!

Weksle posłałem przez Wołkońskiego.

Malewski.

Nie ma złego coby na dobre nie wyszło. Żeby nie pana wyjazd, jabym dziś za niemieckie lekcje srodze złąjaną była, lecz na szczęście *Herr Lehrer* tak jest zmartwiony, że nie chce i przypominać o lekcji. Bardzo nam przykro, żeśmy się z panem nie pożegnały, życzymy szczęśliwej drogi i prosimy nie zapominać o Hektorku i Ulissesie.

Helena.

Kochany pan Mickiewicz raczy przyjąć moje liczne podziękowania za dobre rady, które mnie zawsze dawał i może być pewnym, że będę się starała z nich korzystać. Zasiłam panu moje liczne ukłony i życzę jak najszcześniejszej podróży. Przypominam o mojego konika i dedykację kompozycji pana.

Celina.

Wszystko było łzawe, poświadczam.

Franciszek Malewski.

OD FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

Petersburg, 11 czerwca 1829 r.

Póki jeszcze, świeży wędrownik, nosisz tutejsze życie w pamięci, nie chcę listów zaczynać od tego, co najwięcej ciąży na sercu, od żalu po Tobie. Kiedyś potem opowiem, jak zszedł pierwszy i ten drugi wczora ubiegły tydzień od Twego wyjazdu; może Ci się wówczas zrobi tęskno, może się łzy nawiną, w zamian za te, od których tu się nie można czasami obronić. Zawczora byłem na statku parowym, wróciłem z jedną tylko wiadomością, żeś zdrów na ląd wysiadł. Długo potem błądząc po nadbrzeżu, nie mogłem w siebie wmówić, żebyś ty choć *fare well* przez kapitana nie powiedział. Wczora z podobnej wracając przechadzki, zastałem przysłany od Szy-

manowskiej Twój do niej z Hamburga, 2 czerwca adresowany, bilet. Zabrałem się do pisania prędszego, bo piszesz, że się listów w Dreźnie spodziewasz. Wszystkie Twoje polecenia spełniłem. Bratu pieniądze przeznaczone posłałem; rozpisałem listy do wszystkich mających na sprzedaży Twoje książki. Pietraszkiewicz przysłał 1 300 złp., Krasiński 1 000 złp., z Mińska 300 złp., Piotrowski 200 złp., zapłaciłem Marjanowi 800 złp.; Glaubicz po swoje nie przyszedł jeszcze. Krasińskiego pieniądze zdaje się, że mu zwrócę dla złożenia w banku, albo tu złożę, uważając te pieniądze za krystaliczne *noyau* przyszłorocznego funduszu. Egzemplarze rozsyłam jeszcze na różne strony, tak, że tu przy mnie nad pięćset nie zostanie. W końcu przyszłego miesiąca dokładny adres wskażesz, poszlę wypis z księgi rubrykowej, którą dotąd najporządniej utrzymuję.

O radości koronacyjnej będziesz wiedział bezemnie; Szymanowskiej powiem, żeby napisał, pewnie list jej tu włożę. Jeszczem się więcej do tej rodziny po Twoim wyjeździe przywiązał. Najpoczciwsza! ileż to kobiety nie naliczyły rzeczy istotnych, bez których wyjechałeś. Wygadałem się ze wszystkiego o interesach com miał na przedce, ale jakże Ci się wygadam, drogi Adamie, z myśli o Tobie? Nigdy się one jeszcze nie opierały o to fatalne: a kiedyż go zobaczę, i to *kiedy* nigdy nie było tak niejasne. A tyś samotny. Zwykle te myśli rozstrajam, nastając na siebie, żem Twój wyjazd przyspieszył.

OD ANKWICZÓW.

Florencja, 11 maja 1830 r.

Po sześciodniowej podróży, stanęliśmy szczęśliwie we Florencji dnia wczorajszego i najpierwszem mem zatrudnieniem jest pisać do Pana; będąc pewną Jego przyjaźni, wiem że Mu to robi przyjemność dowiedzieć się o podróżujących. Droge całą mieliśmy smutną z różnych powodów, Henrjeta była cierpiąca na ból zębów i głowy, do tego żal rozstania się z przyjaciółmi, tak łaskawymi dla nas, ciągle nam towarzyszył. Ośladzaliśmy sobie jak mogli te przykre momenta odczytując Jego śliczne poezje, w których jeszcze zdawało nam się głos Pana słyszeć. Mówiliśmy zawsze o Nim i prędkiem znowu zobaczeniu się, lecz wszystko to nie było tem, cośmy pożegnali

i utracili. Pan Strzelecki, któren jest prawdziwie najżyczliwszym Panu, jechał z nami często i także pomagał nam myśleć i mówić przyjemnie o upłynionych chwilach w Rzymie. Strzelecki za parę dni nas odjeżdża, a tak zostajemy sami, niepewni jeszcze, gdzie pojedziemy, od doktora wiele zależeć będzie, co się ma z nami stać, *en tous cas* nie zapominaj Pan o nas. Pisz też tylko o Sobie, o Swojem zdrowiu, jak się podróż udała i czy się Neapol podoba. Ja później znowu pisać będę gdzie pojedziemy stąd, a tak zostanie nam ta pewność, że, czy razem czy w oddaleniu, będziemy na zawsze Jego najszczerzej życzliwości przyjaciele.

Mój mąż łączy swe ukłony. Mój mąż, ksiązę Aleksander, pan Strzelecki, ksiądz Zamoyski, wszyscy są we Florencji, a ja słuchając pięknej muzyki, która pod moim oknem różne tańce wygrywa, piszę niniejszy list. Może też, kiedy go przy takich wesołych tańcach kreślę, i wesołe myśli wzbudzi, bo prawdziwie bardzo smutni jesteśmy. Pan Odyniec jak się miewa? Prosimy złożyć mu nasze szczere wyrazy.

OD ANKWICZÓW.

Paryż, 13 lipca 1830 r.

Po długiem oczekiwaniu odpowiedzi na moje poprzednie listy do W. Pana Dobrodzieja, dziś nakoniec odebrałem odpowiedź z Neapolu, pod dniem 13 czerwca do Florencji adresowaną, a mnie tu doręczoną. Wyrazić mi nie podobna ukontentowania, jakie uczuliśmy wycytując, żeście Panowie zdrowi i dobrze im się powodzi i że pan Mickiewicz odstąpił od swego zamiaru płynienia do Grecji. Czyje życie jest tak drogie i szacowne jak jego, nie wolno go na niebezpieczeństwa narażać, a tak daleko lepszy projekt, żeście Panowie razem umyślili Szwajcarję zwiedzić. Życzyłabym tylko Jemu, aby raczyła pogoda sprzyjać, bo my sześć tygodni jak słońca nie widzieli i to sprawiło, żeśmy wszyscy chorzy. Z tej przyczyny, nigdzie nie bywamy. Jak tylko Bóg pozwoli zdrowia i pogody, objedziemy to miasto, które dotąd nie sprawiło nam tej impresji, jaką zwykli nasi rodacy nam wystawiać, może też to, że go jeszcze niedość widzieliśmy. Miałabym różne zdarzenia opisywać, ale wolę zostawić aż do osobistego opowiadania (da Bóg doczekać) na *Via Mercede* przy kominku,

lecz proszę bardzo tu nie przyjeżdżać teraz aż na przyszłe lato, zresztą zostawiam do ich woli i zapewniam, że jakkolwiek wypadnie, czy nam być zbliśka czy zdaleka, z tem samem uczuciem życzliwości co zawsze pozostaję, Ich szczerą sługą,

P. S. Wszyscy co tylko tu familję moją składają, przesyłają ukłony. Za łaskawą i pochlebną opinię o opisie kaskady składamy dziękczynienia, chociaż nie zasłużyliśmy sobie na nią. Ale niech nam Pan już więcej o niej nie pisze, tylko o Sobie i panu Odyńcu.

OD DOMEYKI.

Zapole, 31 października 1830 roku.

Drogi Adamie.

Wczora do mnie przyjechała Marja; dziś uroczystość Dziadów była w Zapolu; dziś oddałem Marji przysłany od Ciebie różaniec. Mało tak przyjemnych jak dzisiejsze doznałem godzin w Zapolu: rozniecono ogień większy, jak dnia poprzedniego; zasiedliśmy przy nim; rozmowa była o Tobie i o przyjacielach naszych. Przybyła do nas i matka Jana, smutna staruszka, w żałobie po mężu swoim. Cieszyliśmy ją i siebie nadzieją przyszłości, nadzieją powrotu naszej familji.

Już dawno oddałem różaniec od Ciebie ciotce mojej Wereszczakowej. Abyś mógł pojąć, ile to ją uszczęśliwiło, przytoczę tu wyjątek z jej listu, pisanego do córki swojej. „Szczepan Adam przysłał dla mnie różaniec z relikwjami św. Józefa. Ileż to we mnie wzbudziło wdzięczności odbierając dowody jego o mnie pamięci! Jak jest sławnym poetą, tak też słynąć musi z dobroci serca swojego“. Znasz dobrze prostotę i szczerłość osoby piszącej; uwierzysz więc, że żadne tu słowo nie jest udane, żadna myśl zbyteczną. Pobożność staruszki była połączoną z najżywszą radością, kiedyś jej dar od Ciebie oddawał.

Zresztą nic Ci nowego nie mam do doniesienia. O odebraniu majątku Rostockiemu, musiał Cię brat już uwiadomić. Młody Stepułkowski wysłany na lekarza do gubernji Orenburskiej; uściskał tam od nas Tomasza i Jana. Krewna Twoja Mutuszewiczówna wyszła za mąż za Goseckiego sędziego, człowieka dosyć majątnego i znanego z uczciwości. Mieszkają

oni o milę od Bolciennik i Marja często u nich bywa; bardzo ich towarzystwo sobie podobała.

Twój brat Franciszek zdrów.

Bądź zdrów, Adamie. Napisz do nas, nim jaka wieść smutna z Litwy Cię doleci.

OD ANKWICZÓW.

Rzym, 7 lipca 1832 r.

Przez odjeżdżającego z Rzymu hrabiego Montalembert do Francji mam ukontentowanie zgłosić się do Pana i dowiedzieć się o jego zdrowiu szanownem; pisał nam pan Garczyński, iż Pan do Paryża podróż przedsięwziął. Spodziewam się, że hrabia Montalembert pozna się z Panem, jestto wielki przyjaciel Polaków, podobnie jak l'abbé de Lamennais, i nasi ukochani towarzysze, którzy kilka miesięcy przebyli z nami w Rzymie. Ich społeczeństwo było dla nas wielkim darem niebios, hrabia łączy do przyjemności wymowy najpiękniejszy charakter duszy, ugruntowany na prawdziwej katolickiej religji; rozumiem więc, iż Pan znajdziesz tę samą przyjemność w poznaniu się z nim, dlatego umyślnie dajemy list do Pana na ręce p. Montalembert. Zapewne słyszałeś o strasznej chorobie córki mojej, która dotychczas bardzo słaba, o wszystkich szczegółach jej choroby możesz się Pan dowiedzieć od p. Montalembert, bo tak był łaskaw, iż wszystkie nasze z jej strony cierpienia z nami podzielał. Często mówiliśmy mu o naszym kochanym Panu, a nawet i portrecik Pana posiada, któren od nas dostał, to Pana przekona, że zawsze żyjesz w naszym sercu i pamięci. L'abbé Lamennais znany Panu, jedzie razem z p. Montalembert, o nim mniej pisać Panu, bo go Pan dokładniej znasz, z jego geniuszu i ślicznego charakteru. My nieszczęśliwi tracimy całą pociechę, w rozstaniu się z tymi szanownymi Panami. Udajemy się w podróż do Neapolu, a jeżeli Bóg życia Henryecie pozwoli, wracamy do Rzymu na *Via Mercede*. Może też Pan, po odbytej pielgrzymce w Francji, wspomni Sobie o Swoich przyjaciółach i zawadzi o Włochy, ale Pan nas już zupełnie zapomniał, a my wszędzie Go szukać będziemy i zapewniać o naszej przyjaźni, z którą na zawsze zostajemy Jego słudzy.

Henryetta i Marynia ślicznie razem kłaniają się. Zapewne Pan coś dasz wydrukować w Paryżu Swoich poezyj, nie

zapominaj Pan o Henryecie, która prosi bardzo o udział jakiego egzemplarza poematu. Adieu, adieu, kiedy się zobaczymy?

OD LITWINÓW TUŁACZÓW W BESANÇON.

Besançon, 1832 roku, miesiąca sierpnia 8 dnia.

Ziomku.

Drogi sercom, wiecznie obecny pamięci naszej, przybywasz nawiedzić smutnych braci Twoich pod obcem niebem, przybywasz luby wieszczu ozłocić gwiazdą nadziei tęskniące za ojczyzną, za rodziną serca! *wdzięczność Ci, cześć Ci Adamie!* Walcząc za swobodę, za prawa nasze, kilkaśmy chwil przeżyli górniej, świetniej jeszcze jak niegdyś ojcowie nasi; Tyś je nam głosem nieba umiał przepowiedzieć, może da Bóg niedługo hymnem dziękczynnym za szczęście ludów w niebo uderzysz, w nowe się ustroisz wieńce, nową zabrzmisz sławą! Dzisiaj przebac, że Cię naszym darem trudzimy, ubogi on, lecz dumny wewnętrzną ozdobą. Wiesz, jak na ołtarzu wstającej z gruzów *Ojczyzny* niezrównane nasze *Polki* składały najdroższe upominki żyjących lub zmarłych osób; jak pierścienie mężów, kochanków wzięły postać monety na opłatę kosztów wojny za Ojczyznę, za wolność *Polski* podjętej; jedna z tych starannie aż dotąd strzeżona, przybiera dawną postać na uczczenie Ciebie ziomku. Jest to ofiara serca, nic nam nie wydrze przekonania, że do serca Adama trafić zdoła. (Załączony był pierścień z lirą).

OD STEFANA GARCZYŃSKIEGO.

Drezno, 26 listopada 1832 r.

Kochany mój Adamie.

Jednocześnie z listem Twoim i kiedy wyjazd mój zupełnie prawie był udecydowany, nowe smutki, zmartwienia, przeszkody nadbiegły. Odebrałem list z domu, w którym mi o stracie siostry ciotecznej donoszą i na wszystkie obowiązki zaklinają, ażeby wyjazd mój z Drezna do przybycia drugiej

siostry opóźnić; ma ona niezawodnie w przyszłym tu stanąć miesiącu. Tak więc nic już pewnego o podróży mojej donieść Ci nie umiem. Nie uwierzysz, jak to mi przykro, bo i z Tobą nie tak prędko się zobaczę i plany moje rozchwiane i do pracy ochota stygnie. Zdrowie moje znów się pogorszyło, wstawili mi dubeltową fontannę na rękę, bodajby to cokolwiek pomogło. Ty, że zdrow jesteś, z prawdziwą rozkoszą z listu Twego wyczytałem, Tobie, kochany Adamie, bardzo szanować się potrzeba. Polska jedyne tylko Ciebie posiada, o niej pamiętać należy! przeszłych rzeczy nie bierz już do serca, dosyć Cię namordowano. Poezje moje przepisałem. *Wacław* obszerny, ale nie wiem czy w nim zasmakujesz, gdzieniegdzie są myśli ale, ale... przepisując nie wiem dlaczego gust-em do niego utracił. Dwie części tak jak się udały zostać muszą, w dalszych lepiej może pójdzie. Dałem Odyńcowi do przeczytania, jego zdanie także nie bez ale, mówi prawda, że się czyta, że poezja dość wielka, ale kompozycji zarzuca; darmo, inaczej napisać nie mogłem. *Wspomnienia obozowe* uzupełnione już prawie zupełnie. Odyniec chwali nadzwyczaj niektóre z nowo napisanych, jak np. *Na dzień 29 listopada*, ale toć sam osądzisz. Koniec końcem, prześlę Ci wszystkie moje wiersze, jeśli doniesiesz a to spiesźnie, że i sam pomocy w drukowaniu nie odmówisz i kogoś szczegółowo wybierzesz, któryby się tem zajął; wtenczas jabym na drukowanie dostarczył funduszu, a na początek, coby natychmiast założyć wypadło, Tybyś mię w kilkadziesiąt talarach zastąpił może? O tem wszystkim, kochany mój Adamie, szczegółowo donieść, ja poezje za odebrany listem wyprawię. Jeśli moja bytność koniecznie będzie potrzebną, drukowanie naturalnym sposobem opóźnić będę zmuszony aż do przybycia mojego, albo testamentem substytutu obiorę. Nie uwierzysz, kochany Adamie, jak mi się żyć czasem zachciewa jeszcze, chociaż często wszystkie siły żywotne ustają wyraźnie. Ale się zobaczymy jeszcze, mam pewną w Bogu nadzieję. Dlaczego nam poezji Twoich nie przysyłasz? Z Drezna się łatwo do Księstwa rozejdą, niech tylko je Toedwen odbierze. Ja z odpowiedzią na list dzisiejszy o jeden egzemplarz *gratis* proszę? Odyniec zdrow, nic od Twojego wyjazdu nie napisał. Odwiedzam ich, kiedy wiatru nie ma, inaczej, jak kret zakopany siedzę, bo kaszel jak trwa tak trwa bez przestanku. Do Domeyki słów kilka załączam.

Do zobaczenia, kochany Adamie, ściskam Cię po tysiąc razy.

OD ANKWICZÓW.

Z Rzymu, Via Mercede nr. 9, 8 grudnia 1832 r.

Nadchodzący dzień imienia Pana Dobrodzieja daje mi sposobność powtórzenia Panu życzeń pochodzących z szczerogo przywiązania. Już to drugi rok jak nam solenizanta na dzień świętego Adama brakuje, a przecież go obchodzimy, jak gdybyś Pan był z nami, zanosząc mu sercem i myślą nasze uczucia i nasze życzenia przyjacielskie. Przyjm je Panie również z tą przychylnością, z jaką mu je składamy. List Pana z Paryża pisany 28 listopada r. b. doszedł rąk moich. Opisać Panu radość, jaką nam sprawił, jest mi niepodobna, lecz łzami rzewnymi zalałam się, wycytując z niego zarzut niesprawiedliwy zupełnie w tych słowach: „Nie domyślałem się, aby listy moje były dla Pani więcej interesujące, niż listy któregośkolwiek z jej znajomych“. Ale, Panie Dobrodzieju! żadne dla mnie pismo nie może być i nie jest przyjemniejszem, jak ręką Pana skreślone, pragnę zawsze zasługiwać sobie na Jego przyjaźń i sądziłam, że mam niejakię prawo za moją szczerą przychylność, z jaką byłam, jestem i będę zawsze. Nie donosiłam Panu o chorobie mej córki; raz nie wiedziałam, gdzie Pana szukać (już Pan natenczas wyjechał był z Drezną), potem cóż miałam donosić? rozpacz i cierpienie. Pan masz dosyć do zniesienia, miałam i ja jeszcze przydawać nowych smutków? Póki byliśmy w Neapolu, tam była zdrowsza, lecz tyle tam wieczorów, herbat tańczących, zabaw rozmaitych i do tego Moskali trzydzieści familij, żeśmy wyjechali stamtąd dla uniknienia okazji szkodenia zdrowiu jej, tu zaś klimat o sześć gradusów zimniejszy, jak w Neapolu, i do tego nikogo z rodaków. Dziwno mi, że list mojej córki do Pana pod kopertą p. Chodźki pisany, zaginął. Była tam prośba od księżnej Lubomirskiej do Niego, którą Panu później napiszę; pierwiej jej donieśli, że ten list zaginął cośmy z Castellamare pisali. P. Rzewuski zdrów, kąpiele morskie bardzo mu służyły, lubi bardzo Neapol, jeszcze więcej jego towarzystwo, do którego uczęszcza, i bawi się dobrze, żona jego także zdrowa i swoim sposobem żyje sama, spokojnie; będzie bardzo szczęśliwa, jak jej Pan prześlesz Swe pisma. My oczekujemy z niecierpliwością, zawczasu Panu dziękujemy tysiącznie, jestto cała pociecha mej córki, która już od Neapolu, jak napisał p. Montalembert, że Pan masz nam je

przesłać, nie przestaje wyglądać ich z pragnieniem. Od pana Garczyńskiego miałam bilecik, w którym mi donosi, że do zdrowia powraca i obiecuje się do Rzymu, co daj wielki Boże, aby się ziściło, bardzo go szacujemy szczerze. P. Odyniec donosił mi o swoim ożenieniu i swoim smutku, iż w Poznańskim zostać mu nie pozwalają.

Zawsze Panu wdzięczni jesteśmy za pamięć i kończę już ten list długi zapewnieniem, że Pan masz w nas najszczerzych Swych przyjaciół. Kochamy Pana sercem brata, siostry, nigdy nie zapominamy ani na chwilę, i z tem wyznaniem pozostaję Panu szczerą i prawdziwą sługą

OD NIEMCEWICZA.

Londyn, 3 lutego 1833 roku.

Nie mogę przenieść na siebie, bym nie pospieszył z wynurzeniem wdzięczności mojej kochanemu Ziomkowi, za piękny dar Jego. (Mowa o trzeciej części Dziadów. P. W.) Jest to śliczne dzieło, szczytne, czułe, dowcipne, historyczne; słowem wyższe nad wszystkie pochwały. Trzeba, iżby jak można się rozeszło, przeniosło do potomności wierny, acz okropny obraz cierpień naszych i okrucieństw barbarzyńców. Oby każdy z wyojczyźnionych naszych talentu swego (jaki mu Bóg dał) tak pożytecznie, jak znakomity Mickiewicz używał; ale niestety! wolimy się gryźć między sobą, a czernić przed obcymi. I ja już w 76 roku życia mego, jeszcze grezmołę, nie tak z natchnienia jak raczej z nałogu, którego i w zgrzybiałości pozbyć się nie mogę. Posłałem wam ramotę moją; przebaczcie starcowi, który nie wie co plecie. Nikogo nie widzę jak Mickiewicza, co by był w stanie napisać *Poema epiczne* powstania naszego, w rodzaju Danta. Zachęcam do tego szanownego, kochanego Ziomka; genjusz Jego dokona tego z chwałą dla Siebie, a to i na nieszczęsną ojczyznę naszą spłynie. Niech Was Wszechmocny, jako ozdobę muz polskich, jak najdłużej w zdrowiu, siłach i przedsięwzięciach zachowuje. Ujrzysz jeszcze kochaną Polskę, ja już nie. *Vale et nos ama.*

Londyn, 18 lutego 1833 roku.

Niemcewicz dziękuje za przysłane przewyborne poema i prosi, by zacny ziomek przyjął tę pieczętkę z głową Goethe'go, jako hołd winny jego talentom i obywatelstwu.

OD HENRJETY ANKIEWICZÓWNY.

Z Rzymu, 11 marca 1833 roku.

Z smutkiem wyznać Panu muszę, iż nigdy nie spodziewałam się, byś nas Pan tyle chciał martwić milczeniem tak długiem, tak srogiem. Czyż Pan myślisz, że my mniej od niego czucia mamy, i że takie zapomnienie od osoby, od której najmniej spodziewać się go mogliśmy, nie jest nam bardzo przykrem? Ja już inaczej tłumaczyć go nie umiem, jak przez nieregularność poczty, lub też sądzę, że Pan zajęty Swemi interesami, nie chodzisz się na pocztę pytać o listy, gdyż nasze trzy poprzednie koniecznie Go powinny do odpisu zmusić. P. Rzewuski przeciwnie chwali się, że Pan do niego pisujesz, więc tak my jedni tylko nie możemy tego szczęścia otrzymać, ani od Niego listu doczekać się. Od tygodnia mamy poezje Pana tu, i są dla nas nieprzebranem źródłem pociech i przyjemności. W całym polskiem towarzystwie o niczem innem nie rozmawiają, jednogłośnie je uwielbiają, każdy inaczej tłumaczy ten prześliczny kawałek: *Księdza Piotra widzenie*; utrzymują iż Pan masz w myśli jakiegoś nieznanego bohatera, mnie jednej to zdaje się zupełnie do Polski stosowane, nawet *czterdzieści cztery*, nazwisko, rozumiem być jakąś aluzją do tyluż lat jej niewoli, które od trzeciego podziału jeszcze nie upłynęły, a więc sześć lat zostawałoby do uwolnienia zupełnego naszej biednej ziemi. Czy tak jest, chciej Pan nam donieść? Jabym się mocno cieszyła, jeżeli bym prędzej na myśl Pana trafiła, jak wszyscy teraz w Rzymie zgromadzeni ziomkowie. P. Rzewuski na moje tłumaczenie nie chce przystać na żaden sposób, a to najwięcej stąd, iż mu *trentatre* przepowiedziały w Neapolu, iż on Polski zbawienia nie doczeka się. Gdyby to więc za sześć lat nastąpić miało, termin życia jego byłby już bardzo krótki. Z innej strony cieszy się, bo taż sama przepowiednia co do Marysi powiada, iż pójdzie za bardzo znakomitego w narodzie polskim rycerza i wtedy już Polska będzie cała. Ach! gdyby to szczęście Bóg nam dał widzieć. Odpisz nam Pan na ten list, najmocniej upraszam o tę łaskę, a jeżeli Pan nie będziesz to sądził natręctwem, z Polski jeszcze ośmielimy się pisywać

do niego i przypominać się Jego pamięci. Jeszcze raz proszę nie zapominać tak zupełnie o tej, którą Pan swoją siostrą nazywał. Marcelina śliczne ukłony dołącza Panu za broszury pierwszej przysłane i teraz znowu przez p. Montalembert obiecane najserdeczniej dziękuje. Są to prawdziwe dla nas skarby.

SPIS RZECZY.

LISTY MICKIEWICZA do:

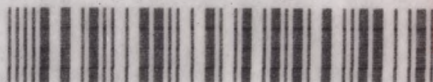
Ankwiczowej — str. 165, 167, 168, 173 i	174
Benkendorfa, szefa żandarmerji — str.	147
Bułharyna Tadeusza — str.	158
Chodźki Leonarda — str.	171
Czartoryskiego księcia — str.	67
Czartoryskiego księcia Adama — str.	67
55, 59, 60, 63, 76, 81, 85, 86, 88, 89, 90, 91, 92, 94, 95, 96, 97, 98 i	114
Domeyki Ignacego — str. 170, 180, 198, 200, 201 i . . .	202
Filomatów — str.	22
Garczyńskiego Stefana — str. 178, 189, 191, 193 i . . .	197
Grabowskiego Józefa — str.	186
Hołowińskiego Germana — str.	109
Jaenisch — str.	131
Jeżowskiego Józefa — str. 8, 9, 17, 19, 25, 26, 30, 33, 35, 36, 43, 49, 50, 53, 56, 88 i	164
Kajsiewicza Hieronima — str. 203 i	205
Kowalewskiego Józefa — str. 112, 113 i	124
Lelewela Joachima — str. 73, 97, 118, 125, 140, 146, 148, 152, 156, 163 i	180
Litwinów Ziomków Tułaczów — str.	187
Malewskiego Franciszka — str. 21, 22, 45, 66, 71, 84, 101, 151, 154, 156, 158, 159, 160, 162 i	176
Mickiewicza Franciszka — str. 185, 191 i	209
Muczkowskiego — str.	150
Niemcewicz Ursyna — str. 128, 192 i	196
Odyńca Adama Edwarda — str. 97, 103, 104, 105, 107, 111, 120, 122, 127, 131, 135, 137, 139, 144, 152, 175, 188, 190, 195, 197, 199, 202, 204, 208 i	210
Piaseckiego Marjana — str.	130
Pietraszkiewicza Onufrego — str. 9, 45, 51, 52, 58, 61 i . .	65
Potockiej Klaudyny — str.	208
Przeclawskiego Józefa — str.	166
Puttkamerowej Marji — str. 70 i	79
Rettla Leonarda — str.	205
Rzewuskiej Julji z Grocholskich — str.	183

Sobańskiego Gotarda — str.	126
Stattlera Wojciecha — str.	179
Szymanowskiej Marji — str. 144, 153, 157, 161 i . . .	177
Taczanowskiego Józefa — str.	182
Twardowskiego Józefa, rektora Uniw. Wil. patrz <i>Uniwers. Wil.</i>	
Uniwersytetu Wileńskiego — str. 47, 62, 94 i	100
Witwickiego Stefana — str.	161
Wołkońskiej Zeneidy, ks. — str.	184
Zaleskiej Bonawenturuwej — str. 110 i	142
Zana Tomasza — str. 11, 29, 38, 40, 47, 72, 74, 75, 77, 78, 81, 82, 83, 87, 99, 108, 114 i	133
Ziomków Litwinów Tułaczów — str.	187
UWAGA WYDAWCY O LISTACH MICKIEWICZA .	211
LISTY O MICKIEWICZU	212
Czczota do Malewskiego Franciszka — str. 213, 214 i .	215
Jeżowskiego do Malewskiego Franciszka — str. . .	212
Lelewela Joachima do? — str.	218
Malewskiego Fr. do Rodziny — str. 215 i	219
Malinowskiego Mikołaja do Lelewela — str. . . .	217
Odyńca do Góreckiego — str.	216
Odyńca do Malewskiego — str.	219
Zana do Malewskiego w Berlinie — str. 212 i . . .	214
LISTY DO MICKIEWICZA od:	221
Ankwiczów — str. 229, 230, 232 i	235
Ankwiczówny Henrjety — str.	237
Borowskiego, profesora — str.	225
Chodźki Leonarda — str.	223
Domeyki Ignacego — str.	231
Garczyńskiego Stefana — str.	233
Lelewela — str. 221 i	225
Litwinów tułaczów w Besançon — str.	233
Malewskiego Franciszka — str.	228
Niemcewicza — str. 222 i	236
Szymanowskiej — str.	227
Ziomków Litwinów w Besançon — str.	233



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

10454/VI S



001-010459-06-0

